

Jack McDevitt

Smykałka do wojny

Przełożyła
Jolanta Pers

SOLARIS
Stawiguda 2008



Smykałka do wojny

tyt. oryginału: A Talent for War

Copyright © 2007 by Cryptic, Inc.

All Rights Reserved

ISBN 978-83-89951-24-3

Projekt i opracowanie graficzne okładki

Tomasz Maroński

Redakcja *Iwona Michałowska*

Korekta *Bogdan Szyma, Aleksandra Przybylska*

Skład *Tadeusz Meszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

Tel./fax 089 5413117

e-mail: agencja@solaris.net.pl

sprzedaż wysyłkowa:

www.solarisnet.pl

Dla Josepha H. Paroffa, Wielebnego L. Richardsa Casavanta, misjonarza, i Wielebnego Roberta E. Carsona, norbertanina, by wspomnieć o długach, których nigdy nie spłacę.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować serdecznie za porady techniczne Jamesowi H. Sharpowi z Albert Einstein Planetarium, Smithsonian Institution. Pragnę także wyrazić wdzięczność Lewisowi Shinerowi za jego wskazówki i czas, Ginger Buchanan za pomoc przy manuskrypcie oraz Maureen McDevitt, której obecność daje się odczuć w całym świecie Christophera Sima.

Spis treści

Spis treści	5
PROLOG	6
I	12
II	23
III	39
IV	57
V	63
VI	77
VII	89
VIII	106
IX	122
X	134
XI	141
XII	152
XIII	164
XIV	186
XV	198
XVI	212
XVII	221
XVIII	241
XIX	243
XX	252
XXI	259
XXII	264
XXIII	284
XXIV	300
XXV	323
EPILOG	327

PROLOG

POWIETRZE było ciężkie od zapachu kadzidła i słodkiej woni gorącego wosku.

Cam Chulohn uwielbiał tę kaplicę z grubo ciosanego kamienia. Przykląkł na twardym klęczniku i patrzył, jak krystalicznie czysta woda kapie z palców ojca Curry do srebrnej miseczki podtrzymywanej przez postulanta. Ten odwieczny symbol uchylania się od odpowiedzialności zawsze wydawał się Chulohnowi najważniejszym z odwiecznych rytuałów. Oto jest, pomyślał, cała istota naszej natury, manifestująca się nieskończenie przed wszystkimi, którzy są w stanie ją dostrzec.

Jego spojrzenie powędrowało w kierunku kaplicy Najświętszej Dziewicy, oświetlonej kilkoma mrugającymi świecami, i stacjom drogi krzyżowej, ku prostemu ołtarzowi, ku ciosanemu pulpitemu z olbrzymią Biblią. Wystrój był, według wykwinnych standardów Rimway, Rigel III i Taramingo, dość skromny. Jego jednak przytłaczała wspaniała architektura strzelistych katedr, niespotykane piękno witraży, solidna masywność marmurowych kolumn, prawdziwie anielska potęga organów, rozłożystość chóru. Tu, na zboczu góry, patrzył na dolinę rzeki, którą starożytni ojcowie na fali entuzjazmu poświęcili św. Antoniemu z Toksykonu. Tu była tylko rzeka, góry i Stwórca.

Wizyta Chulohna w opactwie była pierwszym takim wydarzeniem z udziałem urzędującego biskupa od początku istnienia społeczności - przynajmniej tyle zdołał ustalić. Albacore, ten pokryty śniegiem, zimny świat na dalekich rubieżach, gdzie ledwo sięgały wpływy Konfederacji, gościł poza ojcami niewielu mieszkańców. Nie było jednak trudno zrozumieć - ciesząc się wielką ciszą, słuchając odległego odgłosu spadających skał, wciągając do płuc zimne, rześkie powietrze - dlaczego właśnie stąd często wywodzili się najwybitniejsi badacze, jakich wydał zakon. Martin Brendois napisał swoją wspaniałą historię Czasów Niepokoju w celi tuż nad kaplicą. Albert Kale ukończył tu swoje cenione badania nad strunami transgalaktycznymi, a Morgan Ki stworzył eseje, które na wieki zapisały jego imię w historii ekonomii klasycznej.

Tak, w tym miejscu było coś, dzięki czemu powstawały wielkie dzieła.

Po mszy spacerował po balkonie z opatem, Markiem Thasangalem. Otulili się płaszczami, a przed nimi podążała mgiełka oddechu. Thasangales był żywą historią Doliny św. Antoniego: nikt w zakonie nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był młody. Jego rysy były stanowcze i wyraziste jak wapienne ściany i omiatane śniegiem granie. Był fortecą wiary: Chulohn nie był w stanie sobie wyobrazić goszczących w tych ciemnobłękitnych oczach wątpliwości, jakie były udziałem zwykłych ludzi.

Wspominali właśnie lepsze czasy - jak to zwykle czynią ludzie w średnim wieku, którzy długo się nie widzieli - kiedy opat przerwał rozmowę o przeszłości.

- Cam - rzekł, podnosząc głos, by przekrzyczeć wiatr - doskonale sobie poradziłeś.

Chulohn uśmiechnął się. Thasangales miał wielki talent: jego zdolność do zdobywania funduszy i zarządzania nimi w żaden sposób nie szkodziła aurze świętości. Był doskonałym administratorem i przekonującym mówcą, idealnym kandydatem na reprezentanta Kościoła i zakonu. Zawsze jednak brakowało mu ambicji. Wrócił do Doliny św. Antoniego, kiedy tylko nadarzyła się okazja, i został na większość życia.

- Kościół był dla mnie łaskawy, Marku. Dla ciebie zresztą też.

Spojrzeli w dół ze szczytu, na którym stało opactwo. Dno doliny było brązowe; nadciągała zima.

- Zawsze zastanawiałem się nad tym, czy chciałbym tu przyjechać na parę lat. Może uczyć teologii. Może uporządkować swoje życie.

- Byłeś potrzebny Kościołowi w ważniejszych sprawach.

- Być może. - Chulohn spojrzał na swój pierścień, symbol urzędu, i westchnął. - Dużo mnie to kosztowało. Może zapłaciłem zbyt wysoką cenę.

Opat nie potwierdził ani nie zaprzeczył, po prostu stał w miejscu, czekając na wypowiedź biskupa. Chulohn westchnął.

- Nie jesteś zachwycony drogą, którą wybrałem.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale twoje oczy cię zdradziły.

Gwałtowny podmuch wiatru zakołysał drzewami i spadło kilka płatków śniegu.

- Pierwszy śnieg w tym roku - oznajmił Thasangales.

Dolina św. Antoniego znajduje się na wyżynie mniejszego z dwóch kontynentów Albacore. (Niektórzy mówią, że ta niewielka, zgrabna planeta składa się wyłącznie z wyżyn.) W oczach Chulohna było to wszakże jedno z tych szczególnych

miejsc, pofalowana kraina pokryta lasem, wapiennymi skałami i czapą śnieżną. Biskup wychował się w podobnym miejscu, na surowej Dellakondzie, której słońce było tak daleko, że z Doliny św. Antoniego nie dało się go dostrzec.

Stojąc na tym odwiecznym pustkowiu, doznał uczuć, jakich nie doświadczył przez trzydzieści lat. Powróciły myśli z młodości. Dlaczego były o wiele bardziej realne niż wszystko, czego doświadczył później? Jak to się stało, że zrealizował swoje najdawniejsze ambicje, nawet z nawiązką, i to wszystko w ogóle nie dało mu satysfakcji?

Otulił się płaszczem, by się ochronić przed nagłym powiewem lodowatego wiatru.

Wśród tych chłodnych, milczących szczytów czaiło się coś niepokojącego. W jakiś sposób, którego nie umiał uchwycić, rzucały wyzwanie cieplej i przytulnej kaplicy. Na jego ojczystej planecie działał ruch, który twierdził, że przemawia w imieniu Chrystusa, domagając się od Chulohna, by sprzedał kościoły i rozdał pieniądze biednym. Chulohn jednak, który kochał odludne miejsca na różnych planetach dlatego, że budziły strach, wiedział, że kościoły to schronienia przed przerażającym majestatem Wszechmocnego.

Patrzył, jak śnieg zaczyna padać coraz mocniej.

Kilku seminarzystów wysypało się z refektarza i popędziło z hałasem w stronę sali gimnastycznej. Nagły ruch wytrącił Chulohna z zadumy. Spojrzał na Thasangalesa.

- Zimno ci? - Spytał.

- Nie.

- W takim razie obejrzymy resztę.

Niewiele się zmieniło od dnia, gdy biskup został tu wyświęcony: kamienne grotty i szerokie trawniki, szare, ponure budynki kościoła, będące świadectwem dziesięcioleci. Czy te nocne wypadki na piwo do refektarza miały miejsce całe wieki temu? Czy naprawdę aż tyle czasu upłynęło od wycieczek do Blainswell i niewinnych flirtów z tamtejszymi młodymi kobietami? Od kąpieli nago w górskich stawach? (Mój Boże, jak to możliwe, że nadal czuł na ciele niesamowite ukąszenia chłodnych strumieni?)

Wszystko to wtedy wydawało się tak cudownie grzeszne.

Chodniki z łupanego kamienia, przyprószone lekko śniegiem, chrzęściły przyjemnie pod stopami. Chulohn i Thasangales obeszli bibliotekę dookoła. Jej

antena, zamontowana na spadzistym dachu, obracała się powoli, śledząc ten czy inny orbiter. Płatki topniały, wpadając Chulohnowi do oczu; czuł, jak marzną mu stopy.

Cele ojców znajdowały się z tyłu kompleksu budynków, z daleka od hałasu, którego źródłem byli goście i nowicjusze.

Zatrzymali się przy wejściu, przy prostych drzwiach z brzydkiego, zielonkawego metalu, które wyglądały, jakby zbudowano je, by przetrwały wieki, a co gorsza, chyba istotnie miało się tak stać. Chulohn patrzył jednak gdzie indziej, w stronę łagodnego zbocza, które zdominowało teren za opactwem. Na szczycie, prawie niewidzialny pośród wzbierającej śnieżycy, stał łuk, żelazne ogrodzenie i kilka długich rzędów białych krzyży.

Miejsce upamiętniające tych, którzy wytrwali. Thasangales przytrzymał otwarte drzwi i cierpliwie czekał, aż biskup wejdzie do środka.

- Chwileczkę - rzekł Chulohn, strzepując śnieg z ramion. Postawił kołnierz i nadal wpatrywał się z namysłem w górę.

- Cam, jest zimno.

W głosie Thasangalesa było słycać poirytowanie. Chulohn nie dał po sobie poznać, że to usłyszał.

- Wrócę za parę minut - rzekł po chwili, po czym bez słowa ruszył szybko pod górę.

Opat puścił drzwi i ruszył za nim z gestem rezygnacji, który mógł umknąć mniej uważnemu obserwatorowi.

Prowadząca na cmentarz ścieżka znikła pod śniegiem, ale Chulohnowi to nie przeszkadzało. Pochylił się i parł pod górę. Drogi strzegła para kamiennych aniołów z pochylonymi głowami i rozpostartymi skrzydłami. Przeszedł między nimi i zatrzymał się, by przeczytać napis na łuku: Ten, który uczy ludzi, jak umierać, musi wiedzieć, jak żyć.

Krzyże ustawiono w równych rzędach, najstarsze z przodu i z lewej strony, a potem ponure pasmo rozciągało się w prawo i w dół, w stronę przeciwległego zbocza. Na każdym wryto imię i nazwisko, dumny znak zakonu, O.D.J., oraz datę śmierci podaną w standardowych latach ery chrześcijańskiej.

Na tyłach odkrył ojca Brennera. Brenner był rudy, potężnie zbudowany, otyły. Był jednak młody wtedy, gdy i Chulohn był młody. Uczył historii Kościoła w czasach Wielkiej Migracji.

- Pewno wiedziałeś... - Rzekł opat, dostrzegając reakcję biskupa.

- Pewnie. Ale dowiedzieć się, że ktoś nie żyje, to nie to samo, co stanąć nad jego grobem.

W tym tylnym rzędzie znalazł boleśnie dużo znajomych nazwisk. Byli tam jego nauczyciele: Philips, Mushallah i Otikapa. Mushallah był cichym, kapryśnym człowieczkiem o ruchliwych oczach i ogromnym darze przekonywania. Uwielbiał spierać się ze studentami ośmielającymi się kwestionować skomplikowany wywód na istnienie Boga z wykorzystaniem logiki.

Dalej znalazł Johna Pannella, Craiga Hovera i innych. Są teraz prochem. I cała teologia świata tego nie zmieni.

Spojrzał z zaciekawieniem na Thasangalesa, który stał cierpliwie w padającym śniegu, z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie, najwyraźniej nieporuszony. Czy choć trochę rozumiał, co oznacza dla niego znalezienie się w takim miejscu? Na twarzy opata nie było widać ani śladu bólu. Chulohn nie wiedział, czy naprawdę chciałby, by jego wiara była aż tak silna...

Niezapomniany pomysł: grzesznik tulący grzech.

Było tam wiele kamieni z datami sprzed kilku stuleci. I wiele takich, którym chciałby oddać cześć, ale nagle zapragnął stamtąd odejść, może dlatego, że pogoda była coraz gorsza, albo dlatego, że nie chciał już widzieć więcej. A gdy odwrócił się, zamierzając ruszyć z powrotem, jego wzrok padł na jeden z kamieni i Chulohn dostrzegł, że coś jest nie tak, choć z początku nie wiedział, co to może być. Podeszedł do kamienia i spojrzał na napis.

Jerome Courtney

Zmarł 11108 A.D.

Nagrobek miał zaledwie sto sześćdziesiąt lat, więc na tutejsze warunki był dość nowy. Napis był jednak niekompletny. Brakowało liter oznaczających zakon.

Biskup zerknął na kamień i przetarł go, by zetrzeć śnieg, pod którym mogła kryć się reszta napisu.

- Nie trudź się, Cam - rzekł opat. - Nie ma go tam.

- Dlaczego? - Wyprostował się, a widoczna konsternacja ustąpiła miejsca niezadowoleniu. - Kto to jest?

- Nikt z nas. W dowolnie wąskim sensie.

- Nie był Uczniem?

- Nie był nawet chrześcijaninem. Przypuszczam, że nie był w ogóle wierzący.

Chulohn postąpił o krok do przodu, napierając na swego podwładnego.

- W takim razie, na Boga, co on tu robi? Między ojcami? Nie było to miejsce, w którym krzyk byłby właściwym zachowaniem, ale wysiłki biskupa, by zapanować nad głosem, zaowocowały jedynie chrypieniem, które go zakłopotало. Oczy Thasangalesa były okrągłe i błękitne.

- On tu jest od bardzo dawna, Cam. Przybył do nas jako wygnaniec i spędził z naszą społecznością prawie czterdzieści lat.

- Ale to nie wyjaśnia, czemu on tu leży.

- Leży tu - odparł opat - gdyż ludzie, spośród których żył i umarł, kochali go i zarządzili, że ma pozostać między nimi.

I

Minął Awinspoor w ciemnościach nocy, z płonącymi światłami. Chmura rozstawnych wahadłowców, która pędziła z nim przez układ, błyskawicznie została w tyle. Wielu opowiadało później, że przechwyciło transmisję z pokładowej radiostacji, a wśród nich audycję z popularnym programem kabaretowym. Tuż po śniadaniu, w pobliżu najbardziej oddalonego skalistego świata, osiągnął gotowość do skoku i wszedł w przestrzeń Armstronga zgodnie z rozkładem. Miał na pokładzie dwadzieścia sześć dusz, licząc pasażerów i załogę.

Machias, *Kroniki, XXII*

TEJ NOCY, gdy dowiedzieliśmy się, że „Capella” rozplynęła się w nicości, negocjowałem z bogatym klientem zakup kolekcji skorup liczącej sobie cztery tysiące lat. Przerwaliśmy na chwilę, by obejrzeć wiadomości. Niewiele mieli do powiedzenia poza tym, że „Capella” nie powróciła do przestrzeni liniowej zgodnie z planem, opóźnienie jest już znaczne i lada moment można się spodziewać oficjalnego komunikatu o uznaniu statku za zaginiony.

Dalej była lista ważnych pasażerów: na pokładzie znajdowało się kilku dyplomatów, paru słynnych sportowców, muzyk, który postradał zmysły całe lata temu, ale jego dzieła stały się popularne właśnie z tego powodu, grupa studentów, którzy wygrali w jakimś konkursie, i nadziana mistyczka ze swoją męską świtą.

Utrata „Capelli” błyskawicznie przeszła ze sfery rzeczywistości do legendy. Na pewno zdarzały się gorsze katastrofy. Tylko że te dwadzieścia sześć osób podróżujących w przestrzeni międzygwiazdnej nie umarło w zwykłym znaczeniu tego słowa. W istocie może wcale nie umarły. Nie wiadomo. I dlatego to wydarzenie było tak fascynujące.

Klient, którego nazwiska już nie pamiętam, potrząsnął smutno głową w zadumie nad zagrożeniami, jakie niesie życie, po czym szybko wrócił do omawianych artefaktów. Dobiliśmy targu bliżej jego propozycji ceny.

„Capella” była modelowym przedstawicielem najnowszej klasy statków międzygwiazdnych, wyposażonych we wszelkie możliwe urządzenia zabezpieczające, a dowodziła nią pilot o niezwyklej pomysłowości. Przykro było pomyśleć, że szybko została zredukowana do rangi widma.

Takie rzeczy już się zdarzały. Ale nigdy w przypadku czegoś tak dużego. I z tak dużą liczbą ludzi na pokładzie. Prawie natychmiast ktoś nagrał o tym przebój. I pojawiły się różne teorie.

Ktoś powiedział, że statek trafił na węzeł czasowy i wynurzy się kiedyś, w przyszłości, a pasażerowie i załoga nie będą świadomi tego, że stało się coś niezwykłego. Oczywiście, statki ginęły już od dawna i zaden się nie pojawił. Więc jeśli podróżują w górę strumienia czasu, odległość musi być znaczna.

Najczęściej pojawiający się pomysł sugerował, że nastąpiła równoczesna awaria w przestrzeni Armstronga i statek będzie tak już wędrował na wieki, niewidziany, niesłyszany. (Uderzyło mnie, że taka wiadomość to fantastyczna nowina dla rodzin podróżników.)

Było też mnóstwo innych pomysłów. „Capella” wynurzyła się w innym wszechświecie. Albo pojawiło się zakłócenie, które wysłało ją do innej galaktyki. (Bardziej prawdopodobny był wariant z przestrzenią między galaktykami.) Mnie osobiście najbardziej odpowiadała teoria głazu. Przestrzeń Armstronga nie jest próżnią doskonałą i „Capella” uderzyła w coś, co okazało się za duże dla jej osłon.

Oczywiście nie miałem lepszych pomysłów niż inni. Ale i tak było to denerwujące. I był to kolejny powód, dla którego wolałem nie latać tym draństwem częściej niż było to absolutnie konieczne.

Przez następnych kilka dni sieć była pełna zwykłych opowieści o ludziach. O facecie, który zasnął, spóźnił się na wahadłowiec i nie zdążył na lot. Opowiadał o swojej wdzięczności dla Wszechmocnego, który najwyraźniej był mniej łaskawy dla pozostałych dwudziestu sześciu osób. Dla pani kapitan był to ostatni lot; po dotarciu do portu docelowego, Stacji Saraglia, miała przejść na emeryturę. Jakaś kobieta z Rimway twierdziła, że w noc przed katastrofą śniło jej się, iż „Capella” zaginie. (W końcu udało jej się przekuć ten incydent w lukratywny biznes i zostać jedną z najbardziej popularnych prorokiń swoich czasów.)

I tak dalej. Mówiono, że ma być przeprowadzone dochodzenie, ale wiadomo było, że do niczego nie doprowadzi. Nie było w końcu niczego do zbadania poza listami pasażerów i manifestem ładunkowym, planem lotu i takimi tam.

Firmy przewozowe opublikowały nowe statystyki, w których udowodniały, że podróżowanie między Rigelem i Sol jest bardziej bezpieczne niż włączenie się po statystycznym mieście.

Jakieś dziesięć dni po zaginięciu odebrałem transmisję od kuzyna na Rimway. Nie miałem od niego żadnych wieści od lat. Na wypadek gdybyś o tym nie wiedział, rzekł, na pokładzie „Capelli” był Gabriel. Przykro mi. Daj znać, jeśli jakoś mogę ci pomóc.

I cała sprawa zaczęła dotyczyć mnie.

Rankiem dotarł elektroniczny pakiet zawierający dwie wiadomości z firmy prawniczej Brimbury&Conn, która jeśli wierzyć informacjom o trasowaniu, także znajdowała się na Rimway. Wrzuciłem go do systemu, przysiadłem na krześle i włożyłem na głowę opaskę. Uformował się obraz stojącej kobiety, jakieś pół metra nad podłogą, pod kątem trzydziestu stopni. Dźwięk też nie był prawidłowy. Mogłem to łatwo wyregulować, ale wiedziałem, że i tak mi się nie spodoba, więc nie zadałem sobie trudu. Kobieta mówiła do podłogi. Dookoła niej próbował się tworzyć obraz biblioteki, ale go wyłączyłem.

Kobieta była atrakcyjna w jakiś biurokratyczny, sztywny sposób.

- Panie Benedict, proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci wuja. - Pauza. - Był cenionym klientem firmy Brimbury&Conn i naszym przyjacielem. Będzie nam go brakowało.

- Nam wszystkim też - odparłem.

Obraz skinął głową. Usta kobiety drżały, a kiedy znów przemówiła, w jej głosie było tyle niepewności, że o mało mnie nie przekonała - choć to było tylko nagranie - że jej uczucie jest prawdziwe.

- Pragnę poinformować, że jest pan jedynym spadkobiercą jego majątku. Będzie pan musiał wypełnić dokumenty załączone do niniejszej symulacji. - Odniosłem wrażenie, że trochę się płacze. - Rozpoczęliśmy już procedurę oficjalnego uznania Gabriela za zmarłego. Oczywiście trochę to potrwa. Sądy nie palą się, żeby zamknąć sprawę osób zaginionych, nawet w takich sytuacjach. Jesteśmy jednak gotowi podjąć działania w pańskim imieniu, gdy tylko będzie to możliwe. Dlatego też przesyłamy panu dokumenty natychmiast. - Usiadła i poprawiła spódnicę. - Pański wuj pozostawił także w depozycie zapieczętowaną wiadomość, która ma panu zostać dostarczona w razie jego śmierci. Zostanie ona aktywowana po zakończeniu tej

wiadomości, na dźwięk pańskiego głosu. Proszę powiedzieć cokolwiek. Jeśli ma pan jakiegokolwiek pytania, prosimy o kontakt. Panie Benedict - jej głos przeszedł w szept - będzie go nam naprawdę brakowało.

Zatrzymałem odtwarzanie, przeprowadziłem test i wyregulowałem obraz, po czym wróciłem na krzesło, ale siedziałem na nim przez długą chwilę, zanim znów włożyłem opaskę.

- Gabrielu.

Światła przygasły i znalazłem się w starym gabinecie na pierwszym piętrze domu, usadowiony wygodnie w miękkim, wyściełanym fotelu, który kiedyś był moim ulubionym. Wyglądało to, jakby nic się tu nie zmieniło: zarówno pokryte boazerią ściany, jak i ciężkie, zabytkowe meble i zasłony barwy mahoniu były tak znajome. W kominku trzaskał ogień. A obok mnie stał Gabriel.

Stał na wyciągnięcie ręki, wysoki, szczupły, bardziej siwy niż go zapamiętałem, z twarzą częściowo ukrytą w cieniu. Bez słowa dotknął mojego ramienia i przycisnął dłoń.

- Cześć, Alex.

Była to tylko symulacja. W tej chwili zrozumiałem jednak, że będzie mi brakować tego starego drania. Targały mną sprzeczne uczucia. I byłem tym wszystkim zaskoczony: przypuszczałem, że Gabriel przyjmie wyrok losu z godnością, nie bawiąc się w jakieś ckliwe pożegnania. To takie do niego niepodobne.

Chciałem przerwać tę iluzję, po prostu siedzieć i patrzeć, ale musiałem jakoś reagować, bo w przeciwnym razie obraz przerywałby milczenie, prosząc, bym mówił głośniejszym głosem, albo zapewniając, że wszystko gra. Nie było mi to potrzebne.

- Cześć, Gabe.

- Nie ma mnie tutaj - oznajmił z żalem - więc pewnie stało się coś złego.

- Tak mi przykro - odparłem. Wzruszył ramionami.

- Zdarza się. Mogło się zdarzyć w lepszym momencie, ale nie zawsze da się nad wszystkim zapanować. Zakładam, że już poznałeś wszystkie szczegóły. Choć jak o tym pomyślę, to nie wydaje mi się to takie oczywiste. Udaję się w miejsce, gdzie mogę po prostu zniknąć i już nigdy się nie odezwać.

Tak, pomyślałem. Ale z innych powodów, niżby ci się wydawało.

- A dokąd lecisz?

- Na Iowy. W Mgławicy Damy z Woalką. Potrząsnął głową i dostrzegłem na jego twarzy żal.

- Wszystko się czasem tak paskudnie psuje. Mam nadzieję, że to, co się stało, wydarzyło się w drodze powrotnej. Wolałbym nie umrzeć, póki się wszystkiego nie dowiem.

Ta prośba - bo chyba to była prośba - zawisała w powietrzu.

- Nigdy nie doleciałeś do Stacji Saraglia - odparłem.

- Och. - Zmarszczył czoło i widać było, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Odwrócił się ode mnie, okrążył niski stolik, który był w domu od lat, i opadł sztywno na krzesło po drugiej stronie. - Co za szkoda.

Zaczął teraz poruszać się wolniej: jego ruchy stały się bardziej celowe, a na dotąd natchnionej twarzy pojawił się trzeźwy wyraz. Trudno było oceniać, czy to wpływ wieku, czy też reakcja na wiadomość o jego śmierci. W każdym razie w naszej rozmowie pojawiło się coś ponurego, jakaś dygocząca niepewność, jakieś poczucie, że czegoś się nie zrobiło.

- Dobrze wyglądasz - rzekłem bezbarwnym tonem. W tych okolicznościach taka uwaga była nieco niestosowna, ale chyba tego nie zauważył.

- Przykro mi, że ostatnim razem nie mogliśmy dłużej pogadać. To kiepska namiastka.

- Tak.

- I żałuję, że między nami nie układało się lepiej.

Nie było łatwo odpowiedzieć na takie dictum. Był jedyną bliżej mi znaną osobą z pokolenia rodziców i zdarzały się między nami zwykłe spięcia. Ale to nie wszystko. Gabriel był idealistą.

- A ty nie ułatwiałeś mi zadania.

Miał tu na myśli fakt, że nieźle sobie żyłem ze sprzedaży rzadkich artefaktów prywatnym kolekcjonerom, a Gabe uważał tę działalność za niemoralną.

- Przestrzegam prawa - odparłem. Spieranie się z nim nie miało sensu; moje słowa miały nigdy nie dotrzeć do adresata.

Gabe był już pozbawiony tej opcji łączności. Zostawała tylko iluzja.

- Za to ja zламаłem tu parę przepisów. A żadne oświecone społeczeństwo nie pozwoli, żeby coś takiego uszło komuś na sucho. - Wziął głęboki oddech i wypuścił wolno powietrze. - Dajmy temu spokój. Moje zasady kosztowały mnie więcej, niżbym chciał, Aleksie. Tyle czasu minęło.

Postać przede mną była tylko programem; wiedziała tylko tyle, ile wiedział mój wuj w chwili sporządzania tego zapisu. Nie miała pojęcia o zasadach, o których

mówiła, nie miała poczucia żalu, który ja czułem. Pozwalała mu jednak robić coś, co ja bardzo chciałbym mieć już za sobą:

- Przykro mi - rzekł. - Gdybym mógł zrobić to jeszcze raz, dałbym sobie spokój.
- Ale nadal byłbyś niezadowolony.
- Oczywiście.
- To dobrze.

Uśmiechnął się i powtórzył moją uwagę z zadowoleniem.

- Jest dla ciebie jeszcze nadzieja, Aleksie.

Wstał, otworzył barek i wyjął butelkę i dwie szklanki.

- Mindinmist - rzekł. - Twoja ulubiona. Dobrze było wrócić do domu.

W przypadku tego przekazu złamałem moją najważniejszą osobistą zasadę: poddałem się obrazom i pozwoliłem sobie brać iluzję za rzeczywistość. I zrozumiałem, jak bardzo tęsknię za tym wyłożonym boazerią i zawalonym książkami gabinetem na tyłach domu. Zawsze było to jedno z moich dwóch ulubionych pomieszczeń. (Drugim był strych, magiczne miejsce, z którego obserwowałem las, czekając, aż wynurzą się z niego smoki albo obce wojska.) Pachniało sosną, czystymi zasłonami, skórzanymi okładkami książek i osmalonym drzewem. Było tam pełno egzotycznych zdjęć: opuszczona, oplataną pnączami świątynia, strzeżona przez jakiegoś obscenicznego bożka, który składał się najwyraźniej tylko z brzucha i zębów, strzaskana kolumna na pustyni, gdzie poza nią nie ma niczego, mała grupa stojąca przed stromą piramidą na tle dwóch księżyców. Reprodukacja portretu nieśmiertelnego okrętu wojennego „Corsarius”, namalowanego przez Marcrossa, razem ze szkicami przedstawiającymi kobiety i mężczyzn, z którymi pracował Gabriel. (Szkicowanie było jego hobby. Był tam szkic przedstawiający mnie, kiedy miałem cztery lata, w mojej dawnej sypialni.)

I było tam zawsze mnóstwo artefaktów: zabawki, komputery, lampy, statuetki, które Gabriel wykopywał na różnych stanowiskach archeologicznych. Nawet teraz widziałem jakiś cylindryczny przedmiot z kółkami w szklanej gablocie.

Uniosłem szklankę w jego stronę. Wzniósł własną i nasze oczy na sekundę się spotkały. Prawie uwierzyłem, że mnie i Gabrielowi w końcu się udało. Trunek był ciepły, gładki i smakował dawnymi dniami.

- Jest coś, co będziesz musiał zrobić.

Stał przed obrazem VanDyne'a przedstawiającym ruiny Point Edward. Znacnie to: poczerniała masa gruzów pod czerwono-złotymi pierścieniami i rojem srebrnych księżyców. Tak, jak to wyglądało po ataku.

Fotel był wygodny. Ba, nawet nienaturalnie wygodny, tak jak mindinmist była niezwykle smaczna. Taki efekt osiąga się w przypadku przedmiotów, które naprawdę nie istnieją. Niektórzy twierdzą, że doskonałość psuje efekt złudzenia, że symulacje działałyby lepiej, gdy wyłączyć lub osłabić prawdziwe wrażenia. Jak w rzeczywistości.

- O co chodzi? - Spytałem, przypuszczając, że oczekuje ode mnie jakiegoś sensownego rozdysponowania majątku. Dopilnowania, by pieniądze zostały przeznaczone na właściwy cel. A nie na śmigacze i kobiety.

Pogrzebał w kominku. Coś strzeliło i kłoda spadła z hukiem z rusztu. Chmura iskier zawirowała i zgasła. Poczulem ciepło na twarzy.

- Jak to się stało? Atak serca? Problem z wynajętym statkiem? Do licha, przejechała mnie taksówka w drodze do portu?

Nie mogłem opanować uśmiechu na samą myśl, że symulacja jest ciekawska.

- Gabe - odparłem - statek nigdy nie wyszedł ze skoku.

- Czy to nie jest draństwo? - Zachichotał, po czym chichot przeszedł w istny huragan śmiechu. - Zginałem podczas zwykłego lotu komercyjnego.

Też zacząłem się śmiać. Mindinmist grzała mnie w żołądku. Napeliłem znów szklaneczki.

- Absurdalne - rzekł.

- Najbezpieczniejsza metoda podróży w przeliczeniu na pasażerokilometr - zauważyłem.

- Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek popełnię ten sam błąd. - Śmiech ucichł nagle. - A mimo wszystko chciałbym to zobaczyć.

Czekałem, aż jeszcze coś powie, ale milczał, więc go zachęciłem.

- A może mi powiesz, czego właściwie szukałeś?

Machnął ręką.

- Będę z tobą szczery: czuję się nieswojo, jak to robię. To znaczy, wydaje mi się to jakieś nieprzyzwoite, że ludzie włączą się tu jeszcze, kiedy - potrząsnął ręką, szukając wyrażenia, które mu umknęło - ...Już przenieśli się do lepszego świata. - Wyglądał na niepewnego i zagubionego. - Ale musiałem się zabezpieczyć na taką okoliczność. - Wbił we mnie wzrok, a jego oczy stały się nagle bardzo okrągłe. - Pamiętasz Hugh'a Scotta?

Zastanowiłem się.

- Nie - odparłem w końcu.

- Pewnie nie ma szans, żebyś pamiętał. A Terra Nuela? Pamiętasz?

Oczywiście. Terra Nuela była pierwszym osiedlem ludzkim zbudowanym poza układem słonecznym. Zbudowano je na gorącej, skalistej planecie krążącej wokół Bety Centaura i nie było tam nic specjalnego poza dziurą na pustyni. Było to pierwsze stanowisko archeologiczne, na które zabrał mnie Gabriel.

- Tak - odparłem. - Najgorętsze miejsce, w którym byłem.

- Scott był z nami podczas tej podróży. Przyszło mi do głowy, że mogłeś go zapamiętać. Zabierał cię na spacer po zachodzie słońca.

- Jasne - odparłem, przypominając sobie jak przez mgłę wielkiego, brodatego faceta o ciemnej skórze. Pewnie, ja sam byłem wtedy w takim wieku, że wszyscy wydawali mi się wielcy.

- Gdybyś znał Scotta od dłuższego czasu i to równie dobrze jak ja, nie poznałbyś go teraz.

- Kłopoty ze zdrowiem? - Spytałem. - Czy jakieś problemy w małżeństwie?

- Nie. Nic z tych rzeczy. Jakieś trzy lata temu wrócił z misji organizowanej przez Agencję. Wrócił jakiś ponury, zamyślony, dezorientowany. Jakby nie był sobą. Przypuszczam, że psychiatra zdiagnozowałby jakąś zasadniczą zmianę w osobowości. Nie sądzę, żebyś teraz czuł się dobrze w jego towarzystwie.

- No i?

- Był na pokładzie „Tenandrome”, jednego z tych nowych wielkich statków badawczych. Znaleźli coś dziwnego w Mgławicy Damy z Woalką.

- Co takiego?

- Nie powiedział mi, Aleksie. Nie chciał się przyznać.

- Ale potrafisz zgadnąć...?

- Wiem, co znaleźli. A przynajmniej tak przypuszczam. Byłem właśnie w drodze, kiedy... - Zamilkł, nie mogąc mówić dalej, po czym machnął ręką w stronę sufitu.

- Co znaleźli, jak sądzisz?

- Nie wiem, jak dużo mogę ci powiedzieć - rzekł. - Przy transmisjach jest zawsze problem z bezpieczeństwem. A nie chciałbyś, żeby to się rozeszło.

- Dlaczego? - Spytałem.

- Uwierz mi na słowo. - Znów był w swoim fotelu, masując sobie czoło, jak zawsze, kiedy podejmował jakąś decyzję. - Musisz przylecieć do domu. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.

Jacob ma wszystko, co będzie potrzebne. Jest w archiwum Leishy Tanner.

Prawnicy dadzą ci kod dostępu. - Wyglądał nagle na bardzo zmęczonego. Ale wstał. - Przegapienie czegoś takiego to paskudna sprawa. Alex, zazdroszczę ci.

- Gabe, ja mam tu robotę. Nie mogę rzucić wszystkiego i polecieć.

- Rozumiem. Pewnie byłoby mi łatwiej, gdybym miał się do kogo zwrócić o pomoc. Mam kilku przyjaciół, którzy sprzedaliby duszę, żeby móc się tym zająć. Ale chciałem ci jakoś wynagrodzić te stracone lata. Aleksie, zrób, o co proszę, a nie będziesz tego nigdy żałował. A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Nie możesz mi teraz powiedzieć?

- Nie mogę powiedzieć więcej, niż powiedziałem. Wszystko czeka na ciebie w domu.

- Kto to jest Leisha Tanner?

Zignorował to pytanie.

- Masz się tym zająć sam. Przynajmniej dopóki się nie dowiesz, o co chodzi. Aleksie, powinienem ci też powiedzieć, że liczy się czas. Ta propozycja zostanie złożona komuś innemu, jeśli nie pojawisz się w biurze Brimbury&Conn w ciągu trzydziestu dni standardowych. Bardzo przepraszam, ale nie mogłem ryzykować, żeby wszystko wymknęło się nam spod kontroli.

- Gabe, jesteś łajdakiem - odparłem lekkim tonem i uśmiechnąłem się.

- Coś ci powiem. - Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Dowiesz się prawdy o Talino.

- Kto to jest Talino, u licha?

Ściągnął usta.

- Ludik Talino.

- Och - odparłem. - Zdrajca.

Pokiwał głową.

- Tak. - Wypowiedział to słowo rozmarzonym tonem.

- Nawigator Christophera Sima. Może jeden z największych pechowców, jacy kiedykolwiek żyli.

- Lepszym określeniem byłoby chyba „okryty niesławą”.

- Tak. Lepszym. Po dwóch wiekach nadal wzbudza emocje. - Spacerował teraz energicznie po pokoju, istna fontanna energii. - Wiedziałeś, że zawsze uważał się za niewinnego?

Wzruszyłem ramionami.

- Gabe, to wszystko stara śpiewka. Rozumiem, że coś cię zainteresowało, ale nie

potrafię sobie wyobrazić, dlaczego rozmawianie o Ludiku Talino mogłoby być niebezpieczne. Możesz mi to wyjaśnić?

- Wolalbym nie rozwijać tego tematu. Nie masz pojęcia, o co toczy się gra. Przylatuj jak najszybciej.

- Dobrze. Przylecę. - Czułem, że mówienie przychodzi mi z coraz większą trudnością. Zupełnie nie obchodziła mnie kolekcja glinianych skorup, czy co tam akurat znalazł. W pewnym sensie były to nasze ostatnie spędzone razem chwile i nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. - Dam znać prawnikom, że wyruszam. Ale muszę tu uporządkować parę spraw. Nie wytrzymają trochę dłużej niż trzydzieści dni? Przecież to coś, o czym mówisz, nie zmieniło się od dwustu lat. Parę miesięcy chyba nie robi różnicy?

- Nie. - Pochylił się w moją stronę, opierając podbródek na pięści. - Chyba nie. Przypuszczam, że małe opóźnienie teraz nie miałyby już znaczenia. Ale będziesz musiał spytać ludzi w Brimbury&Conn. Zostawiłem im wskazówki. Pewnie wszystko sprowadzi się do tego, czy uznają cię za godnego zaufania. - Zamrugał. - Kiedy już zapoznasz się z tym archiwum, możesz dojść do wniosku, że postąpiłem niewłaściwie. Nie mam żadnego sposobu, żeby ocenić twoją reakcję. Muszę przyznać, że sam jestem w rozterce, jeśli chodzi o moje działania w tej kwestii. Ale zostawiam wszystko tobie z pełnym przekonaniem. Przykro mi, że nie będę z tobą do końca.

- Będziesz tam - odparłem.

- Sentymalna bzdura, Aleksie. Już mnie nie ma i nic mnie to nie obchodzi, naprawdę. Gdybyś jednak chciał coś dla mnie zrobić, proszę: kiedy już będzie po wszystkim, wyślij odpowiednią pamiątkę do Centrum Badań Akadyjskich.

- Rozpromienił się na samą myśl. - Ci dranie zawsze mówili, że jestem amatorem.

Rozłożył ręce spodami dłoni na zewnątrz.

- To chyba wszystko, Aleksie. Kocham cię. I cieszę się, że zdecydowałeś się na tę podróż.

Objęliśmy się.

- Dzięki, Gabe.

- Nie ma za co. Chciałem, żeby to zostało w rodzinie, w taki czy inny sposób. - Stałem, ale on nadal patrzył mi w oczy, spoglądając w dół. - Jeśli to dobrze rozegrasz, będą nazywać uniwersytety na naszą cześć.

- Nie wiedziałem, że coś takiego cię w ogóle obchodzi.

Ściągnął usta z rozbawieniem.

- Ja już nie żyję, Aleksie. Muszę patrzeć na wszystko z odległej perspektywy.

II

taliński, przym. 1. odnoszący się do wycofania się pod naciskiem. 2. godny pogardy z powodu tchórzostwa. 3. charakterystyczny dla tchórzostwa lub sugerujący je (zob. tchórzliwy).

SYN. tchórzliwy, bojaźliwy, nieśmiały, uległy, niepewny, zawodny.

Ludik Talino: co za bogactwo pogardy i pożałowania to imię wywołało przez ostatnie dwa stulecia. Nigdy nie miało takiej mocy jak imiona Judasza czy Arnolda, bez skrupułów aktywnie angażujących się w zdradę tych, którym byli winni lojalność. W tym sensie Talino nigdy nie był zdrajcą. Dominował pogląd, że słabym punktem okazała się jego odwaga, a nie poczucie moralności. Nikt nie wierzył, że sprzedałby swojego kapitana wrogom. Ale to, o co go oskarżano i czego synonimem stało się jego nazwisko, było w pewnym stopniu jeszcze bardziej niktzemne: uciekł w krytycznym momencie.

Wpisałem Talino do biblioteki i spędziłem wieczór na czytaniu starych historii.

Zapisy współczesne były szczątkowe. O ile wiadomo, żaden z pierwotnych statków z Dellakondy nie przetrwał czasów Ruchu Oporu, zniszczono całe sieci danych, a pod koniec wojny żyło niewielu świadków wczesnego okresu.

Niewiele wiadomo o nim samym. Mógł pochodzić z Dellakondy, ale istnieją dowody, że urodził się w Mieście na Grani, i co najmniej jeden poważny historyk twierdził, że wychował się na Rimway. Wiadomo tylko tyle, że z chwilą wybuchu wojny był technikiem z uprawnieniami na jednej z kilkunastu dellakondyjskich fregat. Służył prawie dwa lata jako specjalista od uzbrojenia i nawigator na pokładzie „Proctora”, by potem przyjąć stanowisko nawigatora na uwielbianym przez Sima „Corsariusie”.

Wygląda na to, że walczył doskonale. Tradycja głosi, że po Grand Salinas otrzymał osobistą pochwałę od Sima, ale zapisy zaginęły i nie da się tego już potwierdzić. Tak czy inaczej, podczas walk Ruchu Oporu pozostał na tym okrytym

legendą statku, gdy „Corsarius” przewodził zjednoczonej flocie jakichś sześćdziesięciu fregat i niszczycieli, powstrzymujących potężną flotę Aszijurów. I w końcu, oczywiście, Rimway, Toksykon i inne układy wewnętrzne dostrzegły, że grozi im wspólne niebezpieczeństwo, zakopały stare topory wojenne i przystąpiły do wojny z obcymi. Wtedy jednak nie było już Christophera Sima i „Corsarius”.

Po klęsce pod Grand Salinas, kiedy to Dellakondyjczycy i ich sojusznicy zostali wybici prawie do nogi i stracili nadzieję, Sim wycofał niedobitki floty na Abonai, żeby tam dozbroić się i dokonać napraw. Aszijurowie jednak nie odpuścili, węsząc okazję do zniszczenia starego wroga, a Dellakondyjczycy przygotowywali się do potyczki, co do której mieli pewność, że będzie ostatnia.

I wtedy, w przededniu bitwy, stało się coś, co wywołało debatę historyków, trwającą od dwóch stuleci.

Większość relacji twierdzi, że Talino i sześciu innych członków załogi „Corsarius”, zniechęconych, nie widząc szans na ucieczkę, próbowało namówić kapitana do zaprzestania samobójczej walki i podjęcia negocjacji z nieugiętym wrogiem, a kiedy odmówił, opuściło go. Zostawili wiadomość, w której potępiali jego i wojnę, po czym uciekli na powierzchnię Abonai.

Inni twierdzili, że Sim, przekonany o bezsensowności dalszego oporu, zwołał załogę i zwolnił ją ze służby. Ta wersja nigdy mi się nie podobała. Pewnie łatwo jest siedzieć w ciepłym pokoju i potępiać czyny dokonane przez kogoś pod ogromną presją, ale z jakiegoś powodu pomyśl, że Talino i jego towarzysze wykorzystaliby jego łaskawość i opuścili kapitana w takiej chwili, wydawał mi się jeszcze bardziej godzien potępienia niż uczciwe tchórzostwo, sprowadzające się do wymknięcia się pod osłoną ciemności.

Bez względu na różnorodne opinie całe zdarzenie stało się załącznikiem legendy. Ucieczka Sima na Abonai, jego wędrówka po barach i spelunach tego niesławnego miejsca, prośenie o pomoc dezertarów, bezdomnych i skazańców, którzy uciekli albo zostali zagnani na tę planetę na pograniczu, i oczywiście na końcu wspólny, pamiętny wypad przeciwko wrogowi, który miał olbrzymią przewagę.

Były to czasy, kiedy wielkość była w modzie. Każde dziecko w Konfederacji знаło tę historię siedmiu bezimiennych kobiet i mężczyzn z tego ponurego świata, którzy zgodzili się do niego dołączyć i w ten sposób stali się częścią historii.

I wiedziało o tym, jak kilka godzin później umierali razem z Simem podczas ostatniej potyczki z Aszijurami, już na zawsze wpisując się w jego legendę. Większość

badaczy była zgodna co do tego, że musieli wywodzić się z marynarki, ale niektórzy uważali, że mogli po prostu być technikami. Bez względu na to, jak wyglądały fakty, stali się popularnym tematem prac doktorskich, dzieł sztuki i poważnych dramatów.

O samym Talino niewiele było wiadomo. Narodziny i śmierć. Stopień inżyniera, uniwersytet Schenk na Toksykonie. Opuścił swego kapitana. Oskarżenie nie zostało wniesione, gdyż flota, w której służył, przestała istnieć wkrótce po popełnieniu przezeń tego czynu.

Znalazłem impresjonistyczną tragedię Barcrofta, Talinos. (Dodał mu „s” do nazwiska, żeby przydać mu arystokratycznego klimatu i dla osiągnięcia dramatycznego efektu.) Miałem zamiar ją tylko przejrzeć, ale już w pierwszym akcie coś przykuło moją uwagę. Zaskoczyło mnie to, gdyż nie jestem wielbicielem klasycznego teatru.

W roli Talino, pełnego determinacji, melancholijnego bohatera, występował smukły, brodaty awatar, wyraźnie zaznaczający swoją obecność fizyczną. Pożera go nienawiść do Aszijurów i potężnych planet, które nie robią nic, podczas gdy mała grupa sojuszników jest stopniowo wyniszczana. Akcję napędza jego lojalność wobec Christophera Sima i namiętność do Inaissy, młodej żony; ich małżeństwo nie przetrwało do czasów pokoju. Akcja dramatu toczy się w przeddzień ostatecznej potyczki w pobliżu gwiazdy Rigel.

Sim stracił już nadzieję na przetrwanie, ale chce ratować załogę. Zabiera „Corsarius” sam, walczy, dopóki może, po czym ginie, a jego śmierć jednoczy ludzkie światy. „Jeśli tak się nie stanie”, mówi do Talino, „jeśli nie przybędą, twoim zadaniem będzie ratować, co się tylko da. Uciekaj do Mgławicy Damy z Woalką. W swoim czasie Ziemia i Rimway będą musiały podjąć walkę. Wtedy będziesz mógł wrócić i nauczysz tych przeklętych durni, jak tłuc niemoty...”

Szare, mroczne dekoracje aż dyszą smutkiem i rozpaczą. Stacja na orbicie Abonai ma w sobie coś ze średniowiecznej fortecy: ciężkie uzbrojenie, długie, wijące się korytarze, rozstawione tu i ówdzie straże, stłumione głosy przechodzących, ciężkie powietrze. Cały czas wyczuwa się przemijanie i tragedię. Bieg wydarzeń wymknął się ludziom z rąk.

Talino odmawia jednak wykonania rozkazu kapitana. „Wyślij kogoś innego, żeby zbierał ocalałych”, odpowiada. „Moje miejsce jest przy tobie”.

Sim, w chwili słabości, jest mu wdzięczny. Waha się. Talino naciska: „Nie ponizaj mnie w taki sposób”. I Sim niechętnie ustępuje. Przystąpią do ostatecznego

boju razem.

Talino musi jednak poinformować o wszystkim Inaissę. Miała nadzieję, że wycofają się z walki, i otwarcie krytykuje samobójczą determinację Sima i jego chęć pociągnięcia jej męża za sobą. Nie prosi Talino o złamanie przysięgi, wiedząc, że jeśli jej się to uda, nie będą mieli przed sobą żadnej przyszłości.

Udaje się więc do Sima i tłumaczy mu, że jego śmierć w takim stopniu pozbawi Dellakondyjczyków morale, iż sprawa będzie przegrana. Kiedy nie udaje jej się go przekonać, prosi jednego z ludzi obsługujących konsolę sterowania uzbrojeniem, żeby był z jej mężem do końca.

Sim jest tak poruszony jej prośbą, że wydaje Talino rozkaz opuszczenia statku. Nawigator sprzeciwia się, więc zostaje zamknięty na stacji orbitalnej, z której może obserwować techników naprawiających „Corsarius” i przygotowujących go do walki. Obserwuje także przybycie nowej załogi, którą dowódca wezwał o tak niezwyklej porze. Próbuje podłączyć się do systemów statku i w ten sposób podsłuchiwać rozmowy, ale ktoś odciął zewnętrzne łącze. Kilka minut po wejściu na pokład załoga wychodzi z opuszczonymi głowami i determinacją na twarzach.

Chwilę później przybywają, by go uwolnić. Sim zwolnił załogę z jej zobowiązań. Talino próbuje namówić ludzi, żeby wracali na statek, ale oni wiedzą, co stanie się następnego dnia. „Gdybyśmy mogli go uratować”, mówi jeden z nich, „dzięki temu, że zostaniemy, to byśmy zostali. Tylko że to nie ma sensu. On się uparł, że umrze”.

Talino, znów wolny udaje się do Inaissy, zamierzając się pożegnać i stanąć u boku kapitana. Ona nie chce się z nim rozstać, więc on każe ją brutalnie obalić na podłogę. Jego własna determinacja zawodzi go już chwilę później i Talino wysyła wiadomość do Sima: „Przyjmuję szczerą propozycję mego kapitana, nie jestem w stanie zrobić nic innego, Boże, dopomóż mi...”

Inaissa, zdeterminowana, by nie opuścić swego męża, ukrywa twarz pod płaszczem i udaje jej się przystąpić do Siódemki. Talino traci więc i honor, i żonę.

Pomysł, jakoby Inaissa znalazła się wśród ochotników, był elementem mitu, z którym nigdy się nie spotkałem. Istnieją dwie rzeźby laserowe z tego okresu, ukazujące ją na pokładzie „Corsarius”. Jedna ukazuje ją stojącą przy konsoli z Simem z lewej strony, druga przedstawia moment, kiedy kapitan ją rozpoznaje.

Cała opowieść ma setki wariantów, z niezliczonymi odcieniami charakteru i motywacji Talino. Czasem jest przedstawiany jako człowiek, na którym ciążyą długi z

hazardu, który przyjmował pieniądze od agentów niemot, czasem jest rozczarowany tym, że nie dowodzi własnym statkiem, czasem jest rywalem Sima w walce o zakazaną miłość i celowo doprowadza do śmierci swojego dowódcy.

Gdzie w tych całych pokładach mitu i literatury leży prawda? Co miał na myśli Gabriel?

Innym aspektem wydarzenia także poświęcono wiele uwagi. Powieść Arvena Kimonidesa *Marvill* opisuje doświadczenie młodego człowieka, który jest obecny przy powołaniu Siódemki, ale wycofuje się i przez resztę życia dręczy go poczucie winy. Tradycja głosi, że był nim Mikal Killian, wielki sędzia trybunału, który w chwili akcji pod Rigelem miał jakieś osiemnaście lat, zgłosił się, ale został odrzucony. Wightbury wprowadził na scenę słynnego cynika, Eda Barbara. (Ed nie tylko nie zgłosił się sam, ale w dodatku wyperswadował to zamierzającej się zgłosić młodej kobiecie, która jego zdaniem była przeznaczona do wyższych celów.) Co najmniej kilkanaście innych powieści i dramatów, w swoich czasach cieszących się pewną sławą, skupiało się na postaciach, które były świadkami apelu Sima lub znalazły się w Siódemce.

Istnieją też liczne grafiki świetlne, fotokonstrukty i co najmniej jedna poważna symfonia. Trzech nieznanymi bohaterów stoi u boku kapitana we wspaniałym dziele Sanrigala *Sim u wrót piekiel*. Żonę Talino przedstawiono jako bezdomną narkomankę w *Inaissie* Tchigorina. W *Finale* Mommsena wyczerpany człowiek pomaga Simowi opanować stery uszkodzonego „Corsarius”, na pokładzie leży rozciągnięty ranny członek załogi, zaś stanowisko strzelca pokładowego obsługuje kobieta, która kiedyś musiała zarabiać na życie na ulicach Abonai.

Przypuszczam, że Sim zaprowadziłby porządek wśród swojej nowej załogi, a koniec, kiedy nadszedł, musiał być nagły i całkowity. Kogo to jednak obchodzi: jeśli nawet taka wersja jest nieprawdopodobna, jest to dobra sztuka.

Dezerterzy znikli, a opinia publiczna okryła ich niesławą. Talino żył jeszcze przez prawie pół wieku od śmierci kapitana. Mówiono, że wyrzuty sumienia nie dają mu spokoju i że rozszoszczeni ludzie przepędzają go od planety do planety. Zmarł na Rimway, podobno bliski obłędu.

W dokumentach historycznych nie znalazłem niczego o Inaissie. Barcroft twierdzi stanowczo, że istniała, ale nie podaje źródeł. (Twierdzi, że rozmawiał z Talino, ale również nie jest w stanie tego udowodnić.) Brak dowodów, by Talino o niej wspominał.

Przez dwa wieki historycy mieli sporo zabawy, próbując znaleźć nazwiska

ochotników, a nawet spierając się o to, czy w rzeczywistości w ostatni lot udało się ich sześciu, czy może ośmiu. Przez lata Siódemka zdobyła sławę bohaterów wojennych. W końcu stali się symbolem najszlachetniejszych uczuć Konfederacji, wspólnych starań rządów i najbardziej zdesperowanych obywateli.

Rozpocząłem przygotowania do podróży do domu.

Na szczęście moje związki ze światem, na którym mieszkałem przez ostatnie trzy lata, były wątłe. Zakończenie wszystkich moich interesów nie nastąpiło zbyt wielu kłopotów. Zorganizowałem sprzedaż większości mojego majątku i spakowałem resztę. Pożegnałem się z kilkoma ludźmi, którzy coś dla mnie znaczyli (jak zwykle obiecaliśmy sobie, że będziemy się odwiedzać). To był żart, dość oczywisty, jeśli wziąć pod uwagę odległość między Rambuckle a Rimway i moją niechęć do latania w kosmosie.

W dniu, w którym miałem odlatywać, przyszła druga wiadomość od Brimbury&Conn. Tym razem w formie wydruku:

Z przykrością informujemy, że miało miejsce włamanie do domu Gabriela. Włamywacze zabrali trochę sprzętu elektronicznego, srebra, parę innych przedmiotów. Nie zginęło nic o znaczącej wartości. Artefakty pozostały nietknięte. Podjęliśmy wszelkie działania zmierzające do zapewnienia, by taka sytuacja już się nie powtórzyła.

Wydało mi się to podejrzanym zbiegiem okoliczności. Zastanawiałem się, jak bezpieczne jest to archiwum Leishy Tanner i czy nie spytać o to prawników, zanim wyruszę na Rimway. Tylko że z powodu odległości między planetami odpowiedzi mogłem się spodziewać za jakieś dwadzieścia dni. Odrzuciłem więc ten niepokój jako wytwór nadmiernie wybujałej wyobraźni i ruszyłem do domu.

Jak już wspominałem, nienawidzę lotów kosmicznych i unikam ich, jak tylko mogę. Mnóstwo ludzi ma mdłości podczas przejść między przestrzenią Armstronga a przestrzenią liniową, ale wygląda na to, że mnie ta przypadłość dotknęła szczególnie mocno. Mam też problemy z przyzwyczajaniem się do zmian grawitacji, czasu i klimatu.

Poza tym istniała jeszcze związana z tym niepewność i niewygodność. W tych czasach nigdy nie było wiadomo, kiedy się dotrze do celu podróży. Statki podróżujące w przestrzeni Armstronga nie mogły określić swej pozycji w stosunku do świata zewnętrznego. Nawigacja była więc trochę niepewna. Wszystko opierało się na

szacunkach, co oznaczało, że komputery pokładowe mierzyły przewidywany czas i próbowały rekompensować niepewne punkty wejścia, a wszyscy mieli nadzieję, że jakoś to będzie. Wektory czasem ulegały przemieszczeniu i statki materializowały się tysiące lat świetlnych od planowanego punktu docelowego.

Najbardziej przerażająca możliwość była jednak taka, że materializując się w przestrzeni liniowej statek znajdzie się w tym samym miejscu co inny obiekt fizyczny. Choć szanse na coś takiego były niewielkie, zawsze o tym rozmyślałem, kiedy statek szykował się do skoku powrotnego. Nigdy nie wiesz, gdzie się pojawisz.

Istniały przecież dowody, że coś takiego przytrafiło się „Hamptonowi” prawie sto lat temu. „Hampton” był małym frachtowcem, który, podobnie jak „Capella”, zaginął w przestrzeni nieliniowej. Wiózł ładunek towarów dla kolonii górniczej w układzie Marmichona. Kiedy miał wykonać skok z hiperprzestrzeni, wybuchła zewnętrzna planeta, gazowy olbrzym Marmichon VI. Nikt nie pokusił się o wyjaśnienie, dlaczego planeta nagle eksploduje sobie bez żadnego widocznego powodu. Spekulowano, że statek zmaterializował się we wnętrzu żelaznego jądra, a złożone z antymaterii paliwo napędu Armstronga zainicjowało eksplozję.

Generatory Armstronga były wyposażone w osłony, które wytwarzały pole na tyle silne, że odsuwały pojedyncze atomy i robiły miejsce dla statku, który wynurzał się w przestrzeni liniowej. Jednak każdy większy obiekt pojawiający się w pobliżu podczas tej krytycznej fazy stwarzał zagrożenie dla statku. Niebezpieczeństwo było ponoć niewielkie. Statki musiały się materializować z dala od układów gwiazdnych. Bezpieczeństwo dzięki temu rosło, ale podróźnych czekała nadal długa droga do domu. Zwykle podróź od punktu wynurzenia się z przestrzeni Armstronga do punktu docelowego trwała w przybliżeniu dwa razy tyle co podróź międzygwiazdna. Nigdy nie zdarzyła mi się podróź, podczas której mógłbym określić przybycie z dokładnością większą niż pięć dni.

Mój lot na Rimway nie był wyjątkiem. Podczas skoków w obie strony paskudnie się pochorowałem. Przewoźnik rozdawał leki, które miały pomóc nam przez to przejść, ale na mnie najwyraźniej nie działały. Zauważyłem, że bardziej skuteczny jest alkohol.

A mimo wszystko dobrze było znów zobaczyć Rimway. Nadlatywaliśmy od nocnej strony, więc widziałem rozżarzone punkciki światła znaczące miasta. Promienie słońca rysowały w atmosferze mglisty łuk. Przez okno po drugiej stronie widziałem bladobrazowy, kołujący się księżyc. Nadciągały burze.

Wskoczyliśmy na orbitę, przecięliśmy linię terminatora i kilka godzin później pędziliśmy po zalanym słońcem niebie w kierunku Andiquaru, planetarnej stolicy. Podchodzenie do lądowania było zachwycające. Mimo to obiecywałem sobie w duszy, że czasy podróży międzygwiazdnych mam już za sobą. Byłem w domu i zamierzałem tu zostać.

Wpadliśmy w padający nad miastem śnieg. Słońce było nisko na zachodzie i rzucało tysiące promieni na zamarznięte wieże i szczyty na wschodzie. Rozległe parki stolicy znikły wśród burzy. W Trójkącie Konfederatów stały pomniki dwóch wielkich braci, błękitne i wieczne: wierzchołek piramidy doryckiej Christophera Sima lśnił na tle nadciągającej ciemności, a po drugiej stronie Białego Jeziora widniała Omni Tariena Sima, upiorna kula, symbol jednoczonej ludzkiej rodziny, o jakiej zawsze marzył ten polityk.

Zameldowałem się w hotelu i zalogowałem do sieci, na wypadek gdyby ktoś chciał się ze mną skontaktować. Był wczesny wieczór, ale byłem zmęczony. Mimo to nie mogłem spać. Po jakiejś godzinie patrzenia w sufit zszedłem na dół, zjadłem kanapkę i skontaktowałem się z Brimbury&Conn.

- Jestem w mieście - poinformowałem.

- Witamy w domu, panie Benedict - odparła ich SI. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Potrzebuję śmigacza.

- Na dachu pańskiego hotelu. Właśnie go dla pana rezerwuję. Czy skontaktuje się pan z nami jutro?

- Tak - odparłem. - Pewnie późnym rankiem. Bardzo dziękuję.

Poszedłem na górę i wsiadłem do mojego pojazdu. Wystukałem położenie domu Gabriela i pięć minut później leciałem nad miastem, kierując się na zachód.

Pasaże i aleje były pełne zwiedzających, osłoniętych przed śniegiem polem Gantnera. Korty tenisowe kipiały życiem, a w basenach brodziły dzieci. Andiquar był piękny nocą, z tymi ogrodami, wieżami i dziedzińcami oświetlonymi delikatnym światłem, z wijącą się, spokojną i głęboką rzeką Narakobo.

Gdy tak leciałem nad tą sielską scenerią, w sieci podano, że niemoty zaatakowały komunikacyjny statek badawczy, który zapędził się za blisko granicy. Zginęło pięć albo sześć osób. Nie było jeszcze oficjalnego potwierdzenia.

Przeleciałem nad zachodnimi przedmieściami Andiquar. Śnieg padał coraz bardziej, a ja rozłożyłem fotel i poddałem się ciepłu panującemu w kokpicie. Krajobraz przesuwiał się w dole, zostawiając ślad na ekranach termowizyjnych:

przedmieścia podzieliły się na małe miasta, zaczęły się wznosić wzgórza, pojawiły się lasy. Czasem przez ekran przewinęła się jakaś droga, a po około dwudziestu minutach przelecieliśmy nad Melony, która w czasach mojego dzieciństwa wyznaczała granice ludzkich siedzib.

Melony widać z sypialni na strychu domu Gabriela. Kiedy zacząłem tam mieszkać, wiła się przez tajemniczy, dziki kraj. Schronienie duchów, zbójców i smoków.

Pomarańczowa lampka ostrzegawcza poinformowała mnie, że zbliżamy się do celu. Przechyliłem pojazd i obniżyłem pułap. Ciemny las był teraz nieszkodliwy, otoczony boiskami, basenami i wijącym się ścieżkami. Przez całe lata obserwowałem cofanie się puszczy, liczyłem parki, domy i sklepy z narzędziami. A teraz, w śnieżną noc, leciałem nad tym wszystkim; Gabriela już nie było i nie było większości tego, co kochał.

Przełączyłem się na ręczne sterowanie i szybowałem nad czubkami drzew, patrząc, jak dom materializuje się pośród śnieżycy. Na lądowisku stał już jakiś śmigacz (pewnie należący do Gabriela), więc wylądowałem na trawniku.

Dom.

Był to pewnie jedyny prawdziwy dom, jaki w życiu miałem, więc było mi smutno, kiedy go zobaczyłem: opustoszały na tle bladego, niskiego nieba. Tradycja głosiła, że w pobliżu rozbił się Jorge Shale ze swoją załogą. Tylko historycy są teraz w stanie powiedzieć, kto pierwszy postawił stopę na Rimway, ale wszyscy na tej planecie wiedzą, kto zginął, próbując. Poszukiwanie wraku było pierwszym poważnym przedsięwzięciem w moim życiu. Jeśli jednak gdzieś istniał, wymykał mi się.

Dom był kiedyś wiejskim dworzyszczem, dającym schronienie myśliwym i podróżnikom. Teraz puszcza ustąpiła wielkim szklanym budowlom i kwadratowym trawnikom. Gabriel robił, co mógł, by zachować dziki charakter tego miejsca. Była to oczywiście przegrana walka, jak to zwykle bywa w przypadku walki z postępem. Podczas moich ostatnich lat pobytu w tym domu Gabe wdał się w liczne utarczki z pechowcami, którzy osiedlili się w okolicy. Wątpię, czy ktoś z sąsiadów zmartwił się jego odejściem.

Sypialnia mieściła się na strychu, na czwartej kondygnacji. Okiennice na dwóch bliźniaczych oknach były zamknięte. Dwie idalie wspinały się w stronę okien; gałęzie jednej z nich były splecione i tworzyły tron, na którym uwielbiałem siadać, co wywoływało wściekłość Gabriela. Albo przynajmniej udawaną wściekłość.

Otworzyłem kokpit i wysunąłem się ze śmigacza. Śnieg dalej opadał łagodnie z nieba. Gdzieś niedaleko, ale poza zasięgiem wzroku, bawiły się dzieci. Z oświetlonej alejki parę domów dalej dobiegały podekscytowane piski, słyszałem też szum płóz sanek na białych trawnikach i ulicach.

Sodowe światło za dębem wbrew melancholii frontowych okien rzucało miękką poświatę na śmigacz. Rozległ się znajomy głos.

- Aleksie, witaj w domu.

- Cześć, Jacob - odparłem.

Jacob w rzeczywistości nie był nawet SI. Był zaawansowaną reagującą siecią danych, której głównym zadaniem było rozmawianie z Gabrielem, gdy tylko temu przyszła na to ochota, na dowolny temat i w dowolnej chwili. Dla prawdziwej SI byłoby to okrutne i niezwykle zadanie. Czasem jednak trudno było pamiętać o prawdziwej naturze Jacoba.

- Miło cię znowu widzieć - rzekł. - Przykro mi z powodu Gabriela.

Śnieg sięgał mi do kostek. Nie byłem odpowiednio ubrany na tę pogodę i wpadał mi do butów.

- Tak - odparłem. - Mnie też.

Drzwi otworzyły się i salon wypełnił się światłem. Gdzieś daleko ucichła muzyka. Ucichła. Właśnie coś takiego nadawało życie Jacobowi.

- To stało się tak nagle. Będzie mi go brakować.

Jacob milczał. Wkroczyłem do środka, mijając wykrzywionego kamiennego demona, który znalazł się w tym domu na długo przede mną, zdjąłem marynarkę i wkroczyłem do jaskini: do pomieszczenia, gdzie Gabriel nagrał swoją ostatnią wiadomość. Rozległ się ostry trzask i w kominku pojawił się ogień. Tyle czasu minęło. Rambuckle to cylindryczny świat i nie ma tam drewna do palenia. Ani takiej potrzeby. (Kiedy ostatni raz widziałem śnieg? Albo doświadczyłem niepogody?).

Wróciłem, i nagle poczułem się, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżał.

- Alex? - W jego głosie było coś tęsknego.

- Tak, Jacobie? O co chodzi?

- Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Gdzieś na tyłach domu tykał zegar.

- Tak?

- Nie pamiętam cię.

Już miałem opuścić się na wyściełany fotel, w którym siedziałem w symulacji Gabriela, ale zatrzymałem się w połowie ruchu.

- Co masz na myśli?

- Prawnicy powiadomili cię o włamaniu?

- Tak, mówili mi.

- Wygląda na to, że złodziej próbował skopiować mój moduł rdzenny. Moją pamięć podstawową. Najwyraźniej Gabriel przypuszczał, że do czegoś takiego może dojść. System został tak zaprogramowany, żeby w takiej sytuacji skasować wszystko. Nie pamiętam niczego sprzed chwili aktywowania mnie przez władze.

- W takim razie jak...

- Brimbury&Conn zaprogramowali mnie, żebym cię poznawał. Próbuję ci powiedzieć, że wiem, iż się znaliśmy, ale nie pamiętam tego bezpośrednio.

- A to nie to samo?

- Zostało parę luk.

Myślałem, że powie coś jeszcze, ale nie odezwał się.

Jacob był tu od dwudziestu lat. Był tu, kiedy byłem mały. Graliśmy w szachy, odtwarzaliśmy najważniejsze kampanie różnych wojen i rozmawialiśmy o przyszłości, gdy deszcz walił w wielkie okna. Planowaliśmy podróż dookoła świata, a potem, kiedy mój apetyt rósł, rozmawialiśmy o gwiazdach.

- A Gabe? Pamiętasz go, prawda?

- Wiem, że bym go polubił. Jego dom sugeruje, że miał wiele zainteresowań, i czuję się bezpiecznie, wiedząc, że byłby to ktoś wart poznania. Pocieszam się, że przecież go znałem. Niemniej jednak nie, nie pamiętam go.

Siedziałem przez jakieś dwadzieścia minut, słuchając potrzaskiwania ognia i dźwięku uderzającego o okna śniegu. Jacob nie był żywy. Jedynymi uczuciami, z jakimi mieliśmy tu do czynienia, były moje własne.

- A archiwa danych? Pewnie coś zostało z nich zabrane.

- Sprawdziłem indeks. To naprawdę dziwne. Zabrali kryształ z danymi, ale dla złodzieja będzie on całkowicie nieprzydatny. Musiałby mieć kod zabezpieczający, żeby z niego skorzystać.

- Archiwum Tanner - rzekłem z nagłą pewnością.

- Tak. Skąd wiesz?

- Zgadłem.

- To bardzo dziwne, kraść coś, czego się i tak nie będzie mogło użyć.

- Cała reszta, srebra i wszystko inne, co zabrali, była tylko dla niepoznaki - rzekłem. - Dokładnie wiedzieli, po co przyszli. Ilu ich było? Rozpoznałeś kogoś?

- Wyłączyli zasilanie, zanim weszli, Aleksie. Byłem wyłączony.
 - Jak oni to zrobili?
 - To było łatwe. Rozbili okno, weszli do pomieszczenia gospodarczego i przecięli kable. Tam nie ma kamer.
 - Do licha. A nie było jakiegoś alarmu? Czegoś, co mogłoby im to utrudnić?
 - Och, tak. Ale jak sądzisz, ile czasu minęło od ostatniego popełnionego w tej okolicy przestępstwa?
 - Nie mam pojęcia - odparłem.
 - Dziesiątki lat. Dosłownie. Policja sądziła, że to po prostu awaria. Zareagowali dopiero po jakimś czasie. A nawet gdyby się pospieszyli, jeden złodziej, który znałby dom i wiedział, po co przyszedł, załatwiłby sprawę w trzy minuty.
 - Jacobie, nad czym pracował Gabe, gdy zmarł?
 - Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek byłem w posiadaniu takich informacji, Aleksie. Po prostu nie wiem.
 - Jak solidne jest zabezpieczenie archiwum Tanner? Jesteś pewien, że złodziej się do niego nie dobierze?
 - Może za dwadzieścia lat. Wymaga twojego głosu i kodu zabezpieczającego, przechowywanego przez Brimbury&Conn.
 - Nagranie mojego głosu i zrobienie duplikatu byłoby łatwe. Może należałoby ostrzec prawników, żeby zastosowali dodatkowe środki ostrożności z tym kodem.
 - Aleksie, to zostało już zrobione.
 - Może prawnicy są w to zamieszani.
 - Oni nie mają dostępu do tego kodu. Mogą tylko ci go przekazać.
 - Jakiego rodzaju był to kod?
 - Ciąg cyfr, które miałeś wypowiedzieć ty, albo twoja dobra kopia, w czasie nie krótszym niż cała minuta. To jest zabezpieczenie przed atakiem za pomocą szybkich komputerów. Wszelkie próby obejścia zabezpieczeń powodują natychmiastowe zniszczenie archiwum.
 - Ile tam jest cyfr?
 - Zalecany standard to czternaście. Nie wiem, ilu użył Gabe.
- Siedziałem w milczeniu i patrzyłem w ogień. Uliczne lampy wyglądały jak żółte kule, a wiatr wstrząsał drzewami. Śnieg osiadał na śmigaczu.
- Jacobie, kto to jest Leisha Tanner?
 - Chwileczkę.

Światła w pokoju przygasły. Gdzieś na zewnątrz trzasnęły metalowe drzwi. Koło okna uformował się hologram: kobieta w wieczorowej sukni, niepatrząca w moją stronę, jakby cała jej uwaga skupiała się na burzy. W słabym świetle kominka i sodowej lampy ulicznej była boleśnie piękna. Wyglądała na pogrążoną w myślach, a w jej oczach odbijał się śnieżny krajobraz, tylko sama sprawiała wrażenie, że go nie widzi.

- Tutaj jest trochę po trzydziestce. Podczas wykonywania tego hologramu była wykładowcą na Uniwersytecie Tielharda na Ziemi. Według naszej rachuby czasu był rok 1215.

Sześć lat po okresie Ruchu Oporu.

- Mój Boże - powiedziałem. - Miałem nadzieję, że to ktoś, z kim będę mógł porozmawiać.

- Och, nie, Aleksie. Nie żyje od dawna. Od ponad stulecia.

- A jaki jest jej związek z projektem, nad którym pracował Gabe?

- Nie mam pojęcia.

- A kto może coś na ten temat wiedzieć?

- Żadna ze znanych mi osób.

Nalałem sobie drinka. Tym razem była to prawdziwa mindinmist.

- Opowiedz mi o tej Tanner. Kim ona była?

- Naukowcem. Wykładowcą. Jest znana głównie z przekładów aszijurskiej filozofii Tulisofali. Są nadal dostępne, a niektóre autorytety uważają je za ostateczne. Napisała jeszcze parę innych rzeczy, ale nie ma ich już w obiegu. Wykładała aszijurską filozofię i literaturę na kilku uniwersytetach przez czterdzieści standardowych lat. Urodziła się na Khaja Luan w 1179. Zameężna. Być może miała jedno dziecko.

- To wszystko?

- Była pilotem międzygwiazdowym z licencją na małe statki. Podczas wojny zaangażowała się w działalność pokojową. Ze źródeł wynika także, że była oficerem wywiadu i dyplomata po stronie Dellakondyjczyków.

- Oficer wywiadu i dyplomata.

- Tak wynika ze źródeł. Też tego nie pojmuję.

Jacob obrócił obraz. Jej wzrok spotkał się z moim. W kształcie jej szczęki było coś, co nieomal sugerowało arogancję. Miała lekko rozchylone usta, a między wargami było widać równe, białe zęby, ale nie uśmiechała się, a szerokie czoło skrywały grube, kasztanowe włosy.

- Czy podczas wojny była na pokładzie „Corsarius”?

Pauza.

- W źródłach ogólnych nie ma zbyt wiele informacji, Aleksie. Ale nie przypuszczam. Chyba była związana z „Mercurielem”, flagowym statkiem Dellakondyjczyków.

- Myślałem, że to „Corsarius” był statkiem flagowym.

- Nie. „Corsarius” był tylko fregatą. Sim korzystał z niego, prowadząc swoje oddziały do boju, ale do rekrutacji personelu i planowania ten statek niespecjalnie się nadawał. Dellakondyjczycy używali do tego celu dwóch innych. „Mercuriel” był darem buntowników z Toksykonu, otrzymali go w połowie wojny. Można było łatwo go przystosować do zadań związanych z zarządzaniem i dowodzeniem. Nazwano go imieniem ochotnika z Toksykonu, który zginął w Szczelinie.

- Wiesz o niej coś więcej?

- Pewnie mógłbym ci podać stopień, datę przejścia do cywila i tak dalej.

- Tylko tyle?

- Jest jeszcze coś godnego uwagi.

- Co takiego?

- Chwileczkę. Zdajesz sobie sprawę z tego, że cały czas wyszukuję te dane, kiedy rozmawiamy?

- Dobrze.

- Tak. Cóż, powinieneś mieć świadomość, że jest tajemniczą postacią i niewiele o niej wiadomo.

- Dobrze. Do czego zmierzasz?

- Wygląda na to, że wróciła z wojny w stanie ciężkiej depresji.

- Nie ma w tym niczego niezwykłego.

- Nie ma. Sam bym w taki sposób zareagował. Ale jej stan bardzo długo nie ulegał poprawie. Całe lata. Istnieje wzmianka, że odwiedziła Maurinę Sim około roku 1208, jakiś rok po śmierci Christophera Sima w układzie gwiazdy Rigel. Nie ma żadnych informacji na temat tego, o czym rozmawiały. Kolejną dziwną rzeczą jest fakt, że Tanner miała skłonności do znikania na dłuższy czas. Raz nawet na dwa lata. Nikt nie wie dlaczego. Takie rzeczy działy się gdzieś do roku 1217. Potem już nie ma żadnych doniesień o niezwykłym zachowaniu, co oczywiście nie oznacza, że go nie było.

Udałem się na spoczynek. Przegryzłem coś i wybrałem pokój na pierwszym piętrze. Na tej samej kondygnacji, od frontu, znajdowała się sypialnia Gabriela. Poszedłem tam trochę z ciekawości, ale udawałem, że szukam wygodnych poduszek.

Wszędzie były zdjęcia: głównie z wykopalisk, ale także kilka fotografii z moich lat dziecińczych i jedno zdjęcie kobiety, którą podobno kochał. Miała na imię Ria i zginęła w wypadku, dwadzieścia lat przed moim przybyciem do tego domu. Zapomniałem o niej przez te wszystkie lata, ale nadal stała na honorowym miejscu na stole między dwoma wazonami, prawdopodobnie pochodzenia środkowoeuropejskiego. Długą chwilę przyglądałem się temu zdjęciu, gdyż nie widziałem go od dzieciństwa i nigdy nie patrzyłem na nie oczami dorosłego. Wyglądała prawie chłopięco: szczupłej budowy ciała, z krótkimi, brązowymi włosami. Siedziała, przyciągając dłońmi kolana do piersi, w pozie sugerującej nieokiełznaną żywiołowość. W jej spojrzeniu czaiło się jednak coś głębszego i właśnie ono na dłużej mnie przykuło. O ile było mi wiadomo, Gabriel już nigdy nie zaangażował się w związek uczuciowy z jakąkolwiek inną kobietą.

Na bocznym stoliku leżała książka: tomik poezji autorstwa Walforda Candlesa. Jego tytuł brzmiał: *Plotki o Ziemi*, i choć ten tomik nie był mi znany, sława Candlesa dotarła i do mnie. Był jednym z twórców, których naprawdę nikt nie czyta, ale wykształconemu człowiekowi wypada ich znać.

Książka wzbudziła moją ciekawość z kilku powodów: Gabriel nigdy nie wykazywał zainteresowania poezją, Candles żył w tych samych czasach co Christopher Sim i Leisha Tanner, a kiedy ją wziąłem do ręki, otworzyła się na wierszu zatytułowanym „Leisha”!

Zaginiony pilot

Pędzi po samotnej orbicie

Daleko od układu Rigel

Szukając nocą

Gwiazdzistego kręgu.

Dryfując w odwiecznych morzach

Przez cały rok

Dziewięć na obręczy

Dwa na piaście

A ona

Wędrując

Nie zna ani portu

Ani spoczynku

Ani mnie.

W przypisach wymieniono rok 1213, dwa lata przed śmiercią Candlesa, cztery lata przed końcem wojny. Była tam krótka notka na temat stylu, a redaktor dodał również, że „bohaterką jest prawdopodobnie Leisha Tanner, która regularnie niepokoiła swoich przyjaciół, znikając w latach 1208- 1216. Nikt nie zaproponował nigdy żadnego wyjaśnienia tej historii”.

III

Posłali jeden statek na dach świata. A gdy zobaczyli, że Irlandyjczycy uciekli, opanował ich straszliwy gniew. I spalili wszystko: puste domy, opuszczone parki i milczące jeziora. Spalili wszystko.

Akron Garrity, *Armageddon*

SPĘDZIŁEM noc w domu, potem napawałem się możliwością spokojnego zjedzenia śniadania, a gdy skończyłem, zasiadłem znów w wielkim fotelu w gabinecie. Światło słońca wlewało się przez okna, a Jacob oznajmił, że cieszy się, widząc mnie tak wcześnie.

- Chcesz od rana rozmawiać o polityce?
- Później. - Rozejrzałem się w poszukiwaniu opaski.
- W szufladzie stołu - podsunął Jacob. - Dokąd idziesz?
- Do biura Brimbury&Conn.

Nasunąłem opaskę na głowę i przesunąłem ją na uszy.

- Daj znać, jak będziesz gotowy - rzekł oschłym tonem. - Otworzę kanał.

Światło zmieniło się i gabinet znikł. Znajdowałem się w krystalicznie nowoczesnej sali konferencyjnej. W tle grała muzyka, a przez ścianę widać było Andiquar z wysokości, jakiej nie miał żaden budynek w mieście. Przy drzwiach zmaterializowała się kobieta z transmisji, wysoka, ciemnowłosa, teraz z udręczonym wyrazem twarzy. Uśmiechnęła się, zbliżyła z jakąś agresywną serdecznością i wyciągnęła rękę.

- Panie Benedict - rzekła - jestem Capra Brimbury, młodszy wspólnik.

Przyszło mi do głowy, że majątek Gabriela może być wart znacznie więcej, niż mi się wydawało. Poczulem, że to może być dobry dzień.

Mówiła cicho, jakby zdradzała jakąś tajemnicę. W ten sposób postępuje się z ludźmi, którzy są nam równi. Podczas całej rozmowy wykazywała udawany entuzjizm, jakby witała nowego członka ekskluzywnego klubu.

- Nikt nam go nie zastąpi - oznajmiła. - Sama nie wiem, co powiedzieć.

Podziękowałem jej, a ona mówiła dalej.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby panu w tym pomóc. Przypuszczam, że bylibyśmy w stanie uzyskać niezłą cenę za dom. Oczywiście jeśli zdecyduje się pan go sprzedać.

Sprzedać dom?

- Nie zastanawiałem się nad tym - odparłem.

- Może pan na tym niezłe zarobić. Bez względu na to, co pan zdecyduje, my wszystko zorganizujemy, proszę tylko dać nam znać.

- Dziękuję pani.

- Nie przeprowadziliśmy jeszcze dokładnej wyceny całego majątku. Jak pan wie, składa się on z wielu aktywów niematerialnych, dzieł sztuki, artefaktów i innych, co komplikuje sprawę. Do tego dochodzą jeszcze papiery wartościowe, których wartość zmienia się z godziny na godzinę. Przypuszczam, że nie będzie pan rezygnował z usług maklera inwestycyjnego, który obsługiwał pańskiego wuja?

- Oczywiście, że nie.

- Dobrze.

Zanotowała coś, choć ta decyzja nie miała większego znaczenia.

- A jak wygląda sprawa włamania? - Spytałem. - Czy coś już wiadomo?

- Nie, proszę pana. - Zawiesiła głos. - To coś naprawdę dziwnego. To znaczy, to dość dziwne zachowanie, włamywanie się do cudzego domu. Użyli palnika, żeby wyciąć dziurę w drzwiach z tyłu. Byliśmy przerażeni.

- Nie wątpię.

- Policja także. Ale badają sprawę.

- Co dokładnie zostało skradzione? - Spytałem.

- Trudno powiedzieć. Jeśli pański wuj miał jakiś spis, został on zniszczony przy kasowaniu centralnego banku pamięci. Wiemy, że zabrali holoprojektor i trochę sreber. Może także kilka cennych książek. Prosiłmy kilku przyjaciół Gabriela, żeby obejrżeli dom i spróbowali coś podpowiedzieć. Może zginęła biżuteria. W przypadku biżuterii po prostu nie da się określić, czy coś zginęło.

- Nie przypuszczam, żeby miał jej dużo - rzekłem. - Ale są tam wyjątkowo cenne artefakty.

- Tak, wiemy o tym. Porównaliśmy stan z listą, jaką miał ubezpieczyciel. Wszystko sprawdziliśmy.

Znów pokierowała rozmowę na kwestie finansowe, a w końcu ja zgodziłem się z jej propozycjami na całej linii. Kiedy poprosiłem o kod zabezpieczający, wyciągnęła szkatułkę z zamkiem, który ulega zniszczeniu po otwarciu.

- Jest sterowana głosem - rzekła. - Ale najpierw musi pan podać datę urodzenia.

Wykonałem polecenie, otworzyłem wieczko i wyjąłem kopertę. W miejscu zaklejenia była podpisana przez Gabriela. W kopercie znalazłem kod. Miał trzydzieści jeden cyfr.

Gabriel był człowiekiem ostrożnym.

- Zostawiam ci wszystko, z pełnym przekonaniem.

To niesamowity gest wobec nieudanego bratanka.

Gabriel był mną rozczarowany. Nigdy tego nie powiedział, ale jego dawne zadowolenie z tego, że interesowałem się starożytnościami, ustąpiło miejsca niechętniej tolerancji, gdy zdecydowałem, że nie będę się specjalizował w jego dziedzinie. Pojawiał się na wręczeniu dyplomów, zachęcał mnie z obowiązku i otwarcie wyrażał entuzjazm co do moich akademickich „osiągnięć”. Wiedziałem jednak, co sobie w skrytości ducha myśli: dziecko, które koczowało z nim obok strzaskanych murów kilkudziesięciu cywilizacji, ostatecznie czuło się bardziej u siebie na giełdzie towarowej. Co gorsza, argumentował, towary były reliktem przeszłości, coraz mniej odpornym na nasze czujniki ciepła i laserowe wiertła.

Potępiął mnie jako filistra. Nieczęsto wyrażał to słowami, ale widziałem to w jego oczach, słyszałem między wierszami w innych wypowiedziach i czułem, widząc, jak się stopniowo wycofuje. A jednak, mimo istnienia całych tłumów specjalistów, z którymi przekopywał się przez niezliczone stanowiska archeologiczne, to do mnie zwrócił się w sprawie odkrycia, jakiego dokonała załoga „Tenandrome”. Było mi miło z tego powodu. Poczulem też cień satysfakcji na myśl o tym, że coś zaniedbał, czegoś nie zabezpieczył i archiwum Leishy Tanner zagięło. Gabriel niewątpliwie nie był bardziej nieomylny niż my wszyscy.

Odwiedziłem następnie komisariat policji i porozmawiałem z panią funkcjonariusz, która zapewniła mnie, że ciężko pracują nad tym przypadkiem, ale nie mogą jeszcze pochwalić się żadnymi wynikami. Powiedziała, że się skontaktuje, gdy tylko coś będą mieli. Podziękowałem jej, niespecjalnie przekonany, co do jakichś aktywnych posunięć władz, i już sięgałem po opaskę, by przerwać połączenie, kiedy

przez podwójne drzwi wpadł niski, pulchny mężczyzna w mundurze i pomachał w moją stronę.

- Pan Benedict?

Pokiwał głową, jakby chciał przez to powiedzieć, że znalazłem się w trudnej sytuacji.

- Nazywam się Fenn Redfield. Byłem starym przyjacielem pańskiego wuja. - Ujął moją dłoń i uścisnął ją energicznie. - Miło mi pana poznać. Jest pan bardzo podobny do Gabriela, wie pan.

- Tak słyszałem.

- Co za strata. Proszę za mną. Zapraszam do mojego biura.

Odwrócił się i ponownie przeszedł przez podwójne drzwi. Czekałem na wymianę danych. Światło znów się zmieniło, tym razem na jaśniejsze. Przez brudne okna sączyło się jasne słońce. Byłem w małym pomieszczeniu przesiąkniętym zapachem alkoholu.

Redfield opadł na twardą, wyglądającą na niewygodną sofę. Jego biurko było otoczone całą baterią terminali, monitorów i konsoli. Ściany obwieszono różnymi certyfikatami, nagrodami i oficjalnymi dyplomami wszelkiego rodzaju. Było tam kilka trofeów i liczne fotografie: Redfield przy smukłym policyjnym śmigaczu, Redfield wymieniający uścisk dłoni z jakąś kobietą wyglądającą na kogoś ważnego, usmolony Redfield na miejscu katastrofy, z dzieckiem w ramionach. To ostatnie umieszczono w samym środku. Trofea powieszono razem z boku. Przyszło mi do głowy, że chyba lubię Fenna Redfielda.

- Przykro mi, że nie mogliśmy zrobić nic więcej - rzekł. - Tak naprawdę nie dało się nic zrobić.

- Rozumiem - odparłem.

Redfield wskazał mi krzesło, a sam usiadł przy biurku.

- Wygląda jak forteca - zachichotał. - Odstrasza ludzi. Chciałem się tego wszystkiego pozbyć, ale mam to od strasznie dawna. A tak na marginesie, znaleźliśmy srebra. A przynajmniej ich część. Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że to wszystkie. Dziś rano. Informacji nie ma na razie w systemie, więc funkcjonariuszka, z którą pan rozmawiał, jeszcze o tym nie wiedziała.

- Gdzie je znaleźliście?

- W strumyku, jakiś kilometr od domu. Były w plastikowej torbie, schowane w miejscu, gdzie strumyk przepływa pod wysypanym żwirem mostkiem. Jakieś dzieci je

znalazły.

- Dziwne - rzekłem.

- Też tak myślę. Nie są jakieś bardzo cenne, ale warto byłoby je zatrzymać. Sugeruje to, że złodziej nie miał innego sposobu pozbycia się ich i nie mógł też ich zatrzymać.

- Srebra to przykrywka.

- Och? - W oczach Redfielda pojawiło się zainteresowanie. - Dlaczego pan tak myśli?

- Mówił pan, że był przyjacielem Gabriela.

- Tak. Byłem. Bywaliśmy w różnych miejscach, gdy czas pozwalał. I graliśmy dużo w szachy.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał z panem o pracy?

Redfield obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Czasami. Panie Benedict, mogę spytać, do czego pan zmierza?

- Złodzieje ukradli archiwum danych. Tylko jedno, najwyraźniej to, nad którym Gabe pracował, gdy zaginał.

- I pewnie za wiele pan o nim nie wie?

- Otóż to. Miałem nadzieję, że pan coś wie.

- Rozumiem.

Odsunął się od biurka, położył na nim rękę i zaczął nerwowo bębnić palcami po blacie.

- Mówi pan więc, że srebro i wszystko inne, co zabrali, miało jedynie odwrócić uwagę od tego archiwum.

- Tak.

Wstał z krzesła, okrążył biurko i podszedł do okna.

- Mogę tylko powiedzieć, że przez ostatnie trzy miesiące, albo jakoś tak, pański wuj był czymś bardzo zaabsorbowany. I gra mu w ogóle nie szła.

- Nie wie pan dlaczego?

- Nie. Nie mam pojęcia. Ostatnio nie widywałem go zbyt często. Mówił mi, że jest zajęty jakimś przedsięwzięciem, ale nigdy nie powiedział, co to takiego. Dawniej widywaliśmy się regularnie raz w tygodniu, ale kilka miesięcy temu to się skończyło. Wtedy przestał już bywać gdziekolwiek.

- Kiedy ostatni raz go pan widział?

Redfield zastanowił się.

- Jakieś sześć tygodni przed jego zaginięciem. Spędziliśmy wieczór przy szachach. Widziałem, że coś go gnębi.

- Wyglądał na przygnębionego?

- Grał bardzo kiepsko. Wygrywałem z nim tego wieczora. Pięć albo sześć razy, co było dość niezwykle. Widziałem, że nie myśli o tym, co robi. Powiedział, żebym się cieszył, póki mogę, bo następnym razem mnie załatwi. - Redfield gapił się na podłogę. - I to wszystko.

Wyciągnął gdzieś zza biurka szklankę ponczu barwy cytryny.

- To w ramach diety - wyjaśnił. - Chce pan trochę?

- Jasne.

- Żałuję, że nie mogę panu pomóc. Ale nie wiem, czym się zajmował. Mogę panu tylko powiedzieć, o czym cały czas gadał.

- O czym?

- O Ruchu Oporu. Christopherze Simie. Miał zupełnego bzika na tym punkcie, na punkcie chronologii bitew w kosmosie, kto był gdzie, czym dysponował, jak to się skończyło. To znaczy, jestem tym zainteresowany, jak każdy, ale on nawijał o tym bez końca. W środku partii trochę trudno o tym słuchać. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak - odparłem.

- Nie zawsze taki był. - Napenił drugą szklankę i podał mi. - Gra pan w szachy?

- Nie. Kiedyś nauczyłem się zasad, dawno temu, ale nigdy dobrze nie grałem.

Rysy Redfielda zmiękły, jakby uznał to za jakieś upośledzenie społeczne.

W domu zapoznałem się z wiadomościami, żeby być na bieżąco. Były doniesienia o kolejnych starciach z niemotami. Lada chwila miało się pojawić oficjalne oświadczenie władz.

Na Ziemi przeprowadzano referendum na temat secesji. Głosowanie co do ostatecznej decyzji miało się odbyć za parę dni, ale kilku ważnych polityków poparło ruch i analitycy sugerowali, że pozytywny wynik referendum jest dość prawdopodobny.

Przejrzałem inne wiadomości, na wypadek gdyby było tam coś ciekawego, a Jacob skomentował, że prawdziwy problem polega na tym, co zrobi rząd centralny, jeśli Ziemia rzeczywiście podejmie decyzję o secesji.

- Przecież nie mogą stać obojętnie i po prostu ich puścić - zauważył ponuro.

- To się nigdy nie stanie - odparłem. - W tym wszystkim chodzi o konsumpcję

na planecie macierzystej. A miejscowi politycy próbują robić z siebie twardzieli, atakując Dyrektora.

- Otworzyłem piwo. - Wracajmy do roboty.

- Dobrze.

- Przeszukaj główne banki. Co mają na temat Leishy Tanner?

- Już szukałem, Aleksie. Najwyraźniej na Rimway nie ma prawie nic. Są trzy monografie, wszystkie na temat jej osiągnięć na polu tłumaczenia i komentowania azjatyckiej literatury. Z wszystkimi możesz się zapoznać. Powiniennem nadmienić, że wszystkie trzy przeczytałem i nie znalazłem w nich niczego, co mogłoby nam pomóc, choć jest tam sporo informacji ogólnych. Czy wiesz, że cywilizacja azjatycka jest starsza od naszej prawie o sześćdziesiąt tysięcy lat? Przez cały ten czas nie wydali filozofa bardziej wybitnego od Tulisofali, a przynajmniej nikogo, kto cieszyłby się reputacją większą od niej. Pojawiła się na dość wczesnym etapie ich rozwoju i sformułowała wiele poglądów etycznych i politycznych. Tanner skłaniała się do opinii, że w ich systemie Tulisofala zajmowała miejsce analogiczne do Platona. Swoją drogą, wyciągała fascynujące wnioski z tej analogii...

- Później, Jacobie. Co tam jeszcze jest?

- Istnieją dwie inne monografie, ale żadna z nich nie została zindeksowana. Trudno więc będzie je znaleźć, jeśli w ogóle się zachowały. Jedna najwyraźniej dotyczy jej talentów translatorskich. Druga jednak ma tytuł „Inicjatywy dyplomatyczne Ruchu Oporu”.

- Kiedy została opublikowana?

- W 1330. Osiemdziesiąt cztery lata temu. W 1342 znikła z sieci, a ostatni egzemplarz, jaki zdołałem namierzyć, znikł koło 1381. Właściciel zmarł, majątek został sprzedany na aukcji i nie ma śladu na temat tego, dokąd to wszystko trafiło. Będę jeszcze próbować.

Lokalnie mogą się gdzieś znajdować jakieś materiały poza siecią. Ezoteryczne ciekawostki, tajemnicze traktaty i tak dalej, przeważnie nigdy nie zindeksowane. Niestety, nasze procedury archiwizacyjne są dalekie od doskonałości.

Trochę pamiętników i pamiątek zachowało się na Khaja Luan, gdzie uczyła przed wojną i po wojnie. W archiwum Konfederacji są jej notatki, a Muzeum Wojenne Hrinwharu ma fragmenty jej pamiętnika. Obie te instytucje są na Dellakondzie. A pamiętnik, jeśli wierzyć moim źródłom, jest bardzo fragmentaryczny.

- Nazwa pochodzi od bitwy?

- Hrinwhar? Tak. Wspaniała taktyka, tak. Sim był genialny, po prostu genialny.

Następnego dnia odwiedziłem kilkanaście uniwersytetów, Instytut Quellinga, Stowarzyszenie Historyków imienia Benjamina Maynarda i pokoje spotkań Synów Dellakondyjczyków. Naturalnie byłem zainteresowany wszystkim, co pozwalałoby powiązać Tanner z Talino, czy też, szerzej, z Ruchem Oporu. Nie było tego wiele. Znalazłem parę nawiązań do niej w prywatnych dokumentach, starych opowieściach i tak dalej. Skopiowałem wszystko i przygotowałem się na długi wieczór.

Niewielka ilość materiału wspominała o samej Tanner. Pojawia się na marginesie dyskusji o żołnierzach Sima i o jego metodach wywiadowczych. Znalazłem tylko jeden dokument, w którym odgrywała główną rolę: tajemniczą pracę doktorską sprzed czterdziestu lat, omawiającą zniszczenie Point Edward.

- Jacobie?

- Tak. Czytałem to. To zawsze była tajemnica.

- Co?

- Point Edward. Dlaczego Aszijurowie je zniszczyli? Przecież wtedy było puste.

Pamiętałem tę historię: w pierwszym roku wojny obie strony odkryły, że centrów populacyjnych nie da się chronić. Dlatego też zawarto niepisana umowę: cele taktyczne nie były umieszczane w pobliżu zaludnionych obszarów, a miast nie atakowano. Aszijurowie pogwałcili tę umowę, niszcząc Point Edward. Nikt nie wiedział dlaczego.

- Ale Sim wiedział, co się święci - mówił dalej Jacob. - I ewakuował dwadzieścia tysięcy ludzi.

- Tam było tylko dwadzieścia tysięcy ludzi? - Zdziwiłem się. - Zawsze myślałem, że było ich o wiele więcej.

- Ilianda została założona przez Cortai. Grupę religijną, której nigdy nie obchodzili ludzie z zewnątrz. Kontrolowali ściśle imigrację, więc doszło do stagnacji, kulturalnej i ekonomicznej. Teraz wszystko się zmieniło. Jednak w czasach Ruchu Oporu ustrój w mieście był teokratyczny i praktycznie mieszkali tam wszyscy, którzy żyli na planecie. Życie we wspólnocie było dla nich bardzo ważne.

Jeśli wierzyć dokumentowi, Sim naraził na szwank całą siatkę wywiadowczą, reagując tak, jak zareagował. Aszijurowie błyskawicznie się zorientowali, że ich wiadomości są przechwytywane i czytane, i zmienili wszystko: sprzęt, systemy szyfrowania, harmonogramy i trasy transmisji. Dopiero z pojawieniem się Leishy

Tanner, osiem miesięcy później, Dellakondyjczycy zaczęli odzyskiwać to, co utracili.

- Czy to możliwe? - Spytałem.

- Była na pewno bardzo inteligentną młodą kobietą. Można zauważyć, że Aszijurowie zareagowali na własny kryzys trochę bez wyobraźni. Zmiany w ich systemach szyfrowania były niewłaściwe i doskonale o tym wiedzieli. Próbowali temu zaradzić, używając starożytniej formy swego podstawowego języka. Jeszcze do tego nie dotarłeś, ale wszystko tam jest.

- Myślałem, że oni nie mają języka. To telepaci.

- Nie mają języka mówionego, Aleksie. Ale muszą mieć system trwałego przechowywania danych i koncepcji. Język pisany. Ten, którego używali, był językiem klasycznym. Ten język znał każdy wykształcony Aszijur.

- I Leisha.

- I Leisha.

- Teraz przynajmniej wiemy, po co Sim chciał ją rekrutować.

- To jednak dziwne - rzekł Jacob.

- Co takiego?

- Nie mam na myśli Tanner. Point Edward. Niemoty zniszczyły miasto, choć było puste w chwili ich przybycia. Musieli wiedzieć, że nikogo tam nie ma. Po co zadali sobie tyle trudu?

- Jakiś cel wojskowy - podsunąłem.

- Może. Ale nawet jeśli tak, nigdy niczego takiego nie wykryto. A kolejna dziwna rzecz jest taka, że nie było odwetu. Sim mógł się pojawić nad jakąś aszijurską planetą i rozwalić dowolne miasto, na które miał ochotę. Dlaczego tego nie zrobił?

- Może dlatego, że udało się ewakuować wszystkich z Point Edward, a nie chciał zaczynać serii działań odwetowych.

Znaleźliśmy hologram Tanner ukrywającej się z grupie oficerów na „Mieczu Konfederacji” Rohriena. Miała wtedy jakieś dwadzieścia siedem lat i nawet w granatowo-niebieskim mundurze dellakondyjskim wyglądała ślicznie. Jej życzliwy wyraz twarzy zupełnie nie pasował do rozwścieczonych, wrogich mężczyzn, którzy ją otaczali.

Próbowałem odczytać coś z jej oczu: czy wiedziała o czymś, co zagnało Gabriela do mgławicy Damy w Woalce dwa wieki później? Leżałem wyciągnięty na sofie, jej obraz był tak bliski i delikatny. Co za szkoda, że technika symulacji wtedy jeszcze nie istniała: o wiele łatwiej byłoby połączyć się z nią i zadać jej parę pytań.

Gapilem się na nią, kiedy Jacob cicho poinformował mnie, że mam gościa.

Tuż obok lampy z tyłu domu lądował śmigacz. Obraz Tanner znikł i na podwieszonym monitorze pojawił się obraz pojazdu. Było już późno i ciemno. Jacob włączył zewnętrzne lampy i oświetlił ścieżkę. Patrzyłem, jak pilot podnosi osłonę i lekko zeskakuje na ziemię.

- Jacobie, kto to jest?

- Nie wiem.

Wiedziała, gdzie są kamery. Spojrzała prosto w obiektyw, kiedy mijala jedną z nich, zdjęła czapkę i potrząsnęła głową, rozpuszczając długie, czarne włosy. Potem pomaszerowała zdecydowanym krokiem na ganek i wspięła się po schodach. Czekałem na nią.

- Dobry wieczór - przywitałem ją.

Była wysoka, miała długie nogi, i była owinięta oliwkowym płaszczem, który sięgał jej prawie do kolan. Rysy jej twarzy częściowo skrywał cień.

- Pan jest pewnie tym bratankiem? - Spytała tonem, który sugerował lekką dezaprobatę. - On był na pokładzie „Capelli”? Miała zachrypły głos, a światło ulicznej latarni tańczyło w jej oczach. Wiatr się wzmógł, a śnieg zawirował wokół niej.

- Proszę wejść - rzekłem.

Weszła do środka i rozejrzała się; jej wzrok przesunął się szybko po kamiennym demonie.

- Tak właśnie myślałam.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go przy drzwiach gestem, który sugerował, że nie jest tu pierwszy raz. Nie była nieatrakcyjna. Ale w jej rysach nie dało się znaleźć łagodności. Miała przenikliwy wzrok, a kształt jej szczęki sugerował agresywność. Jej sposób mówienia i ton były bliskie arogancji.

- Nazywam się Chase Kolpath.

Powiedziała to w taki sposób, jakby to nazwisko miało mi coś powiedzieć.

- Jestem Alex Benedict - odparłem.

Przyjrzała mi się uważnie, przekrzywiając lekko głowę, i wzruszyła ramionami. Dostrzegłem, że jest rozczarowana.

- Pański wuj mnie zatrudnił - oznajmiła. - Jest mi winien sporo pieniędzy. - Niepewnie przeniosła ciężar z jednej nogi na drugą. - Proszę wybaczyć, że przychodzę z tym w takiej trudnej chwili, ale uważam, że powinien pan o tym wiedzieć.

Odwróciła się, jakby ucinając dalszą dyskusję na ten temat, i ruszyła do

gabinetu. Zajęła miejsce przy kominku i przywitała się z Jacobem, który gładko i bez wahania oznajmił, że ładnie dziś wygląda. Podał zaprawione rumem napoje owocowe. Pociągnęła łyk ze swojego i wyciągnęła ręce w stronę ognia.

- Dziwnie tu bez niego.

- Tak. Też mi to przyszło do głowy.

- O co w tym wszystkim chodziło? - Spytała nagle. - Czego on szukał?

Pytanie zaskoczyło mnie. Nie był to zachęcający początek.

- Pracowała z nim pani nad tym przedsięwzięciem?

- Tak.

- To ja zadam pani to samo pytanie. Czego on szukał?

Zaśmiała się. Czysty, kryształowy dźwięk.

- Jak rozumiem, panu też nie powiedział?

- Nie.

- I nie powiedział nikomu innemu?

- Nic takiego mi nie wiadomo.

- Jacob powinien coś wiedzieć.

- Jacob przeszedł lobotomię.

Spojrzała z rozbawieniem na monitor, na którym nadal widniał obraz jej śmigacza.

- Chce pan powiedzieć, że nikt nie ma pojęcia, czym on się zajmował przez ostatnie kilka miesięcy?

- O ile mi wiadomo, to nie - odparłem z rosnącą irytacją.

- Zapisy - rzekła, jakby coś tłumaczyła dziecku. - Muszą być jakieś zapisy.

- Zaginęły.

Nie wytrzymała. Zaczęła się śmiać jak młoda kobieta-wiking, wyrzucając w górę ramiona, z głębi gardła, potrząsając głową i próbując równocześnie mówić.

- Doskonale - wykrztusiła między spazmami. - Niech mnie diabli. To takie do niego podobne.

- Czy pani coś wie? Cokolwiek?

- To miało coś wspólnego z „Tenandrome”. Powiedział mi, że będę bogata. I że wszystko, co robiłam przez całe życie, w porównaniu z tym będzie nieistotne. „To wstrząśnie podwalinami Konfederacji”, powiedział. - Przycisnęła dłonie do twarzy i potrząsnęła głową. - To najgłupsza rzecz, w jaką byłam zamieszana.

- Ale mimo to pani była. Co pani miała zrobić, żeby zasłużyć sobie na swoją

cześć?

- Jestem pilotem trzeciej klasy. Małe statki międzygwiazdne. Wynajął mnie do przeprowadzenia pewnych badań i zabrania go gdzieś. Nie wiem dokąd. Proszę posłuchać, trochę się z tym niepewnie czuję. Prawda jest taka, że zostawił mnie na Saraglii, kiedy już wydałam sporo własnych pieniędzy.

- Saraglia. To tam leciała „Capella”, kiedy znikła.

- Tak jest. Mieliśmy się tam spotkać.

- I nie wie pani, dokąd chciał potem lecieć?

- Tego mi nie powiedział.

- To dziwne. - Nawet nie próbowałem ukrywać, że moim zdaniem próbuje wyciągać jakieś osobiste korzyści ze śmierci Gabriela. - Przecież sam miał licencję. Miał ją od czterdziestu lat i nigdy nie słyszałem, żeby musiał zatrudniać pilota.

Wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię panu odpowiedzieć. Nie wiem jaka była między nami umowa. Rozliczenie według czasu minus zaliczka. Był mi winien za dwa miesiące plus koszty. Mam wszystko udokumentowane.

- Spisaliście jakiś kontrakt?

- Nie - odparła. - Umowa była ustna.

- Nie ma pani niczego na piśmie?

- Proszę posłuchać, panie Benedict - rzekła oschłym tonem. - Proszę próbować zrozumieć. Pański wuj i ja prowadziliśmy ze sobą interesy przez ostatnich kilka lat. Ufaliśmy sobie. I świetnie nam szło. Nie mieliśmy powodu, żeby spisywać jakieś formalne kontrakty.

- Co to miały być za badania? - Spytałem. - Czy miały jakiś związek z „Tenandrome”?

- Tak. - Jedna z kłód pękła i wpadła do ognia. - To statek Inspekcji. Był w mgławicy Damy z Woalką parę lat. Najwidoczniej coś wykryli. - Oparła głowę o krzesło i zamknęła oczy. - Gabe chciał się dowiedzieć, co to było, ale nigdy mu się nie udało.

Saraglia znajduje się na skraju Mgławicy Damy z Woalką; to odległy, modularny świat o niezwykłych wymiarach i zmiennej grawitacji, ostatni punkt kontaktowy dla wielkich statków Inspekcji, które badają i sporządzają mapy wielkiego Ramienia Trantycznego.

- I pani miała go gdzieś stamtąd zabrać?

- Tak. Gdzieś. - Wzruszyła ramionami.

- Co pani wie o miejscu docelowym? Przecież coś musiała pani wiedzieć. Zasięg. Jak długo będzie trwał lot. Cokolwiek. Wynajmowaliście statek?

Spojrzała na oświadczenie, które dla mnie spisywała.

- Czy będzie jakiś problem z tymi pieniędzmi?

- Nie - odparłem.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Już załatwiłam statek. Pytałam, dokąd lecimy, ale powiedział, że mi powie, jak tam dotrze. To znaczy na Saraglię.

- Czy mieliście odlecieć z Saraglii zaraz po jego przylocie?

- Tak - odparła. - Tak przypuszczam. Otrzymałam polecenie, żeby przygotować statek do drogi. To był stary statek patrolowy. Niezła łajba. - Potrząsnęła smutno głową. - Powiedział mi też, że nie będzie nas jakieś pięć do siedmiu miesięcy.

- W takim razie jak daleko mógł być cel?

- Trudno powiedzieć. Gdybyśmy mieli przestrzegać przepisów, to mniej niż połowę czasu lecielibyśmy na napędzie gwiazdowym. Powiedzmy, że trzy miesiące w obie strony, czyli punkt docelowy byłby w odległości jakichś ośmiu lat świetlnych. Gdyby jednak zignorować przepisy - a tam i tak nikt tego nie sprawdzi - i dokonywać skoku możliwie najbliżej celu, wtedy mówilibyśmy, powiedzmy, o jakichś pięciu miesiącach w hiperprzestrzeni, czyli maksymalnie byłoby to piętnaście lat świetlnych.

- Czego się pani dowiedziała o „Tenandrome”?

- Niewiele. Tylko tyle, że to jakaś śmierdząca sprawa.

- A konkretnie?

- Statki Inspekcji, te duże, zwykle latają na misje trwające jakieś cztery czy pięć lat. „Tenandrome” wrócił po półtora roku. I nikt z niego nie wysiadł.

- Czy Saraglia to pierwszy przystanek dla lotu powrotnego?

- Dla tego sektora tak. Zwykle się tam zatrzymują, a kapitan składa osobiście raport dyrektorowi portu. Zajmują się jakimiś logistycznymi szczegółami, przeprowadzają inspekcje Służby Kontroli Zagrożeń, a potem wszyscy mają parę dni luzu. W atmosferze zabawy. Tylko że kiedy wrócił „Tenandrome”, wszystko wyglądało inaczej.

Oficjalny raport, jak mówił jeden czy dwóch urzędników z portu, którzy zechcieli ze mną porozmawiać, został przesłany drogą radiową. Nikt nie wysiadł, nikt nie wsiadł. Tłumy się zebrały, jak to zwykle bywa, i stały na rampie. Nie wiem, czy pan wie cokolwiek na temat Saraglii, ale tam statki cumują bezpośrednio przy

stanowiskach w mieście. Ściany są przezroczyste, więc ludzie, którzy przywieźli dzieci na wakacje, mogli sobie oglądać „Tenandrome” unoszący się na linach. Światła wewnątrz statku były włączone i w środku widać było przemieszczającą się załogę, ale w rękawach nikt się nie pojawił. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło.

Wszyscy byli zakłopotani, szczególnie społeczność przedsiębiorców. Czuli, że spotkał ich afront. Każdy taki przylot statku to duży zastrzyk dochodów dla miejscowych.

- Ale nie tym razem - wtrąciłem.

- Ale nie tym razem. - Zadrżała lekko. - W końcu zaczęły się plotki.

- Jakie plotki?

- Że przywieźli zarazę. Gdyby jednak tak było, nie pozwolono by im odlecieć na Akwarium, a tam był drugi przystanek.

- I na Akwarium opuścili statek?

- Tak, zdaniem Gabea. Powiedział, że opróżniono statek rutynowo.

- I to był punkt docelowy?

- Inspekcja utrzymuje tam przedstawicielstwo regionalne. Tak, tam uzupełniono zapasy, odebrano raporty i przydzielono ludzi do nowych ekspedycji.

- Ile osób było na pokładzie?

- Sześciu członków załogi i osiemnaście osób w zespołach badawczych. - Na twarzy Chase pojawił się wyraz zamyślenia. - Kiedy byłam na Saraglii, przyleciał „Westover” i wszyscy świetnie się bawili. Posiedzieli na Saraglii jakiś tydzień, co moim zdaniem jest przeciętnym okresem. Mnóstwo kobiet i lejący się strumieniami alkohol: zastanawiam się, jakim cudem w końcu dotarli do domu. „Tenandrome” odleciał po jednym dniu.

- Czy Inspekcja wyjaśniła, dlaczego przerwano misję?

- Oświadczyli, że wykryto usterkę w napędzie Armstronga i nie dało jej się naprawić na Saraglii. Nie było to specjalnie przekonujące wyjaśnienie. A nikt nie wysiadł rzekomo dlatego, że liczył się czas.

- Może to była prawda.

- Może. Statek przeszedł konserwację na Akwarium, a Gabe powiedział mi, że z zapisów wynika, iż rzeczywiście napęd przeszedł gruntowny remont.

- W takim razie w czym problem?

- Gabe nie zdołał znaleźć nikogo, kto rzeczywiście pracował przy napędzie Armstronga. A Inspekcja zaczęła się wkurzać, kiedy się dowiedziała, że zadaje pytania.

Formalnie odmówiono mu dostępu do ich placówek.

- Jak to mogli zrobić, u licha?

- Łatwo. Ogłosili, że stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa. Chciałabym to zobaczyć - uśmiechnęła się. - Byłam na Saraglii, kiedy to się stało. Gdyby osądzać po tonie jego wiadomości, o mało nie dostał apopleksji. Ale potem powiedział, że Machesneyowi się udało, a on jest w drodze na spotkanie ze mną. I mam przygotować statek.

- Machesney?

- Tak powiedział.

- Kto to jest Machesney, u licha?

- Nie wiem. Te wszystkie historie o Christopherze Simie. Może miał na myśli Rashima Machesneya.

Potrząsnąłem głową.

- Czy w to wszystko jest zamieszany ktoś, kto nie zmarł przed dwoma wiekami?

Rashim Machesney: wielki bohater z czasów Ruchu Oporu. Genialny, gruby, błyskotliwy, ekspert w dziedzinie teorii fal grawitacyjnych, podróżujący po legislaturach planetarnych z Tariem Simem i przemawiający za sprawą Konfederatów. Jakże mogłoby mu się „udać”?

- Nie znam żadnych innych Machesneyów - odparła Chase. - Tak się złożyło, że kiedy zakończono naprawy, Agencja natychmiast wysłała „Tenandrome” w kolejną misję. Misja była już przygotowana i mogli wyruszyć od razu. Poleciał na nią kapitan i większość pierwotnej załogi.

- A może to był lot powrotny? Wracali w to samo miejsce?

- Nie - odparła Chase. - Nie przypuszczam. Ich celem był obszar tysiąc osiemset lat świetlnych stąd. To za daleko. Gdyby założyć, że Gabe wiedział, gdzie byli i dokąd się udawali.

- A dziennik pokładowy? Czy rutynowo się ich nie udostępnia publicznie? Jestem pewien, że gdzieś go widziałem.

- Nie tym razem. Wszystko zostało utajnione.

- Na jakiej podstawie?

- Nie wiem. A muszą mówić, na jakiej? Wiem tylko, że Gabe nie zdołał go zdobyć.

- Jacob, jesteś tam?

- Tak - odparł.

- Możesz skomentować?

- Nie jest niczym niezwykłym utajnianie informacji, jeśli czyjś zdaniem jej ujawnienie mogłoby zaszkodzić interesom społecznym. Jeśli, na przykład, ktoś zostanie zjedzony, szczegółów się nie udostępnia. Niedawnym przykładem nieujawnienia informacji była historia lotu „Borlanget”, kiedy to pewien symbolista został schwytyany i porwany przez jakiegoś latającego drapieżnika. Ale nawet w takich sytuacjach nie ujawnia się tylko niektórych informacji. A w przypadku „Tenandrome” wygląda to nieomal jakby ta misja nigdy się nie odbyła.

- Czy ma pani jakieś pojęcie - zwróciłem się do Chase - co oni mogli zobaczyć?
Wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że Gabe wiedział. Ale nigdy mi nie powiedział. A jeśli ktoś na Saragllii miał o tym jakieś pojęcie, nigdy się z tym nie zdradził.

- Może to był jakiś problem biologiczny - podsunąłem. - Coś, czym się martwili, ale problem się rozwiązał, zanim dolecieli do Akwarium.

- To możliwe. Ale jeśli wszystko zostało wyjaśnione, dlaczego nadal nie ujawniają informacji?

- Mówiła pani coś o plotkach.
Skinęła głową.

- Mówiłam o zarazie. Najciekawsze sugerowały, że nastąpił kontakt. Słyszałam pewnie ze dwadzieścia wariantów, a najczęściej spotykany był taki, że ledwo udało im się uciec, że rząd centralny boi się, iż „Tenandrome” podczas lotu powrotnego był śledzony, i że wojsko jest w drodze. Niektórzy mówili, że inny „Tenandrome” wyleciał, a inny wrócił.

Przerażający pomysł.

- Inny pomysł był taki, że nastąpiło przesunięcie w czasie, że na statku upłynęło ponad czterdzieści lat i że załoga bardzo się postarzała. - Zadumała się nad głębią ludzkiej naiwności.

- Gabe zdołał porozmawiać z jednym z naukowców i nic mu nie było. Ale nie wiem, kto to był.

- Hugh Scott - sapnąłem. - Czy powiedział, dlaczego przerwali misję?

- Bez względu na to, kto to był, odpowiedział zgodnie z oficjalną linią partii: statek miał problemy z napędem Armstronga i nie dało się tego naprawić bez ciężkiego sprzętu.

Westchnąłem.

- W takim razie pewnie rzeczywiście taki był powód. Fakt, że Gabe nie zdołał znaleźć nikogo, kto faktycznie wykonywał te prace, nie wydaje mi się szczególnie istotny. A może kapitan chciał wrócić do domu z powodów osobistych. Podejrzewam, że cała ta afery ma jakieś zupełnie proste wyjaśnienie.

- Może - odparła. - Ale ten, z kim rozmawiał Gabe - czy był to Scott, czy ktokolwiek inny - nie chciał mu powiedzieć, kto jeszcze brał udział w tym locie. - Dotknęła pięścią dolnej wargi. - To dziwne.

Rozmowa zesłała na inne tory i zaczęliśmy znów omawiać rzeczy, o których już wspomnieliśmy, jakbyśmy się obawiali, że coś nam umknęło. Kiedy ponownie pojawiło się nazwisko Machesneya, Chase poderwała się.

- Ktoś leciał razem z Gabrielem na pokładzie „Capelli” - powiedziała. - Może to był właśnie ten Machesney.

- Może - odparłem. Wsłuchiwałem się w potrzaskiwanie ognia i odgłosy wydawane przez stary dom. - Pani Kolpath?

- Tak?

Jacob podsunął nam ser i nową porcję drinków.

- Co pani o tym sądzi?

- O tym, co zobaczyli?

- Tak.

Wypuściła powietrze z płuc.

- Gdyby informacje zostały ujawnione, to pewnie machnęłabym ręką na całą tę aferę. A tak - coś ukrywają. Tylko że to jedyny istniejący dowód. Utajniony dziennik pokładowy. Mimo to, gdyby mnie przycisnąć, powiedziałabym, że Gabriela poniosła trochę wyobraźnia. - Odgryzła kawałek sera i zaczęła wolno żuć. - Wersja romantyczna zakłada, że napotkali tam jakieś niebezpieczeństwo, coś przerażającego. Ale co to może być? Co może przyprawiać o przerażenie na odległość kilkuset lat świetlnych?

- Może Aszijurowie? Może przeniknęli do Mgławicy Damy z Woalką?

- I co z tego? Pewnie wojskowym spędziłoby to sen z powiek, ale nie mnie. Nie byłiby bardziej niebezpieczni niż na Granicy.

Kiedy Chase wyszła, sprawdziłem listę pasażerów „Capelli”. Oczywiście figurował na niej Gabriel. Gabriel Benedict z Andiquaru. Nie było żadnego Machesneya.

Późną nocą zacząłem się zastanawiać, dlaczego Gabriel, który pilotował wśród gwiazd statki wszelkich możliwych rodzajów, miałby zatrudniać pilota.

IV

Niezły kęsek dla rynku nieruchomości.

Główny Radny Wrightman Toomey po otrzymaniu wiadomości, że w Mgławicy Damy z Woalką jest około 200 milionów planet nadających się do zamieszkania

Agencja Badań Planetarnych i Astronomicznych była częściowo autonomiczną instytucją, finansowaną ze środków rządu centralnego i całej armii prywatnych fundacji. Kierował nią zarząd, reprezentujący interesy sponsorów i społeczności naukowej. Nominacja przewodniczącego miała podtekst polityczny; osoba na tym stanowisku była odpowiedzialna przed fundacjami, ale jej najwyższym zwierzchnikiem był sam Dyrektor. Wszystko zaś sprowadzało się do tego, że Agencja - choć oficjalnie była instytucją naukową - była dość wrażliwa na naciski polityczne.

Utrzymywała biura administracyjne na Andiquarze dla celów związanych z rekrutacją personelu technicznego, który miał służyć na dużych statkach, oraz selekcji zgłoszeń specjalistów, którzy chcieli dołączyć do zespołów badawczych. Był także dział informacji publicznych.

Inspekcja dzieliła biurowiec z kilkoma innymi agencjami. Zajmowała wszystkie górne piętra starej kamiennej budowli, w której kiedyś, przed czasami Konfederacji, mieścił się rząd planetarny. Zachodnia ściana była odbarwiona w miejscu, gdzie wybuchła bomba interwencjonisty na początku okresu Ruchu Oporu.

Sala recepcyjna była ponura: blade, żółte ściany, twarde, płaskie meble, parę grupowych zdjęć przedstawiających załogi statków międzygwiazdnych, zdjęcie czarnej dziury. Kiepsko jak na komórkę zajmującą się PR-em.

Wstałem z krzesła o prostym oparciu, na którym się pojawiłem, a z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł hologram mężczyzny. Był młody i uśmiechnięty, smukły, wyglądający na energicznego. To popularny gotowy awatar, który już widywałem w innych miejscach. Drzwi zamknęły się za nim.

- Dzień dobry - odezwał się. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak - odparłem. - Mam nadzieję. Nazywam się Hugh Scott i brałem udział w ostatniej misji „Tenandrome”. W zespole badawczym. Kilku byłych uczestników chciałoby się spotkać, ale straciliśmy kontakt z większością pozostałych. Zastanawiam się, czy można od państwa otrzymać adres kontaktowy albo chociaż informację, do kogo się zwrócić.

- Ostatni lot „Tenandrome”? Chodzi o XVII?

- Tak - odparłem, wahając się tylko przez sekundę, by stworzyć wrażenie, że się nad tym zastanawiam.

Hologram wyglądał na zadumanego. Miał grube, brązowe włosy, sympatyczny uśmiech i twarz z odrobiną za długim nosem. Kierownictwo niewątpliwie chciało zasugerować, że jest inteligentny i uprzejmy. W przypadku niektórych rodzajów firm, na przykład w handlu antykami, doskonale by się to sprawdziło. Tutaj, w tym nieciekawym otoczeniu, te cechy po prostu nie pasowały do wystroju.

- Zaraz sprawdzę.

Przemaszerował na drugi koniec pokoju i stał, przyglądając się czarnej dziurze i czekając, aż komputery zrobią swoje. Założyłem nogę na nogę i sięgnąłem po prospekt, który miał zachęcić mnie do szukania pracy w Agencji Przyszłości. Kusił wysokim wynagrodzeniem i przygodami w egzotycznych miejscach.

Hologram odwrócił się gwałtownie i ściągnął usta, dając mi do zrozumienia, że musi wypełnić jakiś nieprzyjemny obowiązek.

- Bardzo mi przykro, doktorze Scott, ale te informacje są tajne. Oczywiście, nie powinien pan mieć problemów z ich uzyskaniem, pod warunkiem, że wypełni pan formularz i złoży wniosek o ich udostępnienie. Może pan zrobić to tutaj, a ja dopilnuję, by dotarł we właściwe miejsce. - Wskazał gestem jeden z terminali. - Może pan skorzystać z tego stanowiska. Oczywiście konieczna będzie identyfikacja.

- Oczywiście. - Zacząłem czuć się nieswojo. Czy ta rozmowa była nagrywana? - Dlaczego te informacje zostały utajnione?

- Panie doktorze, obawiam się, że przyczyna także została utajniona.

- Tak - odparłem. - Tak bywa. Dobrze. - Usiadłem z wahaniem przy terminalu, po czym spojrzałem na zegar na ścianie, jakbym przypomniał sobie, że jestem spóźniony na spotkanie. - Teraz trochę mi się śpieszy - oświadczyłem, sięgając po opaskę.

- Doskonale - odparł uprzejmie, podając mi numer dokumentu. - Może pan go

wywołać w dowolnym momencie. Wystarczy postępować zgodnie z instrukcją.

Z komentarzy Gabriela wywnioskowałem, że nie był w najlepszych układach z Centrum Studiów Akadyjskich. Niestety, większość prac archeologicznych inicjowanych na Andiquarze była koordynowana przez tę czcigodną instytucję. Umówiłem się więc na rozmowę i połączyłem z energiczną młodą kobietą, która uśmiechnęła się tolerancyjnie, kiedy wymieniłem jego nazwisko.

- Proszę zrozumieć, panie Benedict - rzekła, przyciskając znacząco palec wskazujący do policzka - że nic nas nie łączyło z pańskim ojcem. Centrum ogranicza się do profesjonalnie przeprowadzanych operacji, wspieranych przez odpowiednie instytucje.

- On był moim wujem.

- Przepraszam. W każdym razie nie utrzymywaliśmy kontaktów.

- Chce pani przez to powiedzieć - odparłem lekkim tonem - że działalność mojego wuja nie była zgodna z pani standardami.

- Nie moimi standardami, panie Benedict. Mówimy o standardach Centrum. Proszę zrozumieć, że pański wuj był amatorem. Nikt nie odmówi mu talentu. Ale mimo to był amatorem.

- Schliemann i Champollion byli amatorami - odparłem, czując narastającą irytację. - Towerman i Crane też. Podobnie jak kilkuset innych. To taka tradycja w archeologii. Zawsze tak było.

- Oczywiście - odparła gładko. - Rozumiemy to. I zachęcamy takich ludzi jak Gabriel Benedict, jak tylko możemy. I cieszymy się ich sukcesami.

Wieczorem siedziałem zamyślony, słuchając trzaskania ognia, kiedy światła przygasały, a potem zgasły całkiem. Na środku pokoju, w pobliżu niskiego stolika, pojawił się niesamowity biały obiekt rozmiarów dłoni. Był z grubsza kulisty, choć trudno było dokładnie określić jego kształt. Jaskrawe smugi wyrastały z boku i skręcały w stronę obiektu, zasłaniając go. Chmury oślepiającego światła rozszerzały się, wirowały, przekształcały. Obiekt wydłużył się i przybrał znajomy kształt.

Mgławica Damy z Woalką.

- Myślałem, że będzie odpowiednia na tę okazję, Aleksie. - Głos Jacoba brzmiał, jakby dochodził z daleka.

Wypełniała już pół pokoju, obracając się wolno wokół własnej osi; w czasie rzeczywistym ten ruch trwałby miliony lat. Tylko osoby obdarzone naprawdę bujną wyobraźnią mogłyby dopatrzeć się w tym obrazie kobiecej postaci. Niektórzy dostrzegali tam ramię, oko i rozłożyste załamania jedwabnej siateczki w olbrzymich obłokach gwiazdnych.

Podobno było tam pół miliarda gwiazd, przeważnie młodych i gorących. Nadających się do zamieszkania planet było wiele, a większość prognostyków uważała, że w najbliższym czasie staną się naturalnym domem dla rozrastającej się populacji. Bliskość gwiazd sugerowała możliwość rozwiązania większości problemów, jakie wiązały się z tym, że odległości między światami Konfederacji były bardzo duże. Przypuszczaliśmy, że ostatecznie porzucimy stare stolice, a ośrodki władzy zostaną przeniesione do mgławicy.

Był to najjaśniejszy obiekt na południowym niebie Rimway, jaśniejszy nawet niż gigantyczny księżyc. Choć nigdy nie była widoczna z Andiquaru, tylko kilka zimowych gwiazd poniżej dwudziestu stopni nad horyzontem miało większą jasność od niej.

- Tam właśnie mamy dotrzeć, Jacobie - rzekłem. - W końcu.

- Zgadzam się - odparł, błędnie mnie zrozumiawszy. - Tylko powiedz dokładnie dokąd.

Dziwny był to pomysł. Sugerował jednak, że czas wracać do pracy. Polecilem Jacobowi wyszukać wszystkie nowe informacje, jakie mogły odnosić się do „Tenandrome”.

- Już szukałem - odparł - Niewiele tego. - Mgławica znikła, a na monitorze pojawiło się kilka wierszy tekstu. - To jest najwcześniejsze.

Stacja Saraglia, Mmb 3 (ACS): Jak poinformował rzecznik Agencji, CSS „Tenandrome”, obecnie przebywający na ekspedycji w Mgławicy Damy z Woalką, doznał poważnego uszkodzenia napędu Armstronga. Choć skala uszkodzenia pozostaje nieznana, rzecznik poinformował, że nikt nie został ranny, a statkowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Marynarka wydała oświadczenie, w którym informuje, że oddziały ratunkowe są gotowe do akcji, gdyby pojawiła się taka potrzeba.

Jacob wyświetlił jeszcze kilka innych informacji: oficjalne oświadczenia o tym, że statek wraca do domu, obwieszczenie Rejestru Handlowego i Transportowego o przybyciu na Saraglię i jeszcze jeden formalny zapis o przybyciu na Akwarium tydzień

później.

- Czy jest coś na temat dalszych losów statku? Jakies informacje o starcie? -
Spytałem.

- Tylko standardowe ogłoszenie w Rejestrze - odparł. - Brak danych o trasie.

- Jakies nazwiska członków załogi? Czy pasażerów?

- Tylko kapitana: Sajemon McIras. Ale nie ma w tym niczego niezwykłego. Nigdy nie publikują za dużo szczegółów. Czasem pojawia się jakiś większy artykuł, ale to rzadkość.

- Może są jakies materiały poza siecią.

- Jeśli nawet są, nie będzie mi łatwo do nich dotrzeć. Poza tym wygląda na to, że jeśli stało się coś niezwykłego, dziennikarze nigdy nie wpadli na ten trop.

- Dobrze. Może ta McIras coś nam powie. Mamy jej adres?

- Tak. Przebywa ze swoim statkiem w Moira Deeps. Sprawdziłem zapisy domu. Gabe wysłał jej dwie symulacje. Pierwszą zignorowała.

- A drugą?

- Wysłała tylko krótką wiadomość:

Szanowny Panie! Podczas podróży „Tenandrome”, jeśli nie liczyć awarii napędu Armstronga, nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Z poważaniem,

Saje McIras

- Spróbujmy innej metody: przyjrzyjmy się wszystkim lotom w ciągu ostatnich kilku lat. Powinien się zarysowywać jakiś wzorzec, a może uda nam się przynajmniej ustalić obszar, w którym przebywał „Tenandrome”.

Jacob wydobył więc dane i przyjrzelismy się ostatnim lotom „Borlangeta” „Rapatutu”, „Westover” i pozostałych statków Agencji, które stacjonowały na Akwarium. Jednak schemat, jeśli w ogóle istniał, nie chciał się ujawnić.

Obszar docelowy składał się z jakichś trzech miliardów kilometrów sześciennych. Może trochę mniej.

- Czyli zostaje tylko Scott.

Jacob zamilkł na chwilę, po czym odezwał się:

- Czy mam przygotować symulację?

- Ile czasu trzeba będzie czekać na odpowiedź?
- Jeśli odpowie natychmiast, to jakieś dziesięć dni. Problem w tym, że jego kod był nieaktywny przy ostatnich czterech odczytach. Wygląda na to, że nie odpowiada na wiadomości.
- Zarezerwuj przelot - poleciłem mu bez entuzjazmu. - I tak pewnie bym poleciał osobiście.
- Doskonale. Spróbuję go powiadomić, że przyjeżdżasz.
- Nie - odparłem. - To ma być niespodzianka.

V

Patrząc prze: ściany Pellinoru w wielkie, ciekawskie oczy morskich bestii, można się zastanawiać, kto zagląda do środka, a kto wygląda na zewnątrz?

Tiel Chadwick, *Pamiętniki*

ZARÓWNO planeta, jak i miasto nazywają się Pellinor; otrzymały nazwę na cześć kapitana statku, który jako pierwszy wylądował na kilku kilometrach kwadratowych lądu: jedynym kontynencie wystającym z oceanu pokrywającego całą planetę, jedynym miejscu, gdzie człowiek mógł postawić stopę. Jednak dla każdego, kto kiedykolwiek stał za niewidzialnymi ścianami oddzielającymi miasto od morza, kto patrzył na niewyraźne kształty przemykające w jasnozielonej wodzie, potoczna nazwa tego miejsca wydaje się o wiele bardziej odpowiednia.

Akwarium.

Planeta. Wydarty morzu splachetek lądu o kształcie sierpa. Stan umysłu. Mieszkańcy często powtarzają, że ani w całej Konfederacji, ani poza nią, nie ma drugiego miejsca, w którym aż tak bardzo odczuwałoby się śmiertelność jak w Akwarium.

Planeta jest o połowę mniejsza od Rimway, ale dość ciężka: jej grawitacja wynosi 0,92 ziemskiej. Znajduje się na orbicie bardzo starej gwiazdy klasy G o nazwie Gideon, która z kolei okrąża, co zajmuje jej całe stulecia, oślepiającego gazowego giganta Heli. Oba słońca mają układy planetarne, co nie jest niczym dziwnym w przypadku układów podwójnych o dużej odległości między gwiazdami. Ten układ podwójny wyróżnia się jednak czymś niezwykłym: kiedyś żył tu inteligentny gatunek. Na czwartej planecie Heli, Belariusie, znaleziono ruiny domów liczących pięćdziesiąt tysięcy lat i był to - do pojawienia się Aszizurów - jedyny dowód, że poza nami istniał jeszcze ktoś patrzący w gwiazdy.

Belarius był wyjątkowo nieprzyjaznym miejscem: planeta pełna bujnych dżungli, z atmosferą przesyconą potworną wilgocią i żrącymi gazami, o silnej

grawitacji, z zaawansowanymi ewolucyjnie drapieżnikami i nieprzewidywalnymi burzami magnetycznymi, które były bardzo szkodliwe dla sprzętu. Nie jest to miejsce, gdzie zabiera się rodzinę na wakacje.

Akwarium było jedyną nadającą się do zamieszkania planetą w obu systemach, więc od początku zajmowało strategiczne miejsce w planach Agencji. Kiedy Harry Pellinor odkrył je trzysta lat temu, nie zainteresował się nim i uznał za zasadniczo bezwartościowe. Nie odkrył jeszcze wtedy Belariusza; ta opiewana katastrofa była ciągle przed nim. A właśnie to późniejsze odkrycie zapewniło Akwarium historyczną rolę kwatery administracyjnej, magazynu i miejsca na odbudowanie sił różnym ekspedycjom próbującym dobrać się do sekretów Belariusza.

Badań na Belariusie już od dawna się nie prowadzi. Akwarium jest jednak nadal ważnym miejscem dla administracji Inspekcji, służąc jako kwatera regionalna. Jest popularnym kurortem, szczyci się słynnym uniwersytetem, kilkoma firmami działającymi na skalę międzyplanetarną i najważniejszym w Konfederacji centrum badań oceanicznych. Kiedy tam leciałem, na planecie mieszkało trochę ponad milion ludzi.

Jednym z nich był Hugh Scott.

Statua Harry'ego Pellinora stała na szczycie centralnej wieży Dzielnicy Biznesowej. Wysokość, na jakiej się znajdowała, plasowała ją tuż powyżej poziomu morza. Lokalna tradycja głosiła, że odnotowano znaczny opór przed uhonorowaniem w ten sposób człowieka, który kojarzył się głównie z katastrofą i paniczną ucieczką, a większość jego załogi została pożarta.

Ludzie uważali, że to nie jest wzorzec, który chcieliby propagować.

Pewnie mieli rację. Ale miasto kwitło.

Kręciło się po nim mnóstwo bogatych emerytów, dobrze sytuowanych turystów i rozmaitych autokratów; ci ostatni byli głównie pracownikami firm zajmujących się komunikacją tachionową, kiedy była jeszcze w modzie.

Dolny port znajduje się na unoszącej się na wodzie platformie, z której można pojechać nadwodną kolejką do miejskiej części Pellinoru. Jeśli jest ładna pogoda, można pójść na spacer, pokonując kilka mostów pontonowych. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem w wahadłowcu, było zajrzenie do książki adresowej. Miałem adres Scotta jeszcze zanim na dobre osiedliśmy na lądowisku.

Wziąłem taksówkę, zameldowałem się w hotelu i wskoczyłem pod prysznic. Według czasu miejscowego był wczesny wieczór. Lot upłynął standardowo: kiepskie

samopoczucie podczas obu skoków i przez większość czasu między nimi. Stałem więc pod chłodnym strumieniem, przepelniony litością nad samym sobą, i układałem w głowie plany. Muszę przycisnąć Scotta, dowiedzieć się, co się stało, i wrócić na Rimway. Tam wynajmę kogoś, kto mógłby towarzyszyć Kolpath w wyprawie w poszukiwaniu rozwiązania tajemnicy Gabriela, a ja sam nie opuszczę już nigdy planety, na której się urodziłem.

Nic dziwnego, że ta nieszczęsna Konfederacja się rozpada. Przemieszczenie się z miejsca na miejsce trwa tygodniami, przesłanie wiadomości - od paru dni do paru tygodni, a podróż dla większości ludzi jest fizycznie nieprzyjemna. Gdyby Aszijurowie byli sprytni, zaproponowaliby pokój, a potem wycofali się. Przypuszczałem, że gdyby zlikwidować to zagrożenie, po prostu każdy odszedłby w swoją stronę.

Wyspałem się, wstałem wcześniej i zjadłem śniadanie w małej restauracji na dachu. Ocean rozpościerał się przede mną, cały pokryty żaglami. Słone powietrze pachniało przyjemnie, jadłem powoli. Powyżej ścian z pola Gantnera nad powierzchnią wody były tramwaje, parki i wielopoziomowe pasáže. Mieściło się w nich mnóstwo egzotycznych knajpek, kasyna, galerie sztuki i sklepy z pamiątkami. Dalej były plaże, podwieszane mola i nadmorska promenada, wznosząca się kilka metrów nad poziomem wody.

Większość ludzi twierdzi jednak, że Pellinor wygląda najbardziej niesamowicie na poziomie gruntu. Większość światła jest tam przefiltrowana przez jakieś dwadzieścia metrów zielonej wody oceanicznej. Można oglądać gigantyczne lewiatany, unoszące się majestatycznie na wyciągnięcie ręki przy stoliku, przy którym je się śniadanie.

Zatrzymałem taksówkę koło restauracji i wklepałem adres Scotta.

Nie miałem pojęcia, dokąd jadę. Pojazd wzniósł się ponad linię budynków, wmieszał się pomiędzy inne pojazdy i pomknął łukiem nad oceanem. Wyspa Harry'ego Pellinora znikła mi z oczu. Widać było tylko wieże, sterczące niesamowicie z dziury w oceanie. Jedyne część archipelagu, która leży ponad poziomem morza, to kilka wzgórz znajdujących się w dwóch skupiskach na południowy zachód od miasta. Wyglądały teraz jak małe wysepki.

Taksówka skręciła i leciała równoległe do linii brzegowej. Był piękny letni poranek. Odsunąłem osłonę i napawałem się wspaniałym klimatem. Czytałem, że atmosfera Akwarium zawiera dość dużo tlenu, co powoduje odczucie euforii. Pewnie tak jest. Zanim taksówka przechyliła się i znów skierowała w głąb lądu, zdążyłem

wpaść w cudowny nastrój. Wszystko będzie dobrze.

Kilka żagli falowało z wdziękiem pod naporem lekkiego wiatru z zachodu, a po niebie żeglował obojętnie sterowiec. Na powierzchni systematycznie pojawiały się małe fontanny, ale nie zdołałem dostrzec stworzenia, które je wytwarzało.

Ląd pojawił się szybko i znalazłem się nad wyżynami. Widniały tam szerokie, doskonale utrzymane plaże, ze ścianą lasu za nimi i długim ciągiem skał oraz kryształowych domów. Linia brzegowa była upstrzona pomostami; między drzewami widać było baseny i kabiny plażowe. W płytkiej wodzie unosiło się kilka kopuł opartych na połyskujących wiązках pola Gantnera.

Cały obszar zdominowała zatoka Uxbridge. Pewnie widzieliście to arcydzieło Durella Coila, któremu zawdzięcza sławę. Prawdopodobnie została uformowana właśnie w czasach Coila, dwa i pół wieku temu, kiedy jedna ze stacji pola Gantnera zawiodła i wdarły się wody oceanu.

Taksówka unosiła się wzdłuż brzegu zatoki; wpadło na nią kilka piaskolotów, które podekscytowane leciały za nią. Skręciła w głąb lądu, w stronę przewężenia wyspy, przeleciała nad gęstym lasem, po czym opadła na lądowisko na stoku wzgórza. Piaskoloty spadły na otaczające nas drzewa i wszczęły raban w gałęziach.

Z powietrza nie dostrzegłem domu i nie zobaczyłem go też z ziemi. Lądowisko było małe, śmigacz ledwo się na nim mieścił. Poleciałem taksówce, by poczekała, wysiadłem i ruszyłem ścieżką przez las.

Prawie natychmiast zanurkowałem w cień, w chłodny zielony świat grubych gałęzi i przemykających między nimi wiewiórek. Powinienem był wspomnieć o tym, że na Akwarium nie było praktycznie rodzimych form życia i większość flory i fauny importowano z Rimway. Nawet drzewa. Poczuję się jak w domu.

Na szczycie wzgórza, między paprociami, gałęziami i wielkimi, białymi słońcokrzewami pojawił się bungalow z trwałością. Na szerokim tarasie stało jedno krzesło. Okna były puste, drzwi zamknięte, ściany lekko zapadnięte, z dachu zwieszała się roślinność. Powietrze było gorące. Pachniało lekko rozkładem i starym drewnem.

Zapukałem.

W domu panowała całkowita cisza. Gdzieś na drzewie coś się zakotłowało i zatrzęsała się gałąź.

Zajrzałem do salonu przez frontowe okno. W półświatle wyglądał ponuro: sofa i dwa fotele, stare biurko i długi szklany stół. Na stole leżał sweter i kryształowa figurka jakiegoś morskiego stworzenia, którego nie byłem w stanie rozpoznać. Drzwi

prowadziły do drugiego pomieszczenia. Po przeciwnej stronie znajdował się regał na okazy. Był wypełniony skalami różnego rodzaju, każda z etykietką. Pewnie pamiątki z badanych planet.

Ściany były pokryte reprodukcjami, ale dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co przedstawiają: *Sim u wrót piekieł* Sanrigala, *Corsarius* Marcrossa, *Maurina* Isitamiego, melancholijny obraz Toldenyi *Na skale*. Były też inne, których dotąd nie znałem: portret Tariena Sima, kilka portretów Christophera Sima, jakiś pejzaż wyżyn Dellakondy nocą, z samotną postacią, która musiała być Mauriną przyglądającą się wszystkiemu spod szkieletu drzewa.

Jedyny obraz, który wyglądał na niezwiązany z Simem, wisiał obok skrzyni na okazy. Przedstawiał nowoczesny statek, rozjaśniony światłami, ciepły i żywy na tle dziwnych konstelacji. Zastanawiałem się, czy to „Tenandrome”.

Wiedziałem, jak Scott wygląda. Przywiozłem nawet parę zdjęć, ale wszystkie były stare. Był wysoki, ciemnoskóry, o ciemnych oczach. W jego postawie widać było jakiś brak pewności siebie, który sugerował niechęć, co sprawiało, że Scott wyglądał bardziej na sklepikarza niż na lidera zespołów badawczych podbijających obce światy.

Bungalow sprawiał wrażenie pustego. Nie porzuconego. Ale i tak nikt tu nie mieszkał.

Próbowałem naciskać na okna, mając nadzieję, że znajdę jakieś otwarte, ale wszystkie były zabezpieczone. Zastanowiłem się, czy coś zyskam, włamując się, i doszedłem do wniosku, że nie. System domu mógł zrobić mi zdjęcie na gorącym uczynku i w takiej sytuacji o jakiegokolwiek współpracy ze strony Scotta nie mogło być mowy. Pewnie też zostałbym ukarany solidną grzywną.

Wzbiłem się w powietrze i okrążyłem teren. W promieniu jakiegoś kilometra znajdowało się kilkanaście domów. Lądowałem przy nich, jeden za drugim i zadawałem pytania, przedstawiając się jako kuzyn, który przez przypadek zjawił się na Akwarium. Wyglądało na to, że mało kto zna Scotta z nazwiska, a parę osób nawet zastanawiało się, kto mieszka w tym domu.

Nikt się nie przyznał do niczego poważniejszego niż niezobowiązująca znajomość. Sympatyczny człowiek, mówili. Spokojny. Zajęty swoimi sprawami. Niechętnie zawierający znajomości.

Kobieta, którą znalazłem krzątającą się w ogrodzie supernowoczesnego domu z kamienia i szkła, częściowo opartego na polu Gantnera, wygłosiła złowieszczą uwagę.

- Zmienił się - powiedziała i oczy jej się zamglily.

- Znała go pani bliżej?

- Och, tak - odparła. - Znałam go od lat. - Zaprosiła mnie do salonu, po czym znikła w kuchni, niosąc dwa ziołowe napoje z lodem. - Przepraszam, nic innego nie mamy.

Miała na imię Nasha. Była drobna, mówiła cicho, miała błyszczące oczy i poruszała się w jakiś trzepotliwy sposób, który przypominał mi piaskoloty. Łatwo było dostrzec, że kiedyś była piękna, ale niektórzy ludzie zmieniają się bardzo szybko. Przypuszczałem, że ucieszyła się, mogąc z kimś porozmawiać.

- Co pani przez to rozumie?

- Jak dobrze znał pan kuzyna? - Spytała.

Nie widziałem go od lat. Od lat, kiedy obaj byliśmy młodzi.

- Tak długo go nie znałam. - Uśmiechnęła się. - Ale pewnie zdawał pan sobie sprawę z tego, że Hugh był niespecjalnie towarzyski?

- To prawda - odparłem. - Ale nie był z gatunku nie lubiących ludzi - zaryzykowałem. - Po prostu był nieśmiały.

- Tak - odparła. - Choć nie jestem pewna, czy sąsiedzi by się zgodzili, ja się z tym zgadzam. Mnie się wydawał całkiem sympatyczny, choć trochę samotnik - wie pan, co mam na myśli. Trzyma się od wszystkich z daleka. Dużo czyta. Większość ludzi, z którymi pracował, powiedziałyby pewnie, że zawsze się śpieszy albo jest ciągle zajęty. W bliższym kontakcie potrafi się odprężyć. Ma wspaniałe poczucie humoru, nieco szorstkie, i nie każdy potrafi je docenić. Mój mąż uważa, że jest jedną z najzabawniejszych ze znanych mu osób.

- Pani mąż...?

- Służył z nim na „Cordagne”. - Zmrużyła oczy w świetle dwóch słońc. - Zawsze lubiłam Hugh'a. Poznałam go, kiedy Josh - mój mąż - i Hugh trenowali razem przed lotem na pokładzie „Cordagne”. Nasze dzieci mieszkały wtedy z nami i byliśmy na Akwarium nowi. Pojawiły się problemy z zasilaniem. Właścicielem domu była Agencja, ale jej personel techniczny miał problemy z doprowadzeniem wszystkiego do porządku, zwłaszcza wideo, więc dzieci były zmartwione. Miały syndrom odstawienia, wie pan? Nie wiem, skąd Hugh się o tym dowiedział, ale uparł się, żebyśmy zamienili się mieszkaniem. - Zauważyła, że skończyłem pić, i dołała mi. - Właśnie taki był.

- A dlaczego pani uważa, że się zmienił?

- Trudno mi to dokładnie opisać. Wszystkie cechy, które pojawiały się bardzo rzadko, zaczęły się uwidaczniać. Jego poczucie humoru stało się przepełnione

goryczą. Bywał ponury, ale od pewnego momentu to już była depresja. Dawniej był mało towarzyski, nagle stał się odludkiem. Przypuszczam, że większość mieszkających w okolicy nie miała okazji z nim porozmawiać przez ostatnich parę lat.

- To pewnie prawda.

- Tylko ludzie, którzy z nim pracowali. Ale było coś jeszcze. Stał się złośliwy. Kiedy Harv Killian przeznaczył połowę swojego majątku na szpital i nazwano salę na jego cześć, Scott powiedział, że to żalosne. Pamiętam do dziś, co powiedział: „Chce kupić coś, na co nigdy nie zasłuży”.

- Nieśmiertelność - podsunąłem.

Skinęła głową.

- Powiedział to Killianowi prosto w oczy, Harv już się do niego nie odezwał.

- Dość okrutne.

- Dawniej Scott niczego takiego by nie zrobił. To znaczy, nic takiego by nie powiedział. Może i by tak myślał, ale nie powiedziałby. Ale przez ostatnie parę lat...

Wokół jej ust i oczu pojawiły się małe zmarszczki.

- Widziała go pani ostatnio?

- Nie było go tu od miesiący. Gdzieś wyjechał. Nie mam pojęcia dokąd.

- A może pani mąż wie?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Może ktoś w Inspekcji mógłby panu pomóc.

Przysiedliśmy. Odgoniłem parę owadów.

- Nie sądzę - odparłem. - Czy pani mąż służył kiedyś na „Tenandrome”?

- Odbił tylko jeden lot. I to wystarczyło.

- Tak, pewnie tak. A zna pani kogoś, kto brał udział w misji „Tenandrome”?

Potrząsnęła głową.

- Może w Pellinorze panu powiedzą. Proszę spróbować. - Zamyśliła się. - W ciągu ostatnich kilku lat dużo podróżował. To nie pierwsze takie zniknięcie.

- Czy pani wie, dokąd wtedy podróżował? Mówił pani?

- Tak - odparła. - Stał się maniakiem historii. Spędził parę tygodni na Grand Salinas. Jest tam coś w rodzaju muzeum na orbicie.

Grand Salinas było miejscem pierwszej porażki Christophera Sima, miejscem, gdzie dellakondyjski opór nieomal został złamany.

- Może poleciał na Hrinwhar - dodała nagle.

- Hrinwhar? - Miejsce słynnej potyczki. Ale Hrinwhar był tylko pozbawionym

atmosfery księżycem.

- Tak - pokiwała gwałtownie głową. - Tak mi przyszło do głowy. Parę razy mówił, że chciałby obejrzeć Hrinwhar.

Z jej werandy nie było widać domu Scotta, tylko wzgórze, na którym stał. Osłoniła oczy przed słońcem i spojrzała w tamtą stronę.

- Prawdę mówiąc - rzekła - Josh chyba cieszy się, że wyjechał. Dotarliśmy do takiego punktu, gdzie czuliśmy się nieswojo, gdy tu był. - W jej głosie pobrzmiwał jakiś oschły ton. Chłód. Pod tą powierzchnią wyczuwałem czerwoną nitkę gniewu.

- Dziękuję - rzekłem.

- Ależ nie ma za co.

Poprosiłem wszystkich, z którymi rozmawiałem, żeby dali mi znać, kiedy Scott wróci. Potem, rozczarowany, wróciłem do Pellinoru.

Kompleks, w którym mieści się siedziba regionalna Agencji, składa się z pół tuzina budynków o całkowicie odmiennych stylach architektonicznych: nowych i starych, miejscowych i importowanych. Kryształowa wieża stoi tuż obok prostych, funkcjonalnych biurowców, czterodzielna kopuła sąsiaduje z gotyką świątynią. Przypuszczam, że przybywając tam miałem już za sobą za dużo przemyśleń na temat wojny Christophera Sima, ale przyszło mi do głowy, że cały ten kompleks zmontowano pod ostrzałem wroga.

Biblioteka znajdowała się w kopule, na parterze. Nazwano ją na cześć Wickera Closurea, który był jakimś administratorem, dawno temu. (Uderzyło mnie, że wszystkie budynki, skrzydła i laboratoria upamiętniały jakichś biurokratów albo darczyńców. Ludzie, którzy odbyli podróż do gwiazd, musieli zadowolić się paroma tablicami i sentencjami w muzeum. A nazwiska tych, którzy zginęli, wyryto na płycie w głównym hallu.)

Gdy tam dotarłem, było już późno. Biblioteka była prawie pusta. Kilka osób, które wyglądały na studentów ostatnich lat, siedziało przy terminalach albo w ciszy przedzierało się przez jakieś archiwa. Wybrałem kabinę, wszedłem do środka i zamknąłem drzwi.

- „Tenandrome” - zażądałem. - Historia.

- Proszę włożyć opaskę.

Głos dobiegał z głośnika nad monitorem. Był to głos mężczyzny, erudyty w średnim wieku.

Wypełniłem polecenie. Światło stało się bardziej delikatne i przybrało kolor nocnego nieba, jak w planetarium. W ciemności pojawiła się iskra światła, która następnie przekształciła się w strukturę składającą się z brył i kresek. Obracała się powoli wokół własnej osi.

- „Tenandrome” - rzekł narrator - został zbudowany osiemdziesiąt sześć standardowych lat temu na Rimway, z przeznaczeniem do eksploracji głębokiego kosmosu. Jest jednym ze statków klasy Cordagne. Przejście do hiperprzestrzeni zapewnia podwójny napęd Armstronga; czas potrzebny na naładowanie napędu między skokami to około cztery godziny. Napęd statku działa w oparciu o zasadę przyspieszonej fuzji, generując 80000 megawatów w normalnych warunkach pracy. - Obraz statku rósł, aż zajął pół kabiny. Był szary, prosty, nieciekawym, dwie grupy brył zamontowane na równoległych osiach, połączone na końcu systemem napędu magnetycznego (do manewrów w przestrzeni liniowej) i z przodu przy mostku.

Przerwałem odtwarzanie opisu.

- Historia - rzekłem. - Ostatnia misja.

Statek unosił się w ciemnościach.

- Przykro mi. Takie informacje są niedostępne.

- Dlaczego?

- Dziennik pokładowy statku został zatrzymany do depozytu sądowego z powodu domniemanych nieprawidłowości związanych ze sprzętem. Kwestie związane z odpowiedzialnością uniemożliwiają ujawnienie danych na tym etapie.

- O jakie nieprawidłowości chodzi?

- Takie informacje nie są obecnie dostępne.

- Czy misja została skrócona?

- Tak.

- Dlaczego?

- Takie informacje nie są obecnie dostępne.

- Kiedy będą dostępne?

- Przykro mi, ale nie dysponuję danymi umożliwiającymi udzielenie odpowiedzi na to pytanie.

- Proszę o podanie planowanej trasy misji.

- Takie informacje nie są obecnie dostępne - odpowiedział system po chwili.

- Czy planowana trasa nie jest informacją dostępną publicznie?

- Już nie. Została usunięta.

- Przecież gdzieś musi być kopia.

- Nie dysponuję taką informacją.

Schemat „Tenandrome” migał na monitorze, jakby system czymś się zdenerwował.

- Gdzie jest teraz „Tenandrome”?

- Trwa drugi rok sześćoletniej misji do Moira Deeps.

- Proszę o podanie listy załogi i zespołów badawczych „Tenandrome”.

- Z której misji?

- Dowolnej z czterech ostatnich.

- Mogę podać informacje o misji piętnastej, szesnastej i aktualnej.

- A z siedemnastej?

- Nie są dostępne.

- Dlaczego?

- Takie informacje są poufne.

Zdjąłem opaskę i spojrzałem przez okno na oświetlony park. Gdzieś daleko, w ścianie oddzielającej miasto od oceanu odbijały się światła.

Do licha, co oni ukrywają? Co takiego mogą ukrywać?

Ktoś wiedział.

Ktoś musiał wiedzieć.

Zacząłem tropić biurokratów i badaczy. Polowałem na nich w barach, pod muzeum, na ławkach w pasażach, na plażach, na lśniących korytarzach siedziby Agencji, w kinach i restauracjach, w siłowniach i klubach szachowych.

Kiedy zagadywałem mimochodem, wszyscy chętnie spekulowali na temat „Tenandrome”. Najczęściej spotykaną teorią, która u wielu przybrała już formę głębokiego przekonania, był pomysł Chase Kolpath: misja znalazła obcych. Niektórzy twierdzili, że kilka statków marynarki zostało wysłanych w miejsce odkrycia, a prawie wszyscy słyszeli, że kilku młodych członków załogi wróciło z siwizną.

Ta historia miała też inny wariant: „Tenandrome” znalazł dryfującą w kosmosie starożytną flotę i zaczął ją badać. W pokrytych skorupą statkach było jednak coś, co zniechęciło załogę do dalszej eksploracji i zmusiło kapitana do przerwania misji i odwrotu. Jeden brodaty endokrynolog powiedział mi z całkowitą powagą, że statek znalazł ducha. Ale oczywiście nie mógł lub nie chciał rozwijać tego tematu.

Starsza pani, analityk systemowy, którą pewnego wieczora spotkałem na

nadmorskim tarasie, powiedziała mi, że znaleziono enklawę obcych, grupę wież na pozbawionym atmosfery księżycu. Obcy od dawna nie żyli, ale ich zwłoki były doskonale zachowane w schronach.

- Słyszałam - dodała - że wszystkie wieże były rozhermetyzowane i dokonano tego od środka.

Najdziwniejszą historię słyszałem od agenta wynajmującego śmigacze, który powiedział, że statek natrafił na pojazd pełen ludzi, którzy nie mówili żadnym znanym językiem, ale zasadniczo wyglądali identycznie jak my - to znaczy, wyszeptał, ich narządy płciowe pasowały do naszych - ale nie mieliśmy z nimi wspólnych przodków.

Znalazłem też młodą kobietę, która znała Scotta; pewnie zawsze się jakaś znajdzie, jak się dobrze poszuka. Była rzeźbiarką, szczupłą i atrakcyjną, z miłym uśmiechem.

Właśnie z kimś zerwała (albo on z nią: czasem trudno określić) i wylądowaliśmy w małym barze na molo. Miała na imię Ivana i tego wieczora była taka bezbronna. Mogłem ją zaciągnąć do łóżka, ale wyglądała na tak zdruzgotaną, że nie potrafiłem się zmusić, żeby aż tak ją wykorzystać.

- Gdzie on jest? - Spytałem. - Wiesz, dokąd poleciał?

Dużo już wypła, ale najwyraźniej alkohol za bardzo na nią nie działał.

- Poza planetę - odparła. - Gdzieś. Ale wróci.

- Skąd wiesz?

- Zawsze wraca. - W jej głosie czaił się jad.

- Robił już takie wypadki?

- Och, tak. On nie jest z takich, co lubią siedzieć na tyłku.

- Dlaczego? Dokąd on lata?

- Pewnie mu się nudzi. Odwiedza pola bitew z czasów Ruchu Oporu. Albo pomniki. Sama nie wiem.

W barze było głośno, więc wyciągnąłem ją na zewnątrz. Świeże powietrze powinno dobrze nam zrobić.

- Ivano, czy on ci mówi, kiedy wróci? Albo co widział?

- Nie, Aleksie, nie rozmawia o tym ze mną. A mnie nigdy nie przyszło do głowy, żeby go pytać.

- Słyszałaś kiedyś o Leishy Tanner?

Miała już zaprzeczyć, ale zmieniła zdanie.

- Tak - rzekła i rozpromieniła się. - Wspomniał o niej parę razy.

- Co mówił?

- Ze próbuje się czegoś o niej dowiedzieć. To jakaś postać historyczna.

Ocean czaił się do skoku pod nami jak mroczna bestia.

- On jest dziwny. Przy nim czasem czuję się niezręcznie.

- Skąd go znasz?

- Nie pamiętam. Chyba poznaliśmy się na jakimś przyjęciu. A czemu pytasz? Co cię to obchodzi?

- Bez żadnego konkretnego powodu - odparłem. Posłała mi śliczny, smutny uśmiech, a potem powiedziała coś, co mnie zaskoczyło.

- Ale co cię obchodzi Scott?

Zapodałem jej moją historyjkę, a ona wyraziła swoje współczucie z powodu faktu, że straciłem z nim kontakt.

- Jak go znów zobaczę - rzekła - powiem mu, że tu byłeś.

Wypiliśmy jeszcze trochę i znowu ruszyliśmy na spacer.

Noc miała jakiś urok, a podczas spaceru wzdłuż morza nie mogłem się powstrzymać przed zerkaniem na uda Ivany.

- Stał się jakiś dziwny - powiedziała znów. W ciągu całego wieczoru wygłosiła te uwagi kilka razy.

- Od czasów misji „Tenandrome”?

- Tak.

Zatrzymaliśmy się, a ona oparła się o poręcz, spoglądając w morze. Wyglądała na zagubioną. Wiatr szarpał poły jej zakietu, więc owinęła się mocniej.

- Jak tu cudownie - powiedziała.

Akwarium nie ma satelity, ale na nocnym niebie dominuje Mgławica Zawołowanej Damy, o wiele jaśniejsza i bardziej zniewalająca niż księżyc w pełni na Rimway.

- Przywieźli coś stamtąd. Na „Tenandrome”. Wiedziałeś o tym?

- Nie - odparłem.

- Nikt nie wie, co to jest. Ale coś tam było. Nikt nie chciał o tym rozmawiać. Nawet McIras.

- Kapitan?

- Zimnokrwista suka, jeśli wiesz, co mam na myśli. - W jej oczach coś zabłysło. - Przylecieli, a potem znów odlecieli. Na kolejną długą misję. Załoga znikła, zanim ktoś zauważył, że wróciła.

- A naukowcy?

- Pojechali do domu. Zwykle jadą do domu, a potem wracają, żeby złożyć raport. Ale nie tym razem. Nigdy już żadnego z nich nie zobaczyłam. Oczywiście z wyjątkiem Hugh'a.

Znów spacerowaliśmy. Nabrzeże Pellinoru było kuszące i piękne; skrzące się światła unosiły się na wodzie.

- W pewnym sensie nigdy nie wrócił do domu. A przynajmniej nie na dobre. Zawsze jest gdzieś daleko. Jak teraz.

- Mówiłaś, że odwiedza pola bitew. Na przykład gdzie?

- Na przykład ostatnio Miasto na Grani, Ilianda. Randin'hal. Grand Salinas.

Była to lista słynnych bitew z czasów Oporu.

- Tak - powiedziała, dostrzegając moją reakcję. - Ma jakiegoś bzika na punkcie Simów. Nie wiem, o co mu chodzi, ale chyba czegoś szuka. Wraca do domu po paru tygodniach albo miesiącach podróży, idzie do biura Inspekcji, a potem znowu wyjeżdża. Nigdy się tak nie zachowywał. - Głos jej zadrżał. - Nic nie rozumiem.

Gdyby ktoś myślał, że się do tych poszukiwań nie przyłożyłem, muszę wyznać, że próbowałem też działań bardziej bezpośrednich. Pod koniec, kiedy już odbiłem się od ściany zamykającej drogę moich nieformalnych rozpytywań, wkroczyłem prosto do budynku administracji, który nazywają Dobudówką, i poprosiłem o spotkanie z dyrektorem ds. operacji specjalnych. Nazywał się Jemumba.

Odesłano mnie do sekretarki. Proszę określić cel wizyty, skontaktujemy się z panem, może za sześć miesięcy. W końcu udało mi się porozmawiać z kimś z jego przydupasów. Oczywiście zaprzeczył, jakoby cokolwiek dziwnego tam się stało. Tak, słyszał plotki, ale w tej branży zawsze są plotki. Zapewnił gorąco, że nie znaleziono żadnych obcych, przynajmniej na planetach odwiedzonych przez Inspekcję. A poza tym pomysł, jakoby odnotowano jakieś ofiary w ludziach podczas lotu „Tenandrome”, jest zwyczajnie absurdalny.

Wyjaśnił, że utajnienie dziennika pokładowego i innych informacji dotyczących lotu było standardową procedurą w przypadkach, gdy toczy się postępowanie sądowe, a w przypadku 17. misji „Tenandrome” tych procesów było sporo.

- Panie Benedict, awaria głównego napędu to nie drobiazg - wyjaśnił ostentacyjnie, ale z zapalem. - Agencja poniosła znaczne koszty, a kwestia odpowiedzialności jest dość zamotana. Przypuszczamy jednak, że w ciągu jakiegoś

roku wszystko się wyjaśni. A kiedy to nastąpi, będzie pan miał dostęp do wszystkich informacji, jakich pan poszukuje, z wyjątkiem danych załogi i naukowców, bo tych nigdy nie ujawniamy. Ochrona danych osobowych, sam pan rozumie.

- Proszę zostawić nazwisko i adres. Skontaktujemy się z panem.

Nie miałem więc wyjścia: musiałem polecieć na Hrinwhar. Nie ma tam lotów rejsowych. Wynająłem „Centaura” i zatrudniłem Chase jako pilota tego złomu. Skok jest jeszcze gorszy w małym statku, więc podczas obu pochorowałem się bardziej niż zwykle i przysięgałem sobie, że to już ostatni raz.

Nie musieliśmy nawet lądować. Hrinwhar to upstrzony kraterami, pozbawiony atmosfery kawałek niklowo-żelazowej skały w obrębie pierścieni gazowego giganta: przypuszczam, że dlatego Aszijurowie wybrali go na bazę wojskową. Niektórzy mówią, że atak na bazę był największym sukcesem Sima. Dellakondyjczycy odciągnęli obrońców i praktycznie roznieśli bazę w pył, a następnie odlecieli z kilkoma najstaranniej strzeżonymi sekretami wroga.

Nadal istniały liczne ślady ataku: kilka podziurawionych kopuł, pusty szyb, który kiedyś był dokiem remontowym okrętów wojennych, kawałki metalu i plastiku poniewierające się po powierzchni. Pewnie dokładnie tak to wyglądało, kiedy Christopher Sim i jego ludzie wycofali się dwieście lat temu.

Chase nie mówiła wiele. Odniosłem wrażenie, że bardziej przygląda się mnie niż księżycowemu krajobrazowi.

- Wystarczy? - Spytała, gdy wykonaliśmy parę okrążeń.

- Nie ma go tam - odparłem.

- Nie. Nikogo tam nie ma.

- Po co ktoś miałby przylatywać na takie pustkowie?

VI

Wzniecić ogień!

Condor-ni, II, 1

Sim to skurwiel: czternaście tysięcy lat historii, z której można czerpać, a on jest nadal takim samym starym bufonem.

Leisha Tanner, *Notatki*

KIM BYŁ TOWARZYSZ podróży Gabriela na pokładzie „Capelli”?

Na pokład statku przeszły z wahadłowca, który wystartował z Rimway, sześćdziesiąt cztery osoby. Dwadzieścia z nich leciało na Stację Saraglia. (Wielkie statki międzygwiazdne, rzecz jasna, nigdy nie zawijały do portów docelowych. Zbyt wiele energii musiałyby wówczas zostać zmarnowane na walkę z inercją, więc przelatywały przez układy planetarne z wielką prędkością. Pasażerów i ładunki przerzucano podczas lotów z lokalnych pojazdów.) Było dość prawdopodobne, że ten towarzysz znalazł się właśnie wśród rzeczzonej dwudziestki.

Przeglądałem ich nekrologi, szukając potencjalnych kandydatów. W grupie byli emeryci na wakacjach, personel marynarki na urlopie, trzy pary nowożeńców, kilku biznesmenów.

Cztery osoby pochodziły z Andiquaru: para agentów zajmujących się importem i eksportem, dziecko, które mieli odebrać krewni, i emerytowany oficer, stróż prawa. Żadne z nich nie wyglądało na obiecujące, ale postanowiłem zacząć od Johna Khybera, tego oficera, i okazało się, że mam szczęście.

Znalazłem adres najbliższej rodziny z nekrologu i połączyłem się.

- Nazywam się Alex Benedict - oznajmiłem. - Czy mogę rozmawiać z panią Khyber?

- Jestem Jana Khyber.

Czekałem, aż się zmaterializuje, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Przepraszam, że panią niepokoję. Mój wuj podróżował na pokładzie „Capelli”.
Przypuszczam, że znał pani męża.

- Ach, tak? - W jej głosie dało się słyszeć wyraźną zmianę: delikatność, zainteresowanie, ból. - Przykro mi z powodu pańskiego wuja. - Usłyszałem, jak włącza się projektor Jacoba. Powietrze zamigotało i pojawiła się: stateczna, trochę w typie matrony, uważna. Może nieco zdenerwowana: nie wiedziałem, czy z mojego powodu, czy z powodu Gabriela, czy też jej męża. - Cieszę się, że mogę z kimś o tym porozmawiać. Dokąd oni lecieli?

- Nie wie pani?

- Skąd miałabym wiedzieć? „Zaufaj mi”, powiedział. A to skurwiel.

- Znała pani Gabriela Benedicta?

- Nie - odparła po sekundzie namysłu. - Nie wiedziałam, że mój mąż z kimś podróżuje. - Zmarszczyła czoło, a jej okazałych rozmiarów piersi uniosła się i opadła. - Nie wiedziałam w ogóle, że gdzieś podróżuje. To znaczy, poza planetę.

- Czy on kiedyś był na stacji Saraglia?

- Nie. - Założyła ręce na piersi. - Nigdy nie opuścił Rimway. A przynajmniej nie mi na ten temat nie wiadomo, bo teraz nie jestem już tego taka pewna.

- Ale wiedziała pani, że przez jakiś czas go nie będzie?

- Tak. Wiedziałam.

- Tak bez wyjaśnienia?

- Bez wyjaśnienia - odparła, przygryzając wargę i powstrzymując szloch. - Mój Boże, nigdy nie mieliśmy żadnych problemów, panie Benedict. Żadnych. Powiedział mi, że jest mu przykro, ale nie może powiedzieć dlaczego, i że go nie będzie przez sześć miesięcy.

- Sześć miesięcy? Musiała się pani przecież dopytywać...

- Pewnie, że się dopytywałam. „Wezwali mnie”, powiedział. „Potrzebują mnie i muszę jechać”.

- Kto?

- Agencja. Był oficerem do spraw bezpieczeństwa. Emerytowanym, ale to bez znaczenia. Nadal jest konsultantem.

- Zawahała się, ale nie poprawiła. - Specjalizował się w przestępstwach gospodarczych, a wie pan, ile tego dziś jest. - Wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać. - Nie wiem, o co w tym wszystkim chodziło i dlatego to tak bardzo boli. On zginął, a ja nawet nie wiem, po co to wszystko było.

- Pytała pani w Agencji?

- Twierdzą, że o niczym nie wiedzą. - Spojrzała na mnie.

- Panie Benedict, on nigdy nie dał mi żadnego powodu, żeby mu nie ufać.

Byliśmy razem tyle lat i wtedy po raz pierwszy mnie okłamał.

Po raz pierwszy się zorientowałam, pomyślałem. Ale spytałem tylko:

- Interesował się może archeologią?

- Nie przypuszczam. Chyba nie. Czy ten cały Gabriel jest archeologiem?

- Tak.

- W takim razie nie widzę między nimi żadnego związku.

Też nie byłem w stanie się go doszukać.

Jej głos zadrżał.

- Prawda jest taka - powiedziała, walcząc o panowanie nad sobą - że ja nie wiem, co on robił na tym przeklętym statku, nie wiem, dokąd leciał, nie wiem, co miał zamiar zrobić, kiedy tam doleci. Jeśli ma pan jakieś pomysły, to będę wdzięczna, jeśli się pan z nimi podzieli. Jakim człowiekiem był pana wuj?

Uśmiechnąłem się, chcąc uśmierzyć jej strach.

- Najlepszym, jakiego znalazem, pani Khyber. Na pewno nie zamierzał wplątać pani męża w żadne niebezpieczeństwo. Ani cokolwiek, co mogłoby panią niepokoić. - Po co emerytowany oficer policji miałby tam lecieć? Jako ochroniarz? Nie było to specjalnie prawdopodobne. - Czy pani mąż był pilotem?

- Nie.

- Proszę mi powiedzieć, pani Khyber, czy interesował się historią? A zwłaszcza Ruchem Oporu?

Przez jej twarz przeniknął wyraz zaskoczenia.

- Tak - odparła. - Interesował się wszystkim, co stare, panie Benedict. Zbierał stare książki, fascynowały go dawne statki i należał do Stowarzyszenia imienia Talino.

Bingo.

- A co to jest to Stowarzyszenie imienia Talino? - Spytałem z zainteresowaniem. Spojrzała na mnie ze spokojem.

- Panie Benedict, nie sądzę, żeby nas to do czegokolwiek doprowadziło.

- Proszę - odparłem. - Już mi pani bardzo pomogła. Proszę mi opowiedzieć o tym Stowarzyszeniu imienia Talino. Nigdy o tym nie słyszałem.

- To w rzeczywistości klub pijacki. Udają historyków, ale przeważnie po prostu robią imprezy. Spotykają się w ostatni weekend miesiąca w Collandium i dobrze się

bawią. - Wyglądała na bardzo zmęczoną. - Był jego członkiem przez dwadzieścia lat.

- Pani też do niego należała?

- Tak, zwykle z nim chodziłam.

- A dlaczego nazywa się Stowarzyszenie imienia Talino?

Wreszcie udało jej się uśmiechnąć.

- Panie Benedict, niech pan tam pójdzie i sam się przekona.

W dniu, w którym rozmawiałem z Janą Khyber, wydarzyły się jeszcze dwie inne rzeczy. Brimbury&Conn przysłali wycenę mojego majątku. Było tego o wiele więcej, niż się spodziewałem, i uświadomiłem sobie, że nie będę już musiał w życiu pracować. Już nigdy. Dziwne, ale czułem z tego powodu wyrzuty sumienia. To były w końcu pieniądze Gabriela. A ja nie obszedłem się z nim zbyt łagodnie.

Druga nowinka była taka, że Jacob odkrył gdzieś na końcu świata bibliotekę, w której przechowywano notatki Leishy Tanner. Natychmiast je zamówił i w porze lunchu przybyły.

Nękali mnie ze wszystkich stron różni złodzieje i naciągacze, udając, że prowadzili interesy z moim wujem, i deklarując chęć „kontynuowania” świadczenia jakichś usług o wyśrubowanych cenach. Byli tam handlarze winem, pośrednicy w handlu nieruchomościami, ktoś, kto przedstawiał się jako fundacja zamierzająca wznosić pomniki słynnych biznesmenów, i kilku menedżerów zajmujących się zarządzaniem portfelami aktywów. I tak dalej. Miałem nadzieję, że z czasem będzie ich coraz mniej, niestety, wręcz przeciwnie, wciąż ich przybywało.

- Od tej chwili - poleciłem Jacobowi - tylko ty będziesz się nimi zajmował. Odstrasż ich. Zniechęć.

- Jak?

- Wymyśl coś. Możesz powiedzieć, że przeznaczamy wszystkie pieniądze na szlachetny cel, wymyśl jakiś, a ja zamierzam uciec na szczyt góry.

I zasiadłem do czytania Leishy Tanner.

Notatki obejmują pięć lat, w czasie których pracowała jako wykładowca na uniwersytecie Khaja Luan, na planecie noszącej tę samą nazwę. Pierwsze zapiski pochodzą z czasów, gdy poznała poetę Walforda Candlesa, ostatnie dotyczą jej rezygnacji, w trzecim roku działalności Ruchu Oporu. Pierwotnie miały opisywać postępy jej studentów, lecz gdy zaczęły się niepokoje na Imariosie i bunt, jaki po nich nastąpił, a następnie katastrofalna interwencja Cormoralan, przekształcają się w

obrazowy portret społecznego i politycznego przewrotu na małej planecie, która walczy o zachowanie niezależności, równoznacznej z przetrwaniem, w czasach, gdy Christopher Sim i jego bohaterowie rozpaczliwie potrzebują pomocy.

Niektóre z tych portretów budzą niepokój. Przyzwyczailiśmy się sądzić, że ci, którzy aktywnie stanęli do walki z najazdem Aszijurów, to patrioci: dzielni mężczyźni i kobiety, którzy ryzykowali życiem i majątkiem, podróżując po setkach planet, by przekonać nastawione nieprzychylnie rządy do podjęcia interwencji w czasach kryzysu. A tymczasem Tanner tak opisała reakcję na atak niemot na Miasto na Grani:

Dziś w centrum miasta kolejni mówcy ciskali gromy na rząd i namawiali do natychmiastowej interwencji. Było kilka osób z uniwersytetu, nawet stary Angus Markham: nigdy nie widziałam, żeby był aż tak wściekły. Dołączyło do nich kilku polityków, którzy już stracili wpływy, i kilku artystów, którzy poważnie myśleli, że powinniśmy wysłać całą flotę do walki z Aszijurami. Przeczytałam wczoraj, że ta „flota” składa się z dwóch niszczycieli i jednej fregaty. Jeden z niszczycieli właśnie przechodzi poważny remont, a wszystkie trzy statki są przestarzałe.

Było tam paru innych, których wzięłam za członków Przyjaciół Konfederacji. Podburzali tłum, który sprzął pałkami kilka osób niepodzielających jego poglądów i chyba jakąś parę, która nie przemieszczała się wystarczająco szybko. Potem przemaszerowali przez miasto w stronę budynku Rady. Z Grenville Park do Balister Avenue jest wszak spory kawałek drogi, więc po drodze przewrócili kilka pojazdów, zaatakowali policję i wtargnęli do kilku barów.

Patriota to ktoś, kto jest gotów poświęcić wszystko, nawet dzieci innych ludzi, dla Sprawy.

Tak czy inaczej, do diabła z Simem! Wojna trwa już od dawna i wszyscy wiedzą, że nie ma żadnego sensu. Krążą plotki, że Aszijurowie złożyli nam ofertę Amordy. Na litość boską, mam nadzieję, że Rada jest na tyle mądra, żeby się zgodzić.

Sprawdziłem, co oznacza słowo „Amorda”. Była to gwarancja pokoju i autonomii dla wszystkich światów, które przyjmą zwierzchnictwo Aszijurów. Ze zdumieniem odkryłem, że na każdą zamieszkałą przez ludzi planetę, która poparła Ruch Oporu, przypadały dwie, które zachowały neutralność, a kilka nawet popierało najeźdźców.

Amorda. Był to prosty akt ofiarowania: kilka centymetrów sześciennych ziemi ze stolicy danej planety, zamknięte w urnie z czystego srebra, oznaczające wierność.

Przeglądałem dalej: Rada debatowała o tym, co robić dalej, a tymczasem zaatakowano Miasto na Grani. Aszijurowie unicestwili jego obronę i fabryki na orbicie. Ośrodek kultury, odwieczny symbol literatury, demokracji i postępu na Pograniczu, został zajęty z taką łatwością. *To niewybaczalny błąd*, napisała Tanner. *Narzuca się pytanie, czy Aszijurowie celowo starają się stworzyć takie warunki, by Tarien Sim zawarł sojusz przeciwko nim, W każdym razie moment, w którym rząd Khaja Luan mógł ogłosić neutralność, jeśli w ogóle taki istniał, minął bezpowrotnie. Przystąpimy do wojny, jedyne pytanie brzmi tylko: kiedy.*

Atak nie jest dla nikogo zaskoczeniem. Miasto na Grani i jego mała grupka sojuszników były teoretycznie neutralne, ale nie było tajemnicą, że ochotnicy stamtąd walczą aktywnie po stronie Dellakondyjczyków. Wszyscy wiedzieli także, że Sim otrzymuje dostawy z ich fabryk na orbicie. Czyn Aszijurów został usprawiedliwiony, ale żałuję, że nie wykazali się pewną powściągliwością. Może to spowodować, że do wojny przystąpi Ziemia i Rimway. Jeśli tak się stanie, Bóg raczy wiedzieć, czym się to skończy.

Tanner prowadziła zajęcia z etyki porównawczej, kiedy nadeszły pierwsze wieści. Skomentowała to smutno: *dyskutowaliśmy o pięknie i dobru, podczas gdy dzieci Platona i Tulisofali podrzywały sobie nawzajem gardła.* W cel uderzyła flota kilkuset statków, które rozbiły w proch prowizorycznie rozmieszczoną obronę. Klęska nastąpiła po kilku godzinach. A tego samego wieczora, *kiedy większość z nas zajmowała się swoimi stekami i winami, ci przekłęci durnie pogorszyli jeszcze sprawę, rozstrzelując kilku zakładników, jakim cudem rasa telepatów potrafi tak źle ocenić naturę swego wroga?*

Obraz tych czasów, jaki przedstawia nam Tanner, jest dojmujący: rozjuszeni obywatele domagający się przystąpienia do wojny, pompatyczny rektor prowadzący wspólną modlitwę, student z wymiany, pochodzący z podbitej planety, z trudem powstrzymujący łzy, i jej własne wyrzuty sumienia na myśl o tym, że *to takie przewrotne: ci, którzy nawołują do racjonalnego postępowania, jawią się jako tchórze.*

Co jakiś czas zadaje swojemu dziennikowi - a ostatecznie nam - pytanie: *jak to możliwe, że rasa postępująca zgodnie z ideałami Tulisofali, tworząca tak wspaniałą muzykę i układająca cudowne kamienne ogródki, może zachowywać się tak barbarzyńsko?*

Nie zapisała żadnej odpowiedzi.

W różnych innych miejscach swego dziennika, przy podobnej okazji (przypuszczam, że chodziło o klęskę obrońców Randin'hal), ze złością wspomina o Zasadzie Bogoliubowa.

Też to sprawdziłem. Andriej Bogoliubow żył na Toksykonie tysiąc lat temu. Był historykiem i specjalizował się w podejmowaniu prób przekształcenia historii w naukę ścisłą, z przewidywalnością, jaka charakteryzuje nauki ścisłe. Oczywiście nigdy mu się nie udało.

Jego zainteresowania skupiały się na procesie, który sprawia, że dwie niechętne siły angażują się w konflikt. Jego teza brzmiała, że potencjalni antagoniści angażują się w coś w rodzaju dyplomatycznego tańca wojennego o określonej, wyrażonej charakterystyce. Taniec wojenny stwarza sytuację psychologiczną, która ostatecznie gwarantuje, że dojdzie do starcia zbrojnego, gdyż wydarzenia nabierają impetu. Twierdził, że jest to szczególnie prawdziwe w przypadku demokracji. Kiedy już taki proces się rozpocznie, bardzo trudno go przerwać. Gdy dojdzie do pierwszego rozlewu krwi, wycofanie się stanie się nieomal niemożliwe. Pierwotne ambicje i zamierzenia gdzieś giną, każda ze stron zaczyna wierzyć we własną propagandę, gospodarki stają się zależne od nieprzyjaznego środowiska, a kariery polityczne buduje się wokół wspólnego zagrożenia. Cykl wojennogenny się zacieśnia i nie wygaśnie, dopóki jednej czy drugiej stronie nie skończą się środki.

Jeśli po obu stronach nie dojdą do władzy liderzy, którzy rozpoznają właściwy charakter sytuacji, którzy będą mieli wystarczającą charyzmę i wsparcie wewnętrzne, by mogli działać, nie będzie możliwe inne rozwiązanie konfliktu niż militarne. Niestety, układy polityczne rzadko są tak skonstruowane, by dopuszczać do głosu polityków, którzy w ogóle są zdolni do tego, żeby pomyśleć o strategii rozbrojenia, a co dopiero o wdrożeniu jej. W przypadku dwóch osób, które ruszają naprzeciwko siebie w chwili kryzysu, szanse są raczej marne.

Z perspektywy lat trudno ocenić przerażenie, jakie zapanowało po upadku Miasta na Grani, dla nas będącego głównie symbolem zaginionej chwały, jak Atlantyda. Dla mieszkańców Pogranicza dwa wieki temu była to jednak potęga: w pewnym sensie wszyscy byli jego obywatelami; jego muzycy, artyści i polityczni teoretycy byli własnością publiczną, a atak na to miasto był atakiem na wszystkich. Tanner zapisała uwagę Walforda Candlesa: *siedzieliśmy przy zalanych słońcem stołach, przy szerokich bulwarach, sącząc kosztowne wino*. Myślenie o tym, że tak piękne miejsce jęczy pod batem najeźdźcy, musiało być bolesne.

Kilku studentów Tanner ogłosiło, że zamierza opuścić szkołę i zaciągnąć się do wojska. Wśród jej przyjaciół zarysowały się głębokie podziały. Píše o Matcie Olanderze, fizyku w średnim wieku, którego żona i córka zginęły dwa lata wcześniej na Cormoral. *Wczoraj po południu wyszedł z sali i przez kilka godzin nikt nie wiedział, gdzie jest. Ochrona znalazła go tuż przed północą, zwiniętego na ławce w Southpool. Dziś rano oznajmił, że zamierza zaoferować swoje usługi Dellakondyjczykom. Pewnie mu przejdzie, jak się uspokoi.*

Wczoraj, podczas zebrania jednego z tych rozmaitych komitetów wojennych, jakie się dziś odbywają, Bannister próbował mówić o niebezpieczeństwach, z jakimi wiąże się interwencja. „Nie poddawajcie się”, mówił. „Jeśli dacie upust emocjom tłumy, Khaja Luan nie przetrwa nawet dwóch tygodni”. Ukamienowali go.

Olander nigdy się nie uspokoił. Złożył rezygnację, kilka dni później zaprosił Tanner na kolację, a potem się pożegnał. Tanner nie pisze nic o jego wyjeździe.

Khaja Luan, wbrew wszystkiemu, zachowało neutralność. Zamieszki trwały, zwykle podsycane wieściami z wojny albo informacjami o obywatelach-ochotnikach, którzy ginęli ramię w ramię z Dellakondyjczykami. Był to wycieńczający okres, a Tanner nie szczędziła gorzkich słów obu stronom konfliktu: *ich nieustępliwość zabiła już tylu i zagraża nam wszystkim.*

Małe grono przyjaciół z uczelni pogrąża się w goryczy i dyskusjach. Walford Candles wędruje zasmucony po nocy; zimna, znajoma zjawia. Inni mówią i piszą o wojnie, za lub przeciwko niej i sobie nawzajem.

Czasem nadchodzi wiadomość od Olandera. Siedzi na poręczy, na drewnianym moło, na tle żagli i sieci. A czasem stoi na tle jakichś roślin, może jest to drzewo, a może nie. Zawsze ma butelkę w dłoni i kobietę u boku. Nigdy nie jest to ta sama kobieta, zauważa Tanner z nutą żalu.

(Wiadomości od Olandera nie były oczywiście nowoczesnymi interaktywnymi symulacjami. Po prostu mówił, a pozostali słuchali).

Żałowałem, że Tanner nie zachowała jakiegoś hologramu Olandera. Dowiedziałem się, że Walford Candles (który dwadzieścia lat wcześniej walczył z Toksykonem, więc znał warunki wojenne z pierwszej ręki) był nimi tak poruszony, z powodu kontrastu między radosnym upodobaniem Olandera do miejscowych trunków i teatru oraz jego zwyczajami godowymi a ponurą rzeczywistością wojny, że napisał wspaniałe wiersze swojego środkowego okresu. Pierwszy zbiór nazwano na

część wiadomości od Olandera *Frontowe wieści*.

Jak pisze Tanner, *jego wzmianki o długiej walce były zawsze mgliste*. „Nie martwcie się o mnie”, mówił. „Jakoś sobie radzimy”. Albo: „Dziś straciliśmy paru chłopców”.

Czasem wspominał o statkach: „Straczyński”, „Morimar”, „Poris” i innych: smukłe, śmiercionośne, bezlitosne, a zachwyty w jego głosie zawsze nas przerażały. Czasem myślę, że dla nikogo z nas nie ma już nadziei.

Wojna trwała nadal, a gdy początkowe nadzieje, że Aszijurowie ugną się pod pierwszą falą ruchu oporu, zbladły przez jego fasadę dziarskiego wojownika zaczęta przebijać się rzeczywistość: pojawiły się ponure portrety ludzi, którzy z nim walczyli. Tanner cytuje jego wypowiedź: „Kto zajmie nasze miejsce, gdy oni odejdą?”.

Na to pytanie odpowiada wybuchem wściekłości i żalu: *Nikł! Nikt, bo trwa ta głupia wojna, której żadna ze stron nie chciała, a Aszijurowie toczą ją tylko dlatego, że rzuciliśmy im wyzwanie!*

- Ona może mieć rację - zauważył Jacob. - W końcu byliśmy na Imariosie, kiedy oni odlatywali, i bunt w tej kolonii nie był tak naprawdę uzasadniony. Można się zastanawiać, jak potoczyłaby się historia, gdyby Cormoralanie nie interweniowali.

Nie istnieją żadne zapisy świadczące o tym, że ktokolwiek ze świadków na Khaja Luan odpowiedział Mattowi Olanderowi. Można jedynie zakładać, że pewnie ktoś tak zrobił, ale brak na to dowodów. Ciekawi mnie, czy Leisha Tanner kiedykolwiek posłała mu swoje gorzkie przemyślenia...

Candles, który w tych czasach napisanie swoich arcydzieł nadal miał przed sobą, zaczyna się coraz, częściej chować w Wewnętrznej Sali. Tanner musi stawić opór interwencjonistom, którzy naciskają na nią, by dokonała restrukturyzacji swoich kursów aszijurskiej filozofii i literatury. Studenci i członkowie grona nauczycielskiego pełnią milczące dyżury podczas jej wykładów, protestując przeciwko ich treści. Ktoś grozi jej śmiercią.

Tymczasem Zarząd, którego finanse w coraz większym stopniu zależą od rządu, chce zademonstrować swoją lojalność, wspierając oficjalną politykę neutralności. I próbuje tego dokonać nie tylko zachowując program studiów aszijurskich, ale wręcz rozszerzając go.

Napięcie rośnie: Randin'hal zostaje zajęta; jej obrońcy, wspierani przez cztery dellakondyjskie fregaty, poddają się po krótkiej, dramatycznej walce. Rząd podejmuje działania mające na celu uniemożliwienie osobom prywatnym brania udziału w

obcych wojnach; znany interwencjonista zostaje zamordowany podczas wygłaszania przemówienia przed Radą. Trzy dni po nadejściu wieści o upadku Randin'hal do mediów przedostaje się nieautoryzowany zapis transmisji radiowych ze statków, które jej broniły. Tanner opisuje go jako rozdzierający serce. Wiec, który miał na celu nawoływanie do interwencji, zamienił się w zamieszki, a wniosek Concilliarczyków o votum nieufności przepada jednym głosem!

I wtedy Sim z garstką Dellakondyjczyków zaskakuje i odpiera flotę wroga od Eschalet!

W tym całym zamieszaniu nadchodzi wiadomość o śmierci Matta Olandera.

Nie mogę znaleźć słów, pisze Tanner.

„Zginął w akcji na Randin'hal, służąc na pokładzie fregaty Konfederacji »Straczynski« „, głosi oficjalny komunikat. Oglądaliśmy to oświadczenie na projektorze Candlesa, niezbyt sprawnym. Spiker był żółtozielony. „Walczył odważnie, broniąc ludzi, których nie znał, zgodnie z odwieczną tradycją Służby. Wielu oplakuje tę stratę, jego poświęcenie nie zostanie zapomniane”. Te słowa były skierowane tło wydziału fizyki.

A więc Matt nie wróci do domu. Pamiętam ostatnie rozmowy z nim, kiedy tylko potrząsał głową, gdy ja udowaśniałam, że to wszystko nie ma sensu. „Nie masz racji, Leisho”, odparł. „To nie jest wojna w zwykłym ludzkim kontekście. To przelom. Ewolucyjne skrzyżowanie. Dwie kultury techniczne, jedyne w tym Ramieniu Galaktyki, może na całej Mlecznej Drodze. Gdybym miał ciągoty religijne, powiedziałbym, że zostaliśmy do tego specjalnie przystosowani przez naturę... Bla, bla, bla”.

Do licha.

Przez większość dnia padało. Kampus jest przemoknięty i aż ciężki od wody niezależnie od napływających wieści. Ale dziś wieczorem drzewa, obeliski i gigantyczne krzewy afolii są cieniami z innego świata, miejsca bez Matta, bez porządku. Nieliczni ludzie, jakich widzę, przemykają otuleni ciężkimi kurtkami.

Śmierć na odległość.

Kilka dni później Dellakondyjczycy zastawiają pułapkę na azjurską flotę w Szczelinie i rozbijają ją. To drugie poważne zwycięstwo w tygodniu i największe pod względem strat poniesionych przez wroga: dwa duże statki, kilka mniejszych, a mała armia Sima traci tylko jedną fregatę.

Potem pojawia się tajemnica.

Zacząła się niewinnie, choć boleśnie. Osobiste holowiadomości z terenów objętych wojną miały niski priorytet, więc nikt nie był zaskoczony, kiedy nadeszła kolejna wiadomość od Olandera. Zebrali się w Wewnętrznej Sali, Leisha, Candles i inni; wielu już nie rozmawiało ze sobą, ale zjednoczyła ich wspólna strata.

Widać było jakąś imprezę: grupa oficerów, wszyscy młodzi (z wyjątkiem Matta), obu płci, niebiesko-granatowe mundury Dellakondyjczyków. Niezbyt dobrze widoczne tancerki wirowały w tle i wszyscy świetnie się bawili. Matt próbował z nami rozmawiać, przekrzykując hałas i śmiechy: mówił, że niedługo wszyscy wrócą do domu. A potem padło zdanie, którego nikt z nas na początku nie zrozumiał, ale przez które nie mogłam spać w nocy: „Teraz już wszyscy wiecie”, mówił znad kieliszka z musującym winem, „o Eschalet i Szczelinie. Wreszcie udało nam się doprowadzić do zmiany sytuacji na naszą korzyść! Powiedzcie Leishy, że skurwiele nawiewają!”

Kilka minut później, kiedy holowiadomość się skończyła, Candles chrząknął i spojrzał na mnie z wyrazem zdumienia na twarzy. „Szczelina”, powiedział. „Matt zginął podczas obrony Randin'hal. Bitwa w Szczelinie jeszcze się nie odbyła!”

I tak naprawdę na tym koniec. Potem *Notatki* ograniczają się do rzeczy dość trywialnych: załamania ogrodnika zatrudnionego przez uniwersytet, wywiadu z Candlesem, który może być ciekawy dla literaturoznawców, i wątpliwości związanych z brakiem cierpliwości Tanner do jakiejś trudnej studentki. *Mój Boże, skarży się, świat się rozpada, a ta smarkata przejmuje się tym, że nie potrafi zrozumieć, jak mało życie i śmierć znaczą dla telepaty. Ale niby jak miałyby zrozumieć aszijurską literaturę?*

Kilka tygodni później składa rezygnację i dokonuje ostatniego wpisu. To zaledwie jedno słowo: *Milenium!*

Milenium: pierwszy sojusznik Sima. Planeta, która wysłała statki na Chippewa, Grand Salinas i Rigel. Arsenal Konfederacji w dniach chwały Dellakondyjczyków. Po słynnej ewakuacji Iliandy Sim zabrał uciekinierów właśnie na Milenium.

Uwielbienie dla Sima jest na tej planecie tak wielkie, że „Corsarius” nadal figuruje w rejestrach jako okręt wojenny w służbie, a nadajniki floty nadają jego sygnał wywoławczy.

Poprosiłem bibliotekę o listę osób, które miały dostęp do *Notatek*. Informacja

pojawiła się na wyświetlaczu Jacoba, zanim udałem się na spoczynek. Sześć osób w ciągu ostatnich pięciu lat. Przypuszczałem, że znajdę tam Hugh'a Scotta. Ale nie znalazłem.

Natomiast znalazłem Gabriela.

VII

W pewnym sensie atak (na Hrinwhar) zakończył się zwycięstwem wykraczającym znacznie poza jego wartość militarną. Mit o niezwyciężonym wrogu został poważnie nadszarpnięty a Aszijurowie przekonali się, że nie mogą przeciw do przodu nie zatrzymując się nawet od czasu do czasu, by obejrzeć się przez ramię.

Przeгляд Machesneya, LXIV, Nr 7

PAŁAC NARODÓW to miejsce, gdzie obraduje ludzki rząd. Spotyka się tam Rada: oficerowie wykonawczy zostali symbolicznie umieszczeni na niższych piętrach, a Trybunał zbiera się w zachodnim skrzydle. Pałac dominuje nad wszystkimi otaczającymi go budowlami, nawet Srebrną Wieżą Konfederacji po drugiej stronie Białego Stawu.

Tuż przy budynku Trybunału, w miejscu, do którego można dotrzeć wyłącznie pieszo, na prawie kilometrze kwadratowym wspaniałego parku rozciąga się Archiwum Konfederacji. To budowla w stylu romańskim, strzeżona przez słynny brązowy pomnik autorstwa Sharpleya przedstawiający Tariena Sima ze zwojem Aktu (którego podpisania nie dożył) w wyciągniętej dłoni.

Śnieg znikł, ociepliło się, a flagi różnych planet łopotały na wietrze, zdominowane przez zielono-białą sztandar ludzkiej rasy. Było zbyt przyjemnie, by spędzić ten dzień w czterech ścianach, więc zdjąłem z głowy opaskę i dołączyłem do tłumów, które cieszyły się słońcem.

Turyści wypełniali chodniki i tłoczyli się wokół pomników.

Jeden z przewodników perorował na temat Archiwum, które było najstarszym budynkiem rządowym na Andiquarze, pochodzącym jeszcze z Czasów Niepokojów. Było kilka razy remontowane, ostatnio cztery lata temu, w 1410. To jaskinia skarbów antykwariusza: przy takich okazjach ludzie zawsze znajdują w jakichś zakamarkach cenne, zaginione od dawna dokumenty.

Główna galeria była stosunkowo pusta. Mała grupka uczniów z nauczycielką oblegała gablotę z marmuru i szkła, w której znajdował się Akt Konfederacji i kilka powiązanych dokumentów. Kilku innych gapiło się na Deklarację Zamierzeń, wspólny akt podpisany przez Ziemię i Rimway, obwieszczający ich przystąpienie do wojny z Aszijurami. Minąłem strażnika w mundurze, stojącego na warcie przy południowym łuku, i wszedłem do biblioteki.

Były tu dostępne symulacje większości działań wojennych z czasów Ruchu Oporu. Prządki. Vendicari. Czarny Adrian. Grand Salinas. Szczelina. Rigel. Tippimaru. I wreszcie Triflis, gdzie po raz pierwszy ludzka rasa stanęła do walki razem.

Po dwóch stuleciach te nazwy były nadal magiczne. Urok legendy.

Sprawdziłem pięć: Rschaton, Sanusar, Szczelina, Rigel i Prządki. Ostatnia akcja, rzecz jasna, należy do klasyki; niektórzy twierdzą, że zmieniła przebieg wojny.

W drodze do domu, szybując leniwie nad stolicą, zastanawiałem się, jak się żyło w czasach zorganizowanego chaosu. Nadal istniały pewne spięcia, a czasem dochodziło do potyczek, ale to było coś odległego, nierealnego: trudno było sobie wyobrazić egzystencję obejmującą codzienny, zinstytucjonalizowany mord. I uderzyło mnie, że ostatni konflikt, w którym brali udział wyłącznie ludzie, miał miejsce w szczytowym rozkwicie Ruchu Oporu. Gdy w Szczelinie toczyły się najważniejsze bitwy, Toksykon, którego potężnych flot Sim rozpaczliwie potrzebował i o które zabiegał, wykorzystał okazje i zaatakował dellakondyjskiego sojusznika, Muri. Sim potem nazwał to najczarniejszą godziną wojny.

Dziś, być może po raz pierwszy w historii, nie żyje już nikt, kto osobiście doświadczyłby bratobójczej wojny. I ten szczęśliwy fakt to prawdziwe dziedzictwo Tariena i Christophera Simów.

Choć nikt wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy, atak na Muri być może był najlepszą rzeczą, jaka mogła się zdarzyć, gdyż tak rozjuszył opinię publiczną na Toksykonie, że autokratyczny rząd tej planety upadł w ciągu roku. Interwencjoniści, szczerze wspierani przez rzadko spotykany sojusz cywilów i wojska, przejęli władzę i ogłosili poparcie dla Dellakondy. Niestety, wieści o przystąpieniu Toksykonu do wojny przyćmiły otrzymane kilka godzin później wiadomości o śmierci Christophera Sima w pobliżu gwiazdy Rigel.

W domu zjadłem niespiesznie kolację i wypłem trochę więcej wina niż zwykle. Jacob milczał. Na zewnątrz było zimno; dom i otaczające go drzewa dygotały na

wietrze.

Wędrowałem od pokoju do pokoju i przeglądałem książki Gabriela, głównie stare tomy historyczne i archeologiczne, opisy wykopalisk z jakichś dwudziestu pięciu czy trzydziestu planet, na których osadnictwo rozwinęło się na tyle, by doszło do upadku i pogrzebienia kultur.

Było tam kilka biografii, parę podręczników planetologii, chaotyczna kolekcja tekstów o mitologiach i parę publikacji o charakterze encyklopedycznym.

Gabriel nigdy nie wykazywał zainteresowania literaturą samą w sobie. Czytał Homera przed udaniem się na Hissarlik czy Kachimondę przed wyprawą na Battle Key i tak dalej. Dlatego też kiedy natknąłem się w jakimś zakamarku na kolejne tomy Walforda Candlesa, wyciągnąłem je i położyłem obok materiałów z Archiwum, dołożyłem tom *Plotek o Ziemi*, który leżał w sypialni Gabriela i udałem się z tym wszystkim do gabinetu na górze.

Wtedy nie wiedziałem zbyt wiele o literackiej reputacji Candlesa. Ale szybko się uczyłem. Fascynowała go kruchość i przemijanie: pasje, które tak szybko wygasają, młodość, która tak łatwo ginie w wojennej zawierusze. Najwięcej szczęścia, jego zdaniem, mieli ci, którzy ginęli śmiercią bohaterską dla Sprawy. Reszta była skazana na patrzeć, jak umierają przyjaciele, jak gaśnie miłość, i na odczuwanie, jak niedługo nas samych ogarnie długa zima.

Zafundowałem sobie w ten sposób depresyjny wieczór, ale książki wyglądały na dość sfatygowane. W końcu przeczytałem po raz kolejny *Leishę*.

Zaginiony pilot
Pędzi po samotnej orbicie
Daleko od układu Rigel
Szukając nocą
Gwiazdzistego kręgu.
Dryfując w odwiecznych morzach
Przez cały rok
Dziewięć na obręczy
Dwa na piaście
A ona
Wędrując
Nie zna ani portu

Ani spoczynku

Ani mnie.

Rigel kojarzył mi się tylko z jednym: ze śmiercią Sima. Ale co oznaczała cała reszta? Z uwag wynikało, że poeta uznał swe dzieło za skończone. Nie było też żadnych wzmianek na temat tego, że recenzenci dopatrzili się w nim czegoś zaskakującego. Zresztą to naturalne: prawie każdy uważa, że wielka poezja powinna zaskakiwać.

Według wstępu do *Mrocznych gwiazd*, pierwszego tomu serii, Walford Candles był profesorem literatury klasycznej, nigdy się nie ożenił i nie zdobył sławy za życia. Współcześni mu zgadzali się co do tego, że ma niewielki talent.

Ale dla nas - to już zupełnie co innego.

Przez wszystkie jego dzieła przebija zaduma nad poświęceniami tych wszystkich kobiet i mężczyzn, którzy walczyli z Christopherem Simem. Większość wierszy w tomach *Mroczne gwiazdy*, *Frontowe wieści* i *Na marach* została napisana w Wewnętrznej Sali na Khaja Luan, gdzie czekał na nieuniknione doniesienia o starych przyjaciółach, którzy przyszli z pomocą Dellakondyjczykom. Sam Candles twierdzi, że zgłosił się do służby, ale został odrzucony. Brak użytecznych umiejętności. Zamiast walczyć, mógł tylko:

Stać i liczyć imiona tych

Których prochy okrążają szare światy

Chippewę i Cormoral.

Z pogrążonego w półmroku kąta Candles obserwuje pożegnalne przyjęcie młodych ochotników. Jeden z nich przygląda się poecie w średnim wieku, kiwa głową, a Candles pochyla swoją w milczącym salucie.

Tego wieczora, gdy dowiedzieli się o tym, co stało się na Chippewie, znany lekarz, który nigdy nie odwiedził Wewnętrznej Sali, wchodzi i stawia wszystkim drinki. Candles dowiaduje się, że jego córka była na pokładzie zaginionej fregaty.

W *Płotkach o Ziemi*, tytułowym wierszu z czwartego tomu, opisuje wpływ nadchodzących wiadomości, z których wynika, że ojczysta planeta przystąpi do wojny. A zatem kto ośmieli się stać z boku?, pyta poeta.

Tak się jednak nie dzieje i mimo tego, co stało się na Chippewie, mimo setek pomniejszych zwycięstw, wyniszczona armia zostaje odparta i wciągnięta w ostateczną, śmiertelną pułapkę w układzie Rigel.

Wiersze są datowane i jest tam luka, zaczynająca się w okolicy śmierci Sima i trwająca przez rok. Najwyraźniej przez ten czas Candles niczego nie napisał. A potem straszliwe oskarżenie Ziemi i Rimway o to, że zwlekały tak długo:

Nasze dzieci stawiają czoła milczącej furii
I dokonają tego bez Wojownika
Który spaceruje pośród gwiazd
Na dalekim Belmincour.

- W katalogach nie ma niczego takiego jak Belmincour - wyjaśnił Jacob. - To najwyraźniej jakaś aluzja literacka, mogąca oznaczać „entuzjastyczną wojnę” albo „piękne miejsce w sercu”. Trudno to określić, ludzkie języki nie są szczególnie precyzyjne.

Przytaknąłem mu.

- Na różnych planetach są miasta o tej nazwie, jedno znajduje się na Ziemi. Ale jest mało prawdopodobne, żeby poeta miał na myśli któreś z nich.

- W takim razie co?

- To jest przedmiotem dyskusji. W tym kontekście wygląda na to, że to jakiś rodzaj Walhalli. Armand Halley, znany badacz poezji Candlesa, twierdzi, że to klasyczne odwołanie do lepszej przeszłości, do świata, w którym Sim - wedle jego słów - chciałby żyć.

- Trochę dziwne, że użył nazwy miejsca, której nikt nie rozumie.

- Poeci cały czas tak robią, Aleksie. Dzięki temu wyobraźnia czytelników może lepiej pracować.

- Jasne - mruknąłem. Na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Byłem zmęczony. Ale za każdym razem, gdy zamknąłem oczy, zaczynały mnie atakować pytania. Nazwisko „Olander” coś mi mówiło, ale nie byłem w stanie sobie przypomnieć, gdzie i kiedy je usłyszałem, jeśli w ogóle.

I jak zawsze, najgorsza zagadka: co takiego zobaczył Hugh Scott i ludzie z „Tenandrome”?

Niemrawo przegrzebałem kryształ, które przyniosłem z Biblioteki Concillaru, wybrałem jeden i włożyłem go do czytnika Jacoba.

- Prządki? - Spytał.

- Tak - odparłem. - Scott miał odlecieć na Hrinwhar. Zobaczmy, jak to miejsce wyglądało dla Sima.

- Aleksie, jest bardzo późno.

- Wiem. Uruchom symulację.

- Skoro nalegasz. Oczywiście możesz ją w każdej chwili wyłączyć, zdejmując opaskę. - Usiadłem w za miękkim fotelu, wyjąłem moduł sterujący z szuflady niskiego stolika, po czym wetknąłem wtyczkę Jacobowi. - Ten program ma monitor. Czy mam być obecny?

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. Włożyłem opaskę i włączyłem ją.

- Uruchamiam - oznajmił Jacob.

Żeński głos, brzmiący, jakby doprawiono go whiskey, zapytał, jak mam na imię.

- Alex - odparłem.

Aleksie, zamknij oczy. Kiedy je otworzysz, znajdziesz się na pokładzie „Pauline Stein”. Czy mam streścić historię wojny do tego momentu?

- Nie, dziękuję.

Podczas tej operacji „Stein” będziesz statkiem dowodzenia. Czy chcesz wziąć udział w potyczce naziemnej, czy też wolisz odbyć przejażdżkę statkiem dowodzenia?

- Wolę zostać na statku - odparłem.

Aleksie, znajdujesz się na mostku „Stein”. Program zaprojektowano w taki sposób, byś mógł po prostu obserwować bitwę, która zostanie odegrana tak, jak ją zrekonstruowano na podstawie dostępnych źródeł. Oferujemy też inne opcje. Możesz przejąć dowodzenie jedną z fregat, czy nawet dowodzić statkiem flagowym i pokierować ogólną strategią. Którą opcję wybierasz?

- Wolę patrzeć.

Doskonały wybór, odparła.

Byłem sam w kokpicie, przede mną widniało kilka ekranów bitewnych. Z ukrytych głośników dobiegały różne odgłosy. Mostek rozpościerał się przede mną i od czasu do czasu widziałem jakiś ruch. Na środkowym fotelu siedział siwobrody, potężny mężczyzna. Siedział z twarzą zwróconą w drugą stronę, ale widziałem złoty połysk jego munduru, jego postawa i ton sugerowały, że to on tu dowodzi. Powietrze

było wypełnione stłumionymi, pozbawionymi emocji głosami.

Siedziałem na obrotowym fotelu w plastikowej bańce. Pod nami i dookoła nas rozpościerał się mroczny, bezpostaciowy krajobraz, rozjaśniany tylko eksplozjami błyskawic. Nie było tam nieba ani gwiazd, żadnego jednolitego źródła światła. Było to straszne miejsce i cieszyłem się z otuchy, jaką dawało wnętrze statku, glosy, konsolety, podłokietniki foteli. *Znajdujemy się w górnych warstwach atmosfery giganta gazowego o nazwie Masipol, wyjaśnił monitor. Masipol jest szóstą planetą układu Windyne. Celem misji jest jedenasty księżyc planety Masipol, Hrinwhar, który okrąża ją na wysokości prawie trzech czwartych miliona kilometrów. Choć Aszijurowie nie spodziewają się ataku, w okolicy znajduje się kilka większych jednostek ich marynarki.*

Od czasu do czasu przez coś, co zapewne było przerzedzającymi się ciężkimi chmurami, dostrzegałem przeblyski srebrnych i zielonych pasm, szeroki, lśniący łuk, który sprawiał wrażenie, jakby się z nami przemieszczał. Potem znikał i zapadała wszechobecna ciemność.

Pierścienie planetarne, wyjaśnił monitor. Wzbijamy się na orbitę. Niedługo powinny być całkowicie widoczne.

Istotnie: po chwili z surrealistycznego krajobrazu ukształtowanego przez chmury wynurzyły się cienie. Kliny delikatnego światła tworzyły kilkanaście lśniących pasów ze światła twardego jak lód.

Mógł to być tęczyowy most spotykany w ludowych opowieściach Europy Północnej, powstały z mgły, łączący horyzonty, dominujący nad polami gwiazdnymi. Fioletowe, żółte i zielone słupy byty podparte szerokimi fioletowymi przyporami. Niebieskie i srebrne wstążki podkreślały złudzenie solidności, owijając się wokół siebie.

Daleko, na północy i na południu, świeciło kilka rozsianych gwiazd. Pośród jasności z trudem dało się dostrzec dwa pokurczone słońca. *Coreopholi i Windyne, wyjaśnił monitor. Są znane razem jako Prządki, gdyż obracają się z bardzo dużą prędkością. Znajdujemy się na skraju Ramienia Galaktyki i patrzymy na zewnątrz. To najbardziej oddalone miejsce w aszijurskim kosmosie, do którego zapuścił się Sim.*

Siły Christophera Sima składały się z sześciu fregat. I miał on pewien problem: statki wynurzyły się z hiperprzestrzeni w ciągu ostatnich ośmiu godzin i ich moduły Armstronga były rozładowane. Nie wiemy wiele o układach

napędowych Dellakondyjczyków, ale w najlepszym przypadku musiał minąć spory kawałek dnia, zanim można było znów ich użyć. A Sim nie miał czasu na czekanie.

Na centralnym ekranie pojawił się schemat bitwy: obcy mieli jeden ciężki krążownik i dwa lub trzy lekkie, siedem niszczycieli i trzynaście do szesnastu fregat. Do tego kilka mniejszych statków eskortujących. Sam ciężki krążownik tkwił w jednym z doków na orbicie i stamtąd nie mógł zadawać strat.

Wiedziałem, że w układzie Prządek wygraliśmy, i wiedziałem, że nie mieliśmy na to dużych szans. Tylko że to była elektroniczna wiedza: teraz siedziałem i oglądałem analizę siły ognia obcych, która całkowicie zniechęciła Dellakondyjczyków.

- O co w tym chodzi? Co Sim próbował osiągnąć?

Ten układ był dla niego interesujący z kilku powodów. Znajdowała się tam duża baza wroga, stanowiąca ośrodek koordynacji logistycznej, komunikacji, gromadzenia danych wywiadu i długofalowego planowania strategicznego. Uważa się, że placówka ta była kiepsko przygotowana do walki, zarówno z powodu odległości od regionów, gdzie toczono walki, jak i psychologii Aszijurów. Wtedy wojna dopiero się zaczynała, a wróg nie przyzwyczyił się jeszcze do ludzkich metod. Działania wojenne pośród obcych były prowadzone w formalny, zrytualizowany sposób. Walczące strony ogłaszały swoje zamiary z dużym wyprzedzeniem, zajmowały przeciwległe strony pola walki, wymieniały saluty i w oznaczonym momencie rozpoczynały bitwę. Sim, rzecz jasna, walczył z zastosowaniem klasycznych ludzkich metod. Co oznacza, że nie można było mu ufać. Napadał na osamotnione statki, uderzał w punkty zaopatrzeniowe, atakował bez ostrzeżenia, a co gorsza, odmawiał przystąpienia do formalnej walki. W oczach Aszijurów postępował nieetycznie.

Zawsze ci, którzy mają większą siłę ognia, oczekują od pozostałych, żeby się podporządkowali.

Bazę zbudowano pośrodku krateru i trudno było ją wykryć metodami optycznymi. Było to w rzeczywistości podziemne miasto o znacznych rozmiarach. Przypuszcza się, że jego populacja sięgała wtedy ośmiu tysięcy.

Sim przewidywał, że skuteczny atak może mieć wysoce pożądane, długofalowe konsekwencje: miał nadzieję, że uzyska dostęp do bardziej szczegółowych informacji na temat okrętów wojennych wroga, możliwości taktycznych, planów strategicznych. Poza tym liczył na zakłócenie działań logistycznych wroga, może uszkodzenie systemów łączności i szyfrowania, może

nawet porwanie jakichś wysokiej rangi jeńców, jego głównym celem było jednak rozbicie w pył mitu o niezwycięzonych Aszizurach i zachęcenie ociągających się planet do przystąpienia do wojny.

Na zewnątrz, na tle spokojnego lśnienia pierścieni, w polu widzenia pojawiły się szare wilki Sima. Były długie, smukłe, piękne. (Co o nich powiedziała Leisha Tanner? Kiedy opisywała własną reakcję na te przyrządy wojenne, rozpaczała, że nikt z nas nie przeżyje). Z kilkunastu stanowisk sterczały lufy broni wykorzystujących różne cząsteczki i promienie. Na dziobie każdego statku wymalowano czarną wiedźmę z rozcapierzonymi w locie skrzydłami, zwężonymi oczami, wyrzuconymi do przodu pazurami.

Na statku, który znajdował się na najbardziej wewnętrznej pozycji, urządzenie zostało umieszczone w srebrzystym półksiężycu: poczułem falę dumy. To był „Corsarius”, własny statek Sima, którego podobizna na olejnym obrazie Marerossa znajduje się w Pałacu Narodów. (Odbitka tego samego obrazu zdominowała ścianę Hugh'a Scotta). Malarz nie oddał mu sprawiedliwości i nie sędzę, żeby komukolwiek się to udało. Był wspaniały: błękitnosrebrny pocisk, smukły kadłub połyskujący zagłębieniami, gdzie ukryto broń, i modułami komunikacyjnymi. Błysk słońca zatańczył na jego parabolicznym dziobie. Wyglądał, jakby był zdolny prawie do wszystkiego.

Widać dwie inne fregaty, poinformował monitor. To „Straczynski” i „Rappaport”. „Straczynski” zebrał już wiele pochwał, ale zostanie zniszczony, wraz z załogą, za cztery dni, przy obronie Randin’hal. „Rappaport” będzie jedynym dellakondyjskim statkiem, który przetrwa wojnę. Teraz stoi w Muzeum Marynarki Wojennej na Dellakondzie.

Siedziałem zafascynowany potęgą i wdziękiem obu statków. Były srebrne i w chłodnej poświacie rzucanej przez oba słońca wyglądały na śmiertelne. Mostek „Corsarius” jarzył się żółto w próżni. Widziałem jakieś postacie przemieszczające się w środku. Głosy dobiegające z systemu łączności zmieniły się nieco, dało się w nich wyczuć napięcie.

Patrzyłem, jak „Straczynski” powoli oddala się od szyku. Zawisł na chwilę w miejscu, jakby spadał, po czym silniki odpaliły i odleciał gdzieś w bok.

Zniszczy stację przekaznikową, poinformował monitor. Zaraz za mm poleci „Rappaport”.

- Monitorze - odezwałem się. - Widzę tylko cztery statki. Gdzie są pozostałe

dwa? I gdzie jest obrona wroga?

Dwie fregaty pojawiły się w lodowym kosmosie w taki sposób, że nadlatują z innych kierunków. Jedna z nich, „Korbal”, została zmieniona, by udawać elektroniczny „odcisk palca” „Corsarius”. Obrońcy Hrinwharu rozproszyli się, żeby ruszyć na napastników.

- Wszyscy?

Kilka jednostek zostało. Ale lekkie krążowniki znikły.

Próbowałem sobie przypomnieć jakieś szczegóły dotyczące ataku na Hrinwhar i byłem niemile zdziwiony tym, jak mało wiem; prawie nic poza tym, że był to punkt zwrotny, konfederaci przejęli wówczas inicjatywę.

„Korbal” i towarzyszący mu okręt już wysunęły się na czujkę i wdały się w krótką wymianę ognia z inną fregatą. Dzięki temu wywiad nieprzyjaciela wysnuł fałszywy wniosek co do tożsamości napastnika - przypuszczali, że to Sim. Poza tym aszjurskie statki atakujące grupę odwracającą uwagę wykryły anomalie w pracy dysz, co doprowadziło wroga do wniosku, że statek wzięty za „Corsarius” ma problemy z silnikiem. Ich wielki wróg wydawał się bezradny.

W poszarpanej paplaninie dobiegającej z interkomu wyłapałem podawany na bieżąco komentarz do akcji:

- Nadal ścigają „Korbala” w stronę Windyne. „Korbal” pozostanie na tle tarczy słonecznej, żeby nie dało się go zidentyfikować wizualnie.

- „Straczynski” donosi o zniszczeniu Alfę.

Alfa to przekaznikowa stacja komunikacyjna, zaznaczona na ekranie, wyjaśnił monitor. Sim ma nadzieję zniszczyć łączność między bazą a obrońcami.

- Nie byli specjalnie bystrzy - zauważyłem. - Ci Aszijurowie.

Nie byli zaznajomieni z naszym sposobem prowadzenia działań wojennych. To jeden z powodów, dla których tak nami gardzą. Nie przypuszczają, żeby przeciwnik mógł postępować nieuczciwie. Ich zdaniem Sim powinien wystąpić z szeregu, nie ukrywając się, nie stosując żadnych sztuczek, i walczyć jak mężczyzna.

- Nie rozumieli, na czym polega wojna - mruknąłem. Pojawił się nowy głos, najwyraźniej przyzwyczajony do dowodzenia.

- Przejsz do trybu ataku. Przygotować się do Windsong.

Odpowiedzieliby, że brutalność walki zbrojnej wymaga jakiegoś poczucia etyki. Ktoś, kto oszukuje w sprawach życia i śmierci, jest przez nich uważany za barbarzyńcę.

- Tu „Corsarius”. Wstępny skan sugeruje obecność w tym obszarze krążownika. Eskortują go dwie - nie, trzy fregaty. Krążownik to klasa Y, znajduje się na orbicie geosynchronicznej nad bazą. Dwie fregaty zareagowały na „Straczynskiego”.

- „Rappaport” zbliża się do Bety.

Przyspieszenie wcisnęło mnie w fotel. Krajobraz z chmur odpłynął szybko. „Corsarius” wzniósł się i popędził w stronę pierścieni, szybko stając się poruszającym się na tle nieba trójkącikiem świateł.

- Tu „Rappaport”. Beta została zniszczona. Powinni już stracić łączność.

- Jesteśmy teraz nad linią horyzontu, w zasięgu skanerów wroga. Należy założyć, że „Corsarius” i „Stein” zostały wykryte.

- Jedna fregata na wektorze przejścia. Brak reakcji ze strony krążownika.

Na ekranie pojawiły się informacje na temat celu: obracający się schemat nadlatującej fregaty. Usłyszałem, jak na statku zamykają się grodzie. Odniosłem wrażenie, że pode mną przestało się cokolwiek dziać. Sięgnąłem i zwiększyłem przepływ chłodnego powietrza w kokpicie.

- Krążownik kieruje się pod nas.

- „Corsarius” sobie poradzi. „Stein” przejmuje fregatę. Światła statku Sima zamigotały. Lecieliśmy dalej: statek wroga pojawił się na ekranach krótkiego zasięgu, czarna kula pełzająca w naszą stronę między gwiazdami.

Białe światło rozbłysło na jego powierzchni.

W tej samej chwili skręciliśmy ostro w lewo.

Przypiąłem się, ale i tak mocno mną rzucało; uderzyłem się w szczękę. Poczulem krótką falę mdłości i dla wzmocnienia pewności siebie dotknąłem opaski, choć miałem zamiar wytrwać do końca.

- Pociski NDL - odezwał się interkom. Przez grodzie przebiegło drzenie, a na powierzchni nadlatującej kuli rozbłysło światło.

- Idą na cel.

- Kolejny leci.

Statek szarpnął gwałtownie w przeciwnym kierunku i zanurkowaliśmy. Miałem wrażenie, że gdzieś zostawiłem żołądek, i zacząłem myśleć o przerwaniu symulacji. Księżycowa powierzchnia Hrinwharu wskoczyła nagle w moje pole widzenia, wzniosła się pionowo i znikła.

- Załatwiliśmy krążownik!

To głosy z „Corsarius”, powiedział monitor.

- Rozprościć się!

Brzmiało to optymistycznie, ale sami też zostaliśmy trafieni i „Stein” trzęsła się tak, że zacząłem się bać, czy się nie rozleci. Na mostku kapitan przemawiał nieomal nieformalnym tonem do oficerów, jakby nic takiego się nie działo.

Przeleciała koło nas nuklearna kula ognia, cicha, rozkwitająca.

- Dorwaliśmy drani. Wirują.

- Kontrola strat, meldunek.

Radość na mostku.

- Niemoty straciły napęd.

- Awaria przedniej tarczy, kapitanie. Pracujemy nad tym. Potrzeba nam kilku minut na naprawę.

- „Straczynski” odciągnął tamte dwie fregaty.

- „Rappaport”, leć na pomoc „Straczynskiemu”.

- W zasięgu czysto.

- Grupa do akcji naziemnej, przygotować się.

- „Rappaport” w drodze. Przewidywany czas osiągnięcia pozycji „Straczynskiego”: jedenaście minut.

- Krążownik się rozpada.

Kolejne wiwaty.

- Kapitanie, nie mają już nic do osłaniania ciężkich statków. Przez pleksiglas widać było tylko czarne niebo i cętkowaną skałę. Na moich ekranach widziałem jednak olbrzymią, rozświetloną sztangę; jej światła migotały w rozpaczliwych wysiłkach mających na celu uniknięcie wykrycia. Wisiała na uprzężach, w pajęczych komorach orbitującego doku.

- Potwierdzam, kapitanie. Brak oznak wsparcia taktycznego.

- Zrozumiałem. „Stein” do dowództwa. Mamy tu ciężki krążownik. Proszę o zgodę na atak.

- Odmawiam. Nie angażować się. Przygotować się do uwolnienia grup szturmowych.

Po całym statku przemieszczali się ludzie i sprzęt. *Sim osobiście poprowadzi do ataku grupę naziemną*, wyjaśnił monitor.

Słuchałem dalszej wymiany informacji. Lądowiki wystartowały. Teraz dwie fregaty, skoordynowane, rozpoczęły atak. Na tle pustego krajobrazu rozpoznałem skupisko kopuł, które widziałem podczas swojej wizyty.

Promień bladego światła przeciął niebo. Wyglądał, jakby wystrzelił z jakiegoś punktu na północ od bazy.

- Laser - oznajmił interkom.

Na moich ekranach pojawiło się to miejsce: para anten w kształcie czaszy. Strzeliliśmy w tym kierunku z broni plazmowej. Cały punkt eksplodował pożarem, wyglądającym jakby płonął w zwolnionym tempie, i światła zgasły.

Podczas gdy szturm naziemny trwał, wspieliśmy się z powrotem na orbitę, gdzie dołączyły do nas „Rappaport” i „Straczynski”. Był to nerwowy moment: byliśmy teraz narażeni na ciosy przeciwnika i nawet ja, który wiedziałem, jak to się skończy, czekałem z niecierpliwością, obserwując, kiedy na ekranach pojawi się flota przeciwnika, i nasłuchując meldunków o tym, jak sobie radzi naziemna grupa szturmowa.

Opór na powierzchni udało się szybko przełamać. W ciągu dziesięciu minut komandosi Sima pokonali zewnętrzną obronę i wkroczyli do bazy.

- Monitorze - spytałem - jak wielką przewagę mają Aszijurowie w bezpośredniej walce?

Z powodu zdolności telepatycznych?

- Tak.

Prawdopodobnie żadnej. Eksperci przypuszczają, że kontakt nie jest nawiązywany tak szybko, by miał jakąkolwiek wartość w walce. Być może mamy szczęście, że ta umiejętność ma jedynie charakter bierny. Gdyby mogli nadawać, przekazywać jakieś myśli albo emocje do umysłów wrogów, pewnie wyglądałoby to zupełnie inaczej.

Walka szybko zmieniła się w rzeź. Sim i jego ludzie przemieszczali się praktycznie bez wysiłku po całym kompleksie bazy, zbierając transmisje i dane taktyczne, a niszcząc wszystko inne: części zapasowe, broń, systemy wywiadu oraz sprzęt dowodzenia i sterowania.

- „Corsarius” do grupy naziemnej: kończcie i przygotujcie się do powrotu.

- Dlaczego? - To ten władczy głos, który słyszałem już wcześniej. Nie miałem wątpliwości co do jego właściciela. - Coś się stało?

- Będziemy mieli towarzystwo. Mamy odczyty, niemoty się zbliżają. Szybko lecą.

- Kiedy tu będą?

- Znajdą się w zasięgu strzału za jakieś trzydzieści siedem minut.

Cisza. Potem znowu ten głos z grupy naziemnej.

- Sądziłem, że mamy więcej czasu, Andre. Dobrze. Grupa ze „Stein” wyrusza natychmiast. Reszta za dziesięć minut.

- To za późno.

- Nic więcej nie mogę zrobić. Wypuście „Straczynskiego” i „Rappaporta”. Mają się wycofać. Mamy wszystko, Andre. Spisy całej floty, klucze do systemów szyfrowania, co tylko zechcesz.

- Nic z tego nie będzie, jak wam się nie uda stamtąd wydostać.

Spytałem monitora, jak długo trwał powrót lądownika „Corsarius” na statek. Dokładna wartość zależała od szeregu czynników, ale w przybliżeniu wynosiła dwadzieścia trzy minuty. To oznaczało, że wyruszymy w drogę, zanim Aszijurowie zaczną strzelać, ale będziemy przyspieszać od prędkości orbitalnej. Dogonią nas dość szybko. Na długo przed tym, jak będziemy mogli dokonać skoku do hiperprzestrzeni. O ile o czymś nie zapomniałem, mieliśmy oberwać.

Na skanerze dalekiego zasięgu pojawiły się małe kreseczki. Niszczyciele i fregaty. Nie namierzaliśmy jeszcze niczego dużego, co pewnie oznaczało, że duże statki potrzebują więcej czasu, żeby zmienić kurs i zacząć lecieć w naszym kierunku. To dobry znak.

„Corsarius” nie przekazał tej dodatkowej informacji grupie naziemnej.

Lądownik „Stein” poinformował, że jest w drodze. Chwilę później ruszyliśmy mu na spotkanie.

Potężna masa Masipolu zwieszała się na zachodnim niebie: niesamowicie rozświetlona purpurowa plama, jak zły omen. Wyteżyłem wzrok, żeby dostrzec lądownik, spojrzałem na gigantyczną planetę i wbiłem wzrok w punkciki, które rosły, aż przybrały znane kształty: tu flotylla niszczycieli, tam dywizjon fregat.

Znów głos z „Corsarius”.

- Chris.

- Pędzimy tak szybko, jak się da.

- Czas wam się kończy.

- Zrozumiałem.

Słyszałem przez interkom oddechy innych. Ktoś dokonywał poprawek kursu. Potem włączył się nowy głos.

- Przygotować fantoma. Zamaskować wszystkie systemy.

- Statki wroga znajdą się w zasięgu ognia za czternaście minut. Zaczęły zwalniać.

- Odpalić fantoma.

Statek zadrżał, coś ciemnego skoczyło do przodu i natychmiast znikło.

To przynęta, wyjaśnił monitor. Lecimy teraz po cichu, absorbując skany. Fantom będzie symulował promieniowanie „Stein”. Mamy wprowadzić w błąd nadciągające siły.

- I to działa?

- Przez parę minut, owszem. „Corsarius” też odpalił fantoma.

Siedziałem i pocilem się. Jakim cudem, u licha, oni się łudzą, że wywiodą Aszijurów w pole? Nawet mając te wszystkie zabawki. Nie wiedziałem zbyt wiele o tych zabytkach, ale nowoczesny statek, poczynając od startu, zostałby dogoniony W ciągu godziny.

- Chris?

- Odlatujemy. Niemoty próbowały naprawić prowizorycznie działą cząsteczkowe i musieliśmy je rozwalić. Ruszajcie. Spotkamy się po drodze.

Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto wpadł w pułapkę. Na skanerach było jednak mnóstwo kropek. Zaraz będą wszędzie.

- Lądownik „Stein” przybija.

- Fregaty prowadzą stado. Będą tu pierwsze. W zasięgu ognia za jedenaście minut.

- Miejmy nadzieję, że wezmą się za fantomy, nie za nas. Tempo zwalniania?

- Spada. Z powrotem do trzech procent.

- Wywiad donosi, że wielkie statki dopiero teraz wynurzyły się ze strumienia. Nie były dotąd w stanie zawrócić, więc nie wezmą udziału w akcji.

Co oznaczało, że nadal lecą w niewłaściwym kierunku. Nie przypuszczałem jednak, żeby to miało jakieś znaczenie. Rój kropek na moich ekranach był bardzo blisko.

- Fregaty lecą za fantomami.

Aleksie, czujnikom wroga niełatwo wykryć tak małe statki, w szczególności na tle księżycy.

- Grupa naziemna na pokładzie.

- Straty?

- Trzech. Plus Koley. Nie zdążył, sir.

- Połóżcie ich w przedziale dla rannych. Jak tam na „Corsariusie”?
- Trzy minuty do spotkania z lądownikiem.
- Ustawcie kurs i prędkość tak, żeby po ich podjęciu lecieć równoległe do „Corsariususa”. Przygotować się do odlotu.

Nadlatująca flota była tuż pod horyzontem. Przypuszczałem, że Sim chce uciec przed napastnikami, chowając się za księżycem, ale nie miałem pomysłu, czy to daje jakieś szanse.

- Niszczyciele nadal pędzą za fantomami.
- Pieprzeni durnie.

Wyłączyliśmy wszystkie systemy poza najbardziej niezbędnymi i zmniejszyliśmy moc, żeby zredukować wyciek promieniowania. Byliśmy teraz za księżycem, niewidzialni, bezpieczni. Tylko na chwilę, ale było to miłe uczucie.

- Grupa „Corsariususa” na pokładzie.
- Doskonale. Kurs poza układ. Czekać na rozkaz.

Czekaliśmy. Mój Boże, czekaliśmy. W głosach dobiegających z interkomu i w głosach załogi na mostku nie było ani cienia paniki. Leciliśmy po naszej orbicie. Patrzyłem na horyzont przed nami, czekając, aż pojawią się tam światła Aszijurów. Kiedy wynurzymy się z naszej kryjówki, staniemy się łatwym celem.

- Co my robimy, u licha? - Spytałem w przestrzeń.
- Zawracają, przestają gonić fantomy. Połapali się.
- Skanery nas namierzyły. Znaleźli nas.
- To już nie ma znaczenia - zabrzmiał w interkomie głos Sima. - Uciekamy stąd. Manewr ucieczki. Wykonać.

Pajęczycy fotel obrócił się w kierunku, w którym leciał statek, i sekundę później rozpląszczyło mnie całkiem. Księżyc znikł, gigantyczna planeta toczyła się po niebie. Niech mnie diabli, jeśli miałem pojęcie, co się dzieje. Opuszczenie orbity oznaczało, że lecimy w kierunku dwóch słońc. W stronę, z której nadciąga wróg.

I wtedy wyobraziłem sobie, co się dzieje na aszijurskich statkach: biedni skurwiele rozpaczliwie wciskający hamulce, a my pędzimy prosto na nich. Kilka przypadkowych strzałów było beznadziejnie niecelnych, a gdy znaleźliśmy się wśród nich, ryzyko było zbyt duże, by odważyli się strzelać. Po drodze przygwoździliśmy jeszcze niszczyciel.

Poniżej, na mostku, i w interkomie, rozległo się zbiorowe westchnięcie.

Potem rozbrzmiał głos Sima:

- Dobra robota, przyjaciele. Chyba daliśmy im dziś powód do przemyśleń.

VIII

Imię dobrego człowieka niesłusznie zhańbiono, jeśli zdołamy choć w niewielkim stopniu zdjąć z niego tę hańbę, nasz słuszny cel zostanie osiągnięty. A jeśli realizując ten cel spędzimy przyjemnie czas w gronie przyjaciół, umilając go sobie toastem czy dwoma, tym lepiej!

*Adrian Coyle, mowa z okazji założenia
Stowarzyszenia imienia Ludika Talino*

MACHESNEYOWI SIĘ UDAŁO. Choć bytem całkowicie przekonany, że wzmianka dotyczy Rashima Machesneya, który nie żył od ponad dwustu lat (jak wszyscy zaangażowani w tę dziwną sprawę), poleciłem Jacobowi, by skontaktował się ze wszystkimi noszącymi to nazwisko.

Nie było ich zbyt wielu.

Nie znaleźliśmy nikogo, kto słyszałby o Gabrielu Benedikcie, i nikogo, kto miałby jakiegokolwiek powiązania z Ruchem Oporu: nikogo, kto by o tym pisał, żadnych maniaków dawnych wojenek, żadnych zbieraczy antyków. (Zdobycie tych informacji nie było łatwe, bo wszyscy, którzy nosili to słynne nazwisko, zaczynali węszyć dowcip, kiedy wspomniało się o Ruchu Oporu).

Mój następny krok polegał na tym, żeby dowiedzieć się możliwie wszystkiego o tym wielkim człowieku. W przypadku Leishy Tanner problemem był niedostatek danych, tu mieliśmy ich aż za dużo: całe mnóstwo kryształów, książek, artykułów, analiz naukowych, co tylko zechcecie. I jeszcze prace samego Machesneya. Jacob zliczył jakieś tysiąc sto tomów opisujących jego osiągnięcia naukowe i dyplomatyczne. Liczba wzmianek w indeksach była wielokrotnie wyższa.

Rashim Machesney był fizykiem, być może najsłynniejszym fizykiem swoich czasów. Kiedy wybuchła wojna, a większość jego kolegów nawoływała do powściągliwości, on ostrzegał przed wspólnym niebezpieczeństwem i ogłaszał swoje poparcie dla Dellakondyjczyków „z całych sił”. Na jego ojczystej planecie próbowano

go powstrzymać (a wstyd z tego powodu trwa do dziś), ale Machesney uciekł, zabrał ze sobą paru przyjaciół i przyłączył się do Sima.

Jego wkład w sprawę konfederatów był, o ile wiadomo, głównie dyplomatyczny. Machesney korzystał ze swojej sławy, by namawiać niezdecydowanych do przyłączenia się do nierównej walki. Prowadził kampanię na około pięciuset planetach, pisał wspaniałe rozprawy, zwracał się do mieszkańców różnych planet, przeżył kilka prób zamachu, a podczas jednej pamiętnej eskapady został schwytyany przez Aszjurów i kilka godzin później udało mu się zbiec.

Większość historyków przypisywała Machesneyowi zasługi związane z przystąpieniem Ziemi do wojny.

Ilość materiału mnie przytłoczyła.

- Jacobie - odezwałem się - nie ma mowy, żeby udało mi się przez to przebić. Spróbuj ty. Znajdź jakieś powiązanie. Ja spróbuję innej metody.

- A czego dokładnie mam szukać, Aleksie?

- Trudno powiedzieć. Ale przypuszczam, że jak znajdziesz, będziesz wiedział.

- To niezbyt jasne polecenie.

Zgodziłem się z nim, poprosiłem, żeby zrobił, co może, po czym połączyłem się z instytucją, która miała upamiętniać Machesneya.

Instytut Rashima Machesneya jest świątynią - w klasycznym greckim stylu. Zbudowana z białego marmuru, ozdobiona delikatnymi kolumnami i statuami, wznosi się majestatycznie na brzegu Melony. W rotundzie stoi kamienny pomnik wielkiego człowieka. Na górze, wokół okrągłego dachu, wryto jego komentarz na temat legislatury Toksykonu: „Przyjaciele, niebezpieczeństwo tylko czeka na okazję”.

Instytut gromadził dane astronomiczne, przyjmując pomiary telemetryczne z tysięcy obserwatoriów, lotów Inspekcji, sond badających głęboki kosmos, Bóg raczej wiedzieć, czego jeszcze. Był w zasadzie czymś w rodzaju witryny wystawowej nauki i techniki, miejscem, do którego ludzie zabierali rodziny, żeby zobaczyć, jak się żyje na cylindrycznych światach. Albo jak komputery i pulsar Herkules X-I są wykorzystywane do obliczania Uniwersalnego Czasu Standardowego. W kinie można było obejrzeć symulację lotu do czarnej dziury.

Biblioteka i księgarnia były dobrym źródłem informacji na temat Machesneya. Chciałem przeszukać archiwa biblioteczne, żeby sprawdzić, z czego korzystał Gabriel, ale bibliotekarz upierał się, że takich informacji nie da się wydostać.

- Możemy najwyżej sprawdzić sieć zewnętrzną. Mamy lepsze dane na temat

materiałów fizycznych, które trzeba rejestrować ręcznie. Jeśli spóźniał się ze zwrotem czegoś, został ślad. W przeciwnym razie... - Wzruszył ramionami.

- Proszę sobie nie robić kłopotu - odparłem.

Udałem się tam, mając nadzieję, że znajdę jakiegoś eksperta, wezmę go na bok i wydobędę od niego jakąś świeżą opinię na temat problemu. W końcu doszedłem jednak do wniosku, że nie wiem, jak sformułować pytanie. Zadowolilem się wybraniem jakichś materiałów offline, skopiowałem je na czysty kryształ i dodałem do sterty Jacoba.

Przy przetwarzaniu pierwszej partii materiału Jacob nie poinformował o żadnych postępach.

- Pracuję dość wolno, co poprawia percepcję. Gdybyś jednak zdefiniował jakieś parametry przeszukiwania, byłoby mi o wiele łatwiej.

- Szukaj wzmianek o zaginionych artefaktach - odpowiedziałem. - Może i jakichś zagadkach, które mógłby rozwiązać doktor Machesney. Albo o czymś, co zaginęło, a co można uważać za artefakt.

Tymczasem sam zostałem ekspertem w dziedzinie wiedzy o Rashu Machesneyu. Podczas tej wojny ryzykował wszystko. Społeczność naukowa bojkotowała go; na jego ojczystej planecie przeprowadzono przeciwko niemu dochodzenie i skazano go zaocznie na dwa lata więzienia. Ruch pokojowy ostro się z nim rozprawił, a jeden z mówców ogłosił, że jego nazwisko zastąpi imię Judasza. Aszijurowie ogłosili, że był sprzedawczykiem i wykorzystali jego wiedzę do stworzenia zaawansowanej broni. Nigdy nie zakwestionował prawdziwości tego oskarżenia.

Podobno był także zrzędą i bawidamkiem, a do tego często zaglądał do kieliszka. Poczulem do niego ogromną sympatię.

Poszukiwania jednak prowadziły donikąd i po kilku nocach się poddałem. Nie znalazłem żadnej wzmianki o czymś zaginionym i żadnych powiązań z Mglawicą Damy z Woalką. Ta mglawica leżała w rejonie najbardziej oddalonym od miejsc, gdzie toczyły się walki. Nie rozgrywano tam żadnych bitew, a w jej wijących się ramionach nie kryły się żadne cele. (Strategiczne zainteresowanie Mglawicą Damy z Woalką było stosunkowo nowe i wzięło się z ekspansji Konfederacji w te regiony. W czasach Sima przeloty przez mglawicę nie miały sensu, bo istniały łatwiejsze szlaki prowadzące do centrum Konfederacji. Dziś jednak wszystko wyglądało inaczej).

Chase zaoferowała pomoc. Zgodziłem się, a ona podrzuciła cały worek różnych rzeczy do czytania i oglądania. Ale wiele to nie dało.

Gdy Stowarzyszenie imienia Talino zebrało się na kolejnym comiesięcznym spotkaniu w Collandium, byłem tam.

Jana Khyber miała rację: to było spotkanie towarzyskie, nie naukowe. W lobby królował humor i śmiech, jakby wszyscy przygotowywali się do imprezy.

Przypominało to trochę wyjście do teatru. Ludzie byli dobrze ubrani, machali do siebie, wszyscy rozmawiali ze wszystkimi. Nie było to towarzystwo, jakie widuje się na spotkaniach o charakterze naukowym, na przykład lokalnego towarzystwa historycznego albo Przyjaciół Muzeum Uniwersyteckiego.

Posnułem się trochę, wymieniłem parę banalnych uwag z kilkoma kobietami i złapałem jakiegoś drinka. Znajdowaliśmy się w kilku połączonych ze sobą salach konferencyjnych; największa z nich mieściła trzysta osób. W sam raz.

Wystrój tego przybytku kojarzył się z bogactwem: grube dywany, drewno na ścianach, kryształowe kandelabry i elektryczne świece, obrazy Manois i Romfreta. Wizerunek Talino umieszczono na transparencie w głównej sali. A statek Sima z wiedźmą na podium.

Wystawiono tam też prace członków: opowieści, analizy bitew, omówienia różnych szeroko diskutowanych detali tej wojny. Wiele z nich zostało wydanych nakładem autorów, ale trafiały się też nazwy większych wydawców.

Powyżej mównicy widniał obraz Marcrossa przedstawiający „Corsariusą”.

Wywieszono program spotkania. Miały się odbyć dyskusje oceniające wiarygodność różnych dokumentów historycznych, omówienie związków między dwojgiem ludzi, o których w życiu nie słyszałem (okazało się, że to jakieś tajemnicze kobiety, które mogły znać Talino i zdaniem wielu zebranych walczyły o jego względy), oraz spojrzenie na jakieś ezoteryczne aspekty azijurskiej taktyki bitewnej.

Gdy wybiła godzina, do porządku przywołała nas pani prezes, potężna, niesympatyczna kobieta o spojrzeniu jak laserowe działo. Przywitała się z nami, przedstawiła paru gości, ponudziła chwilę na temat jakichś starych spraw, przyjęła raport skarbnika (okazało się, że stowarzyszenie osiąga niezłe zyski), po czym przedstawiła mężczyznę o czerwonej twarzy, który z kolei zaczął przedstawiać azijurskiego „mówcę” z Grupy Maracaibo.

Uruchomiłem łącze i spytałem szeptem Jacoba, co to jest Grupa Maracaibo.

- Składa się z emerytowanych oficerów wojskowych - odparł. - Naszych i azijurskich. Prowadzą działalność pokojową. To jedna z nielicznych organizacji w obrębie Konfederacji, do której mogą należeć obcy. A co tam się dzieje? Co to za

hałas?

Publiczność głośno wyrażała niezadowolenie z tej propozycji. Mężczyzna o czerwonej twarzy usiłował przekrzyczeć hałas, ale uciszono go. Zastanawiałem się, czy w całej Konfederacji jest jakieś miejsce, gdzie negatywne uczucia wobec Aszjurów byłyby bardziej gorące niż tu, w najgłębszym sanktuarium Stowarzyszenia imienia Talino.

Pani prezes wróciła na mównicę, a mężczyzna o czerwonej twarzy odwrócił się z obrzydzeniem i znikł w tłumie. Zaczęły się wiwaty, a potem śmiech i postukiwanie kieliszkami. To była jakaś gra albo rytuał.

Pani prezes uciszyła publiczność ostrzegawczym spojrzeniem, po czym rozpoczęła prezentację pierwszego mówcy wieczoru, siedzącego obok niej wysokiego, łysego mężczyznę, który usiłował robić skromną minę pod deszczem tradycyjnych komplementów. Gdy zakończyła i wymieniła jego nazwisko - brzmiało ono Wyler - wyszedł na mównicę i odchrząknął.

- Panie i panowie, jestem zaszczycony, że mogę być tu dziś z państwem.

Uniósł nieco szczękę i przybrał pozę, która zapewne miała sugerować dostojeństwo. Tymczasem wyglądał tylko jakoś niezgrabnie: łokcie ułożone pod dziwnymi kątami, krzaczaste brwi, dziwne tiki.

- Minęło już kilka lat od mojej ostatniej wizyty w tych salach. Dużo się zmieniło. Zastanawiam się przede wszystkim, czy zagraża nam wojna. Na pewno grozi nam destabilizacja. Wszędzie, gdzie jestem, mówi się o niezależności. - Potrząsnął głową i wyrzucił do przodu rękę, machając, jakby coś odpędzał. - Cóż, tak naprawdę nie ma to znaczenia. Dziś wieczorem zebraliśmy się tu wszyscy i podejrzewam, że bez względu na to, co się stanie, Stowarzyszenie imienia Talino będzie nadal bastionem cywilizacji!

- Oczy mu pojaśniały i wycelował palcem w kandelabr. - Pamiętam, jak siedziałem tam... - Spojrzałem w kierunku, który wskazał, po czym przeniosłem wzrok z powrotem na mówcę, ale wydawało mi się, że przez chwilę mignęła mi znajoma twarz.

Gdy obróciłem się i ponownie przyjrzałem kobiecie, która przyciągnęła moją uwagę, nie rozpoznałem jej. We wdzięcznych liniach jej szyi i kości policzkowych było jednak coś znajomego - a może przyczyną był zamyślony wyraz twarzy lub subtelny wdzięk, z jakim unosiła kieliszek do ust.

Znałem tę twarz. Nie mogłem jednak przypomnieć sobie nazwiska kobiety, a była zbyt atrakcyjna, by o niej zapomnieć.

- ...Byłem młodym człowiekiem, gdy po raz pierwszy przybyłem na Rimway.

Już wtedy fascynowały mnie zagadki związane z życiem i śmiercią Ludika Talino.

- Oto był człowiek, który walczył z Dellakondyjczykami przeciwko Toksykonowi, a przedtem przeciwko Cormoralowi, a jeszcze wcześniej przeciwko Toskańczykom. Otrzymał wszystkie odznaczenia za odwagę, jakie istniały na jego ojczystej planecie. Dwa razy o mało nie zginął, a raz wyskoczył z otwartego luku uszkodzonego statku, by ratować rannego towarzysza. Nie mając żadnej gwarancji, że pomoc nadejdzie na czas.

- Czy wyobrażacie sobie, co to znaczy dryfować w kosmosie, będąc oddzielnym od próżni tylko cienką tkaniną skafandra? Kiedy jedyną więzią z domem jest nie lina, ale słaby sygnał nadajnika w hełmie? Uwierzcie mi, to nie jest czyn tchórza.

Siedząca po drugiej stronie sali kobieta uświadomiła sobie moją obecność: zaczęła wpatrywać się w mówcę, czasem spoglądając w prawo, ale nigdy w moim kierunku. Kim ona była, u licha?

- Zadaję sobie pytanie: jakże taki człowiek mógłby opuścić swe stanowisko w krytycznym momencie? Jedyna odpowiedź brzmi: nie mógłby. Musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie.

- Podczas studiów podyplomowych byłem więc bardzo podekscytowany tym, że mogę tu przyjechać i szukać odpowiedzi w miejscu, gdzie Talino spędził większość życia, badać dokumenty bezpośrednio, chodzić tymi samymi ścieżkami co on, czuć to, co on musiał czuć w tych ostatnich latach. Nie zaskoczy was zapewne informacja, że pierwszego dnia mojego pobytu na Andiquarze odwiedziłem Hatchmore House, gdzie zmarł.

Pokręcił się chwilę za mównicą, znalazł szklanekę i nalał do niej zimnej wody.

- Pamiętam, jak stałem przed sypialnią na drugim piętrze, tam, gdzie oddzielono ją sznurem, i wydawało mi się, że wyczuwam jego obecność. Co też czasem wyrabia wyobraźnia! Od tej chwili poświęciłem mnóstwo czasu na poszukiwanie prawdy. A prawda ta jest taka, że człowiek, który umarł na Rimway sto pięćdziesiąt lat temu, nie był Ludikiem Talino!

Słowa te wywołały poruszenie wśród publiczności. Kobieta, najwyraźniej zaskoczona tym stwierdzeniem, spojrzała prosto na mnie. A ja, rozdrażniony tą wypowiedzią, o której wiedziałem, że nie jest prawdziwa, nagle przypomniałem sobie, kim ona jest! Była nieomal małą dziewczynką, jeszcze nie nastolatką, kiedy ostatni raz ją widziałem. Miała na imię Quinda i czasem odwiedzała Gabriela ze swoim dziadkiem.

Wyler perorował dalej.

- W rzeczywistości był to aktor, Jeffrey Kolm. Kolm, który w swoich czasach był strażnikiem tronu w Omicarze, grał emisariusza zamordowanego nieomal w chwili, gdy postawił stopę na scenie w Cezarze i Kleopatrze, i przekazywał złe wiadomości w *Trójcy*. Nie była to na pewno olśniewająca kariera, pewnie też nie był majątnym człowiekiem. Kolm wykonywał różne zawody; przeważnie pracował na dotowanych przez rząd stanowiskach dla osób bez wykształcenia. Nietrudno zatem sobie wyobrazić, że szukał jakichś większych wyzwań, roli, która mogła przynieść mu znaczące dochody.

- I znalazł taką rolę: Ludika Talino.

- Pomyślcie tylko: po klęsce koło Rigel zapanował chaos. Sim nie żył, Dellakondyjczycy byli rozproszeni, wyglądało na to, że wojna jest przegrana. Nikt dokładnie nie wiedział, co się stało ani co się stanie. Wśród planet Konfederacji i planet zachowujących neutralność zaczęły się dyplomatyczne i militarne przepychanki w ramach walki o przetrwanie i nikt nie zwracał uwagi na to, co się stało w układzie gwiazdy Rigel.

- Zapanował chaos. Uważano, że Tarien zginął razem z bratem, a wśród Dellakondyjczyków byli i tacy, którzy rozważali negocjacje pokojowe z Aszijurami. Czyż mógł istnieć lepszy moment na pojawienie się nowego bohatera?

Wyler nie korzystał z notatek. Obniżył głos i mówił z jakąś chłodną pewnością, przebijając wycelowanymi w publiczność palcami, by podkreślić wagę swych słów.

- Pamiętajcie, że wtedy jeszcze nikt nie wiedział, iż Sim został zdradzony.

Światła przygasły i nad mówcą pojawił się holograficzny obraz dwóch twarzy. Obaj mężczyźni mieli ciemne włosy, byli przystojni, obdarzeni rysami, które zwykle bierze się za nieomal szlachetne. Jeden miał brodę, a drugi był starannie ogolony; dzieliło ich jakieś piętnaście lat, a mimo to podobieństwo było uderzające.

- Talino jest po prawej. Druga podobizna to Kolm. To oficjalny hologram, tak wyglądał, kiedy grał w *Głębi*.

Oba obrazy znikły, zastąpione przez trzeci: ten mężczyzna miał brodę, ale w jego czarnych włosach pojawiły się pasma siwizny, a w oczach widać było troskę.

- To Talino po bitwie koło Rigel - oznajmił Wyler. - Którego z mężczyzn przedstawia hologram? - Bębnił palcami po mównicy.

Zapomniałem na chwilę o Quindzie.

- Kolm doskonale wyczuł potrzebę chwili. A możliwość zagrania w dobrej

wierze bohatera w autentycznej życiowej roli musiała mu się spodobać. Zgłosił się więc jako Talino, jedyny ocalały, jakimś cudem wyrzucony z „Corsarius” w ostatniej chwili.

Zachichotał.

- Musiał przeżyć niemiłą niespodziankę, kiedy wyszła na jaw historia zdrady. Załoga Sima uciekła. A czy było coś bardziej naturalnego dla opinii publicznej niż założenie, że człowiek, który twierdzi, iż cudem ocalał, jest w istocie kłamcą? Zwłaszcza wtedy, gdy jego wersja różni się tak bardzo od oficjalnej. A zatem Holm, który miał nadzieję na spijanie śmietanki z czynów bohatera, nagle znalazł się w roli nikczemnika.

Wzruszył ramionami i uniósł do góry dłonie odwrócone spodami na zewnątrz.

- Dlaczego więc brnął dalej? Dlaczego nie wrócił do swojego dawnego życia?

- Tego nigdy się nie dowiemy. Talino mógł łatwo zniknąć i nikt nie poznałby prawdy. Ale brnął dalej, odgrywał swoją rolę, przemawiał do grup na przyjęciach. Być może odgrywanie okrytego hańbą bohatera było bardziej zyskowne niż powrót do anonimowości trzeciorzędneho aktora.

- Chciałbym jednak zaproponować całkowicie odmienną opcję: Holm odgrywał Talino tak dobrze, identyfikował się z nim tak ściśle, że dosłownie stał się nim. I odczuwał potrzebę bronięcia imienia, które przyjął.

- Bez względu na to, jak naprawdę było, Ludik Talino żył dalej.

- A jeśli jego gorące zaprzeczenia, że opuścił swego kapitana, brzmią tak przekonująco, to dlatego, że są to krzyki człowieka, który naprawdę był niewinny.

Wyler podsumował krótko dowody. Nie było ich wiele: niespójności w raportach przypisywanych Talino/Kolmowi, zniknięcie aktora dokładnie wtedy, gdy trwała bitwa pod Rigel, opinie dwóch osób, które znały Kolma i utrzymywały, że przyjął rolę Talino. I tak dalej.

- Każdy z tych dowodów - zauważył mówca - sam w sobie niewiele znaczy. Jednak postrzegane jako całość prowadzi do jednego wniosku.

Rozejrzał się po sali, oczekując pytań.

- Co się stało z samym Talino? - Spytała młoda kobieta siedząca z przodu.

Quinda odwróciła się, tak by ten ruch wyglądał na przypadkowy, i spojrzała w moim kierunku. Wyglądała na pogrążoną w zadumie.

- Przypuszczam - odparł Wyler - że możemy wysunąć tezę, iż z całej załogi tylko on pozostał lojalny. Moim zdaniem zginął wraz ze swym kapitanem.

- Nie wierzę w ani jedno słowo tej historii - rzuciłem w kierunku osób stojących przede mną. Wysoki, siwy mężczyzna o starannej wymowie i wyglądzie szefa wydziału filozofii odwrócił się i obrzucił mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

- Wyler to solidny badacz - oznajmił ponurym tonem. - Jeśli jest pan w stanie wykazać, że się myli, z chęcią posłuchamy. - Zaśmiał się, szturchnął łokciem jednego ze swych towarzyszy i dokończył drinka.

- Jakie to smutne, jak się o tym pomyśli - rzekła kobieta za nami. - Ktoś zostaje i ofiarowuje swe życie, podczas gdy wszyscy inni uciekają, i co dostaje w zamian? - Oczy zaszyły jej łzami; potrząsnęła głową.

Quinda rozmawiała z jakimś młodym człowiekiem, odwrócona do mnie plecami. Nie miałem wątpliwości, że to ona. Jej dziadkiem był Artis Llandman, jeden z kolegów Gabriela. Nie mogłem sobie przypomnieć jej nazwiska. Patrzyłem w jej stronę i docierały do mnie strzępy rozmów, z których wynikało, że nie wszyscy przejęli się mową Wylera tak jak ja.

- ...Zdymisjonowali go, co za hańba, nie puści im tego płazem... - Oraz dobrze byłoby, gdyby wzięli się w garść, zanim cena nieruchomości polecą na twarz...

Podszedłem do niej.

- Quinda, to ty?

Odwróciła się z taką miną, jaką mają zwykle ludzie, którzy widzą znajomą twarz, ale nie są w stanie dopasować do niej imienia.

- Tak - rzekła z namysłem, jakby sama nie była tego pewna. - Tak właśnie mi się wydawało, że cię skądś znam.

- Alex Benedict.

Uśmiechnęła się uprzejmie, ale nadal nie wyglądało na to, że mnie kojarzy.

- Dawno temu siadywaliśmy i patrzyliśmy na rzekę Melony. Pamiętasz? Mój wuj mieszkał w Northgate, a ty odwiedzałaś nas z dziadkiem.

Zmarszczyła brwi, po czym dostrzegłem w jej oczach iskierkę.

- Alex! - Krzyknęła. - To naprawdę ty?

- Ależ urosłaś - odparłem. - Kiedy cię ostatnim razem widziałem, byłaś jeszcze istnym skrzatem.

- Dalej jest - wtrącił jej towarzysz, którego nazwisko dawno zapomniałem. Przeprosił nas chwilę później, a my odpłynęliśmy do jednej z sal klubowych i zaczęliśmy wspominać dawne dzieje.

Poprosiłem, żeby mi przypomniała, jak się nazywa.

- Arin - odparła. - Nie zmieniłam nazwiska.

Miała chłodne, zielone oczy, krótko ostrzyżone włosy, które otaczały wyrazistą twarz, i sympatyczny uśmiech, który często i naturalnie pojawiał się na twarzy.

- Zawsze lubiłam te wizyty - oznajmiła. - Pewnie z powodu twojego towarzystwa.

- Miło mi to słyszeć.

- Nie poznałabym cię.

- Miałem ciężkie życie.

- Nie, nie. Nie to miałam na myśli. Nie nosiłeś wtedy brody. - Ścisnęła moje ramię. - Kiedyś się w tobie podkochiwałam - wyznała, akcentując lekko słowo „kiedyś”. - Aż pewnego razu pojechaliśmy odwiedzić Gabriela, a ciebie tam nie było.

- Wyjechałem szukać szczęścia.

- I udało cię się?

- Tak - odparłem. - W pewnym sensie.

I była to prawda. Lubilem swoją pracę i przynosiła mi godziwy dochód.

Czekała, aż powiem coś jeszcze, ale milczałem.

- Co o tym sądzisz? - Spytała, zauważywszy moją powściągliwość, wskazując w kierunku Wylera, który nadal coś opowiadał grupie wielbicieli.

- O tym mówcy?

- O tym pomyśle.

- Nie wiem - odparłem. Fakt, że publiczność wzięła to na serio, wytrącił mnie z równowagi. - Skąd można po tylu latach wiedzieć, co się naprawdę stało?

- Pewnie tak - rzekła z powątpiewaniem w głosie. - Nie sądzę, żeby ktoś tutaj dał się nabrać na tę historyjkę.

- Ależ trafiłem na kogoś takiego.

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się złośliwie.

- Ty chyba nie wiesz, o co chodzi z tym całym Stowarzyszeniem imienia Talino, Aleksie. I nie wiem, czy powinnam psuć ci całą przyjemność, ale nie przypuszczam, żeby doktor Wyler sam wierzył w choć jedno swoje słowo!

- Nie mówisz serio.

Rozejrzała się szybko po sali i skupiła wzrok na potężnie zbudowanej kobiecie w średnim wieku, odzianej w białą marynarkę.

- To jest Maryam Shough. Potrafi przekonująco udowodniać, że aktor Kolm był jednym z Siódemki.

- Masz rację. Nic z tego nie rozumiem.

Opanowała chichot.

- Nigdy nie mówimy głośno o tym, jaki jest prawdziwy cel Stowarzyszenia imienia Talino. Nigdy się do tego nie przyznajemy.

Potrząsnąłem głową.

- To nie może być prawda. Cel Stowarzyszenia został jednoznacznie określony na tablicy przy wejściu na dole. „Dbać o dobre imię i propagować szacunek dla dokonań Ludika Talino”. Czy coś takiego.

- Wiernego nawigatora „Corsarius” - dokończyła z udawaną powagą.

- Gdzie tu więc tajemnica?

- Tajemnica polega na tym, Aleksie, że prawdopodobnie nikt, z wyjątkiem ciebie i może jeszcze jednej albo dwóch osób, które są tu po raz pierwszy, nie bierze tego wszystkiego serio.

- Ach, tak.

- A teraz opowiedz mi o swoim wuju. Jak się miewa Gabriel? Dawno tu przyjechałeś?

- Gabriel był na pokładzie „Capelli”.

Przymknęła oczy.

- Tak mi przykro.

Wzruszyłem ramionami.

- Taki już ludzki los - odparłem. Wiedziałem, że jej dziadek, Llandman, także już nie żyje. Gabriel wspomniał o tym parę lat temu. - To może mi wyjaśnisz, dlaczego ludzie przychodzą tu i słuchają bzdur?

Odzyskanie panowania nad sobą zajęło jej kilka sekund.

- Lubiałam Gabriela - rzekła.

- Wszyscy go lubili.

Podeszliśmy do baru i zamówiliśmy drinki.

- Nie umiem ci tego dokładnie wytłumaczyć - powiedziała. - To taka fantazja, metoda unikania podatków i możliwość, żeby stanąć na mostku z Christopherem Simem.

- Przecież do tego służą symulacje!

- Pewnie tak. - Zamyśliła się. - Ale to nie to samo. Tutaj, w salach Stowarzyszenia imienia Talino, jest zawsze rok 1206, a „Corsarius” dowodzi obroną. W jakiś sposób sprawujemy kontrolę nad historią: możemy ją zmienić, sprawić, by

stała się naszą własną. Och, do diabła, nie mam pojęcia, jak ci to wytłumaczyć, żeby miało jakikolwiek sens. - Uśmiechnęła się do mnie. - Problem w tym, że pomysł Wylera wcale nie musi być bzdurny. To może być prawda. I dzięki temu czujemy, jak otacza nas przestrzeń, w której możemy się poruszać po czasach Ruchu Oporu. Jakby się tam było, rozumiesz? - Przyglądała mi się przez moment, po czym potrząsnęła głową z zadowoleniem. - Nie szkodzi, Aleksie. Chyba nikt normalny tego nie rozumie.

Nie chciałem jej obrazić, więc powiedziałem, że oczywiście rozumiem i że moim zdaniem to świetny pomysł.

Gdybym był kimś zupełnie obcym, pewnie by ją to rozdrażniło, ale w tej sytuacji doszedłem do wniosku, że zamierza mnie tolerować.

- Dobrze - rzekła. - Posłuchaj, musze pogadać z przyjaciółmi. Przyjdiesz jeszcze?

- Tak - odparłem. - Pewnie tak. - Oczywiście nie zamierzałem.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

- A może zamiast tego jakaś kolacja? - Spytałem. - Jutro wieczorem?

- Tak - odparła. - Z przyjemnością.

Ustaliliśmy szczegóły i ruszyłem dalej.

Znalazłem kilka osób, które znały Johna Khybera. Był lubiany. Ale nie trafiłem na nic niezwykłego, szukając jakichś informacji na jego temat, a przynajmniej nie znalazłem niczego, co mogłoby przyciągnąć uwagę Gabriela. Chyba tylko jedna czy dwie osoby wiedziały, że zginął.

Stowarzyszenie imienia Talino zarządzało Salą Trofeów, która była stałą atrakcją Collandium. Znajdowała się ona w części budynku z salami konferencyjnymi i kiedy do niej wkroczyłem, była pełna zwiedzających.

Najbardziej widocznym elementem były niezłej jakości portrety Talino i Christophera Sima. Na ścianach wisiały różne świadectwa i tablice. Były to nagrody przyznane jakimś osobom, jak przypuszczam - członkom stowarzyszenia, za osiągnięcia naukowe: pierwszą analizę taktyki bitewnej pod Grand Salinas, rozprawę na temat wpływu azjijurskiej psychologii na atak na Point Edward, publikację aforyzmów zebranych przypisywanych Tarienowi Simowi i tak dalej. Zastanawiam się, ile z nich było prawdziwe, a ile stanowiło po prostu część zabawy.

Były tam także fotografie kobiet i mężczyzn w niebiesko-granatowych mundurach wczesnej Konfederacji, portrety statycznych typów w średnim wieku,

którzy byli założycielami Stowarzyszenia, i wielki platynowy puchar, który został przyznany sponsorowanemu przez Stowarzyszenie dziecięcemu klubowi turystycznemu.

Były tam też i inne eksponaty, niektóre ozdobione błyszczącymi fregatami i słoneczkami. Na jednej, wyjątkowo rzucającej się w oczy tablicy widać było czarną wiedźmę. Pod spodem wygrawerowano nazwiska sześćdziesięciu znamienitych członków Stowarzyszenia - co rok wybierano jednego.

W Sali Trofeów znajdował się bank danych i dwa terminale. Oczekałem, aż któryś będzie wolny, i usiadłem przy nim. Oczywiście był to system off-line, połączony z bankami danych w budynku, ale nieprzyłączony do sieci ogólnej. Można było komunikować się z nim głosem albo za pośrednictwem klawiatury, a odpowiedzi były wyświetlane na ekranie. Wywołałem menu, otworzyłem kanał „Archiwa”, wpisałem „John Khyber” i poprosiłem o dostępne informacje biograficzne. Nie było tego wiele.

KHYBER, JOHN KOD 367 L 441

Pojawiło się jego nazwisko i numer adresowy, pod którym można było kontaktować się z nim w sieci. Spytałem o funkcje sprawowane w Stowarzyszeniu imienia Talino. Moduł odpowiedział:

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI FINANSOWEJ 1409-10

CZŁONEK KOMISJI DS. CZŁONKOSTWA 1406-08

CZŁONEK KOMISJI BADAWCZEJ DS. DOKUMENTACJI 1411-12

DORADCADS. MARYNARKI, GRUPA SYMULACYJNA, RIGEL 1407

MISTRZ CEREMONII, LICZNE OKAZJE 1407-DO CHWLI OBECNEJ

WYŚWIETLIĆ SZCZEGÓŁY?

- Nie. Czy przemawiał podczas zebrań?

TAK. CZY PODAĆ SZCZEGÓŁY?

- Tak. Proszę o tytuły przemówień.

METODA PRÓB I BŁĘDÓW NA IMARIOS: CORMORAL REAGUJE

31.03.1402

PARAMETRY BOJOWE CORMORALSKICH KRAŻOWNIKÓW

27.04.1404

MROCNIA WOJNA: FREGATA DOJRZEWA

30.13.1407

ALKOHOLA ASZIJUROWIE

29.05.1408

TAŃCZĄCE DZIEWCZĘTA NA ABONAI PRZEGRYWAJĄ WOJNĘ

33.08.1411

TAKTYKA MAŁYCH SIŁ: SIM NA ESCHAT'ONIE

28.10.1413

BOJÓWKI ZOSTAJĄ NA DOBRE: SIM NA SANUSARZE

29.11.1413

KORZENIE ZWYCIĘSTWA: DELLAKONDYJSKA KRYPTOLOGIA

31.03.1414

DOSTĘPNE SĄ WYDRUKI.

- Proszę o wydruki wszystkiego.

Usłyszałem cichy szum drukarki ukrytej w szafce za terminalem. Przyszedłem tu w nadziei, że znajdę powód, dla którego Khyber poleciał z Gabrielem. Tylko że, w tym całym gąszczu gier, w co właściwie miałem wierzyć?

- Komputerze, czy Gabriel Benedict tu był?

INFORMUJĘ, ŻE WEJŚCIA I WYJŚCIA CZŁONKÓW ORAZ ICH GOŚCI NIE SĄ REJESTROWANE. DANE ZAWIERAJĄ JEDEN ZAREJESTROWANY PRZYPADEK OBECNOŚCI GABRIELA BENEDICTA NA COMIESIĘCZNYM SPOTKANIU.

- Kiedy to było?

PIERWSZE SPOTKANIE TEGOROCZNE, 30 PRIMA.

- Czy był sam?

BRAK DANYCH.

- Czy John Khyber też wtedy tu był?

BRAK DANYCH.

Zastanowiłem się. Czego chciałem się dowiedzieć?

- Czy pan Benedict przemawiał? To znaczy, do grupy?

NIE.

W takim razie z tym zebraniem musiało wiązać się coś szczególnego.

- Czy mogę prosić o program zebrania?

403. SPOTKANIE STOWARZYSZENIA IM. LUDIKA TALINO

30 PRIMA 1414 GODZINA 20: 00

MÓWCA GOŚCINNY: LISA PAROT

„SPISEK: CZY SIM ZOSTAŁ ZAMORDOWANY PRZEZ SPISKOWCÓW
JESZCZE PRZEZ BITWĄ POD RIGEL?”

MÓWCA SPECJALNY: DRARDMOR KAIL „OKIEM PSYCHOLOGA:
NAGRANIA TALINO”

KOLACJA: CIEŁĘCINA W SOSIE WINNYM

SALAŃKA TEMERAŃSKA

WARZYWA

Miałem wrażenie, że coś przeoczyłem.

- Powiedziałeś, że obecność na sesjach nie jest rutynowo rejestrowana.

INFORMACJA POPRAWNA.

- Skąd więc wiesz, że Gabriel był tu 30 prima?

PONIEWAŻ KONSULTOWAŁ SIĘ ZE MNĄ.

Ach!

- W jakiej sprawie?

W DWÓCH SPRAWACH. ŻĄDAŁ INFORMACJI NATEMAT BIOGRAFII
JOHNA KHYBERA.

- Czy oglądał coś, czego mi nie pokazałeś?

NIE.

- Jaka była ta druga sprawa?

ZAŻĄDAŁ WYDRUKU PRZEMÓWIENIA WYGŁOSZONEGO DWA I PÓŁ
ROKU TEMU.

- Wydrukuj mi to przemówienie.

Na tacę spadła jedna kartka. Wziąłem ją i przeczytałem.

Trudno było mi znaleźć przyczynę zainteresowania Gabriela. Ot, kolejny oskarżycielski monolog.

„(Talino) został zdradzony przez historię, a ja jestem ogromnie szczęśliwy, mogąc znaleźć się w gronie osób, którym prawda nie jest obojętna. Oby czas udowodnił, że racja leży po naszej stronie. Talino i jego nieszczęśni towarzysze są ofiarami niepomysłnych okoliczności, które odebrały im coś więcej niż życie. Nie znam podobnej pomyłki sądowej w całej historii. I zastanawiam się, czy kiedykolwiek

uda nam się ją sprostować”.

Uwagi mówcy zasadniczo sprowadzały się do czegoś takiego. Powtórzył to na kilka sposobów, upiększył pustosłowiem, dodał trochę dramatyzmu. Ale dlaczego Gabriela to zainteresowało?

Przestałem się zastanawiać, gdy przeczytałem nazwisko mówcy. Był nim Hugh Scott.

IX

(Ludzkie) ustroje międzygwiazdne były, z natury rzeczy, chwilowe. To zjawiska przypadkowe, jak ogień św. Elma, rozpalone przez przewroty polityczne, zagrożenia zewnętrzne, a może charyzmę jakiegoś ideologa. Kiedy mija noc i wracają normalne warunki, migoczą i znikają. Żadna cywilizacja wymyślona przez ludzi nie ma szans na sięgnięcie do gwiazd.

Anna Greenstein, *Pęd do budowania imperiów*

NIGDY NIE PRZECZYTAŁEM *Człowieka i olimpijczyka*. Jak pewnie każde dziecko w Konfederacji, musiałem zetknąć się z tą książką jako lekturą szkolną. Pamiętam też walkę z rozdziałem o Sokratesie, który musiałem przeczytać na zajęcia z historii na studiach. Ale całej książki nigdy nie przeczytałem.

Na jednej z półek w sypialni Gabriela znalazłem jej egzemplarz. (Nie sypiałem w tym pokoju, korzystałem z sypialni na drugim piętrze na tyłach domu.)

Wracając do domu ze spotkania Stowarzyszenia imienia Talino, zdecydowałem, że nadszedł czas na przyjrzenie się klasyce Sima.

To oczywiście jedno z klasycznych dzieł: historia epoki helleńskiej, od wojen perskich do śmierci Aleksandra. Zawsze Przypuszczałem, że jest sławna raczej ze względu na nazwisko autora niż z powodów merytorycznych, ale to było uprzedzenie, które wzięło się ze spotkania dziecka z poważną książką.

Otworzyłem ją gdzieś w środku i czytałem na przemian w jedną i w drugą stronę. Spodziewałem się spokojnych rozważań na temat filozofii greckiej czy nudnej relacji z wojen perskich i peloponeskich.

Tymczasem natknąłem się na istny wybuch energii, odważne opinie i autentyczną błyskotliwość. To nie jest spokojne dryfowanie przez parę politycznych analiz ani gapienie się na parę strzałek na mapie. Politycy w jego książkach rozwalają pięściami stoły; czuć zapach Morza Śródziemnego i pni, z których zbudowano ateńskie tryremy. A jakże ważne kwestie wolności i porządku, śmiertelności i ducha,

są boleśnie żywe.

Wszyscy jesteśmy Hellenami, twierdzi we wstępie. Dellakonda, Rimway i Cormoral mają dług wobec nieugiętych myślicieli znad Morza Egejskiego, którzy - w absolutnie wyjątkowym sensie - postawili pierwszy krok na drodze do gwiazd. Tylko myśl jest święta. Idea ta była w swoim czasie niezwykle odkryciem. Połączona z obserwacją, że natura podlega prawom i że te prawa można zrozumieć, jest kluczem do wszechświata.

Czytałem przez cały dzień, aż do późnego popołudnia. Jacob czasem robił zamieszanie w tle, przypiekając hamburgery albo mieszając drinki, bądź też wtrącając się z sugestią, że pogoda jest piękna, w związku z czym powinienem wykorzystać dzień na spacer.

Było tam kilka niespodzianek. Sim nie znosi Sokratesa, gdyż uważał, że jego idee były piękne, ale doprowadziły helleńskie społeczeństwo do upadku. *Cały pech z egzekucją Sokratesa nie polega na tym, że się odbyła, ale na tym, że odbyła się za późno.*

Początkowe strony *Człowieka i olimpijczyka* opisują wściekłość Kserksesa („O panie, wspomnij Ateńczyków”), mądre czyny Temistoklesa i męstwo armii pod Termopilami. Uderzyła mnie nie tylko przejrzyistość i siła tej książki, ale także wyzieraające z niej współczucie. Nie spodziewałem się czegoś takiego po przywódcy wojskowym. Tylko że Sim nie był wojskowym, kiedy zaczęły się zamieszki: był nauczycielem.

Tytuł książki dobrano idealnie. Poglądy Sima są istotnie olimpijskie. Nie można oprzeć się wrażeniu, że przemawia w imieniu Historii, a choć jego perspektywa jest inna niż w przypadku jego kolegów, nie ma wątpliwości co do tego, czyje wyobrażenia są błędne. To do niego należy ostatnie słowo.

Jego proza staje się złowieszczą we fragmencie opisującym zniszczenie Aten i bezsensowne śmierci podczas walk przy obronie Partenonu. Najbardziej zapadający w pamięć fragment gromi Spartan za to, że dopuścili do bitwy pod Termopilami: *od lat wiedzieli, że Persowie szykują się do wojny, ich wywiad wojskowy powinien także donieść im o zbieraniu się wrogiej armii, tymczasem nie przygotowali żadnego kontruderzenia, nie zorganizowali obrony; zaczęli działać dopiero wtedy, gdy nawałnica już na nich uderzyła. Wysłanie Leonidasa z garstką sojuszników miało zrekompensować zaniedbania i głupotę polityków.*

Co za ponury zbieg okoliczności: słowa te napisano, zanim Aszijurowie wszczęli

wojnę, w której - w dość szerokim sensie - Sim miał odegrać rolę Leonidasa. Prowadził działania obronne światów pogranicznych, a Tarien grzmiał na alarm i rozpoczął pracę nad olbrzymim zadaniem: zawiązywaniem sojuszu, który mógłby oprzeć się najeźdźcom.

Rankiem, przy śniadaniu, Jacob powiedział mi, że znalazł coś dziwnego.

- Wygląda na to, że „Corsarius” świetnie sobie radził. Na przykład, jeśli wierzyć relacjom, dwa dni po ataku na Hrinwhar odciągnął aszijurskiego niszczyciela koło Onikai IV. Onikai znajduje się aż osiemdziesiąt lat świetlnych od Prządek. Cztery dni lotu w samej hiperprzestrzeni. Zaatakował statek dowodzenia pod Salinas tego samego dnia, gdy Sim zwyciężał pod Chapparal. I znów, odbycie takiego lotu byłoby niemożliwe. Są też liczne inne przykłady.

- A jak to skomentowali Aszijurowie?

- Aszijurowie nie są specjalnie komunikatywni, Aleksie. O ile mi wiadomo, po prostu wszystko zdementowali. Ale ich archiwa nigdy nie zostały udostępnione.

- Może powinniśmy spróbować z nimi porozmawiać?

- Ale jak? Nie utrzymujemy kontaktów dyplomatycznych.

- Jest jeden - rzekłem. - Grupa Maracaibo.

Trzydzieści sześć standardowych lat temu mała grupa niemłodych oficerów wojskowych zerwała z odwiecznym obyczajem i zaprosiła znanego aszijurskiego stratega wojskowego, by wygłosił mowę w Akademii Wojskowej Maracaibo na Ziemi. Mówca, którego imienia nikt nie był nawet w stanie wymówić, był pierwszym od ponad stulecia przedstawicielem swego gatunku, który odwiedził legalnie jakąś planetę należącą do Konfederacji.

Zapraszanie stało się tradycją, a coroczne spotkania dały impuls do założenia niezwyklej grupy o szczególnych zainteresowaniach: składała się ona z emerytowanych oficerów, ludzi i Aszijurów, których celem było dążenie do trwałego pokoju. Grupa ta, co naturalne, była liczebnie niewielka. Nigdy nie stała się popularnym ruchem, jej członkowie - przynajmniej ludzie - cierpieli z powodu prześladowań politycznych i podejrzliwości wobec prowadzonych przez nich działań.

Kiedy spróbowałem się połączyć, odpowiedziała mi tylko SI, która poinformowała mnie, że oficerowie grupy nie odbierają niezamówionych połączeń.

- Proszę o wyjaśnienie, w jakiej sprawie się pan kontaktuje.

Powiedziałem, kim jestem, wyjaśniłem, że prowadzę badania historyczne i szukam kogoś, z kim mógłbym porozmawiać o Ruchu Oporu ogólnie, a w szczególności o wojnie w kosmosie.

Nastąpiło opóźnienie, prawdopodobnie program poszukiwał instrukcji. Wreszcie odezwał się:

- Nasze zasady zabraniają przyjmowania prywatnych gości.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby dało się zrobić wyjątek.

Wyjaśniłem, że nie mogę znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, a informacje o wojnie przedstawione z punktu widzenia Aszijurów przyczyniłyby się do wzajemnego zrozumienia. Potrzebowałem danych uzyskanych u źródła. Itede.

SI słuchała uprzejmie, przeprosiła i nie odzywała się przez dziesięć minut.

- Doskonale, panie Benedict - oznajmiła, wróciwszy. - Przedstawiciel personelu z przyjemnością odpowie na pańskie pytania. Mamy jednak prośbę, by pojawił się pan osobiście.

- To znaczy fizycznie?

- Tak. Jeśli to nie będzie dla pana za duży kłopot.

Wydało mi się to dziwne.

- Mam tam naprawdę przyjechać?

W tej chwili siedziałem naprzeciwko SI, która - jak przypuszczałem - była jedną z SI Domu Kostyeva, gdzie znajdowały się biura Grupy Maracaibo.

- Tak. Jeśli pan może.

- Dlaczego?

- Kontakt osobisty jest zawsze lepszy. Aszijurowie czują się niepewnie, korzystając z naszych technologii transmisyjnych.

Wzruszyłem ramionami i umówiłem się na spotkanie. Dwie godziny później przybyłem do Domu Kostyeva, położonego blisko Kapitolu budynku, w którym kiedyś znajdowała się ambasada. Było popołudnie, a budynek otaczali demonstranci stojący wokół hologramu przedstawiającego obcego z płonącymi oczami, jak dowiedziałem się później, demonstracje w tej okolicy odbywały się praktycznie przez cały czas. Ich natężenie i liczba wahały się w zależności od aktualnego poziomu wzajemnej wrogości. Teraz nie było najlepiej, zostałem więc wygwizdany, gdy ich mijalem w pośpiechu; podałem moje nazwisko strażnikowi i wkroczyłem do starej kamiennej budowli.

Pojechałem windą na trzecie piętro i skręciłem w ozdobiony boazerią i wyłożony grubym dywanem korytarz. Mijałem rozmieszczone nieregularnie rzeźbione drzwi i długie freski przedstawiające ludzi w spokojnych sceneriach, kontemplujących zbierającą się na horyzoncie burzę, flirtujących nad bogato zastawionymi stołami piknikowymi albo spacerujących po rynku. Nie było tam okien, a jedyne skromne oświetlenie stanowiły świece elektryczne. Efekt był taki, jakby daleki koniec korytarza sięgał do nieskończoności.

Po obu jego stronach ciągnęły się drzwi. Przeważnie niepodpisane. Minąłem kancelarię prawniczą i firmę spedycyjną oraz dwa czy trzy biura, na których widniały wyłącznie nazwiska.

W końcu stanąłem przed podwójnymi drzwiami z tabliczką „Grupa Maracaibo”.

Zapukałem i wszedłem do środka. Nie wiem, czego się spodziewałem. Rozmyślałem o przedstawicielach cywilizacji o wiele starszej od mojej, o telepatach, o istotach przewyższających nas pod względem intelektualnym, a jednak niedorównujących nam pod względem technicznym. Niektórzy wysnuli teorię, że to skutek łatwej komunikacji. Pionowe przechowywanie informacji, pismo, pojawiło się dość późno.

Tak czy inaczej, bez względu na to, jakiego to egzotycznego wystroju spodziewałem się po Grupie Maracaibo, wkroczyłem do pomieszczenia, które równie dobrze mogło być biurem firmy spedycyjnej. Wystrój był elegancki, lecz banalny: kanciasta kanapa wyglądająca na niewygodną, para rzeźbionych krzeseł, niski stolik, na którym niechlujnie ułożono w stosach podniszczone książki. Duże prostokątne okna przepuszczały blade światło słońca. Tytuły książek wydały mi się znajome, choć żadnej z nich nie przeczytałem: *Pęd do budowania imperiów*, *Zielona trawa i srebrne statki*, *Ostatnie dni*. Było tam kilka biografii, zarówno ludzi, jak i Aszijurów, którzy na przestrzeni wieków próbowali zapobiegać masowemu okrucieństwu.

Odkryłem egzemplarz *Wypisów z Tulisofali*, autorstwa Tanner i wziąłem go do ręki. Był to solidny tom, z gatunku takich, które stawia się na półce dla dekoracji, ale po które nigdy się nie sięga.

Przeglądałem księgę, kiedy odniosłem wrażenie, że nie jestem sam w pokoju; że ktoś mnie obserwuje, przyczajony. Przyglądałem się uważnie biurku, szafie i terminalowi oraz drugim drzwiom, które (jak przypuszczałem) prowadziły do wewnętrznego biura.

Nie zauważyłem, żeby coś się zmieniło.

Czułem to. W biurze. W nadal ciepłym powietrzu.

W moich oczach.

Równocześnie usłyszałem kroki w sąsiednim pomieszczeniu. Łączące je drzwi otworzyły się w stronę drugiego pomieszczenia. Ktoś, kto je przytrzymał, nie wszedł od razu, ale stał tam, jakby z kimś rozmawiał. Nie słyszałem nic.

Zacząłem się pocić. Pociemniało mi w oczach, a w mglistym świetle zakwitły białe kwiaty. Chyba opadłem na krzesło. Ktoś wszedł do biura, ale byłem zbyt zajęty opanowywaniem mdłości, żeby się tym przejąć. Jakaś dłoń dotknęła mojego nadgarstka, a na czole położono mi moką ściereczkę.

Coś, co wyczuwałem, poruszyło się w rytm ruchów przybysza.

- Wszystko w porządku, panie Benedict - powiedział. (Był mężczyzną. Tyle zdołałem zauważyć.) - Jak się pan czuje?

- Dobrze - odparłem drżącym głosem. Coś obróciło się w mojej głowie, z dala od światła, zakopane głęboko. Poczulem kolejną falę mdłości.

- Przepraszam - rzekł. - Może lepiej byłoby użyć łącza.

Też tak uważałem. I oczywiście on o tym wiedział. Spróbowałem spojrzeć na wszystko pozytywnie: to szansa na spotkanie Aszijura. Jak mógłbym z czegoś takiego zrezygnować? Oczywiście, słyszałem różne opowieści. Ale lekceważyłem je jako historyczne.

Próbowałem skupić się na świecie zewnętrznym: biurku i lampie. Światło słońca. I dłużej, dziwnie ludzkiej ręce tej istoty.

- Nazywam się S'Kalian - rzekł. - A jeśli to pana pocieszy, musi pan wiedzieć, że taka reakcja jest powszechna.

Nie byłem w stanie dostrzec, skąd dochodzą te słowa, ale wydawało mi się, że z urządzenia ukrytego w jego długich rękawach.

Mogłem już usiąść prosto. Włożył mi ściereczkę do ręki.

- Jeśli pan woli, wyjdę i poproszę kogoś, człowieka, żeby wyprowadził pana na ulicę.

- Nie - odparłem. - Nic mi nie jest.

S'Kalian cofnął się o kilka kroków i oparł swobodnie o biurko. Przy nim wszystkie meble wyglądały na małe. Widziałem hologramy przedstawiające Aszijurów, ale widocznie człowiek nie ma pojęcia, jak naprawdę wyglądają, dopóki nie znajdzie się z nimi w jednym pomieszczeniu. Czułem się przytłoczony.

Miał na sobie prostą, długą szatę z pasem wokół talii, a na głowie jarmułkę. Na

jego twarzy, różniącej się od ludzkiej tylko tyle, żeby człowiek poczuł się nieswojo (niepokojące były zwłaszcza duże, łukowate oczy i kły, które zawsze gasiły uśmiech), widać było zatroskanie.

W tych oczach tkwiła jakaś srogość. Staralem się nie patrzeć w nie i usiłowałem się pozbierać. Wyglądał młodo. A jego postać miała w sobie szczyptę egzotyki; tylko tyle, by wyglądał atrakcyjnie. W jakiś drażniący sposób.

- Jestem wdzięczny, że zgodził się pan ze mną porozmawiać - powiedziałem.

Skinął głową, a ja poczułem się, jakby ktoś nagle ujawnił wszystkie tajemnice mojego życia. On jest telepatą! Przedtem wydawało mi się, że zdołam zachować spokój, zadać kilka pytań i uciec. Na jego twarzy nie było widać żadnej reakcji. Ale on wiedział, wiedział, wszystko odczytywał.

Ale co takiego tam było, żeby mógł to zobaczyć?

Kołysanie się piersi Quindy Arin.

Mój Boże! A skąd to się tam wzięło?

Skupiłem się na ataku na Hrinwhar, „Corsariusie”, tej straszliwej kłęsce aszijurskiej floty.

Nie. To też na nic. Miotalem się.

Przez moje myśli przewijało się coraz więcej kobiet. W kompromitujących pozach.

Jak rozmawiać z istotą, która przechwytyje każdą nowo narodzoną myśl?

- Tak bardzo pan nalegał - rzekł, łącząc dłonie w fałdach szaty i w żaden sposób nie dając po sobie poznać, że jest świadom szalejącej w pokoju mentalnej zawieruchy.

- Czym mogę służyć?

Nie powiedziałbym, że byłem wystraszony, choć słyszałem o ludziach, którzy ucierpieli psychicznie podczas spotkań z Aszijurami. Strach przyszedł później, kiedy znalazłem się już w bezpiecznym miejscu. W tej chwili byłem tylko zawstydzony i poniżony; świadom, że nic, co wiem i odczuwam, nie może się ukryć przed tą drugą osobą, przed tymi obojętnymi oczami, które swobodnie spoglądają na jakiś punkt powyżej mojego ramienia i skupiają wzrok gdzieś za mną.

- Czy muszę mówić? Przecież pan wie, po co tu przyszedłem.

Wypatrywałem jakiegoś przelotnego uśmiechu, jakiegoś skinięcia, fizycznej oznaki tego, że rozumie, na czym polega mój dyskomfort.

- Przykro mi, panie Benedict - rzekł. - Co prawda nie jestem w stanie uniknąć penetrowania pańskiego kosmosu, podobnie jak pan nie byłby w stanie uniknąć

słyszenia orkiestry grającej w sąsiednim pokoju, ale na pewno pewną ulgę przyniesie panu informacja, że niełatwo nam to wszystko uporządkować. - Jego usta w ogóle się nie poruszały, ale w oczach dało się dostrzec jakieś ożywienie. Zainteresowanie. Ślad współczucia. - Proszę zignorować tę penetrację i mówić normalnie.

Mój Boże, jakże różne śmieci nagromadzone w ciągu całego życia wypływają na powierzchnię: akt tchórzostwa na szkolnym podwórku, wieki temu; niemożność odbycia uczciwej rozmowy z kobietą, do której namiętność już wygasła; niewypowiedziana satysfakcja, jaką odczuwałem bez żadnego konkretnego powodu, dowiedziawszy się o nieszczęściu przyjaciela. Małe, godne pogardy rzeczy. Bagaż, jaki ze sobą wlecemy przez całe życie, różne rzeczy, które chciałoby się zmienić...

- Jeśli to panu pomoże, proszę pamiętać, że mnie jest jeszcze trudniej niż panu.

- Dlaczego?

- Jest pan pewien, że chciałby się tego dowiedzieć? Uderzyło mnie, że musi niewiele wiedzieć o ludzkiej psychice, skoro sformułował pytanie w ten sposób. Nie byłem pewien, czy chcę usłyszeć odpowiedź. Mimo to odparłem:

- Oczywiście.

- Rozwijaliście się bez zdolności telepatycznych. I dlatego wy - jako gatunek - nigdy nie dostrzegaliście bezpośredniej potrzeby narzucenia sobie jakiegoś porządku i tylko w niewielkim stopniu czuliście potrzebę ograniczenia bardziej gwałtownych namiętności. Natężenie waszej nienawiści i strachu, nagłych fal emocji eksplodujących bez ostrzeżenia w ludzkim umyśle, dominacja waszych pragnień: to wszystko jest przyczyną dyskomfortu. - Przechylił lekko głowę, a na jego ustach pojawił się cień smutnego uśmiechu. - Przykro mi, ale wasze środowisko poważnie was okaleczyło.

- Panie S'Kalian, wie pan, dlaczego tu przybyłem?

Najwyraźniej upewniwszy się, że nie będzie musiał mnie ratować, S'Kalian odsunął się od biurka i opadł na fotel.

- Nie wiem, czy pan sam wie, panie Benedict.

- Christopher Sim.

- Tak. Wielki człowiek. Darzycie go wielkim szacunkiem.

- Nasze relacje wojenne są niepełne i sprzeczne. Chciałbym wyjaśnić kilka kwestii, gdyby było to możliwe.

- Nie jestem historykiem.

Quinda znów pojawiła mi się przed oczami, jej ramiona, delikatne i nagie w

blasku świec. Zawstydzilem się i spróbowałem się skupić na „Corsariusie”, na leżącej na stoliku książce Leishy Tanner.

S'Kalian przypatrywał mi się w milczeniu.

Ciekawe, jak wygląda seks z aszijurską samicą? Jak wyglądają zwyczaje godowe gatunku, którego umysł jest całkowicie otwarty?

- Wszystko w porządku, panie Benedict - rzekł S'Kalian. - Takie rzeczy się po prostu przytrafiają. Myśli są z natury nieprzewidywalne i bywają, nawet u nas, perwersyjne. I pan, i ja możemy sobie wyobrażać różne rzeczy, w kolorze i w ruchu, zaledwie o nich wspomniawszy.

- Nie jest pan emerytowanym oficerem, prawda? - Spytałem, bliski paniki.

Pochylił głowę.

- Dziękuję. Nie. Moja funkcja polega na zapewnieniu pomocy w porozumiewaniu się i na roli doradcy kulturowego. Wyszkolono mnie w dziedzinie rozmawiania z ludźmi. Ale obawiam się, że niezbyt skutecznie. - Znów uśmiechnął się uprzejmie. Zastanowiłem się, czy ten uprzejmy gest jest uniwersalny dla wszystkich inteligentnych gatunków. A przynajmniej tych, które mają fizyczne możliwości wykonania go.

- Czy możemy porozmawiać o aszijurskiej perspektywie pewnych aspektów Ruchu Oporu?

- Oczywiście - odparł. - Choć wątpię, żebym wiedział wystarczająco dużo, by panu pomóc. A tak na marginesie, my nazywamy to Wtargnięciem.

- A to ma jakieś znaczenie?

- Przypuszczam, że nie. Choć percepcja jest ważna. Niektórzy twierdzą, że to jest właśnie prawdziwa rzeczywistość.

- Kiedy wspomniał pan wcześniej o Christopherze Simie, określił go pan jako wielkiego człowieka. Czy ta opinia jest podzielana przez większość Aszijurów?

- Och, tak. Nie przypuszczam, żeby ktoś miał co do tego jakieś wątpliwości. Oczywiście, gdyby był naszym generałem, skazalibyśmy go na śmierć.

Byłem wstrząśnięty.

- Dlaczego?

- Bo pogwałcił wszystkie zasady cywilizowanego zachowania. Atakował bez ostrzeżenia, nie stawał do otwartej walki, prowadził wojnę na różne nieortodoksyjne sposoby. Kiedy widać było, że jest przegrana, nadal narażał życie innych, zarówno po swojej stronie, jak i po stronie przeciwnika, zamiast przyznać się do porażki. Wielu

zginęło w walce, którą bezsensownie przedłużano.

Zaśmiałem się. Czułem się tak odsłonięty psychicznie, że wydało mi się to najbardziej właściwą reakcją. Mój rozmówca zachował spokój, a nawet sam lekko zachichotał.

- Jeśli chodzi o „Corsariusą” - odezwałem się - to nasze relacje wspominają, że statek i Sim brali udział w różnych potyczkach, które były rozgrywane zbyt daleko od siebie, jeśli wziąć pod uwagę odstęp czasowy, by mógł pokonać tę odległość. Na przykład w ataku w układzie Prządek, pod Randin'hal, w pierwszych potyczkach w Szczelinie, a potem na Iliandzie; zdarzenia te dzieli zaledwie dwanaście standardowych dni. Odległości są zbyt duże. Hrinwhar w układzie Prządek znajduje się prawie sześćdziesiąt lat świetlnych od Randin'hal. Gdyby nowoczesnemu statkowi udało się powrócić do przestrzeni liniowej dokładnie w punkcie docelowym - co jest praktycznie niemożliwe - potrzebowałby trzech do czterech dni na przemieszczenie się z jednego miejsca do drugiego. Simowi udało się to znacznie szybciej.

- W naszych rejestrach figurują dokładnie te same daty

- Są jeszcze inne, podobne rozbieżności. Dotyczące innych dat i miejsc.

- Tak.

- I co na ten temat sądzą wasi historycy?

Przymknął oczy.

- Podobnie jak wasi, mogą jedynie spekulować.

- A jakie są te spekulacje?

- Że były jeszcze trzy inne statki udające „Corsariusą”. Ta teoria nie powinna być zaskoczeniem dla waszych analityków. To najprostsze wyjaśnienie, a zarazem najbardziej prawdopodobne. Kto w końcu wie, gdzie on naprawdę był? Na pewno wiemy tylko tyle, że statek, który miał posiadać unikatowe oznaczenia, pojawiał się w różnych miejscach. Tworząc ten symbol, Sim miał zamiar rozpocząć wojnę psychologiczną. Nie był to pojedynczy akt brawury, który zapisał się w świadomości społeczeństwa. Był natomiast skuteczny: statek widywano wszędzie, a skutki jego pojawiania się były demoralizujące. Może pana zainteresuje, panie Benedict, że wśród nas dość popularny jest mit głoszący, że Sim był obcym. Prawdziwym obcym, członkiem rasy nieznaney nam obu. To aura, która go otaczała, sprawiała, że był tak niebezpieczny, że tak bardzo się go bano, bardziej niż jego umiejętności stratega, psychologa czy dowódcy. Istnieją powody, by przypuszczać, że jedna z kopii „Corsariusą” została zniszczona pod Grand Salinas, a co najmniej jedna, być może

dwie, podczas długiej serii potyczek w Szczelinie.

- I chce mi pan powiedzieć, że nikt nie wie, jak było naprawdę.

- Otóż to. Mogę potwierdzić, że nasze informacje zasadniczo pokrywają się z waszymi. W istocie wasi i nasi historycy od dawna współpracują w tych sprawach mimo wyraźnego braku entuzjazmu ze strony władz. Mówimy jednak o czasach wojny, kiedy panowało duże zamieszanie. Jest dość prawdopodobne, że nigdy nie poznamy prawdy. - Zmienił pozycję ciała. - Czy jeszcze jakoś mogę panu pomóc?

- Tak - rzekłem, biorąc do ręki Wypisy. - Co pan wie o Leishy Tanner?

- Dawna tłumaczka Tulisofali. Tak na marginesie, całkiem dobra.

- Także występowała przeciwko wojnie.

- Wiem. To stanowisko nigdy nie przestanie mnie zastanawiać.

- Dlaczego? - Spytałem, na moment wybity z rytmu.

- Ponieważ miała zobowiązania wobec własnego gatunku, które przeważały nad podstawową moralnością walki. Kiedy już wojna trwała, zagrożenia dla obu stron były poważne, a racja lub jej brak, z filozoficznego punktu widzenia, przestały mieć znaczenie.

- Filozofowie bywają najlepszymi generałami - stwierdziłem sucho.

- Rozumiem ten żart. Ale to dość prawdziwe. Bywają czasy, kiedy trzeba dokonać wyboru. Bez względu na to, co wybralibyśmy sami dla siebie, musimy wybierać dla wspólnego dobra. Nawet jeśli to oznacza, że musimy poprzeć niemoralną sprawę. Gdybym był człowiekiem, walczyłbym po stronie Dellakondyjczyków.

Niepokojące było to wszystko.

- Reprezentuje pan organizację, która poszukuje dróg do zachowania pokoju.

- Dokładnie to robimy. Ale to nie jest łatwe. Jeśli mam być szczerzy, po obu stronach są tacy, którzy dążą do wojny.

- Dlaczego?

- Bo wielu z nas wejrzało w wasze umysły i przeraziło się tym, co w nich zobaczyło. Bardzo łatwo byłoby ogłosić, że będziemy bezpieczni dopiero wtedy, gdy zredukujemy wasz gatunek tak, by nie mógł nam zaszkodzić. A wśród was znajdzie się wielu, którzy uważają, i być może mają rację, że zagrożenie, jakie stwarzamy, jest jedynym spoiwem, które utrzymuje Konfederację w całości.

Wymruczałem coś, co miało być odpowiedzią. Wstał i poprawił fałdy swojej szaty.

- Bez względu na to, jak jest naprawdę, Aleksie, chciałbym, żebyś wiedział, że masz wśród Aszijurów przyjaciela.

X

Statek „Regal” przyczynił się do śmierci dziewięciu osób: ośmiu z załogi statku i Arta Llandmana.

Gabriel Benedict, *Listy niezebrane*

*... godziny wypełnione winem
które już nie wrócą...*

Walford Candles, *Znacząc czas*

TEJ NOCV ŚNIŁEM: mroczne, dzikie sny, niepodobne do niczego, co dotąd znałem. Jacob obudził mnie dwa razy; za drugim długo leżałem, patrząc na sufit, po czym wziąłem prysznic i wyszedłem.

Mijałem domy, wyglądające jakoś dziwnie w świetle księżyca; wiatr osłabł, ale był chłodny. Odczuwałem przyjemność z chrzęstu żwiru pod stopami, a po chwili na wschodzie pojawiły się szare pasma. Stałem nad rzeką Melony, patrząc na przepływające kawałki kry, kiedy weszło słońce.

Mieszkańcy rozpoczęli poranne czynności chwilę później: ludzie wpychali dzieci do latających autobusów i zatrzymywali się, żeby porozmawiać. Śmigacze wznosiły się pod niebo i pędziły w górę rzeki, w stronę Andiquaru. W ostrym powietrzu słyhać było głosy ludzi i trzaskanie drzwiami.

Wprawiało mnie to w dobry nastrój. Uspokajało.

Gdy dotarłem do domu, Jacob czekał ze śniadaniem. Zjadłem za dużo, dorzuciłem kłodę do kominka i usiadłem przy nim z filiżanką kawy. Po piętnastu minutach już spałem.

Tym razem nic mi się nie śniło. A przynajmniej niczego nie pamiętam.

Spędziłem popołudnie, czytając *Człowieka i olimpijczyka*, a potem pojechałem

do miasta na kolację z Ouindą.

Potrzebna mi była solidna dawka fizycznej rzeczywistości, żeby zatrzeć wspomnienie poprzedniego dnia, i Quinda idealnie się do tego nadawała. W bieli i zieleni wyglądała olśniewająco: kolor bluzki i szarfy pasował do koloru jej oczu. Włosy opadały jej swobodnie na ramiona. Żadne z nas nie było jeszcze głodne, więc spędziliśmy godzinę na spacerze po bulwarach. Zaglądaliśmy do księgarni i galerii sztuki; zatrzymaliśmy się przy jednym z tych portrecistów, którzy tworzą na elektronicznym arkuszu wizerunek modelu i dodają do tego opis. Nadal mam jej portret. Wygląda fantastycznie, nawet na tym rysunku stworzonym w trzy minuty. W jej oczach widać smutek, wargi ma pełne i miękkie, może odrobinę bardziej niż w rzeczywistości, a włosy układają jej się w loki na długiej, smukłej szyi. To cała ona. Opis brzmi: „Tylko raz w życiu”. Ciekawe, że malarz napisał akurat coś takiego.

Zanim dotarliśmy do wina i serów, byliśmy głęboko pogrążeni w dyskusji na jej ulubiony temat, a ja opisywałem jej moją reakcję na *Człowieka i olimpijczyka*. Cierpliwie słuchała mojej paplaniny, od czasu do czasu kiwając zachęcająco głową.

- Późno dotarłeś do tej książki, Aleksie - powiedziała, kiedy skończyłem. - Uważam, że zrobienie z niej lektury szkolnej to błąd. To nie jest książka dla dzieci, ale jeśli odkryje się ją w dorosłym wieku, bez uprzedzeń, wręcz rzuca się człowiekowi do gardła.

- Tak naprawdę ona nie jest o starożytnej Grecji - zauważyłem.

Po drugiej stronie rzeki zapalały się światła: w prywatnych domach, w domach na wodzie, na pirsach i w restauracjach.

- Pewnie masz rację - rzekła. - Pisał o własnych czasach. Tylko że to zawsze jest dobra historia.

- Jedność - rzekłem. - Martwił się tym, że ludzkie planety nie są w stanie się zjednoczyć.

- Pewnie tak - Jej wzrok gdzieś błędził. - Ale to chyba coś głębszego. On chyba nawołuje do uznania wspólnego dziedzictwa. Zjednoczenia się w sposób głębszy niż poprzez stworzenie więzów wyłącznie politycznych. Zobaczenia w nas Hellenów, a nie tylko Ateńczyków czy Koryntian. - Przez jej twarz przemknął cień smutku. - Ale to się nigdy nie stanie - dodała.

Sim opowiada historię o dwóch koloniach greckich, których nazw zapomniałem; zostały założone gdzieś na afrykańskim wybrzeżu. Otaczali je dzicy, którzy regularnie obie atakowali. Mimo to kolonie nigdy nie podjęły współpracy, a w

końcu zaczęły ze sobą walczyć. *Nasz gatunek ma jakąś głęboką i wszechobecną cechę, pisze, która nakazuje mu uganiać się za emocjonalnymi fantomami chwili, zamiast walczyć o przetrwanie! A kiedy już to spostrzeżemy dojdziemy do sedna teorii zwanej motywacyjną teorią grup.*

Dolałem do obu kieliszków. Quinda uniosła swój.

- Za nasze dni nad rzeką Melony - rzekła.

- Za małą dziewczynkę z tamtych lat. Udało jej się znaleźć morze?

- Nie zapomniałeś. - W jej oczach pojawiła się radość.

- Nie zapomniałem. - Rozmawialiśmy o budowaniu tratwy i popłynięciu nią przez kontynent. - Rozzłościłaś się, jak ci wytłumaczyłem, dlaczego nie możemy tego zrobić.

- Obiecałeś mi, a potem zaprowadziłeś mnie do domu.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że weźmiesz to na serio.

- Och, Aleksie, tak bardzo chciałam wtedy popłynąć. Patrzeć na mijane brzegi rzeki i... - Spojrzała na mnie tymi zielonymi oczami i ślicznie się uśmiechnęła - ...Żebyś ty był tam ze mną.

- Byłaś wtedy mała.

- I o mało się nie rozplakałam, kiedy zaprowadziłeś mnie do domu. Ale obiecałeś, że to zrobimy, kiedy dorosnę. Pamiętasz?

- Pamiętam.

Uśmiechnęła się i milczała. To powinna być dla ciebie nauczka, mówiły jej oczy.

Później wędrowaliśmy przez pasażę i ogrody w tłumie nocnych spacerowiczów, rozmawiając o Stowarzyszeniu imienia Talino, moim życiu handlarza antykami, i o tym, jak cudowna jest noc (przez kopułę przeświecały jasno gwiazdy). I o Gabrielu i jej dziadku.

- Zawsze cię lubił - powiedziała. - I był bardzo rozczarowany, kiedy wyjechałeś. Pewnie uważał, że powinieneś iść w ślady wuja.

- Nie tylko on.

Przypominałem sobie, jak wyglądał Art. Miał okrągłą twarz, był niski, z nieustannie zdeprimowanym wyrazem twarzy. Art Llandman zawsze wyglądał, jakby właśnie próbował rozwiązać trudną zagadkę.

- Przykro mi, że go rozczarowałem. Lubilem go. Był jednym z niewielu pracujących z Gabrielem ludzi, którzy wiedzieli o tym, że istnieję. Parę razy byliśmy razem na wykopaliskach: na Schuyway, i chyba był też na Obralanie. Tak, jestem

pewien, że tam był. Na Schuyway zabierał mnie na spacer po ruinach. Pokazywał mi skarbiec, wypalone ściany i miejsce, gdzie wrzucali do morza skazańców - a czasem polityków.

- To zupełnie do niego podobne - zaśmiała się. - I chyba wtedy go wyrzucili. Kiedy to było?

- Zanim cię poznałem. Miałem jakieś osiem czy dziewięć lat.

- Tak. - Patrzyła prosto na mnie. - Był wtedy szczęśliwy.

- Miał pecha - wyjaśniła później. Była prawie północ, a my siedzieliśmy w domu w Northgate, z ogniem na kominku i butelką wina w wiaderku z lodem, słuchając koncertu skrzypcowego Sanquoi, wypełniającego ciepłe pokoje. Przyglądała się różnym materiałom, które zebrałem w Stowarzyszeniu imienia Talino i Instytucie Machesneya, i pewnie doszła do wniosku (a ja niczego nie wyjaśniałem), że jestem jeszcze większym maniakiem od niej.

- Wiesz, oni znaleźli jedną z dellakondyjskich fregat. On i Gabriel. W idealnym stanie, archeologiczne odkrycie życia. Dziadek poświęcił piętnaście lat na poszukiwania. W końcu wciągnął w to Gabriela. I razem znaleźli „Regala”. Zaginął pod Grand Salinas. - Jej oczy błyszczały zadowoleniem. - Żeby go znaleźć, grzebali w starych zapisach, liczyli trajektorie, Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Miałam już wystarczająco dużo lat, żeby wiedzieć, czego szukają i że to jest bardzo ważne. Cały numer polegał na tym, żeby dokładnie odtworzyć potyczkę, wyliczyć wszystkie siły, kursy, prędkość, oddziaływania, podejmowane przez załogę próby kompensacji, co tam jeszcze.

- Wygląda mi to na niemożliwe.

- Byli w stanie jakoś to zawęzić. Dziadek powiedział, że tam są dziesiątki statków, rozrzuconych w różnych kierunkach, nadal dryfujących w kosmosie, i można by je odzyskać, gdyby tylko wiedzieć, gdzie szukać. Ale dwieście lat to masa czasu. Wszystko uległo rozproszeniu.

- Opowiedz mi o tym statku.

- Aszijurowie trafili go jakimś impulsem elektrycznym. Nie doszło do przebicia kadłuba, ale wszystkie systemy statku przestały działać. Z tego, co mówił dziadek, załoga sama wybiła otwór w przedniej części statku, próbując uruchomić zasilanie. Pięć osób zostało wyssanych na zewnątrz. Pozostałe zostały uwięzione i nie mogły nic zrobić. Grupa badawcza znalazła je w hermetycznym pomieszczeniu. Ale sam statek

był w dobrym stanie.

- Gabe mi o tym opowiadał - wtrąciłem. - Zdarzył się jakiś wypadek.

- Wkrótce po tym, jak weszli na pokład, statek eksplodował. Ktoś z ekipy czegoś dotknął. Nie udało się ustalić, co się stało. Ta informacja nigdy nie została publicznie ujawniona, ale dziadek mówił, że to robota niemot. Był tam z nimi facet nazwiskiem Koenig. Później doszli do wniosku, że był opłacany przez niemoty. Przypuszczali, że on to zrobił.

- Dlaczego Aszjurów miałyby obchodzić dwustuletni wrak?

Spojrzała na mnie z zadumą. Oczy jej się zwięziły; podjęła jakąś decyzję.

- Tego dziadek nie wiedział - rzekła - ale chyba były inne incydenty sugerujące, że ktoś nie chciał, żeby ta ekspedycja się powiodła.

- Co się stało z Koenigiem?

- Zmarł wkrótce potem. Problemy z sercem. Był dość młody, nigdy przedtem nie miał żadnych kłopotów z krążeniem. - Pociągnęła łyk wina i przyjrzała się nóżce kieliszka. - Nie wiem. Może coś w tym jest. Bez względu na to, jaka była prawda, dziadek już nigdy nie był sobą. Mieć taki fantastyczny łup w rękach i pozwolić, żeby wymknął mu się z rąk... - Westchnęła. - Zmarł wkrótce po Koenigu. Gabriel robił, co mógł. Nie wiem, co było bardziej szkodliwe: utrata artefaktu czy bycie wyśmianym przez całą branżę. Najbardziej frustruje mnie fakt, że znam tam wiele osób. To nie są mściwi ludzie. Tymczasem nigdy nie rozumieli, co czuł, czy może nie obchodziło ich to, bo mieli własne problemy. A Llandman i jego fregata byli taką świetną historyjką. To jakby Harry Pellinor odkrył ruiny na Belariusie i zapomniał, gdzie są.

Materiały z epoki Ruchu Oporu, które zbierałem, były poukładane na kilku stolikach w gabinecie. Przyjrzała im się uważnie, z satysfakcją kiwając głową nad kryształami zawierającymi symulacje, tomami poezji Candlesa i innymi takimi pozycjami.

- Nie zdawałam sobie sprawy, Aleksie - rzekła, przeglądając *Notatki Tanner* - że jesteś tak bardzo w to zaangażowany.

- Chyba mnie wciągnęło. Słyszałaś o niej? - Spytałem.

- O Tanner? - Twarz jej pojaśniała. - Oczywiście! Jedną z najbardziej fascynujących postaci tego okresu.

- Na początku była pacyfistką - zastanawiałem się. - A skończyła, angażując się w wojnę. Co się stało? Wiesz coś o tym?

Quinda założyła nogę na nogę i pochyliła się energicznie do przodu.

Zauważyłem, że Tanner to jej ulubiony temat.

- Aleksie, ona nigdy nie była pacyfistką. Wyznawała pogląd, że wojna jest czymś niepotrzebnym, i chciała podjąć jakieś poważne negocjacje. Simowie nie byli specjalnie zainteresowani takim podejściem.

- Dlaczego?

- Bo uważali, że wszelkie próby mediacji w sytuacji, gdy niemoty miały nad nami przewagę, zostaną zinterpretowane jako oznaka słabości. W przypadku ludzkiego przeciwnika mieliby rację. Ale niekoniecznie w przypadku niemot. Tanner wiedziała wtedy o wrogu tyle samo co wszyscy i uważała, że można z nimi negocjować.

- Jak to się stało, że skończyła wśród ludzi Sima?

- To proste. Jakoś udało jej się dotrzeć do Sima, nie wiem jak, i namówić go do podjęcia prób negocjacji z niemotami. Już sam fakt, że się zgodził, świadczy o tym, że musiała mieć dar przekonywania.

- Ale coś nie wyszło.

- Zgodził się zorganizować spotkanie z dowódcą niemot, Mendolesem Barosą. Miało się odbyć w kraterze, na nienazwanym księżycu jakiegoś układu na pograniczu, którym żadna ze stron nie była zainteresowana. Tanner była jedyną osobą spośród konfederatów, która podróżowała z niemotami, jedyną, która potrafiła się z nimi porozumiewać, i jedyną, która umiała nie dopuszczać ich do swoich myśli. Sim i Barosa krążyli ponad nimi, a ona rozmawiała z negocjatorem ze strony niemot. Tanner poinformowała później, że ona i wysłannik niemot byli bardzo blisko wynegocjowania umowy w granicach, jakie narzucił jej Sim, kiedy dowiedziała się, że niemoty nie przyjmą żadnego układu, który nie obejmowałby wydania im Christophera Sima za zbrodnie wojenne i różne barbarzyństwa. Nie zdołali niczego ustalić w tej kwestii i Sim zerwał negocjacje. Niemoty odpowiedziały atakiem i zajęciem dwóch planet, teoretycznie neutralnych, w praktyce wspierających Dellakondyjczyków poprzez dostarczanie im broni, ludzi i środków. Zginęło mnóstwo osób. A Tanner czuła się za to wszystko odpowiedzialna. Zareagowała, angażując się całym sercem we wspólną obronę. Maurina Sim pisze w swoich pamiętnikach, że Tanner nigdy nie wybaczyła niemotom. I nikt inny nie występował przeciwko tej wojnie bardziej żarliwie niż ona.

Był już prawie ranek, gdy wsiedliśmy do śmigacza i ruszyliśmy do miasta. Oboje byliśmy zmęczeni, a rozmowa zeszała na błahe tematy. Widziałem, że Quinda

myślami jest gdzieś daleko. Pod koniec lotu, kiedy zbliżaliśmy się do dachu kompleksu apartamentów, gdzie mieszkała, brutalnie zmusiłem ją do skupienia się.

- Quindo, rozmawiałem wczoraj z jednym z Aszijurów. Osobiście.

Całe ciepło odpłynęło z jej twarzy.

- Chyba żartujesz - odparła bezbarwnym tonem. Zawahałem się, speszony jej reakcją.

- Nie żartuję - rzekłem, czując, jak moje zdenerwowanie rośnie o stopień lub dwa. - Z jednym z Grupy Maracaibo.

- Aleksie, powiedz, że to nieprawda.

Biło od niej przerażenie, złość, rozczarowanie.

- Dlaczego? - Spytałem. - Czy zrobiłem coś złego?

- Mój Boże, Aleksie - wyszeptała. - Coś ty narobił?

XI

Rewoltę na Imariosie często określano jako „brzemienną w skutki”, pewnie dlatego, że gdyby nie miała miejsca, nie doszłoby również do tych dwóch stuleci nieustannej wrogości, a czasem wojen. Weźmy jednak pod uwagę brak równowagi technicznej między dwoma kulturami, ich tendencje ekspansjonistyczne i założenia dotyczące przeznaczenia oraz osobistą antypatię, jaką zawsze odczuwają przedstawiciele jednego gatunku w obecności drugiego: czyż jest możliwe, by stało się inaczej? Jeśli kiedykolwiek istniały dwa społeczeństwa z natury skazane na konfrontację i rozstrzygnięcie sporu w darwinowskiej walce, są to społeczeństwa Aszijurów i ludzi.

Gasper Mendez, *Długi zmierzch*

- I NIE ZAPYTAŁEŚ jej, co ją tak przeraziło?

- Nie, Jacobie. Nie wyglądała na kogoś, kto jest w nastroju do odpowiadania na pytania.

- Mam jeden pomysł. Pamiętasz tezę, że ekspedycja Artisa Llandmana poniosła klęskę z powodu knowań Aszijurów? Mam wrażenie, że Quinda Arin boi się, iż w ten sposób ujawniła im jakąś informację.

- Ale jaką? Ja o niczym nie wiem.

- Pewnie ona myśli, że wiesz, tak czy inaczej, mam dla ciebie wiadomość. Być może będziemy w stanie zdobyć kolejne informacje o Tanner. Dowiedzieć się, co robiła w tych brakujących latach. Rzuć okiem na monitor.

Światło przygasło i pojawiła się wiadomość.

ANG/54/Y66133892/r 261 CHATA MARNET, TEUFMANOIL

PANIE BENEDICT, DYSPONUJĘ MATERIAŁAMI NA TEMAT LEISHY TANNER, KTÓRE MOGĄ PANA ZAINTERESOWAĆ. POSIADAM POŚWIADCZONĄ KOPIĘ JEJ DZIENNIKÓW, OBEJMUJĄCYCH LATA 1202-1219. NIE ZAMIERZAM

KOPIOWAĆ DOKUMENTU ANI DOPUŚCIĆ DO TEGO, BY WYMKNĄŁ MI SIĘ Z RĄK. JEŚLI JEST PAN ZAINTERESOWANY ZAPOZNANIEM SIĘ Z NIM Z ZAMIAREM KUPNA, PROSZĘ O ODPOWIEDŹ NA PODANY POWYŻEJ ADRES.

HAMEL WRICHT

- Przyszła w nocy. To odpowiedź na ogólne zapytanie, jakie wysłałem parę dni temu. Ale ktoś będzie musiał tam pojechać i to obejrzyć.

- Po co? Połączmy się i obejrzymy.

- Już to proponowałem.

Jacob wyświetlił na ekranie drugą wiadomość. Najważniejsze zdanie brzmiało: PAŃSKA PROPOZYCJA GROZI SKOPIOWANIEM ARTEFAKTU, PRZYKRO MI, ALE NIE MOGĘ SIĘ NA TO ZGODZIĆ.

- To nie ma sensu - rzekłem. - Moglibyśmy skopiować tylko tyle, ile zobaczymy. A przecież nie byłoby tego dużo.

- Mam wysłać kolejną wiadomość?

- Sam z nim pogadam.

- Nie ma go w sieci, Aleksie. Nie można dotrzeć do niego bezpośrednio. Ewentualnie używając publicznego terminalu.

- Spróbuj - rzekłem. - Gdzie jest najbliższy terminal?

- W hotelu w Teufmanoil. Podejrzałem, że będziesz chciał odpowiedzieć, więc już się z nimi kontaktowałem. Powiedzieli, że to adres gdzieś za miastem i że musieliby kogoś wysłać, żeby go przywiózł. Nie palili się do tego specjalnie.

- Samotnik - mruknąłem. - Czy rzeczywiście jest coś poza Notatkami? Prowadziła też dziennik?

- Na to wygląda.

- Biorąc pod uwagę, ile tego wszystkiego napisała, chyba nie miała czasu na nic innego. Dowiedz się, ile ten Wricht za to chce i kup.

- Aleksie - rzekł Jacob tonem, który sugerował, że chce przemówić mi do rozsądku - jak zapewne doskonale wiesz, takie artefakty są niezwykle kosztowne. Jest też bardzo prawdopodobne, że ten nie jest nawet autentyczny. - Wiadomość znikła. - Nie chcę, żebyś myślał, że ci mówię, jak masz postępować...

- Dziękuję, Jacobie. Gdzie jest Teufmanoil?

- W górach Sulya.

Nie zdołał ukryć rozbawienia. Góry Sulya są po drugiej stronie planety.

- Dobrze - rzekłem. - Polecę się z nim spotkać.
- Doskonale - odparł Jacob. - Zarezerwowałem lot na późne popołudnie.

Pokonałem dwa oceany i wylądowałem około północy czasu miejscowego w Wetherspur, we wschodniej części gór Sulya. Było dość zimno - to miejsce znajdowało się daleko na północnej półkuli. Gdy wyszedłem ze statku międzykontynentalnego, powietrze było aż ciężkie od mrozu. Czułem się, jakbym musiał przechodzić przez ścianę.

Złapałem powietrzny autobus i rano byłem w Teufmanoil. Był to kurort, wioska narciarska. Mimo mrozu warstwa śniegu na stokach była cienka. Słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie, a na ulicach roilo się od ludzi śpieszących na stoki.

Centrum informacji turystycznej znajdowało się w hallu dworca.

Kobieta w średnim wieku przywitała mnie energicznie w Dolinie Narciarskiej Srebrnych Szczytów i zaproponowała mi kawę.

Przyjąłem kawę i podałem kobiecie adres Wrichta. Wstukała go do komputera i na mapie ściennej nad nią pojawiła się błękitna gwiazdka.

- Chata Marnet - powiedziała. - Jakies sześć kilometrów od miasta, tuż przy szlaku. Kogo pan szuka?

- Hamela Wrichta. Prawdopodobnie jest handlarzem antyków.

- Och, tak - odparła. - Nic mi nie wiadomo, jakoby handlował antykami, ale ma tam niewielką chatkę. Czy jeszcze jakoś mogę panu pomóc?

- Nie, dziękuję - rzekłem.

Wynająłem skuter śnieżny i parę minut później zajechałem pod pensjonat Wrichta, który był trzykondygnacyjnym domem z dużymi przeszkleniami. Na ganku stało kilkanaście par nart.

Gdy się przyglądałem, z budynku wyszło kilka osób. Głównie dzieciaki, studenci. Kilkoro pomachało mi, przechodząc, a młoda kobieta, która wyglądała, jakby za dużo wypila, zaprosiła mnie, żebym się przyłączył.

Wszedłem na ganek i zapukałem.

Drzwi otworzyły się i pojawił się smukły, brodaty mężczyzna, który nie wyglądał na znacznie starszego od członków grupy, która właśnie wyszła.

- Szukam Hamela Wrichta - powiedziałem.

Skłonił się lekko i cofnął o krok, żeby zrobić mi miejsce.

- Czy my się znamy?

- Nazywam się Benedict - oznajmiłem niecierpliwie. - Przyjechałem w sprawie Leishy Tanner.

- Kogo? - Wyglądał na szczerze zaskoczonego. Ponadto nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mógłby się interesować tak subtelnymi kwestiami.

- Ma pan egzemplarz jej dzienników.

- Nie. - Zaczął się cofać.

- Czy to nie pan odpowiedział na zapytanie o materiały dotyczące Leishy Tanner? Pisał pan, że ma egzemplarz, jej dzienników.

- Musiał mnie pan z kimś pomylić - rzekł. - Nie zajmuję się niczym takim. Wynajmuję pokoje. Nie chce pan wynająć?

Na zewnątrz wywołałem Jacoba i powiedziałem, co się stało. Stwierdził, że to dziwne.

- Nic lepszego nie masz mi do powiedzenia?

- Najwyraźniej transmisja została sfalszowana. Powinieneś uważać.

To nie była przyjemna myśl.

- Ktoś chciał się ciebie stąd pozbyć - mówił dalej Jacob. - Chyba nie muszę ci przypominać, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie mieli żadnych oporów przed włamaniem się tutaj. Jeśli rzeczywiście coś, nad czym pracował twój wuj, ma jakąś ukrytą wartość, jest możliwe, że chcieli, żebyś stąd wyjechał.

- I wysłaliby mnie aż na drugą stronę planety?

- Wypadki się zdarzają - zauważył. - A są szczególnie prawdopodobne, kiedy się podróżuje. Pewnie przesadzam, ale proszę cię o ostrożność.

Rozkłady lotów nie były zbyt wygodne i minęło pełne trzydzieści godzin, zanim dotarłem do Andiquaru. Nikt nie nastawał na moje życie, choć wśród współpasażerów wypatrzyłem kilka podejrzanych osób. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy „oni” (jak zacząłem myśleć o moich przeciwnikach) nie zamierzają zniszczyć statku międzykontynentalnego i zabić wszystkich znajdujących się na pokładzie, żeby tylko mnie dopaść. Rozważałem tę możliwość, nasłuchując, czy przypadkiem magnesy nie przestają pracować albo nie odpada skrzydło.

Przyszło mi nawet do głowy, że Gabriel został zamordowany.

Nie. Odsunąłem od siebie tę myśl. To bzdura.

A mimo to byłem szczęśliwy, czując ziemię pod stopami.

Był późny wieczór, gdy taksówka przeleciała nad Melony i zaczęła opadać w

kierunku Northgate. Gdy tylko zobaczyłem dom, zrozumiałem, że coś się stało. Okna były ciemne. Jacob wolał palić światła, zresztą miał polecenie, żeby nie gasić światła w salonie, kiedy nie ma mnie w domu.

- Jacobie - wywołałem go przez łącze. - Włącz światło. Cisza. Nie było nawet słyszeć szumu fali nośnej.

- Jacobie?

Lądowisko było pogrążone w całkowitych ciemnościach, leżało poza zasięgiem ulicznych lamp. Wylądowaliśmy na warstwie świeżego śniegu. Licznik obliczył należność i zwrócił mi kartę.

- Dziękuję panu, panie Benedict. Dobranoc.

Wyskoczyłem, zanim jeszcze drzwi otworzyły się na dobre, i popędziłem wzdłuż domu, po czym wbiegłem na ganek. Drzwi uchyliły się pod naciskiem. To oznaczało, że w domu brak zasilania.

Dotarłem do kuchni, znalazłem przenośną lampę i zszedłem do pomieszczenia technicznego. Kilka kabli wyrwano z gniazd. Tak samo jak ostatnio. Kto mógłby przewidzieć, że wrócą?

Podłączyłem kable z powrotem, usłyszałem uspokajające buczenie prądu w ścianach, zobaczyłem zapalające się na górze światła i usłyszałem głos Jacoba:

- Aleksie, czy to ty?

- Tak. - Poszedłem do kuchni. - Chyba wiem, co się stało.

- Nie byliśmy wystarczająco ostrożni.

- Nie byliśmy. Miałem jakieś pomysły, ale nigdy się za to nie zabrałem.

- Nie włączyliśmy nawet alarmu antywłamaniowego. Tym razem włamywacze mogli sobie spokojnie pracować.

- Nic ci się nie stało? Nie próbowali cię znowu skasować?

- Nie. Wygląda na to, że nie. Ale chyba powinniśmy pomyśleć o jakimś sposobie, żebym mógł się bronić. Może o systemie nerwowym.

- Pomyślę o tym.

- O czymś, co mógłbym uruchomić, żeby im przeszkodzić. Nie chcę nikogo zranić.

- Nie ma ich już? Nie ma tu nikogo? - Nasłuchiwałem, czy na górze ktoś się nie kręci.

- Nie wykrywam żadnego ruchu dużych zwierząt w budynku. Która godzina?

- Kolo dziewiątej. Dwunastego.

- Byłem wyłączony przez jedenaście godzin.

- Co zabrali?

- Właśnie sprawdzam. Wszystkie systemy przechowywania danych zachowały pełną integralność. Chyba niczego nie zabrali. A przynajmniej niczego z rzeczy, do których mam dostęp. Wszystkie skatalogowane pozycje są. Czujniki wykazują bałagan w twojej sypialni. Coś się tam stało.

Na górze, na tyłach domu. Jacob włączał wszystkie światła, gdy tam biegłem.

Na łóżku panował chaos: porzrucano pościel i poduszki, ktoś przewrócił nocny stolik. Poza tym nie było żadnych śladów.

- Co to jest? - Spytałem. - Co się tu dzieje, u licha?

- Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby atakować twoje łóżko, Aleksie.

Cały świat wydał mi się nagle zimny i ponury.

- Chyba dziś będę spał na dole, Jacobie. Odwróciłem się, przypomniałem sobie o czymś i ruszyłem z powrotem do pokoju.

- Książka. - Jacob nagle zrozumiał.

Na nocnym stoliku zostawiłem *Plotki o Ziemi Walforda Candlesa*. Teraz nigdzie ich nie widziałem. Ukląkłem i zajrzałem pod łóżko.

- Nie widzisz jej gdzieś, Jacobie?

- Nie ma jej w domu.

- A inne książki Candlesa?

Pauza.

- Są.

- To nie ma sensu. Czy to jakieś rzadkie wydanie?

- Nie. Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Więc można ją bez problemu kupić?

- Przypuszczam, że dość łatwo.

Ustawiłem nocny stolik, zabrałem kilka poduszek i poszedłem na dół. To wszystko robiło się coraz bardziej szalone.

- Jacobie, co wiemy o ekspedycji Llandmana?

- Mamy dużo relacji. Jest kilka doskonałych książek, które obszernie opisują tę kwestię.

- Nie chcę nic do czytania. Opowiedz mi, co wiemy.

- Llandman był przez czterdzieści lat szanowanym archeologiem. Zdobył sławę

na Vlendivol...

- Starczy. To chyba możemy sobie darować. Opowiedz mi o utracie „Regala”.

- 1402. Wiedziałaś, że twój wuj uczestniczył w tej wyprawie?

- Tak. Ale wiedziałem tylko, że stracili artefakt. Najwyraźniej stało się to poważnym problemem.

- Jedyna dellakondyjska fregata, o której wiadomo, że przetrwała wojnę, to „Rappaport”. Jest wystawiona w Muzeum Marynarki Wojennej na Dellakondzie. A właściwie, w znacznym stopniu, ona sama stanowi to muzeum. Jest jednak przedmiotem sporów. Brak w niej napędu i systemów przetwarzania danych. Jakby nigdy ich tam nie było. Istnieje teoria, że zarządzający muzeum usunęli wszystko, żeby upewnić się, że nikt, powiedzmy, nie odda salwy nuklearnej w kierunku biur personelu.

- To chyba dość dobre uzasadnienie - rzekłem.

- Tak, ale niestety - ten, kto wymontował te układy, najwyraźniej ich nie zachował. Jest mnóstwo rzeczy, których historycy chcieliby się dowiedzieć, ale bez tych układów „Rappaport” jest tylko pustą skorupą. Nie przyda się nikomu. I dlatego odzyskanie dellakondyjskiego okrętu wojennego byłoby fantastycznym odkryciem.

Pomyślałem o Llandmanie i „Regalu”.

Jacob odgadł.

- Miał pecha - rzekł. - Mimo wszystko znalezienie tego okrętu było wielkim osiągnięciem. Pracował nad tym przez czterdzieści lat. Kiedy go znaleźli, był 175 miliardów kilometrów od pola bitwy, co powinno dać ci jakiś obraz rzędu wielkości obliczeń.

- Quinda uważa, że został celowo zniszczony, Jacobie. Co wiemy na temat tego, co się stało?

- Niewykluczone, że ma rację. Wkrótce potem, jak grupa badawcza weszła na pokład, jeden z pocisków nuklearnych uzbroidł się i zaczęła się sekwencja odpalania. Uszkodzone systemy, czyjaś nieuwaga, sabotaż: tego nikt nie wie. Llandman o mało nie zginął, próbując wyrzucić głowicę za burtę, ale nikt z nich nie miał zbyt dużej wiedzy na temat układów statku.

- Co się potem stało?

- Przez jakiś czas mówiło się o kolejnej wyprawie. O następnym statku. Ale wszystko się rozmyło. W końcu Llandman stał się obiektem drwin. Wpadł w depresję, zaczął chorować i przeszedł na emeryturę. Do końca życia był zgorzkniałym

człowiekiem. Kpiny nie ominęły też twojego wuja. Tylko że Gabriel był twardzielem. I mówił krytykom, co oni mu mogą.

- A co się w końcu stało z Llandmanem?

- Właśnie przeglądam relacje. Coś przedawkował. Nigdy nie ujawniono wyników sekcji. Cierpiał na wiele różnych schorzeń i nikt nie oświadczył oficjalnie, że to było samobójstwo. Podobno nie zostawił listu.

- Dlaczego „podobno”?

- Bo jakiś kuzyn twierdzi, że taki widział. Jeśli tak, rodzina nigdy tego nie ujawniła.

- To zrozumiałe.

- Tak. Paskudny koniec dla tak utalentowanego człowieka.

Przypomniałem sobie, jak oprowadzał mnie po zaginionych miejscach wymarłych miast. Pamiętałem jego uśmiech, jak trzymał mnie za rękę swoją sękatą dłonią, jak prowadził mnie po nierównych płytach, pomagał omijać sprzęt archeologów.

- Krążyły nawet plotki, że sam zniszczył ten statek. Celowo.

- To szaleństwo!

- Pewnie tak. - Ton Jacoba sugerował, że odrzuca ten pomysł jako niewart dalszych rozważań. - A tak z innej beczki, kiedy cię nie było, znalazłem dalsze informacje o Matcie Olanderze.

- O kim?

- O Olanderze. Zaginionym przyjacielu Leishy Tanner. Okazało się, że jest pochowany na Iliandzie. Czytałem przewodnik napisany przez ich specjalistów od turystyki. Wiesz, że Ilianda jest popularnym celem wycieczek?

- Nie wiedziałem.

- To nadal w większości dzicz, niezbadany ląd, doskonałe miejsce dla myśliwych i wędkarzy, plus trochę tajemniczych ruin. Christopher Sim cieszy się tam wielkim poważaniem, sądząc z liczby bulwarów, parków i uniwersytetów jego imienia. Przypuszczam, że przyczyna jest prosta: w najbardziej mrocznych latach Ruchu Oporu ocalił ich wszystkich.

- Ewakuacja.

- Tak. W czasach wojny cała populacja tej planety zamieszkiwała w Point Edward. Było tam dwadzieścia dwa tysiące ludzi i Sim w taki czy w inny sposób dowiedział się, że Aszijurowie planują zbombardować miasto.

- Kolejna zagadka - rzekłem. - Ani jedna, ani druga strona przez cały czas trwania wojny nie atakowała miejsc zamieszkałych przez, ludność cywilną.

- Z wyjątkiem Point Edward. Może mógłbyś znów odwiedzić naszego przyjaciela S'Kaliana i spytać go dlaczego. W każdym razie Sim poleciał tam, zbierając wszystkie możliwe środki transportu, wielkie komercyjne liniowce pożyczone z Toksykonu i Aberwehl, całą flotę wahadłowców i własne fregaty. Zabrali praktycznie wszystkich. Z jakiegoś powodu stary przyjaciel Tanner tam został. Popularna wśród Iliandyjczyków opowieść głosi, że za młodu mieszkał w Point Edward i poznał tam żonę.

- Tak. Jill. Która zginęła podczas ataku na Cormoral. Iliandyjczycy twierdzą, że został tam, bo wiedział, że miasto jest skazane na zagładę, a powinno mieć obrońcę. Jego grób znajduje się niedaleko portu kosmicznego. Zbudowali nad nim pomnik, a dookoła założyli park.

- Jest jeszcze coś, co mogłoby cię zainteresować. Przeszperałem zapisy transportowe. Teoretycznie są poufne, ale jeden moduł w firmie Lockway Travel był mi winien przysługę. Twój wuj poleciał na Dellakondę jakieś dwa miesiące przed zniknięciem „Capelli”.

- Dellakonda - powiedziałem. - Ojczyzna Christophera Sima.

- Tak. Poza tym wygląda na to, że Gabriel był tam kilka razy w ciągu ostatniego półtora roku.

- Jacobie, wszystkie ślady prowadzą do Ruchu Oporu. Ale tyle razy już się przez to wszystko przegryzałem i dalej nie wiem, jaki jest związek między wojną sprzed dwustu lat a „Tenandrome”.

- Ja też nie. Może ktoś zdefraudował pieniądze na wypłaty dla załogi i ukrył statek w Mgławicy Damy z Woalką.

- Och, diabli - mruknąłem. - Coś się stało. Może najwyższy czas przyjrzeć się miejscu, gdzie toczyła się walka.

Jacob wykonał polecenie; światła przygasły, zgasły całkiem, i pojawił się rój gwiazd.

- Pole bitwy można zdefiniować jako obszar w przybliżeniu mierzący sto dwadzieścia lat świetlnych na czterdzieści, rozciągający się pomiędzy Mirogholem a Wendrikanem.

Dwie gwiazdy, unoszące się w przestrzeni blisko naprzeciwległych ścian, na chwilę rozbłysły, jedna na błękitno, druga na biało.

- Minimalny czas podróży między nimi, w hiperprzestrzeni, to nie mniej niż sześć dni.

- A dla nowoczesnego statku?

- Mniej więcej tyle samo. Korzystamy z napędu Armstronga od jakichś pięciuset lat i nie jesteśmy w stanie uzyskać większych prędkości. Nie wiem dlaczego, ale jeśli chcesz, znajdę wyjaśnienie.

- Nie trzeba.

- Tak na marginesie, patrzymy na ten obszar od ludzkiej strony. Granica wpływu Aszijurów, taka, jaka była na początku wojny, jest po drugiej stronie pokoju.

Grupa kilkunastu gwiazd rozżarzyła się gwałtownie i przygasła. Wszystkie z wyjątkiem jednej: ciemnoczerwonego słońca, którego nazwy się domyślałem.

- Yenmasi - rzekł Jacob.

Tam wszystko się zaczęło. Kolonia ludzka na Imariosie, czwartej planecie Yenmasi, zbuntowała się z jakiegoś banalnego powodu związanego z podatkami. A w pobliżu znajdował się Mistinmor, żółte słońce oświetlające macierzysty świat Cormoral, którego okręty wojenne dokonały interwencji, a jego zniszczenie zagrzało do walki planety pogranicza.

Wszystkie tam były: błękitny supergigant Madjnikhan, ojczyzna nieszczęsnych Bendiri, którzy wysłali swój jedyny statek na pomoc Dellakondyńczykom, złocisty Castleman's, gdzie zaginęło kilka fregat Sima, bezowocnie próbując uratować Miasto na Grani; samotne piękno kilkudziesięciu gwiazd, których symetryczny układ tworzył rozciągający się na lata świetlne cylinder zwany Szczeliną, gdzie mała grupa sprzymierzonych okrętów poniosła sromotną klęskę w walce z aszijurską armadą, żółta gwiazda Minkiades (tak bardzo przypominająca Słońce), nadal pogardzana, gdyż dwie z jej zaludnionych planet, ogarnięte strachem, poddały się najeźdźcom, biały karzeł Kaspadel, macierzysta gwiazda Iliandy, i biały, błyszczący Rigel, gdzie Sima i jego okręt dosięgnął koniec...

- Zobaczmy Mgławicę Damy z Woalką.

- Zmiana skali - rzekł Jacob. Strefa wojny skurczyła się do błyszczącej chmury rozmiarów mniej więcej kominka i cofnęła się w stronę okien. W środku pokoju pojawiła się druga błyszcząca plama. - Mgławica Damy z Woalką. Odległość między najbliższym punktem obszaru walk a krawędzią mgławicy to ponad tysiąc sto lat świetlnych.

- Sześć dni podróży w jedną stronę z gwiazdy Rigel - rzekłem.

- Mniej więcej. Z regionu walk to kawał drogi. Nie wyobrażam sobie powiązań między Mglawicą Damy z Woalką a tą wojną.

- Ktoś tam coś ukrył - podsunąłem. - Na pewno. To nie może być nic innego.

- Przykro mi, Aleksie, ale trudno mi wyobrazić sobie coś, co wymagałoby zachowania takiej tajemnicy.

Niech mnie diabli, jeśli miałem jakiś pomysł. Cały czas przychodziło mi jednak do głowy, że to ma coś wspólnego z Siódemką. Ubiłem poduszki, wyciągnąłem wygodnie nogi i patrzyłem na mglawicę.

Jacob zapalił światło.

- Już późno, Aleksie.

W pokoju było ciepło i bezpiecznie. Obrazy, książki, barek, wszystko było takie znajome i uspokajające. Świat, który można ogarnąć i zrozumieć.

Nalałem sobie trochę brandy. Kryształ, który zawierał pół tuzina symulacji z biblioteki, leżał w pojemniku na stole.

- Chyba powinienem obejrzeć, jak skończył Sim.

XII

To interesujące, że Sim, stawiany w jednym szeregu z takimi bohaterami jak Aleksander, Rancible i Jerzy Czarny, dzięki swej śmierci osiągnął więcej niż dzięki wszystkim swoim wspaniałym kampaniom.

Arena Cash, Wojna w próżni

WŁOŻYŁEM KRYSZTAŁ, usiadłem i poprawiłem opaskę.

- Włączaj, Jacobie.

- Wróciłeś z dalekiej podróży, Aleksie. Nie chciałbyś poczekać do jutra?

- Nie. Włączaj.

Pauza.

- Jak zwykle masz dwie opcje: uczestnik czy obserwator?

- Obserwator.

- Wersja historyczna czy alternatywna?

- Historyczna. Zobaczmy, co tam się stało naprawdę.

- Pamiętaj, że to tylko rekonstrukcja wydarzeń na podstawie wszelkich dostępnych źródeł. W pewnym stopniu jest to adaptacja. Wolisz obserwować z pokładu „Corsarius” czy „Kudasai”?

Zastanowiłem się. Oglądanie ostatecznej rozgrywki z pokładu skazanego na zagładę statku byłoby bardziej dramatyczne. Ciekawie byłoby też sprawdzić, czy wytrzymam do chwili, aż sam program wyłączy symulację. Z drugiej strony, oglądanie z krążownika bojowego Tariena Sima zapewni więcej informacji, jako że pozostawia mniej swobody wyobraźni autorów.

- „Kudasai” - odparłem.

Pokój pociemniał i faktura poduszek zmieniła się.

- Ależ tych skurwieli tu się nazbierało.

Tarien Sim stał przy dużym, owalnym iluminatorze w mundurze Konfederacji

Ruchu Oporu, gapiąc się ponuro na wir gładów i pyłu dookoła gazowego giganta Barcandrika. Gdzieś daleko gromadził się pył, tworząc lśniące pierścienie zdumiewającej urody, tak grube, pełne i jasne, że nigdy dotąd takich nie widziałem. Trzy księżyce pasterskie zwieszały się nad nimi w równych odstępach, jeden blisko nas.

Zatroskaną twarz Sima było widać na tle dolnego pierścienia samej planety, której żółto-zielona atmosfera kotłowała się w oślepiającym słońcu. Sima nie można było z nikim pomylić: poważne, szare oczy człowieka, który być może za wiele już zobaczył, krótka szyja i krępe ciało, zaczynające wykazywać oznaki otyłości charakterystycznej dla ludzi w średnim wieku; starannie przystrzyżone rudobrazowe włosy i broda. Był niższy od brata, a jeśli nie brać pod uwagę oczu, nie należał do ludzi przyciągających uwagę. Ktoś o raczej pospolitej powierzchowności. Dopóki się nie odezwał.

Przemawiał potężnym basem, podszytym niewzruszoną pewnością. Brzmiał jak prawdziwy Tarien i poczułem, jak krew zaczyna mi się burzyć. (Zawsze byłem przekonany, że jestem odporny na agitatorów i szowinistyczne apele. Niemniej jednak dźwięk znajomego głosu poruszył coś skrytego zbyt głęboko, by dało się to określić.)

Ręce założył z tyłu. Na wyświetlaczu na górze światła migotały różnymi kolorami.

Dobry wieczór, panie Benedict, Te słowa dobiegły z głośnika na panelu wyświetlacza. Głos był męski, opanowany, urywany. Witamy w układzie Rigel. Jestem programem-monitorem i będę pańskim przewodnikiem w tej symulacji. Znajduje się pan na mostku „Kudasai”, jedyne krążownika bojowego, który na tym etapie walk należał do konfederatów. Sfinansowała go prywatna fundacja z Ziemi i tu widzimy go w jego pierwszej akcji. W tej chwili ukrywa się w chmurach gazu i pyłu okrążających Barcandrik, tworzących jego wewnętrzny pierścień. Statkiem dowodzi Mendel LeMara. Tarien Sim jest teoretycznie obserwatorem.

- Dlaczego on się tu w ogóle znalazł? - Spytałem. - Wygląda na to, że wybrał sobie najgorszy możliwy moment. Musiał wiedzieć, że zbliża się koniec.

Właśnie dlatego. Nie sądził, żeby Rigel przetrwał. Należy pamiętać, że był to moment, w którym wszystko wskazywało na to, że wszelkie próby zapewnienia pomocy zawiodły. Ziemia i Rimway nadal się wahają, żaden większy gracz nie zdecydował się na interwencję, a flota Konfederacji liczy zaledwie parę statków. Jedyna dobra nowina to taka, że na Toksykonie miała miejsce rewolucja i jest

szansa na wprowadzenie tam demokratycznych rządów oraz na zakończenie wojny, jaką ta planeta prowadzi z Muri. Owszem, niedługo nadejdzie stamtąd pomoc, ale sojusznicy mają mało czasu.

I dlatego Tarien zdecydował się podzielić los brata i jego towarzyszy.

Na ekranie naliczyłem około dwustu statków wroga. Przeważnie eskortowce i niszczyciele, ale były też trzy ciężkie krążowniki bojowe o znacznej sile ognia.

Przeciwko nim stanęło dwadzieścia fregat, kilka niszczycieli i „Kudasai”.

Mendel LeMara był wysoki, o skórze barwy miedzi; w półświecie na mostku widać było jego ponurą minę. Oficerowie na różnych stanowiskach wydawali się przygnębieni, ukrywali emocje. Tarien Sim patrzył przez iluminator na wielką planetę w trzeciej kwadrze. Wyglądał, jakby odcinał się od napięcia panującego na mostku. Pomyślałem, że zaakceptował nieuniknione. Odwrócił się nagle, napotkał moje spojrzenie i skinął zachęcająco głową.

Ta planeta przegapiła swoją szansę na zostanie gwiazdą, powiedział monitor. Za siedemdziesiąt lat nastąpi próba jej rozpalenia. To szósta planeta układu składającego się z jedenastu planet. Abonai jest czwartą i znajduje się blisko swego punktu największego zbliżenia.

- Dlaczego po prostu nie zwiali? Dlaczego Abonai jest taka ważna?

Abonai to ostatnia z planet pogranicza, należąca do pierwotnej Konfederacji. Wszystkie pozostałe już się poddały: Eschaton, Sanusar, Miasto na Grani, nawet sama Dellakonda. A zatem ma znaczenie symboliczne. Gdyby ją utracili, wojna przestałaby mieć sens; Sim i jego sojusznicy staliby się wygnańcami, grupą nomadów całkowicie zależnych, od pomocy rządów, które dotąd przejawiały wyłącznie obojętność albo strach.

- Nie przypuszczamy - odezwał się do interkomu kapitan - że wiedzą o „Kudasai”. Spodziewają się tylko zwykłego zestawu fregat i niszczycieli. Dużo czasu minęło od chwili, gdy dysponowaliśmy jakąś realną siłą ognia w tej wojnie, i może dziś uda nam się zadać cios. - Mówił nieomal radośnie, a na mostku oficerowie wymienili ponure spojrzenia.

- Mamy pewną przewagę - mówił dalej. - Ochotnicy z Toksykonu wdali się w utarczkę z główną grupą wrogich statków i odciągnęli pewną liczbę eskortowców. Nie zdążą wrócić, zanim zrobi się gorąco. - Wziął głęboki oddech. - Wiem, że słyszeliście plotki o tym, iż Ziemia ogłosiła chęć interwencji, ale muszę wam powiedzieć, że nie mogę potwierdzić tych wieści. Nie wątpię, że to tylko kwestia czasu i w końcu Ziemia

przystąpi do wojny, ale w tej chwili nie możemy liczyć na żadną pomoc.

- Fregaty ruszą do walki za parę minut. Kontakt nastąpi w zasięgu około miliona i ćwierci kilometrów od naszej bieżącej pozycji. Nasze jednostki spróbują przypuścić solidny atak, a potem odłączą się i polecą tędy. Przypuszczamy, że niemoty pogonią za nimi. - Światła na mostku przygasły i pojawiła się holograficzna projekcja Barcandrika. Gazowy gigant unosił się pośród strzępiastych pierścieni. Widać było kilka satelitów. Dwie walczące ze sobą floty wyglądały jak świetlne punkty, Aszijurów - białe, Dellakondyjczyków - szkarłatne. Trzy wielkie krążowniki połyskiwały pośród eskortowców.

Obie floty zbliżyły się do siebie po drugiej stronie planety, z dala od pierścieni i księżyców. Fregaty Konfederacji mknęły w stronę skrzydła wroga, zaś formacja Aszijurów przegrupowała się, by przygotować się do ataku.

- Nie jesteśmy widoczni dla zbliżających się statków - rzekł LeMara. - I nie jesteśmy sami. - Na jednym z monitorów pojawił się „Corsarius”. Połyskiwał srebrno i niebiesko w ostrym świetle słońca. - Przy odrobinie szczęścia - mówił dalej LeMara - znajdziemy się między nimi, zanim się zorientują, że są w niebezpieczeństwie.

Wciągnęło mnie to całkowicie. Wiedziałem, że ludzie otaczający mnie to symulacje, podobnie jak statki i planety, ale przestałem o tym pamiętać. Czulem, jak bije mi serce, i zastanawiałem się, jakie było doświadczenie Mendela LaMary i czy nadal był na mostku, gdy „Kudasai” został zestrzelony po kilku tygodniach. I pomyślałem o tajemniczej załodze Sima, złożonej z wyrzutków i dezertków, która teraz była na pokładzie „Corsarius”.

Siódemka.

Obserwowałem atak. I choć teraz doskonale wiedziałem, co się stanie, i tak porwał mnie dramatyzm sytuacji.

Dywizjon złożony z dziesięciu fregat i czterech niszczycieli zaatakował jednostki na czele, zgodnie z planem mając nadzieję wykorzystać umiarkowaną przewagę techniczną i odciągnąć pewną liczbę Aszijurów. Statki wroga były za blisko siebie, żeby dało się walczyć. Dlatego też strzelały bardzo ostrożnie: żaden kapitan niemoty nie chciał być oskarżony o uszkodzenie przyjaźielskiego statku. Z drugiej strony, Dellakondyjczycy, podobnie jak nad Hrinwharem, z trudem wyszukiwali obiecujące cele. Przez kilka minut tylko miotali się szaleńczo wśród wrogów.

Ale dwa niszczyciele znikły nagle z ekranów. A potem, zaraz po nich, para fregat.

Czekałem, aż się wycofają, ale trzymały się. Przez siedemnaście minut pędziły wśród wrogich statków, a kiedy wreszcie nadszedł sygnał do odwrotu, wydostało się tylko pięć. Skoczyły w kierunku Abonai, która - dzięki dobremu planowaniu i odrobinie szczęścia - znajdowała się za pełnym pyłu układem Barcandrika.

Chmary niszczycieli i fregat rzuciły się za nimi.

W naszą stronę.

Jeden z krążowników, który nie był w stanie łatwo manewrować, leciał szerokim łukiem i przez większość akcji pozostawał poza zasięgiem.

Wiedziałem, co się stanie: Abonai upadnie, a siły Dellakondyjczyków rozproszą się. Aszijurowie mieli jednak zapłacić wielką cenę za to zwycięstwo. Śmierć Christophera Sima miała przebudzić z letargu zwolenników neutralizmu. Skutkiem klęski w układzie gwiazdy Rigel były narodziny nowej Konfederacji, a jej pierwszym czynem - stworzenie zjednoczonej floty, która w ciągu roku miała odeprzeć Aszijurów aż za Ramię, aż na Obrzeża, z których się wywodzili.

„Kudasai” miał przetrwać jeszcze parę tygodni, tylko tyle, by być świadkiem interwencji. Został zestrzelony pod Arkady, walcząc wraz z jednostkami z Ziemi. I miał zabrać Tariena Sima ze sobą.

Załoga „Kudasai” przygotowywała się do bitwy. Przystawiano broń na pełną moc, zamykano grodzie, ogniwa energetyczne pracowały z pełną mocą. Z interkomu dobiegało mnóstwo rozmów naraz, ale nie udawało mi się wiele zrozumieć.

LeMara przypiął się do fotela dowódcy. Spojrzał na Sima, który nadal stał przy iluminatorze.

- Powinien pan usiąść, sir - rzekł łagodnie.

Tarien stał z przymkniętymi oczami, ale dotknął przełącznika komunikatora w podłokietniku fotela i spojrzał na kapitana. LeMara skinął głową i otworzył kanał.

- Tu Tarien Sim. Jestem bardzo dumny, że mogę być tu z wami. Mówi się, że dziś z nami podróżuje przyszłość. Jeśli tak jest, nie mogłaby być w lepszych rękach. Niech Bóg wam błogosławi.

Za nami, wynurzając się w ciszy z chmury pyłu, pojawił się „Corsarius”.

Ktoś podawał odległości.

Rigel był stąd widoczny, a pyły i gazy, w których się unosiliśmy, były

podświetlone mrocznym światłem Barcandrika.

Podczas rzeczywistej bitwy, rzekł monitor, okres, jaki upłynął między wycofaniem się a pojawieniem się Dellakondyjczyków na optycznej „Kudasai”, wynosił kilka godzin. Trochę wszystko skompresowaliśmy. Na monitorze podczerwieni widać skupisko gwiazd, które gwałtownie się rozjaśniły. Nasze statki są dość blisko.

Jeden właśnie eksplodował. Tę potyczkę przetrwa zaledwie kilka statków. Wbrew powszechnej opinii w układzie Rigela Sim popełnił kilka błędów, zarówno podczas planowania, jak i realizacji. Nigdzie dotąd nie stawiał bezpośrednio czoła znacznym siłom nieprzyjaciela. Jego mocną stroną podczas tej wojny była głównie taktyka podstępnych ataków i szybkich uciezek. Przeważnie wyglądało to tak, że Sim czekał, aż statki nieprzyjaciela wyjdą z hiperprzestrzeni. Jego technika polegała na tym, że wybierał kilka ofiar, a potem się wycofywał, zanim załogi Aszijurów otrząsnęły się z dezorientacji po skoku.

Być może był przekonany, że w układzie Rigela i tak nie ma szans. I nigdy nie miał statku o takiej sile ognia jak „Kudasai”. Może kusilo go, żeby go użyć.

Gdy doszło do tej bitwy, Sim i jego sprzymierzeńcy przegrywali już od trzech lat. Wcześniej wspomnieliśmy o symbolicznym znaczeniu Abonai, ostatniej planety konfederatów. Na szczęście percepcja Aszijurów była inna od ludzkiej i prawdopodobnie nie zauważyli, jak ważna jest dla nas planeta, którą zamierzają podbić. W przeciwnym razie zgromadziliby wszystko, co tylko mieli. A tak pospiesznie zebrali jakieś siły bojowe i przysłali je.

Niski szum zasilania, jaki wydawały silniki i broń, narastał.

- A zatem Sim postawił wszystko na jedną kartę.

Tak.

- I przegrał.

Tylko własne życie.

Tak: w ten sposób wygrał wojnę. Ale czy przyniosło mu to satysfakcję?

Na mostku zaczął się ruch. LeMara wydał rozkaz i zaczęliśmy się przemieszczać.

W warunkach bojowych iluminatory obserwacyjne byłyby zamknięte. W symulacji zostawiamy je otwarte, choć to wiele nie zmienia, bo statki są daleko, a wszystko dzieje się bardzo szybko. Wprowadziliśmy pewne poprawki, żeby całość była bardziej zrozumiała.

- Niszczyciele niemot w pobliżu - oznajmił jakiś głos w interkomie. - Chyba dotarli tam pierwsi.

- Puśćcie ich.

Zobaczyłem księżycy, bąble gęstego światła dryfujące w chmurach.

Przyspieszaliśmy.

- Kapitanie, mamy odczyt czoła sił przeciwnika: dwa krążowniki, siedemnaście niszczycieli, dziewiętnaście albo dwadzieścia eskortowców. Kolejne okręty są za nimi, ale podczas pierwszej fazy nie powinny mieć znaczenia.

Obie grupy było wyraźnie widać w podczerwieni: fontanna gwiazd tworząca się nad wielką planetą, przebijająca się przez mrok. Wyglądały jak para komet.

- Dywizjon niszczycieli na pozycjach, czeka na sygnał.

Każdy z dwóch krążowników był otoczony sześcioma albo siedmioma eskortowcami, które teraz znajdowały się blisko celu.

Z „Corsarius” przemawiał do uciekającej grupy Christopher Sim:

- Duch, tu Zadzierzysty. Na mój rozkaz dywizjon da całą wstecz. Pozwólcie, żeby czoło szyku was minęło, rozpocznijcie walkę i przygotujcie się do manewru zgodnie z planem. A my wyjmemy żądło.

Wynurzyliśmy się spośród odłamków skalnych. Formacja wroga czekała dokładnie naprzeciwko nas.

Patrzyłem, jak przelatują. Aszijurowie. Ich statki były jasnymi punktami światła, połyskującymi na tle pyłu i odłamków za Barcandrikiem.

- Nie zauważyli nas jeszcze - powiedział nawigator. - Wszyscy zapiąć pasy.

Nadal przyspieszaliśmy. Czuję lekki ciąg silników.

Sprawdziłem uprząż. Monitor milczał. Rozumiałem po części, co się dzieje. Aszijurowie pędzili z tak wielką prędkością, że jeśli nawet nas zobaczą za wcześnie, niewiele będą mogli zrobić, póki nie oddamy kilku solidnych strzałów w stronę krążowników. Z drugiej strony, jeśli chybimy, nie będziemy mieli drugiej szansy, bo z powodu tej prędkości szybko znajdą się poza naszym zasięgiem. Łączny czas na oddanie strzałów wynosił jakieś osiem sekund, a mniej niż połowa była celna.

Próbowałem się odprężyć, zastanawiając się, dlaczego reaguję, jakby było tu jeszcze coś do wyjaśnienia. Dellakondyjczycy odniosą sukces, atakując krążowniki z zaskoczenia. „Kudasai” zniszczy jeden z nich, a „Corsarius” uszkodzi drugi. Seria uderzeń pozbawi go jednak osłony. A kiedy „Kudasai” popędzi na ratunek, śmiertelnie ranny statek niemot dokończy dzieła. Pociskiem nuklearnym.

Tarien był pogrążony w zadumie. Patrzyłem, jak „Corsarius” ustawić się na pozycji jakiś kilometr od nas. Przez chwilę w kadłubie odbijało się słońce. Wskutek jakiegoś triku optycznego czarna wiedźma wysunęła się do przodu. Jej broń była uzbrojona i gotowa, czasy czujników obracały się wolno, światło na mostku przygasło. Było w tym okęcie coś niematerialnego, jakby częściowo był zjawą.

Rozległ się dźwięk przypominający klakson, głęboki skrzek odbijający się echem po całym statku.

- Coś jest za nami - odezwała się jedna z oficerów pokładowych. Z trudem ukrywała zaskoczenie. - Leci szybko. Wygląda jak dwanaście, może trzynaście niszczycieli.

- Potwierdzam - dobiegł inny głos. - Namierzyli nas.

- Jak to możliwe, u licha? - Mruknął kapitan. - Podaj czas kontaktu.

- Przy obecnym tempie wytracania prędkości jedenaście minut.

Wsluchiwałem się w odgłosy dobiegające z okrętu. Odniosłem wrażenie, że „Kudasai” zbiorowo wstrzymuje oddech.

Sam byłem nieco skonsternowany. Nie miałem pojęcia, że natrafią akurat na taki problem. I zastanawiałem się, jak - w tych okolicznościach - zrealizują swój plan związany z główną grupą napastników. Przecież historycznie właśnie to im się udało.

Ciszę przerwał głos Christophera Sima.

- Młotek, tu Zadzierzysty. Przerwać atak. Wycofać się.

- Chwileczkę - odezwałem się. - Monitorze, coś tu nie gra.

- Mendel! - W głosie Sima dało się słyszeć napięcie. - Najważniejsze jest ocalenie „Kudasai”. Zabierajcie się stamtąd. Spróbujemy was osłaniać.

- Nie! - Wielka pięść Tariena Sima uderzyła w podłokietnik fotela. Patrzył na ekran, na którym roily się nadciągające niszczyciele. - Kontynuujcie atak, Chris. Nie mamy wyboru!

- Nie mogę - odparł jego brat. - Dorwaj nas, zanim dolecimy do celu. Musimy się zmierzyć z niszczycielami, czy tego chcemy, czy nie, i musimy się skupić na wyborze miejsca. Jeśli nas złapią na otwartej przestrzeni, ryzyko będzie za duże. Ruszamy w stronę Barcandrika.

- Momencik - zaprotestowałem. - To nie tak było.

Aleksie, nie przeszkadzaj, proszę.

- Monitorze, co tu się dzieje? Nigdy nie czytałem o ataku niszczycieli, który nastąpił w ostatniej chwili.

Nie było cię tam. Skąd możesz wiedzieć, co się stało?

- Czytałem w książkach.

Głos LeMary:

- Przygotować się do przekierowania mocy na moduły Armstronga. W razie konieczności dokonamy skoku.

Tarien potrząsnął energicznie głową.

- To będzie koniec - zagrzmiał. - Nie róbcie tego.

Gnaliśmy szybko i przyspieszenie wgniotło mnie w fotel. System podtrzymywania życia, który generuje sztuczną grawitację, kompensuje także inercję spowodowaną przyspieszeniem. Ale najwyraźniej w tych czasach sprzęt nie był tak dobry jak w nowoczesnych statkach międzygwiazdnych.

- Aleksie? - Rozległ się na mojej linii głos Tariena.

To także było zaskoczeniem: uczestnicy nie rozmawiali z obserwatorem.

- 'Tak? - Odparłem, mając kłopoty ze znalezieniem właściwych słów. - O co chodzi?

- Nie wyjdziemy z tego cało. Ratuj się, jeśli możesz. Spojrzał na mnie, machnął ręką, jakby nakazywał mi gdzieś wyjść, i odwrócił się z powrotem do iluminatora.

Dość tego.

- Monitorze, wyłącz symulację.

Nic.

- Monitorze, gdzie ty jesteś, u licha?

Zacząłem się bać.

Kapitan przeszedł w tryb bojowy. Dowiedziałem się, że statki w tym okresie, w sytuacjach zagrożenia, mogły chwilowo zwiększać moc. Systemy szybko się wyczerpywały, ale przez krótki okres można było skierować dużą moc do systemów uzbrojenia, osłon i napędu.

Atmosfera planety, gdzie chcieliśmy zgubić naszych prześladowców, wyglądała na beznadziejnie oddaloną. Szybko nabieraliśmy prędkości. Na ekranach widać było niszczyciele, które pędziły równie szybko i zaczynały formować klin.

Dotknąłem opaski. Była mokra od potu.

- Monitorze, wyciągnij mnie stąd.

Nadal nic.

Na mój iluminator nasunął się pancierz. Światło przygasło.

Instrukcja mówi, że jeśli wszystko inne zawiedzie, należy zdjąć opaskę, by wyjść

z symulacji. Nie powinno się tego robić, bo jest to szkodliwe dla sprzętu, dla głowy, dla czegoś, nie pamiętam. Mimo wszystko ją zdjąłem.

Nic się nie zmieniło.

Zamknąłem oczy i próbowałem wymacać solidnie wypchaną sofę w salonie. Leżałem na tej cholernej sofie, a jedynym łącznikiem między tym światem a tamtym była opaska. Nawet ubranie miałem inne. (Miałem na sobie mundur Dellakondyjczyków; były na nim dwa srebrne kółka. Byłem oficerem).

Otworzyły się nasze własne tylne baterie. Okręt zadrżał od wystrzału. Co się tu dzieje, u licha?

Z tego, co wiedziałem, jeśli scenariusz przewiduje dehermetyzację statku i moją śmierć lub poważne obrażenia, moje fizyczne ciało na pewno dozna szoku. Takie rzeczy już się zdarzały. A ludzie umierali.

- Jacobie! Jesteś tam?

- Niszczyciele zaczynają wykonywać uniki. Przynajmniej trochę zyskamy na czasie.

Na górnym wyświetlaczu zobaczyłem, że „Corsarius” nadal jest w pobliżu. Na innym ekranie widać było kursy pocisków wystrzelonych przez „Kudasai”. Ktoś odczytywał prognozy mocy. Ale większość gadaniny przez interkom ucichła.

Pociski przemknęły między okrętami wroga, nie wyrządzając żadnych strat.

- Wszystkie spudłowały. Przygotować się do drugiej salwy.

- Czeakać - rzekł kapitan. - Poczekać, aż się zbliżą. Powiem wam kiedy.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Jedyne dźwięki, jakie dało się słyszeć, wydawała elektronika, systemy podtrzymywania życia i mruczenie mocy krążącej po statku. Oficer zameldował, że niszczyciele wystrzeliły i że podjęliśmy działania obronne. Były to lecące z prędkością światła pociski z głowicami nuklearnymi i na szczęście wszystkie chybiły.

- Przechodzimy na wodór za cztery minuty - oświadczył kapitan.

Odbyła się druga wymiana salw i dwa z niszczycieli eksplodowały. Kolejny odpadł z szyku. Ktoś wzniósł okrzyk radości.

- Może się jeszcze uda - odezwał się w interkomie jakiś kobiący głos.

Kapitan zmarszczył brwi. Tarien obserwował go uważnie.

- Co się stało? - Spytał po chwili.

- „Corsarius” nie oddał strzału.

- Kapitanie - odezwał się nawigator - proszę spojrzeć na ekran iluminatora.

Wszyscy spojrzeliśmy. Mieliśmy na optycznej „Corsarius” i nie dostrzegłem niczego niezwykłego, choć najwyraźniej nie dotyczyło to pozostałych. Na ich twarzach było widać zdumienie, potem złość, a na końcu przerażenie.

Spojrzałem jeszcze raz i zrozumiałem. Lufy były wycelowane w naszym kierunku!

Kapitan pstryknął przełącznikiem na fotelu.

- „Corsarius” - rzekł - co się tam u was dzieje, u licha? Brak odpowiedzi.

- To jakiś absurd - odezwał się Tarien, pochylając się nad własnym komunikatorem. - Chris!

- Cała moc na osłony - rzekł kapitan. - Unik. Automatyczna blokada. Przerwać połączenie z „Corsariusem”. Na mój znak przechodzimy na zero trzy osiem punkt sześć.

- Nie! - Wrzasnął Tarien. - Musimy z nim porozmawiać! Dowiedzieć się, co się dzieje!

- Później porozmawiamy - rzekł LeMara. - Teraz, nie chcę, żeby namierzył nas promień naprowadzający. - Z niecierpliwością zwrócił się do oficera po prawej. - Sternik, wykonać!

Statek poruszył się pode mną. Znowu mnie rozplaszczyło.

- Leci równo z nami.

Długi, przypominający pocisk „Corsarius” nadal był widoczny tuż przy moim iluminatorze.

- To jest fizycznie niemożliwe - wysapałem do mikrofonu, nie spodziewając się odpowiedzi. Tymczasem rozległ się głos monitora.

Masz rację, powiedział. To niemożliwe. Spytaj Aszijurów. Powiedzą ci, że „Corsarius” nie podlegał prawom fizyki, a Christopher Sim był czymś więcej niż człowiekiem.

Statek Sima obrócił się, ukazując kolejny garnitur uzbrojenia.

- Impulsatory - rzekł kapitan.

- Odległość pozwalająca na stuprocentowe trafienie - skomentował jakiś odległy głos.

Nie było ostrzegawczego błysku. Pociski leciały z prędkością światła, więc rozległ się tylko chrzęst metalu, zapadła nagle ciemność i dało się słyszeć huk uciekającego powietrza.

Ktoś zaczął krzyczeć i umilkł. Do kabiny wdarła się fala chłodu. Nie było już

powietrza i coś uderzyło mnie w żebra. Poczulem nagle z wyjątkową intensywnością podłokietnik fotela pod prawą dłoń. Okręt, kabina, problem z oddychaniem - wszystko zostało zredukowane do tego kawałka pokrytego tkaniną metalu.

- Ten drań szykuje się do drugiego wystrzału.

XIII

Thum to demokracja w najczystszej formie.

przypisywane Christopherowi Simowi, Roczniki dellakondyjskie

MOJE CZOŁO było chłodne. Coś się po nim przesuwalo, ściereczka, ręka, coś. Wsluchiwałem się w rytm swojego oddechu. Gdy próbowałem się poruszyć, poczułem lekki zawrót głowy. Bolały mnie żebra i szyja. Czulem światło na powiekach.

- Aleksie, nic ci nie jest? Glos Chase. Z daleka. Woda kapiąca do miski.

- Cześć - powiedziałem, nadal unosząc się w ciemnościach.

Ujęła moją głowę w dłonie i przycisnęła wargi do czoła.

- Jak dobrze, że wróciłeś.

Wyciągnąłem do niej rękę, żeby poprosić o powtórkę, ale odsunęła się i uśmiechnęła. W jej oczach nie było jednak uśmiechu.

- Jak się czujesz?

- Strasznie.

- Chyba niczego sobie nie połamałeś. Trochę się potłukłeś. Co ty tam robiłeś?

- Próbowałem się dowiedzieć, co może się przytrafić gapiom - odparłem.

- Wezwać lekarza?

- Nie. Nic mi nie będzie.

- Może powinienes. Nie jestem w tym za dobra. Może masz jakieś obrażenia wewnętrzne?

Spojrzałem w jej szare oczy. Nie była Quinda Arin, ale w tej chwili wyglądała ślicznie.

- Nic mi się będzie - rzekłem. - Skąd się tu wzięłaś?

- Jacob mnie wezwał.

- Jacob?

- Wydawało mi się to dobrym pomysłem - wtrącił Jacob.

- Zauważył, że coś jest nie tak.

- Pociłeś się - rzekł. - I oddychałeś nieregularnie.
- Więc przyjrzał się i wyciągnął cię z tego. - Chase podała mi szklankę wody.
- Dzięki. - Pociągnąłem łyk i spróbowałem usiąść, ale wszystko mnie bolało. -

Jak to się stało?

- Nie mamy pojęcia. Coś nie tak było z symulacją.
- Zaśmiałem się tak, że o mało nie dostałem spazmów.

- Aleksie - odezwał się Jacob - przyjrzałem się wszystkim scenariuszom. Coś takiego stałoby się niezależnie od tego, której symulacji byś użył. Nawet w przypadku Prządek. Gdybyś wrócił na Hrinwhar z grupą uderzeniową Sima, odkryłbyś, że plan odciążenia Aszijurów nie całkiem się powiódł i Dellakondyjczycy zostali zdziesiątkowani. To nie są te symulacje, które my skopiowaliśmy.

- Włamywacz - rzekłem.
- Tak - odparł Jacob.

Nadal próbowałem usiąść, ale Chase mnie powstrzymała.

- Może to wyjaśnia, po co porzucali pościel i ukradli książkę.
- Nie widzę związku - rzekł Jacob.
- Jaką pościel? - Spytała Chase, jakby była przekonana, że źle usłyszała.
- Wczoraj ktoś się tu włamał i zrobił coś dziwnego z pościelą. No i ukradł tom wierszy Walforda Candlesa.

- To miało tylko odwrócić uwagę - powiedziała. - Ukryć prawdziwy powód włamania. Ktoś chce cię zabić.

- Nie przypuszczam - wtrącił Jacob. - Przerwałem symulację, gdy tylko zorientowałem się, co się dzieje. Gdybym tego jednak nie zrobił, program miał cię za chwilę uratować. To samo dotyczy wszystkich symulacji. Nie sądzę, żeby chcieli cię zabić.

- Wygląda na to, Aleksie, że ktoś chce cię wystraszyć - powiedziała Chase.

Tak było. I z wyrazu twarzy Chase mogłem łatwo wyczytać, że ona wie o tym równie dobrze jak ja.

- To musi być jakoś powiązane z Gabrielem.
- Niewątpliwie - odparł Jacob.

Zastanawiałem się, jak się z tego wycofać, ale z twarzą, żeby Chase nie spisała mnie na straty jako tchórza.

- To wszystko chyba nie jest warte tego, żeby dać się zabić - rzekłem.

Jacob milczał. Chase skinęła głową.

- Tak będzie najbezpieczniej - zgodziła się po długiej chwili. Wyglądała na rozczarowaną.

- Czego właściwie się po mnie spodziewasz? - Zapytałem. - Nie wiem nawet, kim te skurczydranie są. Jak mogę się przed nimi bronić?

- Nie możesz.

Zapadła długa cisza.

Chase wyjrzała przez okno, a ja przyłożyłem rękę do czoła i próbowałem wyglądać na cierpiącego.

- Mimo to szkoda - odezwała się w końcu - że ujdzie im to na sucho.

- Ktoś zapewne przypuszcza, że jesteś na tropie - wtrącił Jacob z delikatnym wyrzutem w głosie.

- Czy komuś coś jeszcze przychodzi do głowy? - Spytałem, dotykając kryształu, na którym były przechowywane symulacje. - Czy przeprogramowanie takiego scenariusza jest trudne? Jakiej to wymaga wiedzy?

- Przypuszczam, że umiarkowanej - rzekł Jacob. - Trzeba zmodyfikować podstawowy program tak, by dodać opcję wyłączającą pierwotny pakiet autoryzacyjny monitora, który zapewnia uczestnikowi bezpieczeństwo. I konieczne byłoby odłączenie kilku zapasowych systemów zabezpieczających. Wystarczy do tego odpowiednio wyposażony system domowy.

- Potrafiłbyś to zrobić?

- Och, tak. Z łatwością.

- Więc ktoś się dowiedział, pewnie z biblioteki, które scenariusze skopiowaliśmy. Potem wykonali duplikat, przeprogramowali go w kryształach i podrzucili go.

Chase założyła nogę na nogę i nie patrzyła w moją stronę.

- Moglibyśmy skontaktować się z biblioteką i zapytać, kto jeszcze interesował się tymi symulacjami. Nikt nie musi się dowiedzieć, że o to pytaliśmy.

- Nie zaszkodziłoby - rzekłem.

- Już to zrobiłam, Aleksie. Identyfikacyjny zestaw symulacji wypożyczono dwa dni temu.

- Dobrze - odparłem niechętnie. - Kto go wypożyczył?

- Z zapisów wynika, że Gabriel Benedict.

Następnego ranka Jacob oświadczył bezceremonialnie, że poczytał trochę o

Wallym Candlesie i w nocy odkrył parę ciekawych informacji.

- Wiesz, że pisał wstępy do swoich tomów?

- Mamy, czy raczej mieliśmy, wszystkie pięć - powiedziałem. - Nie przypominam sobie żadnych przedmów.

- Bo są wyjątkowo długie. Niemal dorównują objętością samym tomom. I dlatego nigdy nie były włączane do oryginalnych wydań. Zostały jednak zebrane i opatrzone komentarzami przez Armanda Jeffriesa, znanego specjalistę od Candlesa.

Termofor na moich posiniaczonych żebrach wydzieliał przyjemne ciepło.

- Co masz na myśli?

- Natrafiłem na opis jego autorstwa. Opis reakcji mieszkańców Khaja Luan na zajęcie Miasta na Grani. To ciekawy portret Leishy Tanner w akcji. Najwyraźniej była dość odważną kobietą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pamiętasz, jak wspominała o tłumie? Najwyraźniej nie była tylko gapiem. Przygotowałem ten materiał, na wypadek gdybyś chciał go zobaczyć.

- Tak, proszę.

- Na ekranie?

- A możesz mi go przeczytać?

- Tak. - Zamilkł na chwilę. - Tam jest sporo o sytuacji politycznej.

- Przyjrzę się temu później. Co on pisze o Tanner?

- Tego wieczora, kiedy dowiedzieli się o zajęciu Miasta na Grani, Candles obserwował na kampusie demonstrację interwencjonistów. Ale zachowywał bezpieczną odległość.

Użyli przedniego portyku stołówki jako sceny. Siedziało tam może siedem albo osiem osób, wszystkie z wściekłymi minami, wyglądające, jakby chciały rozszarpać gardło każdemu, kto się zbliży. Przemawiała Marish Camandero. Była szefową wydziału socjologii. Atrakcyjna, solidnie zbudowana, konkretna. Idealna kandydatka na wykładowcę socjologii.

Na placu było ze dwustu demonstrantów. Być może to nie jest wielka liczba, ale zachowywali się dość głośno. I aktywnie. Grali własną muzykę, która składała się głównie z pisków i łomotów, i cały czas się rozpychali albo łapali za ręce. Miało tam miejsce parę bójek, jeden młody człowiek próbował kopulować z krzewem margodowym, wszędzie widać było butelki.

Camandero pokrzykiwała coś o niemotach i mordercach, a tłum był już nieźle

nakręcony.

I w to wszystko wkroczyła Leisha. Na pewno zostawiła w domu zdrowy rozsądek. Pojawiła się na tyłach tłumu właśnie wtedy, gdy Camandero mówiła, że historia jest zasłana trupami ludzi, którzy nie chcieli lub nie mogli walczyć.

Tłum zaryczał z aprobatą.

Mówiła dalej w tym tonie, że ludzie chowają głowy w piasek i mają nadzieję, iż niemoły same sobie pójdą. „Teraz nadszedł czas”, mówiła, „by stanąć ramię w ramię z Christopherem Simem”. Tłum podchwycił jego imię i zaczął je wykrzykiwać, bezsilny tłum, którego ojczysta planeta dysponowała zaledwie kilkoma kanonierkami.

Ktoś rozpoznał Leishę i wykrzyknął jej nazwisko. To przyciągnęło uwagę wszystkich i hałas ucichł. Camandero spojrzała prosto na nią. Leisha stała na skraju tłumu. Camandero uśmiechnęła się szeroko i wskazała w jej stronę palcem. „Doktor Tanner zna się na niemołach lepiej niż my”, powiedziała z udawaną życzliwością. „Już kiedyś publicznie broniła swoich przyjaciół. O ile pamiętam, to jakiś rok temu zapewniała nas, że nic takiego się nie stanie. Może teraz nam opowie, czego jeszcze nie powinniśmy się bać, teraz, gdy najechali na Miasto na Grani?”

Tłum jeszcze jej nie namierzył. I tu miała szansę: mogła stamtąd uciec, a tymczasem po prostu tam została. Mając na uwadze paskudny nastrój, jaki panował tego wieczoru, było to lekkomyślne i niebezpieczne. Nawet energiczny księgowy mógłby nakłonić ich do spalenia Kapitolu.

Leisha obrzuciła spojrzeniem Camandero, rozejrzała się wokół z nieskrywanym obrzydzeniem, wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę portyku. Chyba ten marsz poruszył mnie bardziej niż wzruszenie ramionami. Tłum rozstępował się przed nią, ale ktoś rzucił w jej kierunku kufel z piwem.

Camandero uniosła ramiona w pokojowym geście, prosząc widzów o spokój i wyrozumiałość, także dla tych, którym brak odwagi.

Leisha maszerowała z istic królewską pogardą - patrzyłem na to z zachwytem, ale i z przerażeniem. Wspięła się na podium i stanęła twarzą w twarz z Camandero. Tłum ucichł.

Wiatr przynosił jakieś głosy, w górze słyhać było pojazdy. Camandero była o wiele wyższa od Leishy. Stały naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem, po czym Camandero odpięła mikrofon i trzymała go w palcach tak, jakby chciała, by Leisha musiała po niego sięgnąć.

Ta czynność zniszczyła ostatnią psychiczną więź, jaka istniała między nimi.

- Zgadzam się - rzekła Leisha wyraźnie, zdumiewająco przyjaznym tonem - że czasy są niebezpieczne.

Uśmiechnęła się słodko i zwróciła w stronę publiczności. Camandero wypuściła z ręki mikrofon, po czym zeszła z podwyższenia i zaczęła przedzierać się przez tłum, aż dotarła na plac.

Mikrofon leżał tam, gdzie upadł.

Leisha wykorzystała swoją przewagę.

- Wojna nadciąga - rzekła. - Jeszcze nie bierzemy w niej udziału, ale ta chwila jest prawdopodobnie nieunikniona. - Rozległy się jakieś chichoty, ale szybko zamarły. - Dziś w mieście odbywa się zapewne kilka takich demonstracji. A my powinniśmy poświęcić chwilę i zastanowić się...

Gdzieś na placu rozległa się eksplozja. Kolejne wiwaty.

- ...Nad tym, co to wszystko oznacza. Istnieje inny gatunek, który jest bardzo podobny do nas samych...

To ich poruszyło. Ktoś wrzasnął, że nie ma nikogo podobnego do nas, inni wrzeszczeli, że to przecież dzikusy. Leisha stała i czekała spokojnie, aż skończą.

Kiedy się uciszyli, rzekła:

- To istoty myślące!

Tłum znów zareagował. Rozglądałem się dookoła, poszukując jakiejś pomocy i zastanawiając się, co robić, jeśli się na nią rzucą.

- Oni mają swoją etykę - mówiła dalej. - Mają uniwersytety, na których zbierają się studenci i domagają się zemsty.

- Już się dziś zemścili! - Krzyknął kłóś, a powietrze wypełniło się groźbami skierowanymi przeciwko Aszijurom, uniwersytetowi i Leishy.

- Tak. - Widać było, że Leisha jest zasmucona. - Pewnie tak. Straciliśmy kilka okrętów, zginęły załogi. I o ile wiem, niemoty zastrzeliły kilku ludzi na ziemi. A teraz nasza kolej i nie mamy innego wyjścia niż rozlew krwi.

Tłum zaczął potrząsać pochodniami.

- Dziwka! - Krzyknął ktoś.

- Racja!

- Dużo ludzi już zginęło. Co z nimi?

Znałem jej odpowiedź na to pytanie, już ją słyszałem. Nie jesteśmy nic winni umarłym. Nie będą wiedzieli, czy zostaniemy, czy pójdziemy, czy będziemy czcili ich

imiona, czy też zapomnimy, że kiedykolwiek byli wśród nas. Była jednak na tyle roztropna, że tego nie powiedziała.

- Ciągle jeszcze można - rzekła - powstrzymać to, jeśli naprawdę tego chcemy. A jeśli nie, przynajmniej my sami możemy się trzymać od tego z dala. Dlaczego Ruch Oporu nie może liczyć na pomoc ze strony Rimway? Czy Toksykonu? Przecież te układy mają floty bojowe! Skoro Aszijurowie są naprawdę zagrożeniem dla nas wszystkich, dlaczego nasi obrońcy jeszcze nie przybyli?

- Ja powiem dlaczego - zagrzmiał potężnie zbudowany mężczyzna, który robił doktorat z literatury klasycznej. - Bo chcą, żebyśmy to my się zadeklarowali! Jesteśmy na obszarze walk, a jeśli my nie pomożemy samym sobie, po co oni mieliby ryzykować życie własnych ludzi?

Tłum hałaśliwie wyraził aprobatę.

- Być może ma pan rację - odparła Leisha. - Tylko że brutalna prawda jest taka, iż Rimway i Toksykon ufają sobie nawzajem jeszcze mniej niż obcym.

W czasie tej wymiany zdań przysunąłem się bliżej. Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu bardziej się bałem. Zobaczyłem wśród zebranych kilku policjantów, ale wiedziałem, że jeśli tłum się na nią rzuci, będzie to bez znaczenia.

- Jeśli mówicie serio o walce na wojnie - mówiła dalej - musimy policzyć, czym możemy walczyć. O ile mi wiadomo, Khaja Luan ma jeden niszczyciel. - Uniosła rękę, spodami dłoni kierując je w górę. - To wszystko, proszę państwa. Jeden niszczyciel. Mamy jeszcze trzy albo cztery fregaty, które ostatni raz brały udział w działaniach bojowych pół wieku temu. I kilka wahadłowców, ale chyba trzeba by z nich rzucać kamieniami, bo nie są uzbrojone. Nie mamy urządzeń pozwalających na budowanie okrętów wojennych, więc będziemy musieli je od kogoś kupić.

- Będziemy więc musieli uchwalić nowe prawo podatkowe i zwiększyć podatki. I znieść bezpłatne szkolnictwo. - Zamilkła i popatrzyła na kilka osób siedzących za nią. Największą szychą był Myron Marcusi z wydziału filozofii. - Jestem pewna - rzekła, uśmiechając się do niego słodko - że doktor Marcusi znajdzie się wśród pierwszych osób, które poprą wszelkie metody zbierania pieniędzy.

- Też prawda! - Krzyknął ktoś na tyłach tłumu. Marcusi poczuł się zobowiązany do odpowiedzi.

- Doktor Tanner, my tu nie rozmawiamy o pieniądzach - rzekł, starając się mówić głośno, choć niespecjalnie mu to wychodziło. - Stawka jest o wiele większa

niż kilka stypendiów. Rozmawiamy o ludzkim życiu, a może o przetrwaniu ludzkiej rasy, która może wyginąć, jeśli nie zjednoczy się w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa.

Pod koniec głos mu się załamał, ale i tak dostał wielkie brawa.

I ktoś zaczął śpiewać. Inni podchwycili rytm, a Leisha stała, przygnębiona. Pieśń rosła i wypełniała plac. Był to stary hymn bitewny Miasta na Grani: „Condor-ni”.

Spędziłem kolejne kilka dni, łącząc się z bibliotekami uniwersyteckimi i rzadko używanymi archiwami w poszukiwaniu wszelkich możliwych informacji o Tanner. Wieczorem czytałem sobie do snu dzieła Rashima Machesneya. Udało mi się umówić na kolację z Quindą i doskonale się bawiłem. Po raz pierwszy spędziliśmy wieczór, nie rozmawiając o Ruchu Oporu.

Kilka dni po moim locie na pokładzie „Kudasai” Chase skontaktowała się ze mną, mówiąc, że coś znalazła. Nie chciała powiedzieć co, ale była dość podekscytowana. Wcale mnie to aż tak nie ucieszyło: miałem nadzieję, że w końcu dotrę do ściany i będę mógł wycofać się z czystym sumieniem.

Przybyła godzinę później z kryształem i wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

- Mam tu - oświadczyła, unosząc kryształ do góry - listy zebrane Walforda Candlesa.

- Żartujesz.

- Witaj, Chase - odezwał się Jacob. - Kolacja będzie za pół godziny. Jak ma być wysmażony twój stek?

- Cześć, Jacobie. Solidnie wysmażony.

- Doskonale. Miło, że wpadłaś. I nie mogę się doczekać, aż zobaczę, co przyniosłaś.

- Dziękuję. Rozmawiałam z różnymi ludźmi pracującymi w wydziałach literatury i bibliotekach na całym kontynencie. Znalazłam to w bibliotece małej szkoły w Masakan. Zostało tam skompilowane, redaktor zmarł i nikt tego oficjalnie nie opublikował. Jest tam hologram Leishy Tanner wysłany z Milenium!

Milenium. Ostatni zapis w jej *Notatkach*. Włożyłem kryształ do czytnika Jacoba i rozsiadłem się w przepastnym fotelu. Światła przygasły,

Pojawił się obraz Tanner. Miała na sobie lekką bluzkę i szorty, i było oczywiste,

że jest w jakimś miejscu, gdzie panuje ciepły klimat.

Wally, powiedziała, mam złe wieści. W jej oczach było widać zgryzotę, wyglądała na wystraszoną. Kobieta, która nie bała się stawić czoła tłumowi na placu na Khaja Luan, była mocno wstrząśnięta.

Mieliśmy rację: Matt był tu po stracie „Straczyńskiego”. Tylko że Dellakondyjczycy próbują to ukrywać. Rozmawiałam z paroma osobami, które go znały, i albo nie chciały o tym rozmawiać, albo kłamały. Nie przepadają za nim, Wally, ale udają, że go lubią. Rozmawiałam z informatyczką, która nazywała się Monlin, Mollin czy jakoś tak. Podczas rozmowy była solidnie pijana. Nauczyłam się już, żeby nie wspominać o Matcie bezpośrednio, bo wtedy udają, że nic nie wiedzą. Rozmawiałam więc z tą Monlin o różnych rzeczach, powoli naprowadzając rozmowę na to, że mamy wspólnego znajomego, który raz czy dwa mi o niej wspomniał. Wyglądała na zainteresowaną, ale kiedy powiedziałam, że chodzi o Matta, tak się zdenerwowała, że zgmiotła kieliszek w ręce i rozwalila sobie dłoń. Zaczęła wrzeszczeć, że był zdrajcą, skurwielem, i że najchętniej by go zabiła, gdyby mogła. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś aż tak tryskał jadem. Potem, jakby ktoś przekręcił wyłącznik, przestała mówić i nie powiedziała już ani słowa.

Następnego ranka spotkałam ją przy śniadaniu. Powiedziała, że to tylko takie pijackie gadanie. Że lubiła Matta, ale nigdy dobrze go nie poznała. Ze jej przykro z powodu jego śmierci itepe. Tego wieczora znikła, jeden z oficerów powiedział, że została oddelegowana do jakiegoś zadania, ale nie wie gdzie.

Najbardziej martwi mnie jedna rzecz: Matt nie był człowiekiem, którego łatwo poznać. Ale nie był też kimś, kogo się nienawidzi. Wally, ci ludzie go nienawidzili. Jego imię nie wywoływało w nich lekkiej irytacji: zachowywali się - wszyscy - jakby chcieli go zabić.

Pewnie powinnam dać sobie z tym spokój i wrócić do domu. Jestem zmęczona rozmawianiem z wojskowymi. Nienawiść przychodzi im z taką łatwością. Tylko że, mój Boże, tak chciałabym poznać prawdę. Nigdy nie znalazłam nikogo bardziej oddanego Simowi i jego przeklętym konfederatom niż Matt Olander.

Tutaj jest teraz istny dom wariatów. Pełno uciekinierów z Iliandy i trudno zbliżyć się do jakichś naziemnych instalacji wojskowych. Patrzę na tych ludzi, pozbawionych domu, i czuję okropne zniechęcenie. Wiesz, że Aszijurowie zbombardowali Point Edward? Jak to możliwe, że są aż tak głupi? Nie powiedziałabym o tym nikomu innemu, ale czasem się zastanawiam, czy Sim nie

ma racji. Nie jest mi łatwo, Wally. Naprawdę nie jest.

Słyszałam, że Tarien ma jutro przemawiać w mieście, ogłaszając przydział gruntów dla Iliandyjczyków. Spróbuję tam z nim porozmawiać. Może uda mi się go namówić na przyjrzenie się sprawie Matta.

Będę cię informować na bieżąco.

Obraz znikł.

- To wszystko?

- Na tym kryształ nie ma innego przekazu - wyjaśnił Jacob.

Podczas słuchania Chase chyba siedziała z zamkniętymi oczami.

- Niczego więcej tam nie ma - rzekła. - Miały powstać dalsze tomy, ale tak się nie stało. Redaktor za szybko zmarł.

- Nazywał się Charles Parrini, z Uniwersytetu Mileta - rzekł Jacob. - Nie żyje od trzydziestu lat.

- Może ktoś inny dokończył dzieła.

- Może. - Chase wyprostowała się. - Jeśli nawet, nie zostało nigdy opublikowane.

- To może nie mieć znaczenia - zauważył Jacob. - Parrini pewnie nazbierał trochę materiałów źródłowych. Jak je znajdziecie, może będziecie mieli odpowiedzi.

Uniwersytet Mileta znajdował się na Sequin, najmniejszym z sześciu kontynentów Rimway, w pustynnym mieście Capuchai. Najbardziej produktywny okres w życiu Christophera Parriniego to profesorska emerytura. W bibliotece było mnóstwo jego książek: musiał być niezwykle płodny. Jego komentarze dotyczyły wszystkich możliwych epok literackich, począwszy od Babilonii. Był redaktorem kilku ostatecznych wydań wielkich poetów i eseistów (w tym Walforda Candlesa). Co ciekawe, przetłumaczył też całe mnóstwo azyjurskiej poezji i esejów. Chase i ja, pracując w gabinecie Gabriela, spędziliśmy całe popołudnie i część następnego poranka, przeglądając książki.

Przed południem następnego dnia Chase zawołała mnie do swojego terminalu.

- *Tulisofala* Parriniego jest szczególnie interesująca. Przyglądałam się podstawowym zasadom, na których opiera swój system etyczny: „Kochaj swojego wroga. Odplacaj dobrem za zło. Sprawiedliwość i miłosierdzie to podwaliny dobrego życia, sprawiedliwość dlatego, że tego wymaga natura, miłosierdzie dlatego, że sprawiedliwość niszczy duszę”.

- Brzmi znajomo.

- Może jest tylko jeden system etyczny, który się sprawdza. Chociaż w przypadku niemot chyba się nie przyjął.

- [to mi chciałaś pokazać?

- Nie. Poczekaj chwilę.

Przeskoczyła na koniec strony i wskazała na dedykację. *Dla Leishy Tanner.*

Nikt z bibliotekarzy nie wiedział niczego o Parrinim. Dla nich był po prostu zestawem kryształów w sali z materiałami bibliograficznymi i trzema pudłami dokumentów w magazynie na trzecim piętrze. (A może pudła były cztery. Nikt nie wiedział na pewno.) Na naszą prośbę znieśli je na dół do czytelnicy i pokazali nam zawartość. Znaleźliśmy tam informacje o studentach, listy ocen, zapisy finansowe, które były stare już wtedy, gdy Parrini zmarł, i faktury za meble, dzieła sztuki, książki, ubrania, śmigacz. Co tylko zechcecie.

- Musi być coś jeszcze - rzekła Chase, kiedy już zdjęliśmy opaski i usiedliśmy do lunchu. - Nie szukaliśmy tam, gdzie trzeba. Parrini nie mógł po prostu zgromadzić materiału na pierwszy tom, równocześnie nie gromadząc dużych ilości materiału na następne książki.

Zgodziłem się z nią i zasugerowałem, że należałoby zacząć od wydziału literatury.

Jacob znalazł dla nas adres, kiedy tylko skończyliśmy, i podłączyliśmy się do obskurnego pomieszczenia biurowego z podniszczonymi meblami. Było tam dwóch młodych mężczyzn wyglądających na znudzonych, którzy siedzieli rozwaleni przed starymi terminalami, oparli się wygodnie stopy, ze splecionymi za głową rękami. Jeden był bardzo wysoki, mierzył jakieś dwa i pół metra. Drugi był średniego wzrostu, miał jasne, sympatyczne oczy i włosy barwy słomy.

- Tak? - Spytał ten niższy, lekko się prostując. - Czym mogę służyć? - Zwrócił się właściwie do Chase.

- Prowadzimy badania na temat Charlesa Parriniego - odparła. - Szczególnie interesują nas jego prace na temat Walforda Candlesa.

- Parrini jest kiepski - rzekł drugi, nie poruszając się.

- O wiele lepiej pisał o Candlesie Schambly. Albo Koestler. Do licha, prawie wszyscy, tylko nie Parrini.

Ten, który odezwał się jako pierwszy, przedstawił się.

- Korman - rzekł. - Mam na imię Jak. A to jest Thaxter.

- Usta Thaxtera lekko drgnęły. - Czego konkretnie pani potrzebuje? - Nadal zwracał się wyłącznie do Chase. Jego wzrok błędził po różnych szczegółach jej anatomii i najwyraźniej sprawiało mu to przyjemność.

- Czy znają panowie - wtrąciłem się - jego przekład Tulisofali? Dlaczego zadedykował go Leishy Tanner?

Korman uśmiechnął się. Chyba zrobiłem na nim wrażenie.

- Ponieważ - odparł, patrząc po raz pierwszy w moją stronę - to ona podjęła pierwsze poważne działania w kierunku tłumaczenia aszijurskiej literatury. Oczywiście nikt jej już nie czyta. Bardziej nowoczesne prace sprawiły, że jej dzieło jest trochę zapomniane. Ale to ona wskazała im drogę.

Chase skinęła głową, usiłując robić minę naukowca.

- Czytali panowie jego prace na temat Wally ego Candlesa? - Spytała. Wymawiała wszystko jakoś starannie niż zwykle. - *Listy?*

Thaxter włożył stopę do otwartej szuflady i zaczął nią kołysać.

- Słyszałem o tym - rzekł.

- Miały być kolejne tomy. Czy kiedykolwiek powstały?

- O ile pamiętam, zmarł podczas pracy nad tym przedsięwzięciem - rzekł Thaxter.

- Zgadza się. - Chase patrzyła to na jednego, to na drugiego. - A może ktoś dokończył to, co on zaczął?

- Nie przypuszczam. - Thaxter wypowiedział to w sposób sugerujący, że nie ma pojęcia. Spróbował posłać Chase niepewny uśmiech, spotkał się z zachęcającą reakcją i skonsultował się ze swoim komputerem. - Nie - dodał po chwili. - Powstał tylko tom pierwszy. Potem nie było już nic.

- Doktorze Thaxter - rzekłem, choć nie przypuszczałem, by rzeczywiście był doktorem - co się stało z archiwum Parriniego po jego śmierci?

- Musiałbym to sprawdzić.

- A mógłby pan? - Spytała Chase. - To byłoby bardzo pomocne.

Thaxter poruszył się i wyprostował.

- Dobrze. Gdzie mogę państwa znaleźć? - Znow odniosłem wrażenie, że przemawia do niektórych elementów anatomii Chase.

- A jest szansa, żeby miał pan odpowiedź do wieczora?

- Pewnie tak.

- W takim razie skontaktuję się - uśmiechnęła się Chase.

Po śmierci Charlesa Parriniego jego archiwum zostało przekazane Adrianowi Monckowi, z którym często współpracował. Poza innymi przedsięwzięciami Monck miał skończyć drugi i trzeci tom listów Candlesa. Pracował jednak nad zapomnianą już powieścią Maurina, epicką opowieścią o czasach Ruchu Oporu widzianych oczami młodej żony Christophera Sima. Nie udało mu się przed śmiercią skończyć ani powieści, ani zbioru listów Candlesa, a Maurinę dokończyła jego córka. Archiwum Parriniego zostało w końcu przekazane bibliotece uniwersytetu Góra Tabor, gdzie Monck uzyskał stopień licencjata.

Uniwersytet Góra Tabor znajduje się niedaleko Bellwether, stosunkowo niewielkiego miasta na południowej półkuli, osiem stref czasowych stąd. Nazwa jest nieco myląca: teren dookoła Bellwether jest całkowicie płaski.

Instytucja ta ma powiązania z Kościołem, więc nazwa „Góra Tabor” to odwołanie biblijne.

Gdy tylko Chase zakończyła rozmowę z Thaxterem, przedstawiliśmy się SI, która zarządza biblioteką uniwersytecką. (W Bellwether była jeszcze noc). W spisie nie znaleźliśmy żadnych niepublikowanych materiałów opatrzonych nazwiskami Parrini czy Monck.

Wróciliśmy rankiem, gdy biblioteka była otwarta. Młody asystent, którego zaatakowaliśmy pytaniami, sprawdzał po kolei banki danych i potrząsał głową po każdej próbie. Żadnego Moncka. Żadnego Parriniego. Żałuje, ale nie może pomóc. Dokładnie to samo powiedziała SI, ale z ludźmi się jakoś łatwiej negocjowało.

Uparliśmy się, że te materiały gdzieś muszą być, więc młody mężczyzna westchnął i przekazał nas kobiecie o ciemnej cerze, jeszcze wyższej niż Chase. Była potężnie zbudowana, miała czarne włosy i zachowywała się w jakiś nerwowy sposób, który sugerował, że jej czas jest niezmiernie cenny.

- Jeśli coś takiego otrzymamy, natychmiast się z państwem skontaktujemy - oświadczyła bezceremonialnie i ruszyła. - Proszę zostawić adres przy biurku.

- Jeśli tego teraz nie ma - rzekłem - to na pewno się nie pojawi. Archiwum Parriniego zostało przekazane uniwersytetowi dwadzieścia lat temu.

Zatrzymała się.

- Rozumiem. Cóż, to na długo przed moimi czasami, a tego po prostu tu nie ma. Proszę zrozumieć, otrzymujemy mnóstwo takich darowizn. Zwykle są to materiały,

dla których spadkobiercy nie znajdują żadnego zastosowania. Pograżeni w żalu, mają jednak tendencję do wyolbrzymiania znaczenia tego, kto właśnie odszedł. Może pan spróbuje w Fundacji Literackiej.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby spróbowała pani nam pomóc - nalegałem. - Zapłacę za poświęcony nam czas.

Nigdy nie próbowałem nikogo przekupić i czułem się niezręcznie. Rzuciłem spojrzenie Chase, która z trudem utrzymywała powagę.

- Z przyjemnością przyjąłbym od pana pieniądze, panie Benedict. Ale to na nic. Jeśli danych materiałów nie ma w spisie, po prostu ich nie mamy. To naprawdę proste.

Zastanawiałem się głośno, czy nie zakłócę pracy Rady Uniwersytetu, informując ją, że dziedzictwo Charlesa Parriniego zostało tak beztrosko potraktowane przez bibliotekarzy, a ona odparła, że mogę robić, co mi się żywnie podoba.

- Chyba nic z tego - zwróciłem się do Chase, kiedy znaleźliśmy się z powrotem w gabinecie. Skinęła głową i wstaliśmy z krzeseł, na których spędziliśmy większość ostatnich dwóch dni.

- Chodźmy się przewietrzyć - zaproponowała, przyciskając dłonie do skroni.

Na zewnątrz pomaszrowaliśmy leśną ścieżką.

- Chyba już czas dać spokój - oznajmiłem.

Patrzyła prosto przed siebie i milczała. Nocne powietrze było chłodne, aż kłuło, ale sprawiało mi to przyjemność. Spacerowaliśmy przez jakieś pół godziny. Wyglądała na zamyśloną, a moja ulga spowodowana faktem, że to już koniec, stopniowo ustąpiła świadomości obecności długonogiej Chase.

- Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo frustrujące - powiedziała nagle kobieta.

- Tak.

Jej oczy znalazły się nagle na wprost moich i nie mogłem się od nich oderwać.

- Chciałbym jednak znaleźć jakieś odpowiedzi - oświadczyłem bezwstydnie.

- No i dobrze byłoby złapać dowcipnisiów, którzy się tak z tobą zabawiają.

- To też. Jak diabli.

Próbowałem uspokoić sumienie, tłumacząc sobie, że chętnie się zajmę innymi rzeczami, i przez kilka minut mówiłem o swoich obowiązkach wobec spuścizny po Gabrielu, paru własnych problemach i czym tam jeszcze. To wszystko były kłamstwa, ale to nie miało znaczenia. Chase i tak nie słuchała.

- Coś mi przyszło do głowy - odezwała się nagle, przerywając mi, jakbym w ogóle nic nie mówił. - Wiemy, że te dokumenty zostały przekazane przez córkę Moncka. Może zostały skatalogowane pod jej nazwiskiem, które wcale nie musiało brzmieć „Monck”. Może biblioteka nie ma ich przyzwoicie zindeksowanych.

Miała racje.

Same materiały, jak dokumenty w Milecie, były przechowywane w magazynie w plastikowym pojemniku.

Wysoka bibliotekarka o ciemnej cerze przez chwilę próbowała nam tłumaczyć, że tych dokumentów nie udostępnia się publicznie. Szybko jednak dała spokój, kiedy zagroziłem, że udam się do jej zwierzchników, tym razem z bardziej konkretnym oskarżeniem.

Poleciała zanieść pojemnik do czytelnicy i rozłożyć wszystko na kilku stołach. Młody asystent, którego poznaliśmy dzień wcześniej, został oddelegowany do pomocy nam, czyli umieszczania nośników w czytnikach, właściwego oświetlenia dokumentów i przewracania kartek, oraz wszystkich innych zadań fizycznych, jakich symulacje nie są w stanie wykonywać same. Był bardzo pomocny i uprzejmy, choć ta praca musiała go szybko znudzić, i był absolutnym przeciwieństwem swojej przełożonej. Chase chyba też wpadła mu w oko.

Spędziliśmy dwa dni na przeglądaniu tych materiałów. Większość stanowiły listy, które napisał lub otrzymał Walford Candles. Były zapisane przeważnie na kryształach, ale niektóre na starych szpulach, walcach i włóknach, jakich już się nie używało, na systemach pamięci podkładek świetlnych i na papierze.

- To będzie problem - rzekła Chase. - Nie będziemy w stanie tego odczytać. Gdzie znaleźć czytnik na coś takiego?

- Podniosła sześcian, obracając go pod światło. - Nawet nie wiem, czy to w ogóle jest jakiś nośnik danych.

- Uniwersytet powinien mieć sprzęt - odparłem, wskazując na młodego człowieka, który ochoczo pokiwał głową.

- Przystosowaliśmy czytniki do większości formatów - odparł.

Szczerze mówiąc, muszę przyznać, że przebicie się przez te wszystkie listy było trudne. Gdy reputacja Candlesa zataczała coraz szersze kręgi, jego korespondencja

przestała się ograniczać do małego kręgu przyjaciół. Parrini znalazł listy wymieniane z oboma braćmi Sim, z większością postaci historycznych tego okresu, od polityków i żołnierzy przez producentów broni i reformatorów społecznych do teologów i ofiar. Był tam nawet opis uroczystości wręczenia dyplomów na Khaja Luan, podczas której przemawiał Tarien Sim. W normalnych warunkach miałby całą mównicę dla siebie, ale wtedy pojawił się także aszijurski ambasador i także przemawiał, określając ich stanowisko. Zaś jego tłumaczem była Leisha Tanner!

- Ta kobieta naprawdę lubiła ujeżdżać tygrysa - skomentowała Chase.

Candles opisał całe to zdarzenie zapomnianemu odbiorcy. List był datowany kilka tygodni przed upadkiem Miasta na Grani. *Jeśli upodobanie do ceremonii cokolwiek znaczy, pisze Candles, nasze kultury mogą być bardziej zbliżone, niż mogłoby się nam wydawać. Obie uprawiają różne rytuały przejścia, jak urodziny, śmierć i podobne, lubią wydarzenia sportowe, publiczne wystawy sztuki, znają różne funkcje polityczne i ostateczny ceremonial: wojnę.*

Tak więc, mimo wszystko, otulona szatą i zakapturzona postać ambasadora, który przycupnął na ławce z dala od dygnitarzy na paradzie, nie wydawała się wcale nie na miejscu. Siedział w milczeniu, w sposób sugerujący, że złożył przednie kończyny na kolanach. Spod kaptura nie było widać twarzy. Nawet w to jasne, słoneczne popołudnie miałem wrażenie, że zaglądam do ciemnego tunelu.

Leisha, która zna się na tym, mówiła mi, że to dla ambasadora niezwykle nieprzyjemne doświadczenie. Nie tylko dlatego, że grozi mu fizyczne niebezpieczeństwo - choć dookoła pełno ochroniarzy, nie byłiby w stanie uratować go przed naprawdę zdeterminowanym zamachowcem - ale dlatego, że cierpi on z powodu ucisku psychicznego spowodowanego obecnością tak dużej liczby ludzi. Pewnie tak samo bym się czuł, gdybym pomyślał, że ci wszyscy ludzie pragną mojej śmierci.

Było tam dużo oficjalnej gadaniny na temat osiągnięć naukowych i świetlanej przyszłości. A ja zachwycałem się samokontrolą ambasadora, który siedział sztywny i wyprostowany.

Czułem się niepewnie w jego obecności. Jeśli mam być szczery, muszę przyznać, że nie podobała mi się ta istota i czułbym się o wiele lepiej, gdyby jej tu nie było. Nie wiem dlaczego. Przypuszczam, że nie miało to wiele wspólnego z wojną. Chyba zawsze czujemy się niepewnie w obecności inteligencji w jakimś egzotycznym ciele. Zastanawiam się, czy to nie jest rzeczywisty powód naszej reakcji na obcych;

może nie chodzi wcale o poczucie mentalnej penetracji, które zwykle podaje się jako przyczynę?

Uniwersytet poprosił Leishę, żeby przetłumaczyła mowę ambasadora. Oznaczało to odczytanie mowy obcego. Wszyscy, których знаła, usilnie jej to odradzali, a parę osób otwarcie wspomniało, że może zostać oskarżona o zdradę i jeśli będzie się upierać, zapłaci za to. Czasem zapominamy, kim jest nasz wróg.

Muszę przyznać, że nie warto było walczyć o przyjaźń tych, którzy jej grozili. Niestety, to nie takie łatwe. W tej grupie był Cantor. I Lyn Quen. I młody człowiek, którego Leisha, jak sądzę, kochała.

Wszystko jedno. Kiedy nadeszła ta chwila, siedziała przy ambasadorze, spokojna i piękna jak zawsze. Co za wspaniała kobieta, Connie. Żałuję, że nie jestem młodszy.

Był tam Tarien Sim, olśniewający pośród reszty notabli. Stał się osobą o tak wielkim znaczeniu politycznym, że nieomal wszyscy byli rozczarowani jego wyglądem fizycznym. A mimo to było w nim coś wielkiego, coś, czego można było dotknąć, co można było zobaczyć. Promienie słońca połyskiwały w jego oczach, jeśli wiesz, co mam na myśli.

To jego zaplanowana mowa była przyczyną wizyty ambasadora. Aszijurowie domagali się identycznego czasu wypowiedzi. Zrozumiałem jednak, że to błąd. Kontrast między Tarieniem, który wygląda jak archetypiczny ojciec, z rudą brodą i głosem zagrzewającym do walki, a milczącą, złowieszczą, wyprostowaną postacią był uderzający.

Było tam ponad czterystu absolwentów, także odbierających dyplomy wyższych stopni naukowych. Siedzieli w rzędach na Polach Morien, gdzie od ponad czterech stuleci studenci wysłuchiwali przemówień na rozpoczęcie roku akademickiego. Za nimi kłębiły się tłumy gapiów - nigdy dotąd, bywając na takich imprezach, nie widziałem takiej ciżby - które aż wylewały się z ławek dla widzów i wydostawały na boisko. Było tam też mnóstwo dziennikarzy. I cała armia ochroniarzy. Ochrona uniwersytetu wzmocniona siłami policji miejskiej i kilkudziesięcioma agentami o wąskich oczach z bliżej nieokreślonych sił, których nie dało się z nikim pomylić.

Popołudnie było niespokojne. Wszyscy z niecierpliwością czekali, aż coś się wydarzy, a zarazem bali się trochę, że będą w to zamieszani.

Studenci przemawiali, wygłaszając rzeczy, które zawsze się mówi przy takich

okazjach, więc ich mowy wzbudziły tylko uprzejmy aplauz. Potem prezydent Hendrik wstał, by przedstawić Sima. O ile wiem, odbyła się jakaś przepychanka między rządem a Uniwersytetem w sprawie kolejności przemówień. Hendrik chciał, żeby jako ostatni przemówił Sim, co miało być publiczną demonstracją, sugerującą, że nie akceptuje obecności ambasadora bardziej niż ktokolwiek inny z tłumu. Rząd uparł się jednak, by ten zaszczyt przypadł dygnitarzowi obcych.

Tłum zaszemrał z niecierpliwością, gdy prezydent wysławiał odwagę i talenty Sima w tych niebezpiecznych czasach. Zaczęto klaskać, gdy wstał i zajął miejsce na mównicy. Wymienił uściski dłoni z kilkoma ważnymi osobistościami, wymownie unikając spojrzenia w stronę ambasadora. Uciszył hałas niedbałym machnięciem prawej dłoni i potoczył wzrokiem po publiczności.

- Absolwenci - zaczął, wygłosiwszy najpierw kilka zwyczajowych zwrotów grzecznościowych - to przyszłość.

- Możliwość opowiadania o doświadczeniach z przeszłości jest oczywiście kusząca. O pierwszych wysiłkach zmierzających do zakończenia wojny, do zjednoczenia ludzkiej rodziny, do zapewnienia wszystkim bezpieczeństwa i dobrobytu. Przecież takie były nasze cele od wielu lat, i okazały się bardziej nieuchwytnie, niż mogliby przypuszczać ci, którzy wygłosili je po raz pierwszy.

Leisha siedziała przy ambasadorze. Widać było, że jest spięta i siedzi sztywno. Ręce zacisnęła w pięści.

Nie byłem jedynym, który to zauważył. Inni byli zafascynowani jej obecnością u boku ambasadora, jakby był w tym cień czegoś obscenicznego. A ja odkryłem, że i mnie jest trudno przestać myśleć o tym w ten sposób. Proszę, nie cytuj tego, bo zdementuję.

- Niestety - mówił dalej Tarien - pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Więcej, niż może osiągnąć moje pokolenie.

- To wy obejmiecie w końcu stery, to wy w końcu odkryjecie, że nikt nie może być bezpieczny, dopóki wszyscy nie będą bezpieczni, że nie zapanuje pokój, dopóki wszyscy, którzy prowadzą wojny, nie odkryją, że to się nie opłaca...

Cóż, Connie, mógłbym to zacytować w całości albo przynajmniej sparafrazować. Niezły był. Jeśli istnieje ktoś, kto jest w stanie zjednoczyć te wszystkie klóćące się światy i stworzyć Konfederację, to jest to właśnie on. Mówił o dalekich miejscach, odwadze, obowiązku i statkach przewożących między gwiazdami ideały.

- Ostatecznie - rzekł - to nie broń zdecyduje o naszym losie, lecz ta sama rzecz, która od zawsze, od dnia wynalezienia prasy drukarskiej, obalala reżimy i ambitnych najeźdźców. Albo od chwili, gdy po raz pierwszy wyrzeźbiono na tabliczce jakieś znaki. Wolne idee. Wolne ideały. Wspólna przyzwoitość.

- Czas jest po naszej stronie. Wróg, z którym walczymy i który gdyby mógł, zagroziłby naszemu przetrwaniu, nie może sprawić, by okręty wojenne pokonały potęgę niezależnego umysłu.

Ktoś zaczął klaskać i aplauz rósł, przetaczając się szybko po chłodnej trawie, nabierając pędu. Jedna z absolwentek, wysoka, dumna młoda kobieta z ogniem w ciemnych oczach, wstała. Nie byłam na tyle blisko, by dostrzec łzy, ale jestem pewien, że płakała. Reszta także się podnosiła, jeden za drugim, aż wszyscy stali.

Tarien poprosił o ciszę i wszyscy umilkli.

- Lepiej wspominać tych, których utraciliśmy, gdyż to oni dali nam przyszłość. To oni kupili nam czas. Przyjdzie jednak dzień, kiedy będziemy mogli świętować wspólnie; kiedy zakończymy nasze dzieło, odpierając agresora.

Stali przez kilka chwil. Zgromadzenie zmieniło się w wielkie zwierzę; dało się słyszeć, jak oddycha. Tarien skłonił się.

- W imieniu mojego brata, w imieniu wszystkich, którzy walczyli za was, dziękuję wam!

Connie, co za szkoda, że tego nie widziałaś. To było wspaniałe! Jestem pewien, że na całym placu nie było jednej osoby, która nie zamieniłaby swego obecnego miejsca na umiejętności bojowe i dobry pokład pod stopami. Czegóż lepszego można oczekiwać od życia, jak nie wstąpienia w szeregi Dellakondyjczyków?

Cóż, już wyobrażam sobie, jak rechoczesz: co ten Candles wygaduje. Pewnie się starzeje. Tylko że, na Boga, zbliżamy się do najważniejszej dla naszego gatunku próby. Kiedy miną lata, spojrzymy w przeszłość i chciałbym wiedzieć, czy jakoś się do tego przyczyniłem...

Poczułem litość dla ambasadora: samotny, niezdarny manekin, uginający się pod naporem burzy.

Hendrik, niepewny, wystraszony, wyszedł na środek sceny. Wszyscy byli zaniepokojeni i zastanawiali się, co będzie później.

- Drodzy goście - rzekł bezbarwnym tonem. - Członkowie grona wykładowców, absolwenci, przyjaciele uniwersytetu: naszym następnym mówcą

jest ambasador Aszijurów, M'Kan Keoltipess.

Daleko, prawie na horyzoncie, ponad linię drzew wzniósł się śmigacz. Wyobraziłem sobie, że słyszę szum jego układów magnetycznych.

Ambasador wstał niepewnie. Widać było, że nie jest mu za dobrze, czy to z powodu lokalnej grawitacji (która była silniejsza niż na Toksykonie, gdzie dotąd pełnił służbę dyplomatyczną), czy też z powodu odbioru sytuacji. Nie miałem pojęcia. Leisha wstała i zajęła miejsce przy nim. Wyglądała równocześnie na wyzywającą i niewzruszoną. Najwyraźniej udało jej się jakoś pozbierać. A to ci się spodoba: wyprowadziła tłum z równowagi, podsuwając ambasadorowi swoje ramię i prowadząc go na mównicę.

Zajął miejsce, górując nad Leishą. Spod szat dobiegł dźwięk przypominający trzask wysuszonych kości. Leisha wyjęła podkładkę świetlną. Najwyraźniej miała tam przemówienie, które zamierzała odczytać. Ambasador dał jej jednak znak, by ją odłożyła. Zrozumiałem, że mamy do czynienia ze starą ludzką grą: nie będzie przygotowanego wcześniej przemówienia. Pogrzebał w fałdach kaptura jak kobieta, która się boi, że zadarła za bardzo spódnicę, po czym uniósł obie ręce, zrzucił kaptur aż do ramion i stał, odkryty, mrugając w jasnym świetle słońca.

Był bardzo stary. W rysach jego przypominającej pergamin twarzy widać było ból. Zwierzę, które stworzył Tarien Sim, nadal trzymało się razem i wykonało kilka psychologicznych kroków wstecz.

Ambasador wyciągnął długie, wysuszone palce. Miały za wiele stawów, a ciało było naprężone i szare. Tańczyły w świetle słońca i w tych szaleńczych, wdzięcznych ruchach było coś, co sprawiło, że zrobiło mi się zimno.

Leisha obserwowała ruchy palców i kiwała głową. Odniosłem wrażenie, że waha się, czy przetłumaczyć te początkowe uwagi, ale Aszijur najwyraźniej nalegał.

- Ambasador pragnie mi podziękować - rzekła - i życzy sobie, bym powiedziała, że wie, iż nie jest to dla mnie łatwe. Mówi także: rozumiem gniew, jaki dziś czujecie. - Ręce nadal tkwały w powietrzu skomplikowane wzory. - Chcę przekazać pozdrowienia prezydentowi Hendrikowi, szanownym gościom, ciału pedagogicznemu, absolwentom i ich rodzinom. A zwłaszcza - zwrócił się w stronę Tariena Sima, który siedział z jego prawej strony - niezwyklemu przedstawicielowi Rebeliantów, przeciwnikowi, którego wolałbym nazywać „przyjacielem”.

Zamilkł i wydało mi się, że widzę na jego twarzy szczerzy żal.

- Życzę wam wszystkim szczęścia. W dniu takim jak dziś, kiedy młodzi ludzie

staną na progu praktycznego zastosowania swojej wiedzy i wzięcia swego życia we własne ręce, szczególnie myślimy o tym, że prawdziwa mądrość tkwi w przyszłości. Nie mogę się powstrzymać przed wspomnieniem o tym, gdy przypomnę sobie, w jakich okolicznościach się dziś spotykamy, a dotyczy to obu naszych gatunków.

Głos Leishy, który na początku brzmiał trochę piskliwie, zdradzając ślad nerwowości, odzyskał typową dla siebie dźwięczność. Oczywiście nie mogła się równać z Tarienem Simem, ale była diabelnie dobra.

- Absolwentom chciałem przekazać - mówił dalej ambasador - że mądrość polega na rozpoznaniu tego, co jest naprawdę ważne. I traktowaniu z podejrzliwością wszelkich hołubionych przekonań, które są tak bardzo uważane za prawdziwe, że nikt ich nigdy nie sprawdził. Mój lud mawia, że mądrość polega na rozpoznaniu marginesu, w obrębie którego jesteśmy podatni na błędy.

Przerwał, by Leisha mogła złapać oddech.

- Wolalbym dziś nie mówić o polityce. Ale jestem winien wam i mojemu ludowi odpowiedź na przemowę pana ambasadora Sima. Powiedział on, że to poważny konflikt, i ze smutkiem muszę przyznać mu rację. Walka jednak rozgrywa się nie pomiędzy Aszijurami a ludźmi. Rozgrywa się między tymi, którzy są przekonani, iż konflikt można rozwiązać na drodze pokojowej, a tymi, którzy uciekają się do rozwiązań wojskowych. W tych mrocznych dniach, jakie niewątpliwe nas czekają, pamiętajcie, że macie wśród nas przyjaciół, jak również wrogów pośród was samych.

- Nasze reakcje na osobników drugiej rasy są gwałtowne, ale nie aż tak bardzo, by nie dało się ich opanować. Jeśli tylko będziemy chcieli. Jeśli tylko się uprzemy! W każdym razie, proszę, byście nie używali ich jako podstawy do osądów moralnych. Jeśli popełnimy zbrodnię przeciwko sobie, historia surowo nas osądzi.

Całkowicie zgadzam się z uwagami ambasadora Sima. Mimo wszystkiego, co nas dzieli w kulturze, wyglądzie fizycznym i percepcji, obdarzono nas tym samym darem: jesteśmy istotami myślącymi. I dziś, w tych promieniach słońca modlę się, byśmy byli w stanie skorzystać z tego daru. Modlę się, byśmy zatrzymali się w szalonym pędzie i zastanowili się!

Jak zauważyłem poniewczasie, list ten oznaczono jako materiał do następnej książki, która miała traktować o wpływach na wczesną twórczość Walforda Candlesa. Nadal o tym myślałem, zastanawiając się, dlaczego doszło do takiej tragedii, skoro

wszyscy starali się postępować jak najlepiej. Czy wyobrażenia cokolwiek znaczą?

Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie; przypuszczam jedynie, że w konflikcie jest coś bezlitośnie kuszącego. A my, choć minęły tysiąclecia, nadal nie pojęliśmy natury bestii.

Chase znalazła jeszcze jedną wiadomość holograficzną od Leishy, z Iliandy, datowaną trzydzieści dwa dni po wcześniejszej wiadomości z Milenium. Była krótka:

Wally, przesyłam ci oddzielnie pisemne oświadczenie Kindrel Lee, która ma pewne informacje na temat Matta. To szalona sprawa i nie wiem już sama, w co wierzyć. Porozmawiamy o tym, jak wrócę do domu.

- Nic nie rozumiem - rzekłem, spojrzawszy na datę i zajrzawszy znów do tekstu.

- Ta wiadomość została wysłana z Iliandy już po ewakuacji. I chyba po zniszczeniu Point Edward. Co u licha? Co ona by tam robiła?

- Nie wiem - odparła Chase, która przekopywała się przez sterty zgromadzonych przez nas dokumentów.

- A gdzie jest to oświadczenie?

- Zostało przesłane oddzielnie - rzekła. - Nie dołączono go do tej wiadomości.

XIV

Zniszczenie Point Edward (już po jego ewakuacji) było aktem zdumiewającego barbarzyństwa. To najlepszy dowód na istnienie rozziwu między ludzkim rozsądkiem a obcą histerią. Po jego zniszczeniu ludzie byli tak przerażeni, że przez chwilę zjednoczyli się i byli gotowi uznać wspólnotę swego człowieczeństwa i zagrożenie, jakie przed nimi stanęło. Niestety, ten moment szybko minął.

Arena Cash, Wojna w próżni

NAJDZIWNIEJSZĄ RZECZĄ związaną z grobem Matta Olandera jest fakt, że kiedy uchodźcy wrócili na Iliandę po wojnie, już tam był. Znaleźli go na zarośniętym chwastami poletku, które kiedyś było trawnikiem, niecałe dwadzieścia metrów od głównego terminalu Portu Kosmicznego im. Williama E. Richardsona. Była to pojedyncza, spłaszczona na końcach biała kamienna płyta, którą wycięto laserem z elewacji budynku. Wyrzeźbiono na niej napis, prawdopodobnie tym samym narzędziem:

Matt Olander

zginął 3 awrigila 677

Męstwo nie było mu obce

Litery wycięto nieco koślawo, nazwisko i ostatnie słowo były większe. Wyglądały trochę na zdobione, w stylu sprzed dwóch stuleci. Data w kalendarzu Iliandy odpowiadała ewakuacji.

Teraz, znajduje się w zagajniku. Są tam niskie żywopłoty, kwitnące drzewa i wysypane muszelkami alejki. Nad grobem wisi dellakondyjski proporzec z emblematem przedstawiającym wiedźmę w srebrnym pierścieniu Konfederacji; łopocze pod naporem chłodnego wiatru od oceanu. U stóp słupa Towarzystwo

Historyczne Point Edward ustawiło kamienny słupek z tablicą z brązu, z datą 716, imieniem i nazwiskiem Olandera i przypisywanym mu powiedzeniem, podobno wygłoszonym do towarzysza w ostatnich chwilach ewakuacji: „Nie godzi się, żeby Point Edward nie miało obrońcy, kiedy nadciągną niemości”.

U podstawy pomnika wyrzeźbiono deklarację Zgromadzenia Członków, głoszącą, że miasto, którego nie opuścił Matthew, nigdy go nie zapomni.

Okolica jest typowym miejscem, gdzie ludzie jeżdżą na wakacje, żeby siedzieć na ławkach i patrzeć na morskie ptaki i statki. W środku zimy, kiedy tam przybyliśmy (zabrałem ze sobą Chase), grupa dzieciaków ścigała się na bajecznie kolorowych lotniach, a kilku turystów wytoczyło się z autobusu powietrznego i włączyło się bez ładu i składu. Białe słońce Iliandy, Kaspadei, przebijało się przez szare chmury, a większość starszych turystów szybko rzucała okiem na inskrypcje i zniknęła w autobusie, gdzie było ciepło.

Mimo bliskości terminalu im. Richardsona było to osamotnione miejsce. Może poczucie izolacji jest bardziej duchowe niż geograficzne. Stojąc pod kopułą drzew, w miejscu dedykowanym wyłącznie odwadze jednego człowieka, myślałem o tym, jak niepewna jest jakość prawdy. Ciekawe, jak towarzysze Olandera, zwłaszcza ci, którzy nie szanowali jego pamięci i sugerowali Leishy Tanner, że był zdrajcą, zareagowałoby na to wszystko? „Męstwo nie było mu obce”.

Jaka była prawda? Co naprawdę wydarzyło się w Point Edward?

- Kto to tutaj umieścił? - Spytała Chase.

Miała ponurą minę, wyglądała na zamysłoną, nieomal przygaszoną. Wiatr szarpał jej włosy, a ona odsuwała je z oczu.

- Zarząd parku.

- Nie, pytałam o to, kto pogrzebał Matta Olandera? Kto wyrzeźbił tę inskrypcję na płycie? W przewodniku turystycznym piszą, że grób tu był, kiedy uciekinierzy wrócili z Milenium po wojnie.

- Wiem.

- Więc kto wyrzeźbił tę inskrypcję? - Zaczęła kartkować książkę. - Legenda głosi, że zrobili to Aszijurowie.

- Nie wiem za wiele o Aszijurowach. Ale czemu nie? Na wojnach działy się dziwniejsze rzeczy niż oddawanie czci przeciwnikom.

Dookoła kamienia zebrał się tłum. W powietrzu było widać mgiełkę oddechów. Niektórzy robili zdjęcia, inni powiedzieli coś szybko i umknęli.

- Zimno - rzekła Chase, zapinając kurtkę i regulując temperaturę. - Dlaczego nie napisali tego we własnym języku?

Nie miałem pojęcia.

- A co piszą w przewodniku?

- Że eksperci nie mogą dojść do porozumienia w tej sprawie.

- Świetnie. Co za cenna informacja. Ale mam inny pomysł. Przynajmniej wyjaśnia sprawę pogrzebu.

- Mów.

- Czy oni przypadkiem nie próbowali ewakuować dwudziestu tysięcy ludzi w ciągu tygodnia? Nie można tego dokonać, nie przegapiwszy kogoś. Zawsze znajdzie się ktoś, do kogo informacja nie dotrze. Tak czy inaczej, Olander tu został, znalazł tych ludzi i pewnie był z nimi podczas bombardowania. Może dokonał czegoś, czym zasłużył sobie na ich uwielbienie, na przykład zestrzelił statek niemot z broni ręcznej, uratował dziecko z płonącego budynku. Kto wie? Bez względu na to, co to było, zaskarbił sobie ich wdzięczność i pożegnali go z ceremoniałem. Z napisem we właściwym języku.

Popatrzyłem na płytę.

- Leisha Tanner знаła prawdę - rzekłem.

- Tak. Pewnie tak. Wierzysz we własną teorię?

- Nie. Nie wiem dlaczego, ale coś mi w niej nie pasuje. Tak samo jak pomysł, że nie chciał opuścić miasta. To takie poetyckie. Bardziej prawdopodobne jest, że nie udało mu się ewakuować. Dellakondyjczyki wydostali się stąd zaledwie parę godzin przed pojawieniem się floty wroga. Musieli się bardzo spieszyć, niewiele brakowało.

- Ale to nie wyjaśnia reakcji jego towarzyszy, kiedy rozmawiała z nimi Tanner.

Staliśmy nad grobem i próbowaliśmy sobie wyobrazić, co się stało.

- Zastanawiam się - odezwałem się - czy ktokolwiek jest tu pochowany. Może ten grób jest pusty?

- Nie. Czytałam o tym przez całą drogę, Aleksie. Prześwietili ten grób. Jest tam ciało, a dane z kartoteki dentystycznej potwierdzają, że to Olander.

- Wiadomo, jak zginął?

- Raczej nie wskutek bombardowania plazmowego. Chyba są dowody na to, że od strzału laserem. Prawdopodobnie małą, ręczną bronią. Co potwierdza część legendy.

- Którą?

- Że niemoty wysłały grupę naziemną, żeby pojmać go żywcem.

- Może został schwytyany i stracony.

- Jest taka możliwość - odparła Chase. - Ale nikt tu jej nie zaakceptuje.

- Czemu?

- Bo to niespecjalnie bohaterkie. Wszyscy wolą tu wizerunek Olandera stojącego na dachu terminalu z impulsatorem, otoczonego martwymi obcymi, strzelającego do momentu, aż dranie go trafili. A tak poza tym, jakie byłoby wyjaśnienie tej inskrypcji, gdyby się poddał?

- Pewnie to wyklucza też samobójstwo. Dobrze. Kolejne pytanie. Jeśli został z własnej woli, to czy jego dowódca o tym wiedział? Czy po prostu uciekł ze statku? Jeśli to ostatnie, to może wyjaśniać niechęć, z jaką spotkała się Tanner.

- Nie przypuszczam, żeby Christopher Sim mógł kogoś zostawić na pewną śmierć. To do niego zupełnie niepodobne.

- Skąd wiesz?

Wyglądała na nieco zdezorientowaną.

- Aleksie, mówimy o Christopherze Simie. - Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, aż Chase uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Nie, nie wierzę w to - rzekła.

- Ja też nie. Ale sądzę, że gdybyśmy się dowiedzieli, dlaczego Olander nie odleciał ze swoim statkiem, zrobilibyśmy duży krok na drodze do... - Zawahałem się.

- Czego? - Spytała Chase.

- A niech mnie diabli, jeśli wiem. Może Kindrel Lee nam powie.

Wynajęliśmy śmigacz w terminalu imienia Richardsona, wstukaliśmy adres hotelu w mieście, gdzie zarezerwowaliśmy pokoje, i poleciliśmy do Point Edward, które było średnim miastem wybudowanym z trwałością, kamienia i szkła, zbudowanym nad wygasłym nadmorskim wulkanem.

Pierwszy rzut oka na miasto przyprawił mnie o wstrząs. Nie było tam szerokich ścieżek czy pasaży, żadnych parków wspinających się jak pajęczyna na kolejne poziomy. Point Edward było miastem o ściśle zdefiniowanym stylu architektonicznym: nieco ciężkie w odbiorze, z kwadratowymi łukami i szaniami i mnóstwem rzeźb. Samo centrum zostało odbudowane po zniszczeniach z 677, z konsekwentnym zachowaniem identycznego stylu w całości. Przewodnik określał ten styl jako „jednolity toksykoński”. Wtedy musiało to wydawać się dobrym pomysłem,

ale powstało centrum o nużącej jednostajności i praktyczności, z ostrymi kątami i niewzruszoną celowością. Życie koncentrowało się na poziomie gruntu, w mieście, które sprawiało wrażenie fortecy.

Gdy lądowaliśmy na dachu hotelu, zastanawiałem się, w jakim stopniu ta architektura odzwierciedlała umysły ludzi, którzy ledwo uciekli przed pożarem.

Godzinę później, w pokoju Chase, połączyliśmy się z Biurem Ewidencji Ludności. Urzędnikiem była SI; awatar przypominał starszego mężczyznę z obfitą, szpakowatą brodą i sympatycznymi niebieskimi oczami.

- Byłoby nam łatwiej, gdyby państwo mieli jej numer identyfikacyjny - rzekł.

- Przykro mi - mruknąłem. - Ile kobiet o nazwisku Kindrel Lee może mieszkać w mieście, którego populacja liczy sobie dwadzieścia tysięcy ludzi?

- Panie Benedict - odparł, stukając energicznie w klawiaturę - przecież pan wie, że wszystkie archiwa spłonęły z całym miastem w 667. Nie mamy za wiele danych sprzed tej daty.

- Tak. Tylko że ona - bo zakładam, że to kobieta - była tu po ataku. Musiała tu być, skoro Tanner z nią rozmawiała. Może potem wyszła za mąż. Albo dotyczy jej jakaś inna wyjątkowa sytuacja. Albo dostała posadę rządową. Musi coś o niej być.

- Tak - odparł ochotczo. - Pewnie coś jest. - Pochylił się i przystąpił do pracy. - Są państwo pewni co do pisowni?

- Nie. Jest czysto hipotetyczna.

- Czy jest możliwe, że nazywała się inaczej, kiedy się urodziła?

- Tak, to możliwe.

- To bardzo trudne zadanie, panie Benedict.

- Proszę, niech pan zrobi, co się da.

Próbowałem oferować mu pieniądze, ale odmówił. Przepisy. Ale i tak czułem się niezręcznie.

Chase rozglądała się po ograniczonym obszarze, jaki dopuszczał projektor, a ja czytałem wiadomości pojawiające się na monitorze.

Na Ziemi zaczęła się recesja.

Na granicy znów doszło do wymiany strzałów między okrętami azjurskimi i Konfederatami. Żadnych strat po naszej stronie, prawdopodobnie u nich też.

- A czterdzieści lat temu - na ekranie pojawił się obraz jachtu - „Andover”, próbując okrążyć planetę, zaginął na morzach południowych.

- Nie - odezwał się nagle urzędnik. - Brak danych.

- Musi coś być - zaprotestowałem. - Przecież musiała przynajmniej umrzeć.
- Jeśli tak, panie Benedict - odparł, ukazując cały garnitur równych, białych zębów - nie dokonała tego na Iliandzie.

- Mam jeszcze jeden pomysł - powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się znów w apartamencie. - „Andover”.

- Aleksie, chyba mamy dość tajemnic. I wątpię, żeby „Andover” miał z tym coś wspólnego.

- Pewnie, że nie miał. Ale ten materiał, który oglądaliśmy, liczył czterdzieści lat. Jak myślisz, jak daleko sięgają wstecz lokalne media?

W lokalnej sieci znaleźliśmy dwie agencje dziennikarskie: Oceanic i Mega. Żadna z nich nie istniała dłużej niż pół wieku. Ich wiek był mierzony w latach Iliandy, które trwały o jakieś czterdzieści procent dłużej niż normalne, ale to i tak było mało.

- To bez znaczenia - wyjaśnił technik w Mega. - Wszyscy korzystają i tak ze scentralizowanych banków danych. Mam; dostęp do danych z jakichś trzystu lat.

Połączyliśmy się z Datalink, głównym ośrodkiem przetwarzania danych. Oferował to, czego szukaliśmy: dostęp do historii Iliandy ze współczesnej perspektywy.

Chase uruchomiła terminal i wklepała LEE, KINDREL.

Pojawiła się odpowiedź:

BRAK DANYCH

Wpisała odwrotnie: KINDREL, LEE. BRAK DANYCH

Spróbowaliśmy jeszcze różnych pisowni, bez skutku.

- Co teraz? - Spytała Chase.

- Olander.

Wstukała jego nazwisko.

WYŚWIETLIĆ INDEKS CZY POSZCZEGÓLNE POZYCJE?

- Pozycje - odparłem.

JAKA KOLEJNOŚĆ?

- Chronologiczna. Od najnowszych.

REPREZENTANT WESCLARK W ROLI OLANDERA PODCZAS WIOSENNEJ PARADY

- Nie sędzę, żeby to coś dało - mruknęła Chase, dotykając klawiatury.

CHŁOPCOM NADAL CZĘSTO NADAJE SIĘ IMIĘ NA CZEŚĆ MATTA

OLANDERA

OLANDER PRAWDOPODOBNIEM URODZIŁ SIĘ W NOWYM JORKU
ANALIZA MEDYCZNA: WALCZĄC Z ASZIJURAMI, OLANDER BYŁ
PRAWDOPODOBNIEM UMIERAJĄCY

Napływały kolejne artykuły. Były ich dziesiątki.

AKADEMIA IMIENIA OLANDERA POZWANA W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIA
DZIECKA

STANTON PREZENTUJE LINIĘ UBIORÓW OLANDER
MATT OLANDER JAKO ANALITYK SYSTEMOWY WYPRZEDZIŁ EPOKĘ,
MÓWIĄ EKSPERCI

Zacząłem wgryzać się w materiały, zaś Chase szukała wzmianek o Leishy Tanner. W końcu znalazła krótką wzmiankę w recenzji książki sprzed sześćdziesięciu lat.

- „Porucznicy Sima” - powiedziała. - Słyszałeś o czymś takim?

- Nie. Ale chyba jest to coś, z czym powinniśmy się zapoznać. Niech to prześlą do Jacoba.

Potrząsnęła głową.

- Jest tylko off-line. Najbliższe egzemplarze znajdują się na Penthume.

- Gdzie?

- Daleko stąd. To ojczysta planeta autora. Może to bez znaczenia. Recenzent pisze, że wszystko poplątał i książka jest bezwartościowa. A ty jak sobie radzisz?

Patrzyła mi przez ramię, więc wyświetliłem następną pozycję.

MATT OLANDER ZEZNAJE PRZEZ KOMISJĄ DS. OBRONY

Chyba nie była w nastroju do żartów: ten Matt Olander był specjalistą w dziedzinie obciążeń w hiperprzestrzeni.

Drugiego dnia poszerzyliśmy zakres poszukiwań.

Późnym popołudniem natknęliśmy się na dziwną notkę, datowaną prawie dwadzieścia lat temu:

CZY TO SIM SPROWOKOWAŁ ATAK NA ILIANDĘ?

Autor twierdził, że Dellakondyjczycy szykowali na Iliandzie pułapkę, ale pół tuzina krążowników bojowych, które obiecała Ziemia, zostało w ostatniej chwili wycofanych.

Były też inne zwariowane opowieści, ale z mało wiarygodnych źródeł

specjalizujących się w taniej sensacji:

OLANDER MÓGŁ BYĆ KOBIETĄ oraz

OLANDERA WIDZIANO NA TOKSYKONIE DWADZIEŚCIA LAT PO
WOJNIE.

I na koniec nadal nie mieliśmy nic.

Broń plazmowa, która uderzyła w Point Edward wczesnym jesiennym wieczorem (dokładna data jest niepewna) 677 roku wypaliła skalistą nieckę, w której leży miasto, zniszczyła las w połowie drogi do Portu imienia Richardsona i zlikwidowała miasto, jakby go tam nigdy nie było.

Fakt, że Point Edward było opustoszałe w chwili ataku, choć obcy nie mogli się o tym dowiedzieć, sprawiał, że ten atak był najbardziej przerażającym wydarzeniem tej wojny. Był demonstracją wściekłości i potępienia dla wszystkiego, co ludzkie, demonstracją, która wprawiała w przerażenie światy pogranicza.

Spacerowaliśmy apatycznie brzegiem morza. Przerwałem długie milczenie.

- Ależ oni mieli szczęście, że było ich tu tak niewielu. I Ilianda jest nadal stosunkowo mała. Jaką tu mają populację?

Najwyżej pięć, sześć milionów. Ilu tu może być ludzi z nazwiskiem Lee?

- Niewielu - zgodziła się ze mną Chase.

- Zabraliśmy się do tego od niewłaściwej strony. Poszukajmy terminalu.

W sieci znaleźliśmy na Iliandzie pięćdziesiąt sześć osób o nazwiskach: Lee, Leigh, Lea i Li. Podzieliliśmy się nimi.

Endmara Lee znaleźliśmy prawie natychmiast.

Jeden z jego krewnych nazwał go „rodzinnym historykiem” i skierował nas do niego. Była to prawda: kiedy uświadomił sobie, że interesujemy się tym samym, jego entuzjazm rozkwitł. Wyciągnął hologramy przedstawiające ludzi w odzieży z czasów Ruchu Oporu na Iliandzie: Henry Cortison Lee, który miał sklepik z pamiątkami w terminalu imienia Richardsona i który naprawdę widział Christophera Sima; Polmar Lee, który chciał zostać i bronić rodzinnego miasta przed Aszijurami, ale został uśpiony i zabrany z planety wbrew własnej woli.

- A to Jina - powiedział. - Bratanica Kindrel.

Chase zaczynała wykazywać oznaki niecierpliwości, ale spojrzałem na nią

groźnie. Westchnęła.

Endmar Lee był niski, raczej szczupły, nie miał ani imponującej postury, ani talentu do przemawiania. Był młody, ale brakowało mu właściwej dla młodości energii i pewności.

- Ach - powiedział rozwlekle, wyświetlając hologram na środku pokoju - A to jest właśnie ona. Hologram wykonano przed wojną.

Była atrakcyjna, szczupła, z wąskimi ramionami i nieco nonszalanckim wyrazem twarzy. Długie, ciemne włosy. Nie był to ktoś, kogo przejmowanie się innymi ludźmi mogło skłonić do pośpiechu.

- Co pan o niej wie? - Spytałem.

- Nie ma zbyt wiele informacji - rzekł Lee. - Nie przypuszczam, żeby z Kindrel wiązały się jakieś sensacyjne wieści. Dużo przeszła za młodu...

- Co pan ma na myśli?

- Jej mąż zginął trzy lata po ślubie. Jakiś dziwny wypadek na łodzi. Nie znam szczegółów, wszystko zaginęło. Potem zaraz wybuchła wojna.

- Może to jej coś ułatwiło - wtrąciła Chase. - Zmusiło ją do skupienia się na innych rzeczach.

Lee zawahał się.

- Tak.

To słowo zawisło w powietrzu, pozostawiając coś niedopowiedzianego.

- Wróciła tu po wojnie?

- Tak. Wróciła z całą resztą.

- Czy nazwisko Leisha Tanner coś panu mówi? Zastanowił się przez chwilę i potrząsnął głową.

- Nie, nic. Czy ona była jakoś związana z Kindrel?

- Nie wiemy - odparła Chase. - Czy Kindrel wyszła jeszcze raz za mąż?

- Nie - rzekł. - A przynajmniej nie była zamężna, kiedy opuściła Iliandę. Wtedy trop się urywa. Była już dobrze posunięta w latach. To jest jej ostatni hologram. - Pogrzebał przy urządzeniu sterującym, które miał na kolanach. Znow się pojawiła, nieomal starsza pani, stojąca przy Jinie, swojej bratanicy, która była wtedy w średnim wieku. Podobieństwo między nimi uderzało.

- Kindrel była chyba trochę dziwna. Miała jacht i całe lata mieszkała na pokładzie. Odbywała długie wyprawy, czasem z przyjaciółmi. Możliwe, że miała problem z narkotykami.

- Była bardzo związana z bratanicą. Jina zmarła cztery lata po zrobieniu tego zdjęcia, ale Kindrel prawdopodobnie nie było na pogrzebie. 'To stało się w 707, więc można przypuścić, że do tego czasu opuściła Iliadę, a wiemy, że była tu jeszcze w 706. To pozwala dość precyzyjnie ustalić datę jej wyjazdu.

- Tak - odparłem. Przeliczyłem to na czas standardowy i doszedłem do wniosku, że Kindrel opuściła ojczystą planetę prawie czterdzieści lat po ataku. - Skąd pan wie, że była tu jeszcze w 706?

- Mam dokument opatrzonej przez nią datą.

- Co to za dokument?

- Zaświadczenie medyczne - odparł, jakby za szybko.

- Miała jakieś dzieci?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Chase przyjrzała się kobiecie na hologramie: Kindrel w zaawansowanym wieku.

- Ma pan rację - powiedziała do Lee.

- W jakiej kwestii?

- Wygląda, jakby dużo przeszła.

- Tak, pewnie tak. Nie wygląda, jakby się po prostu postarzała, jakby jej młodzieńcza żywiołowość gdzieś znikła, ale ma jakiś nieobecny, zdezorientowany, smutny wyraz twarzy.

Chase oparła brodę na pięściach i przyglądała się obrazowi.

- Jakie były jej powiązania z Mattem Olanderem?

Wyraz twarzy Lee nie zmienił się, ale dostrzegłem reakcję: tik, jakiś błysk w oczach, coś.

- Nie rozumiem.

- Panie Lee. - Pochyliłem się i spróbowałem użyć zdroworozsądkowej argumentacji. - Wiemy, że Kindrel znała Matta Olandera. Dlaczego nam pan o tym nie powiedział?

- Opadł głęboko w fotel, wypuścił powietrze i zapatrzył się na hologram.

Spróbowałem użyć taktyki rozbijającej szczerości:

- Chętnie zapłacę za informacje. - Wymieniłem sumę, którą uważałem za hojną.

- A kim wy w ogóle jesteście? - Spytał. - I dlaczego was to interesuje?

- Jesteśmy naukowcami z Uniwersytetu w Andiquarze - odparłem. - Po prostu chcemy poznać prawdę. - Jeśli martwi się pan, że to coś nielegalnego, nie ma pan powodu do obaw.

- Naukowcy nie mają aż takich pieniędzy - rzekł. - O co tu chodzi?

Z tonu jego pytania poznałem, że ma to, czego szukamy.

- Pieniądze pochodzą z dotacji rządowej. Jeśli nie jest pan zainteresowany, mamy inne sposoby.

- Niech pan wymieni choć jeden.

Zobaczyłem, jak oczy Chase zwężają się.

- Aleksie, chyba tracimy czas.

- Nie. - Lee nacisnął coś w urządzeniu sterującym i hologram zbladł. - Chcecie poznać moją uczciwą opinię na ten temat? Za darmo.

Czekaliśmy.

- Olander w gruncie rzeczy zginął tak, jak się powszechnie uważa, a to, czego szukacie, to oszustwo. - Odetchnął głęboko. - Nie ma w tym żadnej sensacji. - Jego oczy stały się nagle małe i zaciła się w nich bezwzględność.

- Mogę zaraz przelać pieniądze - zaproponowałem. - O co chodzi z tym oszustwem?

- Chętnie - odparł - choć nie o to chodzi. Nie chcę wyjść na idiotę.

- Ależ do niczego takiego nie dojdzie.

- Powiem wam wprost, że nie podoba mi się to, co tam jest, i nie chciałbym, żeby to się wydostało. Rozumiecie?

- Oczywiście - odparłem. - Rozumiem.

- Istnieje oświadczenie napisane przez Kindrel. Nikomu go nie pokazywałem. Raz dałem się wyciągnąć na rozmowę na ten temat, więc może kolejny raz nie ma znaczenia. Możecie je przeczytać. Ale nic nie może opuścić tego domu. Żadnych kopii. Jeśli chcecie mi coś dać, to w gotówce. Żadnych śladów.

- Jasne - przytaknąłem.

- Bo jeśli coś się wydostanie - mówił dalej - to zdementuję. Wszystkiemu zaprzeczę.

Chase pochyliła się, spojrzała na mnie i dotknęła jego ramienia.

- Wszystko gra - powiedziała. - Nie będzie problemu. - Zmieniła pozycję ciała, spojrzała na mnie i znów przeniosła spojrzenie na Lee. - Kto jeszcze dopytywał się o ten dokument?

- Wysoki facet. Ciemna skóra. Ciemne oczy. - Przyglądał się, sprawdzając, czy coś nam to mówi. - Jakies trzy miesiące temu.

- Jak się nazywał?

Podszedł do terminalu, coś powiedział i spojrzał na nas.

- Hugh Scott.

XV

Pośród Dellakondyjczyków było niewielu profesjonalnych żołnierzy. Sim dokonywał cudów, mając do dyspozycji analityków systemowych, wykładowców literatury, muzyków i urzędników. Pamiętam go głównie jako stratega i taktyka. To nie miałyby jednak żadnego znaczenia, gdyby nie posiadał umiejętności zmuszania zwykłych ludzi do niezwykłych czynów.

Harold Shamanway, *Uwagi na temat ostatnich lat wojny*

Załącznik: OŚWIADCZENIE KINDREL LEE

Point Edward

13/11/06

Nie wiem, kto to kiedyś przeczyta i czy w ogóle. Nie mam też żadnego powodu, by opisać te fakty, innego niż chęć podsumowania, w jakiejś namacalnej formie, tego, za co ponoszę odpowiedzialność, a od niej się już w tym życiu nie uwolnię.

Zostawiam ten dokument Jinie, mojej bratanicy, która zna jego treść, a która była moją powiernicą i przyjaciółką w całej mojej męce, by zrobiła z nim, co uzna za stosowne.

Kindrel Lee

ILLANDA zawsze była dla mnie nawiedzonym miejscem.

Coś unosi się nad jej mglistymi morzami i archipelagami o połamanej linii brzegowej, coś, co oddycha w lasach porastających jej kontynenty. Czuje się to w ruinach, które mogli (choć nie musieli) zostawić tu ludzie. Czy w cuchnącym ozonie burz, które nawiedzają Point Edward regularnie, jak w zegarku, i nikt jeszcze nie znalazł wyjaśnienia tego fenomenu. To nie przypadek, że wielu autorów horrorów umieszcza akcję swoich książek na Iliandzie, pod jej chłodnymi, twardymi gwiazdami i ściągającymi się księżycami.

Dla kilku tysięcy mieszkańców planety, z których większość mieszka w Point Edward na północnym krańcu najmniejszego z trzech kontynentów, takie pomysły wydają się przesadzone. Ale dla tych z nas, którzy podróżowali do bardziej nieciekawych miejsc, ma ona jakieś ulotne piękno, niesłyszane głosy, mroczne rzeki sączące się przez niepoznane.

Ponadnaturalne cechy planety objawiły mi się podczas tych kilku tygodni po śmierci Gage'a. Na przekór radom przyjaciół wypłynęłam naszym „Meredithem” w morze, zdeterminowana w jakiś perwersyjny sposób, charakteryzujący ludzi chcących jeszcze raz dotknąć kilku rzeczy, które dzieliliśmy w naszym pierwszym roku, wyostrzając tylko kłujący jak nóż ból. I w jakiś niedefiniowalny sposób miałam nadzieję, że uchwycę choć część tych zaginionych dni, jakby w pewnym sensie tam, na tych widmowych oceanach, wszystko było możliwe.

Pożeglowałam na półkulę południową i szybko zagubiłam się w Dziesięciu Tysiącach Wysp.

Gdy Kindrel Lee żeglowała po ciepłych morzach, nadciągała wojna. Wróciwszy do Point Edward, odkryła z przerażeniem i zdumieniem, że jest opuszczone. Flota ratunkowa Sima - o czym Kindrel nie wiedziała - przyleciała i odleciała.

Opisuje wstrząs, jaki przeżyła, początkowe gorączkowe próby odnalezienia jakiegokolwiek istoty ludzkiej w szerokich alejach i dzielnicach handlowych. *Nikt nigdy nie posądzał mnie o posiadanie wybujałej wyobraźni, ale stałam tam, skamieniała, i wsłuchiwałam się w miasto: wiatr, deszcz, stukające o molo boje, woda przelewająca się pod pomostem i nagły, głośny szum prądu elektrycznego pod chodnikiem, odgłos walących o futrynę drzwi, skrzypiących na zawiasach, dźwięki automatycznego, elektronicznego pianina w barze „Edwardiańskim”. Coś maszerowało na niewidzialnych stopach.*

Światła w mieście płonęły jasno. Powietrze było pełne sygnałów radiowych. Przysłuchiwała się rozmowom między załogą nadlatującego wahadłowca i stacją kosmiczną, z których wynikało, że rankiem, zgodnie z rozkładem, wahadłowiec wyląduje w Porcie Kosmicznym im. Kapitana Williama Richardsona.

Wreszcie dotarła do Portu im. Richardsona, który znajdował się dwadzieścia dwa kilometry za miastem. W połowie drogi zaczęła dostrzegać ślady ewakuacji, a wręcz dosłownie na nie wpadła: w miejscowości o nazwie Walhalla wzięła za szybko zakręt i uderzyła w miejski autobus, który wypadł z trasy i został porzucony.

Wahadłowiec, na który czekała, nigdy nie przyleciał. Nadal nie mając pojęcia,

co się dzieje, bliska paniki Kindrel wpadła na posterunek ochrony - gdzie kiedyś pracował jej mąż - i zaopatrzyła się w laser. Wkrótce potem, w głównym budynku terminalu, spotkała Matta Olandera.

Nie wiem, kiedy dokładnie zauważyłam, że nie jestem sama. Może usłyszałam kroki, a może szum lejącej się wody albo jakieś zawirowanie prądów powietrza. Zdwoiłam czujność i zaczęłam słyszeć nawet własny oddech.

W pierwszym odruchu chciałam uciec z budynku. Wrócić do samochodu, może nawet na pokład jachtu. Ale powstrzymałam się, choć czułam, jak pot płynie mi po plecach.

Wchodziłam do jednego pokoju biurowego za drugim, czując wsuniętą do buta broń, lecz celowo nie trzymając jej w ręce. Byłam bliska paniki.

Zatrzymałam się w sali konferencyjnej, w której najbardziej widocznym elementem była rzeźba nurka. Holograf, który ktoś zapomniał wyłączyć, mrugał u szczytu rzeźbionego stołu. Dokola stało w nieładzie sześć krzesel, na stole porozrzucano filizanki i podkładki świetlne. Można było odnieść wrażenie, że to przerwa w spotkaniu i dyskutanci zaraz wrócą.

Uruchomiłam holograf i jakąś podkładkę. Spotkanie dotyczyło technik motywacyjnych.

Gdy się odwróciłam, usłyszałam trzask pękającego szkła.

Wzdrygnęłam się. Echo przetoczyło się po sali, krótkie odgłosy, które stopniowo wydłużały się i łączyły, stapiając się z ledwie słyszalnym szumem elektryczności w ścianach i przechodząc w nadąsany szept.

Gdzieś na górze. W Sali na Wieży, w restauracji na szczycie.

Pojechałam windą na samą górę, wyszłam prosto w szarość nocy i szybko pokonałam otwarte patio.

We mgle Sala na Wieży była ledwo widoczna: pomalowane na żółto okrągłe okna ze szprosami wcinały się w cienistą kamienną elewację; kamienne kolumny podpierały sklepione wejście; było tam koło młyńskie i stylizowana mosiężna tablica na menu, której oświetlenie już nie działało.

Przez drzwi sączyła się cicha muzyka. Otworzyłam je i zajrzałam do wnętrza, oświetlonego skomputeryzowanymi świecami mrugającymi w zadymionych słojach. Sala na Wieży wyglądała jak podmorska grotta. Była to plątania skalistych komnat i zakamarków, podzielonych strumykami, ladami z sałatkami, sztucznymi głazami i szybami; był tam też długi, polerowany bar. Niebieskie i białe

światło tańczyło na kamiennych ścianach i srebrach. Kryształowe strumienie wylewały się z ust kamiennych nimf i płynęły wąskimi kanałami pod mostkami z surowego drewna. Pewnie dawniej było to dość przeciętne miejsce, gdzie klientela i rozmowy były zbyt widoczne, by iluzję architekta dało się podtrzymać. Tego wieczora jednak Błękitną Wieżę spowijała cisza, puste stoliki wisiały w próżni, tylko migoczące ogniki świec w okopconych słoikach emitowały stabilne światło, jak gwiazdy.

Było mi zimno, więc naciągnęłam kurtkę na ramiona. Zaczęłam się zastanawiać, czy ogrzewanie nawaliło.

Przeszłam przez mostek, przemaszerowałam wzdłuż baru i zatrzymałam się, by spojrzeć na niższy poziom. Wszystko było starannie uporządkowane, krzesła na miejscu, srebra na czerwonych serwetkach z materiału, przyprawy i butelki z sosami ustawione równo na stołach.

Poczułam, jak łyzy cisną mi się do oczu. Zahaczyłam o krzesło stopą, odciągnęłam je od stołu i opadłam na nie.

Gdzieś coś zabrzączało i ktoś się odezwał:

- Kto tam?

Zamarłam.

Kroki. Gdzieś z tyłu. I mężczyzna w mundurze.

- Witam - odezwał się radośnie. - Nic pani nie jest?

Potrząsnęłam niepewnie głową.

- Nie - odparłam. - Ale co tu się stało? Gdzie się wszyscy podziali?

- Wracam pod okno - rzekł, odwracając się. - Muszę tu zostać.

Zatrzymał się, żeby się upewnić, że za nim idę, po czym wrócił tam, skąd przyszedł.

Miał dziwne ubranie, ale nie było mi całkiem nieznane. Zanim do niego podeszłam, rozpoznałam niebiesko-granatowy mundur Konfederacji.

Na jego stoliku były całe sterty sprzętu elektronicznego. Płatanina kabli łączyła dwa albo trzy komputery, całą baterię monitorów, generator, Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Stał nad tym ze słuchawką w jednym uchu, najwyraźniej zajęty tym, co się działo na ekranach: schematy, skany namierzania, kolumny cyfr i symboli.

Spojrzał w moim kierunku, ale jakby mnie nie widział. Wskazał butelkę ciemnego wina, wyjął kieliszek i zachęcił mnie gestem, żebym sobie naląła. Uśmiechnął się do czegoś, co zobaczył, położył słuchawkę na stole i opadł na krzesło.

- Jestem Matt Olander - powiedział. - Co pani tu robi, u licha?

Był w średnim wieku; chudy mężczyzna o skórze tak szarej, że prawie pasowała kolorem do ścian, przez co wyglądał trochę jak nie z tego świata.

- Chyba nie rozumiem pytania.

- Dlaczego nie odleciała pani z innymi? - Przyglądał mi się intensywnie i chyba dostrzegł, że jestem zdumiona, więc sam zrobił zdumioną minę. - Zabrali wszystkich - rzekł.

- Kto? - Dopytywałam się załamującym się głosem. - Kto ich zabrał? I dokąd?

Zareagował, jakby było to głupie pytanie, i sięgnął po butelkę.

- Chyba nie zakładaliśmy, że uda się uratować sto procent. Gdzie pani była? W kopalni? Na jakimś wzgórzu, gdzie nie ma łączności?

Powiedziałam mu, a on zareagował w sposób sugerujący, że zrobiłam coś niemądrego. Mundur miał rozpięty pod szyją, a od zimna chroniła go nieregulaminowa jasna kurtka. Miał rzadkie włosy, a jego rysy przywodziły na myśl raczej handlowca niż żołnierza. Przemówił ciszej.

- Jak się nazywasz?

- Lee - odparłam. - Kindrel Lee.

- Cóż, Kindrel, przez ostatnie dwa tygodnie ewakuowaliśmy Iliandę. Ostatnia grupa poleciała na stację wczoraj przed południem. O ile mi wiadomo, zostaliśmy tylko ty i ja.

Znów zajął się monitorem.

- Dlaczego? - Spytałam z mieszanką ulgi i lęku.

Miał taki wyraz twarzy, jakby marzył tylko o tym, bym sobie poszła. Po chwili dotknął klawiatury.

- Pokażę ci - rzekł.

Na jednym z ekranów - musiałam przesunąć butelkę, żeby coś widzieć - pojawiły się koncentryczne pierścienie, dookoła których migotało osiem czy dziewięć światełek.

- W środku jest Ilianda. A konkretnie stacja. Zasięg to około pół miliarda kilometrów. Teraz patrzysz na flotę niemot. Okręty wojenne i krążowniki bojowe.

Wziął głęboki oddech i wypuścił wolno powietrze.

- A to, co nastąpi, panno Lee - mówił dalej - to będzie rozwalenie tych drani przez naszą flotę. - Zacisnął szczękę i jakiś ognik pojawił się w jego oczach. - Nareszcie. Długo na to czekaliśmy. Wyprzedzali nas przez trzy lata. Ale ten dzień

należy do nas. - Uniósł pusty kieliszek w geście toastu w stronę sufitu.

- Cieszę się, że udało się wam wyciągnąć stąd ludzi - powiedziałam w pustkę.

Obrócił głowę w moją stronę.

- Sim nie pozwoliłby, żeby stało się inaczej.

- Nigdy nie przypuszczałam, że wojna dotrze aż tu. - Na ekranie pojawił się kolejny błysk. - Nic z tego nie rozumiem - rzekłam. - Ilianda zachowała neutralność. A nigdzie w pobliżu nie toczyły się walki.

- Kindrel, w tej wojnie nie ma nikogo, kto zachowałby neutralność. Po prostu pozwoliliście, żeby inni walczyli za was.

- W jego głosie dało się wyczuć pogardę.

- Ilianda wybrała pokój! - Odkrzyknęłam, choć wtedy było to już akademicką dyskusją. Patrzyłam na niego, przypuszczając, że się wzdrygnie, ale zobaczyłam tylko nienawiść w jego oczach. - Przynajmniej kiedyś - dodałam.

- Nikt nie wybrał pokoju - odparł. - Pokoju nie ma już od dawna.

Przemawiał chłodnym tonem i połykał końcówki.

- Oni są tu tylko dlatego, że wy tu jesteście, prawda?

Uśmiechnął się.

- Tak - odparł. - Oni chcą nas. - Dotknął obrzeża krzesła, oparł brodę na pięści i zaśmiał się. - A ty nas osądzasz? Wiesz co, ludzie są czasem naprawdę niemożliwi. Ty żyjesz i jesteś na wolności tylko dlatego, że my umieraliśmy, żebyś ty sobie mogła popływać na łódce!

- Mój Boże - jęknęłam, przypomniawszy sobie wahadłowiec, który nie dotarł. - To dlatego ten nocny lot nigdy nie wylądował?

- Nie martw się - odparł. - On wcale nie leciał. Potrząsnęłam głową.

- Bzdura. Słyszałam po północy rozmowy przez radio. Lecieli zgodnie z rozkładem.

- On wcale nie leciał - powtórzył. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby wyglądało na to, że życie na planecie toczy się normalnie.

- Po co? - Spytałam.

- Pocieszę cię: zaraz dojdzie do punktu zwrotnego w wojnie. Niemoty wreszcie oberwą!

Oczy mu płonęły, a ja zadrzałam.

- To wy ich tu zwabiliście.

- Tak. - Wstał. - My ich tu zwabiliśmy. Zwabiliśmy ich do piekła. Są przekonani,

że na stacji orbitalnej jest Christopher Sim. I to na niego polują. - Dolał sobie wina. - Sim nigdy nie dysponował wystarczającą potęgą, żeby wygrać tę wojnę. Próbował odeprzeć armadę, mając sześć lekkich fregat. - Olander skrzywił się. Był przerażający. - Ale i tak nieźle skurwielom dopiekl. Każdy inny zostałby pokonany już na początku. Ale nie Sim. Czasem zastanawiam się, czy on jest w ogóle człowiekiem.

Ciekawe, czy ty jesteś człowiekiem, pomyślałam. Przesunęłam palcami po laserze.

- Chyba najlepiej byłoby, gdybyś sobie poszła - rzekł bezbarwnym tonem.

Nie ruszyłam się.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego właśnie Ilianda?

- Próbowaliśmy wybrać układ z populacją na tyle niewielką, żeby można było ją ewakuować.

Słumiałam chęć powiedzenia czegoś sprostego.

- Przeprowadziliście głosowanie? Czy po prostu Sim wpadł i wydał rozkazy?

- Odwal się - mruknął. - Nie masz pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, nie? W tej wojnie zginęło już milion ludzi. Niemoty spaliły Cormoral i zajęły Miasto na Grani. I Far Mordaigne. Najechali kilkanaście układów, sama granica ledwo się trzyma. - Przetarł usta brzegiem dłoni. - Oni nie przepadają za ludźmi, panno Lee. I nie dopuszczają myśli, że ktoś będzie w pobliżu, jak to wszystko się skończy.

- To my zaczęliśmy wojnę - zaprotestowałam.

- Łatwo tak mówić. Przecież ty nie wiesz, co się tam działo. Ale to i tak nie ma znaczenia. Koniec z subtelnosciami. Mordowanie się nie skończy, dopóki nie pokażemy draniom, gdzie ich miejsce. - Przełączył ekran na raport stanu. - Zamykają właśnie stację. - Wygiął wargi w mściwym uśmiešku.

- Znaczna część ich floty jest już w zasięgu. A lecą następni.

- Uśmiechnął się złowrogo i pamiętam, co wtedy przyszło mi do głowy: nigdy nie stanęłam twarzą w twarz z kimś tak nikczemnym. On najwyraźniej dobrze się bawił.

- Mówiłeś, że Sim nigdy nie dysponował wystarczającą potęgą...

- I nadal nie dysponuje.

- W takim razie jak...?

Po jego twarzy przemknął cień. Zawahał się i odwrócił wzrok od monitorów.

- Osłony stacji przestały już działać - powiedział. - Nie, nie ma tam niczego poza parą niszczycieli. Są zautomatyzowane, a stacja jest opuszczona. - Liczba migających

punkcików na monitorze zwiększyła się do tuzina. Coś przesunęło się do wewnętrznego kręgu. - Widzą tylko niszczyciele i coś, co ich zdaniem jest „Corsariusem” z otwartym kadłubem. A dranie dalej utrzymują dystans! Tylko że to już bez znaczenia.

- „Corsarius!” - Krzyknęłam. - Statek Sima?

- To dla nich wielka chwila. Wydaje im się, że go dopadną i zakończą wojnę.

Spojrzał na ekran spod przymrużonych powiek.

Przyszło mi do głowy, że najwyższy czas postąpić zgodnie z jego radą i popędzić na przystań, wsiąść na pokład „Mereditha” i uciekać na południową półkulę. Aż będzie po wszystkim.

- Niszczyciele wchodzą do gry - rzekł. - Ale za bardzo ich nie powstrzymają.

- W takim razie po co?

- Musimy stawić im jakiś opór. Żeby za dużo nie myśleli.

- Olander - spytałam - jeśli nie ma tam statków, po co to wszystko? Jak Sim ma cokolwiek zniszczyć?

- On niczego nie zniszczy. Ale ty i ja tego dokonamy, Kindrel. Razem zadamy niemotom taki cios, że popamiętają na zawsze!

Dwa monitory nagle zgasły. Po chwili obraz, powrócił - wir rozpaczliwie migających znaków. Olander pochylił się i skrzywił.

- Trafili stację.

Wyciągnął rękę w moją stronę w przyjacielskim, uspokajającym geście, ale odsunęłam się.

- A co niby ty i ja mamy im zrobić? - Spytałam.

- Kindrel, powstrzymamy wschód słońca.

Uznałam, że to wyjaśnienie jest nieco mętne, i powiedziałam mu o tym.

- Załatwimy ich wszystkich - oświadczył. - Wszystko, co tam jest, wszystko w promieniu pół miliarda kilometrów, zamieni się w popiół. Poza tym obszarem, gdyby teraz zobaczyli, co się dzieje, i zaczęli uciekać, mieliby szansę. - Spojrzał w stronę komputera. Na klawiaturze świeciło czerwone światełko. - Mamy stary tyrolski myśliwiec naładowany antymaterią. Tylko czeka na mój rozkaz.

- Rozkaz czego?

Zamknął oczy i nie byłam już w stanie odczytać jego wyrazu twarzy.

- Zmaterializowania się wewnątrz słońca. - Miałam wrażenie, że każde słowo z osobna zawisa w powietrzu.

- Umieścimy go w jądrze słońca. - Po podbródku spłynęła mu kropla potu. - Efekt będzie - zamilkł i uśmiechnął się - dość wybuchowy.

Niemal uwierzyłam, że świat poza tą knajpą nie istnieje. Ukrywaliśmy się w ciemności, Olander, ja, monitory, muzyka w tle i kamienne nimfy. Wszystko.

- Supernowa? - Spytałam.

Mój głos ledwo było słycać.

- Próbujecie wywołać wybuch supernowej?

- Nie. To nie będzie prawdziwa supernowa.

- Ale efekt...

- Będzie taki sam. - Wyglądał na nadzwyczaj zadowolonego. - To rewolucyjna technika. Prawdziwy przełom w nawigacji. Wiesz, to niełatwe zrobić coś takiego. Nikt dotąd tego nie dokonał.

- Daj spokój, Olander! - Wrzasnęłam. - Nie powiesz mi, że facet siedzący w barze jest w stanie doprowadzić do eksplozji słońca!

- Przykro mi. - Coś się zmieniło w jego oczach; wyglądał na zaskoczonego, jakby zapomniał, gdzie się znajduje. - Może i masz rację - powiedział. - Nigdy nie przetestowano tej metody, bo jest za droga, więc tak naprawdę nie wiemy.

Próbowałam sobie wyobrazić Point Edward w ogniu, pośród wrzących mór i płonących lasów. To było miasto Gage'a, gdzie zwiedzaliśmy wąskie uliczki i stare księgarnie, goniliśmy się na smaganej deszczem plaży, siedzieliśmy w oświetlonych blaskiem świec knajpkach. I stąd po raz pierwszy wypłynęliśmy w morze. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądało, kiedy wróciliśmy wówczas do domu, jasne, błyszczące jak diament na horyzoncie. Dom. To zawsze będzie nasz dom.

Patrzyłam, jak Olanderowi wilgotnieją oczy; może po raz pierwszy zrozumiał, że wróciłam do Point Edward z zamiarem opuszczenia Iliandy.

- Olander, oni cię zostawili, żebyś to zrobił?

- Nie. - Potrząsnął energicznie głową. - To miało się stać automatycznie, po zbliżeniu się niemot. Urządzenie zapłonowe było połączone z czujnikami w stacji. Tylko że niemotom udało się zniszczyć urządzenia sterujące i kontrolne. Teraz już nie wiemy...

- Więc cię zostawili!

- Nie! Sim nigdy by do tego nie dopuścił, gdyby wiedział. On ufa skanerom i komputerom. Ci, którzy nie wiedzą o tym za dużo, nie umieliby tego zrobić. Więc zostałem, odłączyłem zapłon i zabrałem go tutaj.

- Mój Boże, i ty naprawdę zamierzasz, to zrobić?

- Tak będzie lepiej. Złapiemy skurwieli w najbardziej korzystnym momencie. A to człowiek musi ocenić, czy taki moment już nadszedł. Maszyna nie wystarczy.

- Olander, przecież tu chodzi o zniszczenie planety!

- Wiem. - Głos mu drżał. - Wiem. - W końcu spojrzał mi w oczy. Miał błękitne tęczęwki i widziałam biel dookoła ich brzegów. - Nikt tego nie chciał. Ale dotarliśmy do ściany. Jeśli to się nie uda, nie ma już dla nas przyszłości.

Podtrzymałam rozmowę, ale nie spuszczałam wzroku z klawiatury komputera, z klawisza WYKONAJ, który był dłuższy od pozostałych i trochę wklęsły.

Laser przy mojej nodze był chłodny i twardy.

Olander dopił wino i rzucił w ciemność kieliszkiem, który roztrzaskał się o ścianę.

- Ciao.

- Supernowa - mruknęłam, rozmyślając o rozległych południowych morzach i niezmiernych lasach, po których już nikt nie będzie spacerował, i tajemniczych ruinach. I tysiącach ludzi, dla których Ilianda jest domem. Kto o niej będzie pamiętał, gdy jej zabraknie? - Jaka jest różnica między wami a niemotami?

- Wiem, co czujesz, Kindrel.

- Nie masz pojęcia, co czuję.

- Wiem dokładnie, co czujesz. Byłem na Melisandrze, kiedy niemoty spaliły Cormoral. I widziałem, jak zajęły planety układu Pelian. Pelianie ich zdenerwowali, więc trochę ich pozabijali. A to byli tacy ludzie jak ty, zajęci swoimi sprawami. Wiesz, jak teraz wygląda Cormoral? Nikt tam nie zamieszka przez, dziesięć tysięcy lat.

Czyjeś krzesło, jego, nie moje, przesunęło się po podłodze, i ten dźwięk rozniósł się echem po całym barze.

- Cormoral i Pelianie zostali zaatakowani przez wrogów! - Byłam wściekła, przerażona, wystraszona. Pod stołem, tak by nie widział, dotknęłam broni. - A przyszło ci do głowy - powiedziałam, starając się mówić spokojnie - co się stanie, kiedy niemoty wrócą do domu, a my nadal będziemy walczyć między sobą?

Skinął głową.

- Wiem. Cóż, ryzyko jest spore.

- Ryzyko? - Drżącym palcem wskazałam stertę sprzętu.

- To coś jest bardziej niebezpieczne niż dziesięć inwazji. Na litość boską, przetrwamy niemoty. Przetrwaliśmy epokę lodową, przetrwaliśmy epokę nuklearną i

wojny kolonialne, i na pewno poradzimy sobie z niemotami, jeśli trzeba będzie. Ale to coś, co masz przed sobą... Matt, nie rób tego. Bez względu na to, co chcesz osiągnąć, cena jest za wysoka.

Słyszałam, jak oddycha. W głośnikach słychać było starą romantyczną piosenkę.

- Nie mam wyboru - powiedział bezbarwnym tonem. Spojrzał na ekran. - Zaczęli się wycofywać. To znaczy, że odkryli, iż stacja jest pusta i to może być zmyłka albo pułapka.

- Przecież masz wybór! - Krzyknęłam.

- Nie. - Wepchnął ręce do kieszeni kurtki, jakby chciał trzymać je z dala od klawiatury. - Nie mam.

Nagle miałam w ręce laser i celowałam w komputery.

- Nie dopuszczę do tego.

- Nie masz takiej możliwości. - Zszedł z linii ognia. - Ale możesz próbować.

Cofnęłam się o kilka kroków i uniosłam broń. To była dziwna uwaga i zastanawiałam się, co oznacza. Na twarzy Olandera widać było różne emocje, których nie umiałam nazwać. I zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Jeśli odetnę zasilanie, odpali - powiedziałam. - Prawda?

Zdradził go wyraz twarzy.

- Odsuń się od tego. - Wycelowałam w niego broń. - Posiedzimy sobie trochę.

Nie ruszył się.

- Cofnij się.

- Na miłość boską, Kindrel. - Wyciągnął ręce. - Nie rób tego. Nie ma tu nikogo, tylko ty i ja.

- To jest żywa planeta, Matt. A jeśli to ci nie wystarczy, trzeba ustanowić jakiś precedens.

Ruszył w stronę klawiatury.

- Nie rób tego, Matt. Zabiję cię, jeśli spróbujesz. Chwila wydawała mi się wiecznością.

- Proszę, Kindrel - powiedział w końcu.

I staliśmy tak, mierząc się wzrokiem. Spojrzał mi w oczy i zbladł. Trzymałam laser tak, żeby go widział, wymierzony w jego pierś.

Na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Na jego szyi drgał jakiś nerw.

- Powinienem być to zostawić - powiedział, oceniając odległość od klawiatury.

Łzy płynęły mi po policzkach; słyszałam własny głos, przemawiający głośno i ze strachem, jakby dochodził gdzieś z zewnątrz. A cały świat skurczył mi się do spustu pod moim prawym palcem wskazującym.

- Nie musiałeś zostać, Matt! - Krzyknęłam. - To nie ma nic wspólnego z bohaterstwem. Za długo jesteś na wojnie, Matt. Za dobrze umiesz nienawidzić.

Wykonał drugi krok, ostrożnie, stopniowo przenosząc ciężar ciała z jednej stopy na drugą, patrząc na mnie z błaganiem w oczach.

- Sprawiało ci to przyjemność, dopóki się nie zjawiłam.

- Nie - odparł. - To nie tak.

Naprężył mięśnie. I dostrzegłam, że zamierza to zrobić, i potrząsnęłam głową, a on powiedział mi, żebym odłożyła pistolet, a ja stałam, patrząc na plamkę światła u nasady jego szyi, gdzie miał go trafić strzał, i powtarzałam:

- Nie, nie, nie...

W końcu wykonał krok, ale nie w kierunku komputera, lecz w moją stronę. Był jednak zbyt wolny, więc go zabiłam.

W pierwszym odruchu chciałam zostawić ciało tak, jak upadło, pobiec do windy i uciekać. Żałowałam, że tego nie zrobiłam.

Słońce unosiło się nad horyzontem. Chmury rozproszyły się na zachodzie. Zaczynał się kolejny chłodny, jesienny dzień.

Ciało Matta Olandera leżało poskręcane koło stołu, z małą, czarną dziurką wypaloną na szyi i strużką krwi spływającą na kamienną podłogę. Jego krzesło leżało obok, przewrócone; kurtkę miał rozpiętą. Z wewnętrznej kieszeni sterczał pistolet, czarny, śmiertcionośny, po który Matt łatwo mógł sięgnąć.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być uzbrojony. Mógł mnie zabić w każdej chwili.

Jacy ludzie walczyli w imieniu Christophera Sima?

Ten człowiek chciał spalić Iliadę, ale nie potrafił mnie zabić.

Jacy to byli ludzie? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. I nie poznam.

Stałam nad nim długo, patrząc, przy mrugającym w ciszy nadajniku, przy jego chłodnym, czerwonym oku, a białe punkciki pełzały w stronę zewnętrznego pierścienia.

Ogarnął mnie potworny strach: mogłam zrealizować jego zamiar i zastanawiałam się, czy nie jestem mu tego winna, czy nie jestem tego winna komuś:

wyciągnąć rękę i zadać przygotowany cios. W końcu odeszłam, prosto w świt.

Czarne statki, którym udało się uciec, wróciły i zebrały potężne żniwo. Ludzie ginęli przez prawie trzy lata. Christopher Sim dokonywał swych legendarnych podbojów. Jego Dellakondyjczycy utrzymali się do chwili przystąpienia do wojny Rimway i Ziemi, i w ogniu bitewnym zrodziła się nowoczesna Konfederacja.

O słonecznej broni nigdy już nie usłyszano. Czy ostatecznie nie zadziałała, czy Sim nie był w stanie zwabić wystarczających sił w odpowiednie miejsce, nie wiem.

Dla większości z nas wojna jest teraz czymś odległym, przedmiotem debat historyków, żywymi wspomnieniami starych ludzi. Niemoty wycofały się na swoje mroczne planety. Sim, wraz ze swymi tajemnicami, zaginął w układzie gwiazdy Rigel. A na Iliandę nadal przybywają turyści i badacze, zwabieni przez mgliste morza i tajemnicze ruiny

Matt Olander spoczywa w grobie przy terminalu imienia Richardsona w aurze bohatera. Wycięłam napis na grobie tą samą bronią, którą go zabiłam.

A ja: ku mojemu żalowi, przeżyłam. Przeżyłam atak na miasto, przeżyłam wściekłość Dellakondyjczyków, przeżyłam własną winę.

Dellakondyjczycy po zabiciu Matta przylecieli dwa razy. Za pierwszym razem było ich czworo, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Ukryłam się przed nimi i odlecieli. Potem, kiedy myślałam, że nikt już nie przyleci, jakaś kobieta wylądowała na jednym z lądowisk terminalu. Poszłam do niej w świetle słońca i powiedziałam jej o wszystkim.

Myślałam, że będzie chciała mnie zabić, ale nie mówiła za wiele i chciała zabrać mnie na Milenium. Nie dałabym rady więc po prostu odeszłam. I żyłam niedaleko zrujnowanego miasta, w Walhalli, gdzie pewnie bym zginęła, ścigana przez armię duchów, codziennie coraz większą. Wszystkie zabiłam własnoręcznie. A kiedy wrócili Dellakondyjczycy, czekałam.

Nie chcieli mi uwierzyć. Może z powodów politycznych. A może woleli zapomnieć. Więc odmówiono mi ukojenia, jakie niesie publiczny osąd. Nikt mnie nie potępi. I nikt mi nie wybaczy.

Nie mam wątpliwości, że postąpiłam słusznie.

Mimo masakry, mimo pożaru, postąpiłam słusznie.

Kiedy jestem w stanie podejść do tego obiektywnie, w świetle dnia, wiem. Wiem także, że ktoś, kto przeczyta ten dokument po mojej śmierci, zrozumie, że

potrzebuję czegoś więcej niż właściwej postawy filozoficznej.

Dla mnie wojna pod mknącymi księżycami Iliandy nigdy się nie kończy.

XVI

Nigdy się nie dowiemy jakie to mroczne myśli przygnały go na tę wietrzną skałę.

*Aneille Kay, Christopher Sim na wojnie
(słowa te widnieją na mosiężnej plakietce przy Skale Sima.)*

RANKIEM, gdy siedzieliśmy przy śniadaniu w restauracji na dachu hotelu, w ciepłych promieniach słońca, wszystko wydało się nam nieco nierealne.

- To fałszywka - powiedziała Chase. - Nie mogli liczyć na to, że uda im się zmaterializować statek w środku układu planetarnego, a co dopiero w środku słońca. To się nie mogło udać.

- Ale jeśli to jednak prawda - odparłem - to mamy odpowiedzi na kilka pytań. Może na najważniejsze: co jest w Mgławicy Damy z Woalką.

- Bomba?

- A cóż innego?

- Ale skoro to coś miało działać, to czemu go nie wykorzystali? Czemu ukryli je gdzieś w krzakach?

- Bo Dellakondyjczycy byli przekonani, że Konfederacja nie przetrwa wojny, nawet jeśli ją wygrają. Po odparciu Aszijurów ludzkie światy miały powrócić do starych swarów. A Sim mógł nie chcieć, żeby ktoś dowiedział się o takiej broni. Nawet jego własni ludzie. Może pod koniec, kiedy sytuacja wyglądała na rozpaczliwą, dostrzegali tylko dwie opcje: zniszczyć ją albo ukryć. Więc ją ukrył. Tylko że wszyscy, którzy o niej wiedzieli, zginęli i zapomniano o całej sprawie. Chase podjęła wątek.

- Więc teraz, dwieście lat później, „Tenandrome” leci i natyka się na nią. I wszystko zostaje utajnione?

- To jest to - powiedziałem. - Pewnie to.

- Więc co się stało z tą bronią? Przywieźli ją?

- Pewnie. I teraz zaczynają produkcję. I za jakiś rok możemy zagrozić

niemotom.

Chase potrząsnęła głową.

- Nie chce mi się w to wierzyć. Skąd ludzie na „Tenandrome” mieli wiedzieć, co to jest?

- Może była tam jakaś instrukcja. Posłuchaj, to jest pierwsze wyjaśnienie, które ma jakiś sens.

Wyglądała na sceptyczną.

- Może. Ale nie wydaje mi się, żeby było to możliwe. Aleksie, posłuchaj, przy podróżach międzygwiazdnych trafia się w cel z dużym przybliżeniem. Gdyby wystartować statkiem z orbity tej planety i wskoczyć do hiperprzestrzeni...

-...I natychmiast wrócić, można się znaleźć parę milionów kilometrów stąd. Wiem.

- Parę milionów kilometrów? Miałabym dużo szczęścia, gdyby był to ten sam układ planetarny. Jak, u licha, chcieli uzyskać taką precyzję, żeby trafić w gwiazdę? To jakiś absurd.

- Może jest inny sposób. Spróbujmy to sprawdzić, o ile się da. Może uda się znaleźć jakiegoś fizyka, eksperta, kogokolwiek. Tylko trzymaj się z daleka od Agencji i mów wszystkim, że szukasz materiałów do powieści. Dobrze? Dowiedz się, co się stanie, jeśli umieścimy antymaterię w jądrze gwiazdy. Czy na pewno wybuchnie? Czy istnieje jakiś teoretyczny sposób, żeby ją tam wsadzić? Coś takiego.

- A ty co zamierzasz zrobić?

- Trochę pozwiedzać - odparłem.

Ilianda zmieniła się od czasów Kindrel. Teraz całej ludności planety nie dałoby się już ewakuować przemykającą się flotyllą wahadłowców, krążowników i statków międzygwiazdnych. Dawna teokratyczna Rada, która kiedyś rządziła Point Edward, nadal istnieje, ale ma marginalne znaczenie. Od dawna planeta wita z radością osadników, a Point Edward jest tylko jednym z całej sieci miast i wcale nie największym. Nie zapomniano tu jednak o przeszłości: Cafe Dellakonda stoi przy ulicy Ruchu Oporu, naprzeciwko hotelu „Matt Olander”. Nie rozglądając się specjalnie, można znaleźć Park Christophera Sima, Christopher Sim Plaza czy Bulwar Sima. Stację na orbicie nazwano jego imieniem, a jego oblicze pojawia się na różnych nominałach waluty Banku Iliandy.

A oto Matt Olander: jego wizerunek z podpisem „Obrońca” widnieje na bramie

prowadzącej do Starego Miasta, czterech przecznic wypełnionych ruinami budynków i otworami w trwałozimie, które zostawiono nietknięte od czasów ataku. Zwiedzający przechadzają się w milczeniu po terenie w całości będącym pomnikiem, czasem zatrzymując się przy tablicach.

Sam spędziłem trochę czasu w muzeum, oglądając hologramy przedstawiające wahadłowce Sima w tym strasznym tygodniu, kiedy nadlatywali Aszijurowie, lądujące i startujące z terminalu imienia Richardsona przy wykorzystaniu cichego napędu magnetycznego. Film był patriotyczny, z hymnem, bohaterami o stanowczym spojrzeniu i dyskretnym komentarzem, jak to zwykle przy przedstawianiu mitycznych wydarzeń. Czuję, jak serce zaczyna mi mocniej bić, i dramat dawnej wojny stopniowo mnie pochłonał.

Siedziałem potem w ulicznej kafejce otoczonej pokrytymi szronem drzewami i rozmyślałem, jak łatwo poddać się fali emocji w obliczu walki za sprawę, nawet jeśli nasza racja jest nieco wątpliwa. Kompania bohaterów: jeśli Quinda temu uległa, wszyscy ulegliśmy. Nasza chwała i nasz upadek. Stawić czoła wojennym zagrożeniom, wrócić do domu na tarczy, a wszystko to za właściwą sprawę. Siedziałem tam przez cały poranek, obserwując tłumy, które nigdy nie doświadczyły zorganizowanej masakry, i zastanawiałem się, czy Kindrel Lee nie miała racji, pisząc, że prawdziwe zagrożenie nie pochodzi z tej czy innej grupy autsajderów, ale z naszej rozpaczliwej woli tworzenia Aleksandrów Wielkich i podążania za nimi bez względu na to, jak wielkie pomyłki popełniają.

Kim była kobieta, którą spotkała Kindrel Lee? Czy to była Tanner? Lee napisała, że to była Dellakondyjka, ale oczekiwała pojawienia się Dellakondyjczyków.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego Dellakondyjczycy skłamali w sprawie śmierci Olandera: nie chcieli ujawnić istnienia słonecznej broni. Więc po prostu zrobili bohatera z nieszczęsnego analityka systemowego, który został na planecie, żeby się upewnić, że wszystko się uda, i w ten sposób zniweczył plany Sima. Dlatego wszyscy, którzy znali prawdę, musieli go nienawidzić. Ilu ludzi w końcu zginęło z powodu tego, co zrobił Olander?

Wyobraziłem sobie ich wszystkich, bezpiecznie siedzących za obłokiem Oorta tego układu, wpatrzonych w ekrany, czekających na ten rozstrzygający cios. Nic dziwnego, że byli rozgoryczeni.

Tylko że Sim walczył jeszcze przez półtora roku i nigdy nie użył słonecznej broni. Zastanawiałem się nad pomysłem Kindrel Lee, że ta broń, mimo wszystko, była

wadliwa, nie mogła zadziałać z powodu jakichś właściwości fizycznych czy też nie dało się jej użyć w czasach Ruchu Oporu z powodu zbyt niskiego zaawansowania techniki. Wtedy zabiłaby Olandera bez powodu.

Koło południa wziąłem śmigacz i popędziłem nim pod wiatr. Ruch na ulicach był bardzo duży, a kilka gigantycznych hologramów pięknych modelek demonstrowało zimowe kolekcje przed tłumem, który zebrał się na rynku. Okrążyłem centrum, nabrałem wysokości i pożeglowałem prosto w szare niebo.

Podczas ewakuacji Point Edward Christopher Sim często zostawiał prowadzenie operacji swoim podwładnym i zajmował się innymi rzeczami. Działo się wówczas dziwna rzecz: jego oficerowie zauważyli, że codziennie wstawał dobrze przed świtem, brał śmigacz i leciał na północ od miasta wzdłuż wybrzeża. Lądował w pobliżu samotnej półki skalnej na klifie, wysoko nad powierzchnią morza. Nikt nigdy nie dowiedział się, co tam robił ani po co tam latał. Toldenya upamiętnił tę scenę w arcydziele zatytułowanym *Na skale*, a miejsce zostało ogłoszone przez Iliandyjczyków miejscem pamięci. Nazwano je Skałą Sima.

Chciałem spojrzeć na wojnę jego oczami. A odwiedzenie tej samotni wydało mi się dobrym pomysłem.

Pojazd wzniósł się na wysokość około tysiąca metrów, a następnie rozpoczął powolne opadanie w stronę morza. Połączenie górskich szczytów, miasta, oceanu i mgły całkowicie mnie oszołomiło; przyszło mi do głowy, że jest tyle pięknych miejsc, które warto zwiedzić.

Przełączyłem na sterowanie ręczne i skręciłem w głąb lądu. Komputer zapiszczał, domagając się, żebym wzniósł się wyżej, co też zrobiłem. W końcu ucichł, a ja znalazłem się blisko chmur, przelatując nad zachodnim skrajem miasta, który był też zachodnim skrajem wulkanu. Przewodnik informował, że wulkan jest od dawna nieczynny. Inżynierowie zajęli się nim wieki temu, a Służba Ochrony Środowiska Point Edward regularnie go badała.

Z życia wyparował cały romantyzm.

Zniżyłem lot w kierunku jaskrawych koron purpurowych drzew. Na południowym zachodzie teren podzielono na duże farmy. Dwa strumienie rozcinały krajobraz, łącząc się jakieś osiem kilometrów za Point Edward i znikając wśród gór.

Wieże Portu Kosmicznego na horyzoncie wyglądały tak delikatnie na tle groźnego nieba. Ze szczytu Błękitnej Wieży spływała kurtyna wody. Patrzyłem, jak

wahadłowiec nadlatuje z daleka, zawraca z wdziękiem i opada pośród kompleksu budynków.

Chwile zajęto mi znalezienie tego, czego szukałem: drogi, którą Lee podążała z Point Edward do Portu imienia Richardsona. W fizycznym sensie już nie istniała: cały transport między tymi dwoma miejscami odbywał się drogą powietrzną, a wszyscy, którzy mieszkali w gęsto znaczących krajobraz małych miasteczkach, mieli już śmigacze.

Niektóre części starej drogi były nadal widoczne. Wiła się brzegiem grupy wzgórz i biegła równolegle do jednej, a następnie drugiej rzekł. Przeważnie jednak pozostał po niej po prostu teren, gdzie drzewa były młodsze.

Wrzuciłem mapę na ekran i przeglądałem atlas, próbując znaleźć miejsce, gdzie się rozbita. Walhalla.

Była to mała rolnicza miejscowość, złożona najwyżej z tuzina domów, sklepu z narzędziami, sklepu spożywczego, ratusza, restauracji i tawerny. Dwaj mężczyźni tkwili na dachu, montując lukarnę. Kilka osób stało przed ratuszem. Nikt nie podniósł nawet głowy, gdy przelatywałem.

Opisywała, że stało się to na ostrym zakręcie, który mógł się znajdować tylko we wschodniej części miejscowości, gdzie szlak wił się znów między wzgórzami. Nie było tam żadnego rowu ani zagłębienia, ale dwieście lat to sporo czasu. To się stało gdzieś tam. Nieoznakowane, nikomu nieznanie miejsce na planecie wręcz usłanej miejscami pamięci. I zastanawiałem się, jak inaczej mogłaby potoczyć się historia, gdyby Kindrel Lee zginęła tu tej nocy.

Godzinę później przelatywałem nad szklistymi wodami rozległej, upstrzonej wyspami zatoki Point Edward.

Miasto rozciągało się wzdłuż otaczających ją wąwozów. Czepiało się kurczowo rozpadlin, wsparte na metalowych podporach i polu Gantnera. Lądowiska błyszczały na dachach i półkach wyciętych w skałach. Niektóre budynki publiczne zbudowano w formie łuków nad rozpadlinami. Bulwar nadmorski, który znajduje się w tym samym miejscu co w czasach Ruchu Oporu, otacza przystań, a następnie zwęża się do dwóch pasów i wspina się pod górę.

Las, skały i śnieg: w obu kierunkach, wzdłuż całej linii brzegowej, pobrużdżony krajobraz stawał się szarobiały, a następnie znikał na tle ostrego nieba. Okrążyłem wolno okolicę kilka razy, podziwiając jej dzikie piękno, po czym ruszyłem na północ.

Point Edward znikło w tyle. Nadmorska droga wspięła się w głąb łądu i zanurzyła wśród drzew.

Góry stawały się coraz gęstsze, a potem stopniowo stapały się w jeden szary monolit, gładki, błyszczący, odwieczny. Iliandyjczycy nazywali go Ścianą Klona, mitycznego bohatera, który miał ją zbudować, by chronić kontynent przed hordami morskich demonów. W jej cieniu powietrze było chłodne. Trzymałem się nisko, tuż nad mgłą wodospadu.

Mgłę rozcinały żagle, a wysoko nade mną pędziły śmigacze i powietrzne autobusy. Kilka mew unosiło się majestatycznie. Były to niezgrabne stworzenia o okrągłych dziobach, ogromnej rozpiętości skrzydeł; skrzeczały jak karabiny maszynowe. Szybowce unosiły się, gnane prądami powietrza.

Na ścianie klifu widać było nieliczne drzewa. Komputer zidentyfikował je jako kasandry; uważano, że wykazują coś w rodzaju roślinnej inteligencji. Badania nie dały jednoznacznych wyników, a sceptycy utrzymywali, że to tylko tradycja, która powstała, gdyż płatanina gałęzi przypominała rysy ludzkich twarzy, szczególnie gdy przeświecało przez nie słońce.

Kilka z nich uczepiło się brzegu. Skierowałem na nie teleskop. Ich gałęzie były poplątane, a szerokie, żyłkowane liście sterczały tak, by złowić jak najwięcej szarego światła. Ale nie było słońca i nie dostrzegłem żadnych twarzy. Zbliżyłem się do Skały Sima i komunikator zaczął powtarzać wiadomość:

- Dostępny pełen wachlarz usług turystycznych. Prosimy przełączyć pojazd na automatyczne sterowanie zewnętrzne. Sterowanie ręczne jest niedozwolone w promieniu ośmiu kilometrów od parku.

Wykonałem polecenie. Śmigacz natychmiast wzniósł się nad morze, nabrał wysokości i zaczął zawracać wolno w stronę skarpy.

Na podejściu do lądowania znajdowały się trzy śmigacze. Ze śmigacza znajdującego się tuż przede mną machało do mnie kilkoro dzieci. Zrewanżowałem się tym samym. Znajdowaliśmy się teraz na skraju klifu i zmierzaliśmy w stronę niebiesko-purpurowego lądowiska na samym szczycie. Skała Sima leżała gdzieś w jednej trzeciej wysokości klifu.

Było tam kilka budowli wyciętych w skale; pośród nich hotel o złotych kopułach, z kortami i basenami. Za czasów Sima musiało to wyglądać znacznie skromniej: pewnie pas skały na tyle szeroki, żeby posadzić śmigacz. Poszerzono go, umocniono i ogrodzono.

Głos w komunikatorze był damski, młody i ociekający słodyczą.

- Witamy na Skale Christophera Sima. Proszę nie wysiadać z pojazdu, dopóki całkowicie się nie zatrzyma. Sim Hotel oferuje wolne pokoje. Czy życzy pan sobie dokonać rezerwacji?

- Nie - odparłem. - Chcę tylko zobaczyć skałę.

- Doskonale, proszę pana. Może pan dotrzeć do Skały Christophera Sima, podążając za błękitnymi znakami. Komitet Ruchu Oporu przypomina, że posiłki można spożywać wyłącznie w miejscach do tego przeznaczonych. Życzymy miłego pobytu.

Wylądowałem na niebieskim lądowisku za innym pojazdem, przekazałem śmigacz obsłudze i zjechałem na główny poziom. Znalazłem się w hotelowym lobby. Błękitna strzałka wskazywała boczne drzwi.

Kilka osób, głównie dzieci, chlapało się w basenie otoczonym paprociami. Był tam sklepik z pamiątkami: zastawa stołowa, kieliszki i proporczyki z czasów Ruchu Oporu, modele „Corsarius”, duże ilości kryształów i książek. Pośród książek znalazłem *Człowieka i olimpijczyka* i skromny tomik zatytułowany *Maksymy Christophera Sima*. Potężne malowidło Toldenyi *Na skale* zdominowało wystrój lobby. Gdyby ktoś nie wiedział, jak wygląda: Sim siedzi zamyślony, w chwiejnej równowadze na okrągłym kamieniu, patrząc na wzburzony ocean, oświetlony wschodzącym słońcem. Na horyzoncie zbierają się chmury burzowe.

Ma na sobie luźną kurtkę i opadające spodnie, szaroblond włosy wysuwają się spod zniszczonej czapki. Oczy ma zwężone, pełne bólu. Zielono-białe skrzydło śmigacza widać po lewej. (Wtedy dowiedziałem się, co oznacza przypominający drzewo symbol na śmigaczu: to drzewo morkadyjskie, oficjalne godło Iliandy od czterystu lat).

Kupiłem egzemplarz *Maksym* i zabrałem go na zewnątrz, na skałę.

Byłem prawie sam.

- Jest poza sezonem - powiedział ktoś z obsługi. - O tej porze roku nie ma tu zbyt wielu turystów. Ale sporo ludzi przyjeżdża z miasta na kolację i drinka. Wieczorem będzie niezły tłum.

Sama półka skalna była narażona na działanie żywiołów. Wszystko inne znajdowało się pod dachem i było ogrzewane, także platforma widokowa, ustawiona pod kątem prostym w stosunku do klifu. Kilka osób udało się tam i zajęło teleskopami. Para młodych ludzi w ciepłych ubraniach poszła za mną na zewnątrz.

W pobliżu bawiło się kilkoro dzieci, a niektóre wspinały się na niskie ogrodzenie z siatki, które było jedyną rzeczą oddzielającą je od lepszego świata. Ocean szumiał daleko w dole, a ja poczułem dreszcz, patrząc.

W górze powiewało kilka proporców. W pobliżu przeleciało kilka morskich ptaków, a tuż za ogrodzeniem, ale poza zasięgiem, unosiła się para lataczy. Ich włókna łopotały na wietrze. Nawet w cieniu góry światło dzienne, przefiltrowane przez ich worki amebowe, rytmicznie zmieniało kolory. Żyją na tyłu planetach, te łagodne, przemieszczające się powoli stworzenia, które wydają się nieodmiennie nami zainteresowane. Warto byłoby je ocalić, pomyślałem. Je, mewy i wielkie morze, które jest tu od nie wiadomo ilu milionów lat.

Jak Sim mógł w ogóle myśleć o zniszczeniu tego wszystkiego? Jak mógł tu siedzieć, pośród tych odwiecznych skał, i myśleć o czymś takim?

Na platformie widokowej znalazłem ławkę, usiadłem i otworzyłem *Maksymy*. To jakieś prywatne wydanie; wydawcą był Zakon Wiedźmy. Większość materiałów pochodziła z jedynej opublikowanej książki Sima, ale były też cytaty z listów, dokumentów sądowych, przypisywanych mu komentarzy, przemówień publicznych i tak dalej.

Kryzys, mówi on Kongresowi Miasta na Skale, zbliża się, i nie byłbym szczery, gdybym nie przyznał, że zanim się zakończy, wiele foteli w tej sali będzie pustych. A następnie cytat z listu do tej samej instytucji: Jestem przekonany, że bez względu na to, jaka to potęga przeniosła nas aż tu z Akkadii, na pewno nie zostawi nas na pastwę tej odwiecznej, pozbawionej wyobraźni rasy, która tak zażarcie dąży do naszej zguby.

Kamień namalowany przez Toldenyę znajduje się na północnym krańcu skalnej półki. To największa z grupy kilku skał, stercząca klinowato z czoła klifu, wisząca niebezpiecznie nad przepaścią. Nikt tak naprawdę nie wie, czy Sim na niej stał, kiedy tu bywał, i przypuszczam, że pomysł, jakoby miał się tam wspinać, jest wyłącznie fantazją malarza.

Półka była wąska. W najszerszym miejscu pewnie na tyle szeroka, żeby posadzić na niej śmigacz. Gdyby stało się coś nieprzewidzianego - na przykład nagły podmuch od góry - śmigacz z pilotem mogliby spaść do oceanu, pół kilometra w dół.

Dlaczego?

I dlaczego przed świtem?

Ale czyż nie jest to najlepszy moment, by kontemplować gwiazdę i planetę, którą właśnie ma się zamiar zniszczyć, przyłapując je na niezwyklej symbiozie wschodu słońca nad oceanem?

Gdy rozmyślałem nad tym, jakie myśli musiały kłębić mu się w głowie w te mroczne poranki, przychodziło mi do głowy, że może marzył o tym nagłym podmuchu powietrza, który sprawiłby, że decyzja spadłaby na barki innych.

A może w końcu zaczął się bać własnej broni? Christopher Sim był od początku do końca historykiem. Stojąc tam, patrząc na być może ostatnie wschody słońca na tej planecie, może bał się osądu historii.

Doznałem wstrząsu i poczułem, że rzeczywiście tak było: potężny wojownik bał się tej wiedzy. Nic dziwnego, że już nigdy nie usłyszeliśmy o słonecznej bombie.

XVII

Miarą cywilizacji jest odwaga: nie żołnierzy, lecz przechodniów...

Tulisofala, Górskie przełęcze

(przekład: Leisha Tanner)

MGLA ODLECIAŁA znad morza późnym popołudniem, a ja usiadłem przy stole w kącie baru i w milczeniu sącyłem zielonego drinka. Po chwili, gdy niebo zaczęło ciemnieć, a pierścienie Iliandy stały się widoczne, uruchomiłem komunikator.

- Chase, jesteś tam?

Usłyszałem bzyczenie, które oznaczało, że Chase nie ma przy sobie swojego komunikatora. Wróciłem do mojego drinka i spróbowałem po kilku minutach. Tym razem połączyłem się.

- Byłam pod prysznicem - wyjaśniła. - To było długie popołudnie, ale mam kilka odpowiedzi. Pomysł naszego chłopaczka ma sens.

- Z antymaterią?

- Tak. Tak w ogóle, powinien to być antyhel, jeśli zakładamy, że cel ma helowe jądro. A z takim przypadkiem mamy do czynienia.

- Z kim rozmawiałaś?

- Z fizykiem, który pracuje w firmie o nazwie Insular Labs. Ma na imię Carmel i mam wrażenie, że wie, o czym mówi.

- Ale czy to będzie działać?

- Aleksie, on powiedział, cytuję: „Statek pełny czegoś takiego rozpieprzy gwiazdę na strzępy!”

- A zatem historyjka Kindrel jest przynajmniej realna. Pod warunkiem, że da się umieścić antymaterię w jądrze. Pytałaś go o to może? Czy Sim mógł znaleźć sposób na nawigowanie w hiperprzestrzeni?

- Nie wspominałam o Simie. Rozmawialiśmy o powieści, pamiętasz? Carmel przypuszcza, że nawigacja w przestrzeni Armstronga jest teoretycznie niemożliwa.

Podsunał inny sposób: jonizacja antyhelu i umieszczenie go za silnym polem magnetycznym. Potem należałoby cisnąć tym w słońce z dużą prędkością.

- Może właśnie tak mieli zamiar to zrobić - odparłem. - Czy da się to zrobić dziś?

- On sądzi, że nie. Antyhel łatwo wyprodukować i zamknąć w czymś, ale technika wrzucenia tego w słońce byłaby dość zaawansowana. Teoretycznie jedyny typ przestrzeni nieliniowej, który dopuszcza penetrację przez obiekty trójwymiarowe, to przestrzeń Armstronga. Ale i tak myślę, że to bujda.

- Tak - odparłem. - Może. Posłuchaj, jestem w całkiem ładnym miejscu. Może przyłączysz się i zjemy kolację?

- Skała?

- Tak.

- Dobry pomysł. Daj mi chwilę na zebranie się, a potem wezmę taksówkę. Za półtorej godziny?

- Dobrze. Daj spokój z taksówką, wyślę po ciebie śmigacz.

Próbowałem użyć komunikatora, żeby wysłać kod powrotny do pokładowego komputera śmigacza. Migła jednak czerwona lampka: brak połączenia. Co się dzieje? Spróbowałem jeszcze raz, bez skutku, i połączyłem się z obsługą.

- Mam problem z automatyką - powiedziałem. - Czy możecie wysłać kogoś, żeby wprowadził kod ręcznie?

- Dobrze, proszę pana. - Głos był kobiecy, lekko zirytowany. - Ale to chwilę potrwa. Mamy mało personelu, a ruch jest dziś duży.

- Jak długo?

- Trudno powiedzieć. Przyślemy kogoś natychmiast, jak będzie wolny.

Czekałem jakieś dwadzieścia minut, a potem poszedłem w okolice hangaru, który znajdował się u podnóża góry. Temperatura gwałtownie spadła, a pierścienie, które jeszcze pół godziny temu były wyraźnie widoczne, teraz stanowiły jedynie niewyraźny cień przebijający się przez ciężkie chmury. Spróbowałem wysłać kod jeszcze raz. Nic z tego. Zresztą teraz nie miało to znaczenia.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest mój śmigacz.

Cisza.

- Proszę pana, gościom nie wolno wchodzić do hangaru.

- Oczywiście.

Na drzwiach był wielki napis: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Zajrzałem do rozległej jaskini, która pewnie nie wyglądałaby na tak dużą, gdyby widać było jakieś ściany. Jedyne oświetlenie stanowił rząd żółtych lamp, które paliły się gdzieś w półmroku. Gdy próbowałem zorientować się w sytuacji, otworzyła się kłapa w górze i śmigacz opadł szybem do hangaru. Jego światełka nawigacyjne przemknęły wzdłuż rzędu zaparkowanych pojazdów. Zobaczyłem go tylko przez ułamek sekundy, zanim światełka zgasły. Magnesy śmigacza były jednak dalej włączone, sądząc z dźwięku, a czarny kształt opadł na poziom podłogi i przyspieszył. Gdy mnie mijał, poczułem falę zimnego powietrza.

Mój własny pojazd był żółto-zielony. To jadowite połączenie kolorów, ale dzięki temu łatwo było go znaleźć, jeśli podeszło się wystarczająco blisko. Poczekalem, aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności, a potem ostrożnie precyzyjnie przesunąłem się przez drzwi i stanąłem na posadzce z trwałoziemu, po czym skręciłem w lewo, bo tam było trochę więcej światła.

Kolejny śmigacz wypadł z szybu z zapalonymi światłami. Próbowałem trochę się rozejrzeć, ale światełka zgasły prawie natychmiast. Potem przyspieszył między rzędami zaparkowanych pojazdów. Minąłem mały autobus powietrzny i ruszyłem w głąb garażu.

Wyglądało na to, że szyby są trzy, a pojazdy wpadały przez nie z przerażającą prędkością. Złościło mnie, że w ciągu kilku sekund światła, jakie dawało pojawienie się każdego śmigacza, nie jestem w stanie zorganizować sobie sensownie poszukiwań. Stałem się ekspertem w gonieniu za światełkami i sformułowałem Prawo Benedicta: żadne dwa zestawy w przypadku kolejnych pojazdów nie będą skierowane w tym samym kierunku. To tylko pogłębiało moją dezorientację.

Poza tym śmigacze, gdy dotarły na poziom gruntu, już pogrążone w ciemnościach, poruszały się z olbrzymią prędkością. Nie radziłem sobie z tym. Obijałem się o skrzydła i ogony, stłukłem kolano, a raz nawet upadłem na twarz.

W pewnym momencie klęczałem przed śmigaczem, trąc kolano, kiedy usłyszałem, jak wtaczają się magnesy. Uskoczyłem na bok, kiedy pojazd ruszył, ale skrzydło uderzyło mnie i upadłem na wznak.

Już wtedy miałem złe przeczucia, ale straciłem orientację i nie wiedziałem, gdzie są drzwi, więc nie mogłem się wycofać. Zastanawiałem się, czy nie skontaktować się z obsługą i nie poprosić o pomoc, i już miałem to niechętnie zrobić, kiedy zobaczyłem zielono-żółty kadłub.

Ucieszony, podbiegłem, wspiąłem się do kokpitu i wywołałem Chase, żeby jej powiedzieć, że pojazd trochę się spóźni.

- Dobrze - odparła. - Coś się stało?

- Nie - mruknąłem. - Wszystko gra. Drobny problem ze śmigaczem. Nie rozłączaj się jeszcze, sprawdzę, czy na pewno działa.

- Sprawdzisz, czy na pewno działa? - W jej głosie wyczułem sceptycyzm. - Słuchaj, może jednak wezmę taksówkę?

Pomyślałem, że właściwie tak należało to załatwić. I powinienem był to zrobić. A nigdy nie brałem tego pod uwagę. A teraz, oczywiście, zadałem sobie dużo trudu, żeby zastosować oczywiste rozwiązanie.

Żeby przypadkowo wyłączyć system reagowania śmigacza, trzeba się trochę napracować. W moim jadowym kolorystycznie modelu należało zdjąć plastikową pokrywę i nacisnąć przycisk. Dość proste, ale należało to zrobić świadomie.

Jak to się stało?

Pewnie nieostrożna obsługa. Dziwne, przecież obsługa nie wchodzi do środka śmigaczy, chyba że pojawi się jakiś problem. A mimo to tak się stało. Cóż, napiwku nie będzie. Mój Boże.

Włączyłem wszystkie systemy, nastawiłem z przyjemnością twarz pod wir ciepłego powietrza w kokpicie, wstukałem odpowiednie instrukcje na górnej klawiaturze i usłyszałem, jak włączają się magnesy. Pojazd uniósł się, przyspieszył, zatrzymał (ciskając mną o uprząż) i wzniósł się prawie pionowo szybem wlotowym.

Poleciałem na górę, przeleciałem nad szczytem i opadłem na lądowisko. Wysiadłem i podałem instrukcje: dach hotelu w Point Edward.

- Jest w drodze - oznajmiłem Chase przez komunikator. Śmigacz wzniósł się i popędził w stronę morza.

- Świetnie - odparła. - Zaczynam być głodna.

Patrzyłem, jak się wznosi; jego światła było widać niewyraźnie pod niską pokrywą chmur. Poleciał łukiem na południe i zniknął w ciemnościach.

- Burza idzie - powiedziałem Chase pół godziny później z hotelowego baru. - Ubierz się jakoś.

- A zamierzasz ganiać mnie po śniegu?

- Nie. Ale ta półka skalna jest na zewnątrz. Nieosłonięta.

- Dobrze.

Siedziałem w wyściełanym fotelu. Kamienną podłogę pokrywały grube dywany,

a okno na całą długość ściany ozdabiały ciemnoszare zasłony. Ściany były udekorowane patriotycznymi dziełami sztuki z okresu Ruchu Oporu: herby planet i fregat, księżycowe krajobrazy, matki przypominające Walkirie tuż przy portretach synów.

- Przyjemnie tu.

- To dobrze. - Chwila ciszy. - Aleksie?

- Tak?

- Cały dzień rozmyślałam nad antymaterią, modułami Armstronga i czym tam jeszcze. Założyliśmy, że ta historyjka Kindrel może być prawdą, bo teoretycznie można zbudować taką broń. Jest jeszcze inna możliwość: może historia jest prawdziwa, ale Olander był kłamcą.

Zastanowiłem się. Nie było powodu, żeby odrzucać ten pomysł, ale coś mi tu nie pasowało.

- Wiesz, jak wyglądała Kindrel Lee - mówiła dalej Chase.

- Olander siedzi w barze, pewnie lekko zalany, i ona się nagle pojawia. Czyż nie byłoby dla takiego faceta typowe, że zaczyna zgrywać ważniaka?

- Od tej strony cię dotąd nie znałem - zauważyłem.

- Przepraszam - odparła. - Nie chciałam, żeby to zabrzmiało obraźliwie. Po prostu tak już jest. No, wiesz, co mam na myśli.

- Oczywiście.

- Śmigacz właśnie przyleciał. Do zobaczenia za chwilę.

- Rozłączyła się.

Wiatr się wzmagił, ciskając płatki śniegu o okna.

Burza nadeszła i narastała. Zadzwoiłem na recepcję i zarezerwowałem dwa pokoje na noc. Pogoda nie stanowiła jakiegось istotnego zagrożenia dla podróżnych: śmigacze były wyjątkowo wytrzymałe, a dopóki leciało się na automatycznym pilocie, nie było powodów do obaw. Kusila mnie jednak perspektywa spędzenia burzliwej nocy na Skale Sima.

Upajałem się ciemnym iliandyjskim winem, zagubiony w myślach, gdy czyjaś dłoń opadła na moje ramię, a głos, który znałem, krzyknął:

- Na miłość boską, Aleksie! Gdzieś ty był? - Głos należał do Quindy Arin, która mocno trzymała moje ramię. - Wszędzie cię szukam. - Jej włosy i rękawy kurtki były obsypane śniegiem. Drżała i głos jej się łamał.

Spojrzałem na nią, lekko wstrząśnięty.

- Quinda - spytałem - co ty tu robisz, u licha?

Była blada.

- Gdzie jest twój śmigacz?

- Czemu pytasz?

Wstałem, by pomóc jej usiąść, ale odprawiła mnie ruchem dłoni.

- Gdzie jest twój śmigacz? - Dopytywała się tonem, który sugerował zagrożenie.

- Pewnie gdzieś nad oceanem. Chase Kolpath leci nim z Point Edward.

Zakłęła.

- To ta kobieta, którą tu przywiozłeś? - Wpatrywała się we mnie; była roztrzęsiona i przerażona. - Musisz się z nią skontaktować. Każ jej uciekać ze śmigacza. I niech wszyscy trzymają się od niego z daleka. - Miała trudności z mówieniem i oddychaniem. Nie mogła skupić wzroku i przetarła szeroką brew wierzchem dłoni.

Zaczęło się robić nieciekawie.

- Czemu? - Spytałem. - Co jest nie tak ze śmigaczem? Co się dzieje?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nieważne. - Wstała, jakby chciała wyjść, rozejrzała się i znów usiadła. - Na pokładzie jest bomba.

Ledwo ją słyszałem i pomyślałem, że coś mi się pomyliło.

- Słucham?

- Bomba! Wyciągnij ją stamtąd. Na litość boską, zadzwoń do niej. Wyciągnij ją stamtąd. Bez względu na to, dokąd go wysłałeś, wyciągnij stamtąd ludzi.

- Pewnie już na to za późno.

Reagowałem powoli; nie mogłem się pozbierać. Tymczasem Quinda już wstała i chciała gdzieś pędzić, coś robić.

- Skąd wiesz o bombie?

Jej twarz przypominała białą maskę. Jakby zamarzła.

- Bo ja ją tam umieściłam. - Spojrzała na komunikator.

- Jaki jest jej kod? Sama zadzwonię. Czemu nie logowałeś się do sieci, kiedy tu byłeś, żeby można było cię znaleźć?

- Nikt nas na tej planecie nie zna - odparłem. - Po co mielibyśmy się logować?

Otworzyłem kanał i wywołałem Chase, korzystając z własnego komunikatora.

Natychmiast usłyszałem szum fali nośnej i huk wiatru uderzającego o śmigacz.

- Cześć - odezwała się Chase. - Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Alex, zamów mi stek i pieczone ziemniaki. Będę tam za dwadzieścia minut.

- Gdzie jesteś?

Odpowiedziała z rozbawieniem zmieszonym z podejrzliwością.

- Prawie w połowie drogi. Czemu pytasz? Coś nowego się pojawiło? Albo ktoś nowy?

- Quinda tu jest.

- Kto?

- Quinda Arin. Mówi, że masz bombę na pokładzie.

Znów wiatr.

- Co za bzdura.

Quinda włączyła się z własnego komunikatora.

- Żadna bzdura. Jest przyczepiona do płozy. Może w każdej chwili wybuchnąć.

- Jasny szlag. Kim ty jesteś?

- Posłuchaj, strasznie mi przykro. To nie tak miało być.

- Myślałem, że zaraz dostanie hysterii. Zaczęła płakać, ale starła łzy. - Kolpath, ona tam jest. Nie widzisz jej?

- Żartujesz? W tej zadymce? Posłuchaj, mam tam być za dwadzieścia minut. Czy ona ma wybuchnąć, czy jak?

Quinda potrząsnęła głową. Nie miało to oznaczać, że nie ma żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa, ale że nie ma pojęcia i nie może określić, co się stanie.

- Miała wybuchnąć godzinę temu - odparła. - Może dasz radę wyjść i ją odzepić?

- Czekać chwilę.

Usłyszałem, jak Chase przemieszcza się w kokpicie, walczy z osłoną, przeklina cicho. Otworzyła ją i usłyszałem ryk wiatru. Po chwili wróciła, zadyszana.

- Nie - rzekła. - Nie ma szans, żeby tam zejść. - Sądząc po głosie, była bliska paniki. - Skąd to się tam wzięło? - Spytała, a głos jej się załamał.

Spróbowałem wyobrazić sobie śmigacz. Musiałaby wykonać długi krok z kokpitu na podporę, a potem opuścić się jakieś dwa metry na płozę. I wszystko to w szalejącej burzy.

- A może dałoby się zatrzymać śmigacz? Da się go ustabilizować?

- A może przyjdiesz, tu i zrobisz stójkę na rękach na płozach? Kim jest ta

kobieta, u licha? Które z nas próbuje zabić?

- Ona musi pozbyć się bomby - rzekła Quinda. - Albo uciec ze śmigacza.

- Posłuchaj - rzekła Chase. - Przełączam na ręczne sterowanie i lecę na szczyt. Będziecie musieli po mnie przylecieć. Tylko szybko. Bo jak wyląduję, oddalam się jak najszybciej od śmigacza, a jest zimno.

- Daleko masz do brzegu?

- Jakieś trzy kilometry.

- Dobrze, Chase. Tak zrób. Ale nie wyłączaj komunikatora. Już lecimy.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś coś takiego - zwróciłem się do Quindy.

Quinda przywoływała swój śmigacz. Nie odezwała się, dopóki nie skończyła, po czym rzuciła się na mnie z furją.

- Ty tępy skurwielu. Sam to na siebie ściągnąłeś. Jakie ty masz prawo, żeby się w to wpięprzać i próbować coś zagarnąć dla siebie? I jeszcze wypaplać wszystko pieprzonym niemotom. Masz szczęście, że jeszcze żyjesz. A teraz ruszaj się. Klócić się będziemy później.

Poderwaliśmy się na równe nogi.

- Chcesz zrobić coś użytecznego? - Mówiła dalej. - To skontaktuj się z patrolem. I powiedz Kolpath, żeby włączyła boję radiową. - Z trudem panowała nad głosem. - Nigdy nie zamierzałam robić nikomu krzywdy, ale teraz już sama nie wiem, czy to był dobry pomysł.

Zawiadomiłem patrol i opisałem sytuację. Zareagowali z niedowierzaniem.

- Kto, u licha, miałby umieszczać bombę w śmigaczu? - Dopytywał się oficjalny głos w komunikatorze. - Quinda obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem. - Jesteśmy w drodze - mruknął. - Ale nie mamy niczego blisko. To chwilę potrwa. Jakieś czterdzieści minut.

- Nie mamy czterdziestu minut.

- Aleksie - rzekła Quinda, gdy pędziliśmy przez lobby.

- Przepraszam. Przepraszam, że nie powiedziałam ci wszystkiego. Przykro mi, ale jesteś takim strasznym durniem. Dlaczego, do cholery, musiałeś się w to wpakować? Chyba będę musiała kogoś zabić, zanim to wszystko się skończy!

- To wszystko ty, prawda? Ty zabrałaś archiwum, ty podmieniłaś symulację, tak?

- Tak - odparła. - Co za szkoda, że nie załapałeś aluzji. Moja wytrzymałość była

u kresu. Niewiele brakowało, bym cisnął nią o ścianę. Niestety, musieliśmy najpierw coś zrobić.

- Gdzie jest twój śmigacz?

- W drodze.

- Na litość boską, Quinda, jeśli jej się coś stanie, wrzucę cię do oceanu.

Biegliśmy przez lobby, najszybciej, jak się dało. Od północy przylegała do niego sala balowa, oddzielona sznurem. Sznur był elastyczny i było go jakieś dwanaście metrów. Odciałem go i zacząłem zwijać, gdy wychodziliśmy szybem na górę.

Na lądowisku solidnie padał śnieg. Nasz bieg zakończył się na końcu kolejki. Ludzie stali z pochylonymi głowami, by chronić się przed burzą, z rękami wetkniętymi do kieszeni termoregulacyjnych kurtek. Quinda odsunęła rękaw kurtki i spojrzała na zegarek.

Z lądowiska nie było widać hangaru. Patrzyliśmy, jak pojazd wynurza się spośród drzew i leci w naszym kierunku. Nad nami krążyło kilka śmigaczy, czekając w kolejce do lądowania.

Autobus powietrzny nadleciał i wylądował.

- To na nic - powiedziała, rozglądając się nerwowo dookoła.

- Gdzie ta bomba miała wybuchnąć?

- W hangarze. Ale coś się popsuło.

- Kolejne ostrzeżenie?

Odwróciła się w moją stronę. Wtedy chyba po raz pierwszy zobaczyłem w oczach kobiety brutalność.

- Quindo, po co odłączyłaś automatykę?

- Żeby nikt nie mógł go użyć - odparła sztywno. - Komu przysłoby do głowy, że tam pójdziesz i naprawisz?

- Co uruchamia bombę?

- Zegar. Tylko że albo go źle nastawiłam, albo jest uszkodzony. Nie wiem.

- Cudownie.

Burza uderzyła w nas. Poczulem nagle ogromne zmęczenie.

- Czy ty nie wiesz, na jakie ryzyko się narażasz? - Spytała Quinda. - Siebie i nas wszystkich?

- Może to ty powinnaś mi powiedzieć.

- Może to ty powinieneś zostawić to w spokoju. Znajdźmy twoją partnerkę i oboje wracacie na Rimway. I przestajecie się tym zajmować. - Przemówiła do

komunikatora. - Kontrola, mamy tu niebezpieczną sytuację. Nazywam się Arin. Potrzebuję natychmiast mojego śmigacza. Bardzo proszę.

Nie spieszili się z odpowiedzią.

- Pani śmigacz jest w drodze - odezwał się komputer.
- Nie jesteśmy w stanie tego przyspieszyć.
- Czy możecie podstawić jakiś inny pojazd? - Spytałem.
- To wyjątkowa sytuacja.
- Chwileczkę. Połączę z moim przełożonym.

Pasażerowie wysypali się z autobusu i odeszli w śnieżycę. Kiedy znikli, pojazd wzniósł się, zakołysał dostojnie nad drzewami i opadł do hangaru. Chwilę później nad tymi samymi drzewami wynurzył się smukły, luksusowy śmigacz i skręcił w naszym kierunku. Był stalowobłękitny, ze srebrnymi zdobieniami i zwężanymi mocowaniami skrzydeł. Fasche. Starsza para popędziła w jego stronę z wiaty u wylotu ruchomych schodów.

Zastanawiałem się nad zarekwirowaniem fasche'a, ale Quinda potrząsnęła głową.

- Leci - szepnęła.

Nowy głos kontroli.

- Proszę opisać, co się stało.
- Pojazd znajduje się w niebezpieczeństwie. - Quinda podała im kod Chase.

Nasz śmigacz ustawił się za błękitnym luksusowym. Oba leciały w naszą stronę. Znów kontrola.

- Powiadamy patrol. Nie mamy tu sprzętu ratunkowego.
- Nie potrzebujemy sprzętu ratunkowego - rzekła Quinda. - Tylko śmigacz.
- Rozumiem.

Mój komunikator zapiszczał. Otworzyłem kanał.

- Tak, Chase?

Wiatr wiał i u nas, i u niej, tłumiąc jej głos. Odwróciłem się w drugą stronę.

- Powtórz!

- To draństwo właśnie wybuchło. - Z trudem panowała nad głosem. - Ze śmigacza chyba nic nie będzie. Tracę wysokość.

- Masz zasilanie?

- Tak. Ale część ogona odpadła. I coś dużego przebiło kokpit. Osłona jest strzaskana, a w pokładzie mam na tyle dużą dziurę, że mogę wypaść.

Słyszać było wycie wiatru.

- Nic ci się nie stało? - To Quinda.

Głos Chase stęzał.

- Ona jest nadal z tobą?

- Zamierzamy skorzystać z jej śmigacza.

- Zamierzacie? Czy to znaczy, że jeszcze nie wyruszyliście?

- Już startujemy. Jak się czujesz?

- Bywało lepiej. - Usłyszałem, jak z trudem łapie powietrze. - Chyba mam złamaną lewą nogę.

- Możesz dolecieć na szczyt?

- Nie. Jestem nad nim, ale za szybko tracę wysokość. Jeśli spróbuję, pewnie uderzę w ścianę.

- Dobrze. Trzymaj się z daleka od szczytu.

Quinda spojrzała na mnie przepęlnionymi smutkiem oczami i położyła mi rękę na nadgarstku, zakrywając komunikator.

- Morze jest bardzo zimne. Musimy ją szybko wyciągnąć.

Fasche opadł na swoje miejsce na lądowisku. Jego właściciele minęli nas, próbując iść tyłem, by wiatr nie wiał im w twarz. Mężczyzna uniósł wzrok ku niebu i zatoczył szeroki luk ręką.

- Co za noc, prawda? - Mruknął.

- Spróbuję jak najdłużej utrzymać się w powietrzu - odezwała się znów Chase.

- Wyciągniemy cię z tego.

- Łatwo ci mówić. Czy to coś ma w ogóle jakiś sprzęt ratunkowy? Nie widzę nawet kamizelki.

- One nie miały się rozbijać - powiedziałem. - Posłuchaj, może dotrzemy tam, zanim spadniesz do wody. A jeśli nawet nie, będziemy tam po paru minutach. Trzymaj się śmigacza.

- A jeśli zatonie? Ma wielką dziurę.

Nasz pojazd opadł na lądowisko, otworzyliśmy osłonę i wdrapaliśmy się do środka. Szybko. Quinda nie wypowiedziała tego słowa głośno, ale jej usta się poruszały: szybko- szybko- szybko.

- Tracę moc - powiedziała Chase. - Magnesy strasznie hałasują. Nie przemieszczam się szybko do przodu, ale jestem dość wysoko. Alex, jeśli wszystko wysiądzie, to będzie długie spadanie.

Coś huknęło.

- Co się stało?
- Alex, kabina się rozpada.
- Może powinnaś zejść niżej.
- Schodzę niżej, bez obaw. Kiedy tu dotrzecie?
- Za dwadzieścia minut. Włączył się ktoś z kontroli:
- Pani Arin, przydzielamy pani priorytet awaryjny. Przekazujemy pani stery.

Powodzenia.

Chase:

- Trochę się tu poobijam. To coś może się zaraz rozpaść.

Wystartowaliśmy. Powoli. Gdy tytko wydostaliśmy się poza osłony wiatrowe, uderzyła w nas burza. To będzie ciężki lot. Wrzuciłem sygnał Chase do systemu namierzania i przełączyłem obraz docelowego obszaru na monitor.

Zaczynaliśmy przyspieszać. Quinda ustawiła prędkość: sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Maksimum. Zacząłem powątpiewać, czy śmigacz tyle wyciągnie.

Na monitorze z obszarem docelowym pojawiło się niebieskie światełko oznaczające pozycję Chase. Otworzyłem kanał.

- Jak tam?
- Niespecjalnie - dotarł głos Chase.
- Widać patrol?

Nie spodziewałem się, żeby dolecieli aż tak szybko, ale był to jakiś sposób wyrażenia nadziei.

- Nie. Jak daleko jesteście?
- Trzydzieści osiem kilometrów. Jak sytuacja?
- Szybko spadam. Walnę dość mocno.

Słowa docierały oddzielone pauzami z powodu hałasu i pewnie też jej strachu. Wyobraziłem sobie ją, przyciśniętą do fotela rozpadającego się śmigacza, patrzącą w dół, w pustkę.

- Quinda?
- Lecimy najszybciej, jak możemy.

Na ekranie pojawiło się kilka liczb. Poza śmigaczem Chase i faschem, który gwałtownie opadał za nami, widać było dwa punkciki.

Przełączyłem widok. Jednym z nich był autobus powietrzny, lecący z Point

Edward w stronę Skały Sima. Drugi wyglądał na prywatny śmigacz, który leciał z miasta, ale na wyższej wysokości niż my. Zastanawiałem się, gdzie, u licha, są ludzie z patrolu.

- Chase, zostawiam otwarty kanał. Zaraz będziemy.

- Dobrze.

Otworzyłem kanał i połączyłem się z autobusem powietrznym.

- Alarm - powiedziałem. - Śmigacz w niebezpieczeństwie.

Odpowiedziała mi kobieta:

- Tu Ekspres Skały Sima. Co się dzieje?

- Jakies cztery kilometry przed wami, parę stopni od waszej sterburty spada śmigacz. W tej chwili jest na wysokości około dwustu metrów.

- Dobrze - rzekła. - Mam zamiar.

- Jeden pilot, brak pasażerów. Doszło do wybuchu. Pilot prawdopodobnie ma złamaną nogę.

- Kiepska noc - mruknęła. - Dobrze. Powiadamiam patrol, że zawracam i lecę na pomoc. Widzę kilka pojazdów startujących ze skały. Który jest wasz?

- Ten z przodu.

- Dobrze byłoby, jakbyście tam szybko dotarli. Tym nie da się manewrować i nie da się tam usiąść na wodzie tak, żeby nie zostać zalanym. Pomyślcie, jak zamierzacie to zrobić.

- Dobrze - odparłem, wyciągając sznur i sprawdzając jego wytrzymałość. Wydawała się wystarczająca. - Mam linę.

- Przyda się. Róbcie, co możecie. Zostańcie przy niej.

Quinda pochylała się w milczeniu nad sterami, zmuszając śmigacz do pędu. W bladym świetle instrumentów jej twarz była nieruchoma. I mimo wszystko tak piękna. Oraz - pomyślałem - na zawsze już nieosiągalna.

- Dlaczego? - Spytałem.

Przechyliła się w moją stronę i podniosła wzrok. Oczy miała pełne łez.

- Czy ty wiesz, czego szukałeś? Czy masz pojęcie, co tam jest?

- Tak - odparłem i strzeliłem: - dellakondyjski okręt wojenny.

Skinęła głową.

- Nietknięty. W idealnym stanie. Aleksie, to bezcenny artefakt. Wyobrażasz sobie, co to znaczy chodzić po jego pokładach, czytać jego dziennik pokładowy? Przywieźć go tu? Sądzę, że to jedna z fregat, Aleksie, jedna z fregat...

- I byłaś skłonna poświęcić czyjeś życie, żeby się do niego dorwać.

- Nie. Nigdy nie groziło ci niebezpieczeństwo. Nigdy bym... Ale... Ta przekłeta bomba... Zapalnik... Nie odpalił. - Wyduszała z siebie słowa. - A potem nie mogłam cię znaleźć, żeby cię ostrzec. Nie mogłam do ciebie dotrzeć.

- Gdzie jest archiwum Tanner?

- Ukryłam je. Nie masz do niego prawa. Pracowałam nad tym latami. Twój wuj nie żyje i nie ma powodu, żebyś tak po prostu wszedł i zebrał owoce.

- Ale jak do tego wszystkiego doszłaś?

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że Gabriel nie był jedynym, który wiedział o „Tenandrome”?

Na ekranie pojawiła się kolejna kropka. To pojazd ratunkowy. Ale był za daleko. Chase musiałaby za dużo czasu spędzić w wodzie przed jego przybyciem.

- Uwaga śmigacz - odezwała się pilot autobusu. - Widziałam go. Śnieg potem przesłonił widoczność, ale widziałam. Nie spada swobodnie, ale szybko traci wysokość.

- Dobrze. Chase, słyszałaś?

- Taa. Powiedz mi coś, o czym nie wiem.

- Możesz coś zrobić?

- Jestem otwarta na wszelkie sugestie.

- Rozumiem, Chase. Zaraz tam będziemy.

- Nie ma tu chyba niczego, co mogłoby pływać po powierzchni, z wyjątkiem foteli, ale są przykręcone.

- Dobrze. Parę minut wytrzymasz. Opadamy. Lecimy jak najszybciej.

- Widzę autobus. Leci za mną.

- Dobrze.

Znów odezwała się Quinda.

- Chase, dasz radę wydostać się ze śmigacza?

- Tak - odparła nieco łagodniejszym tonem. - Poradzę sobie.

- Chase? Tak masz na imię? - To pilot autobusu.

- Tak.

- Dobrze, Chase. Jesteśmy tuż za tobą, i twoi przyjaciele nadlatują. Wyciągniemy cię stamtąd.

- Dzięki.

- My nie damy rady wyciągnąć cię z wody. Morze jest zbyt wzburzone, żeby

udało mi się zejść tak nisko.

- Rozumiem.
- Mam dwadzieścia osób na pokładzie.
- Jasne. Kto ty jesteś?
- Hoch. Mauvinette Hochley.
- Dzięki, Hoch.
- Woda się wznosi. Uderzysz za jakieś dwadzieścia sekund.

Byliśmy już bardzo blisko powierzchni. Morze wyglądało, jakby wrzało, wiatr wył. Quinda milczała. Ja zacząłem zwijać linę. Jeden z monitorów zamrugał.

- Przekaz z autobusu - powiedziała Quinda. Patrzyliśmy na uszkodzony śmigacz trochę z góry. Autobus był tak nachylony, że jego światła oświetlały scenę. Widzieliśmy Chase w kokpicie, wciśniętą w fotel, uczeptioną wolantu. Śmigacz był strzaskany, nie miał podwozia, w całym kadłubie były dziury, ogon i jedno z pękających skrzydeł były potrzaskane.

- Ile jeszcze? - Spytałem.
- Trzy, może cztery minuty.
- Nie uda się - szepnąłem, zasłaniając komunikator, żeby Chase tego nie usłyszała.
- Dostaniemy się tam - odparła Quinda.

Uderzyła mocno. Śmigacz przywalił w dolinę fali, a potem morze go zakryło.

Wołaliśmy do Chase, ale w kokpicie nic się nie poruszało.

- Tonie - powiedziała Hoch.

Śmigacz podskakiwał w białej wodzie, skrzydło na sekundę się uniosło i pękło; jego światła nadal się paliły.

- Jesteśmy dokładnie nad nią - oznajmiła Hoch. - Szkoda, że w tym draństwie nie ma klapy w podłodze. - Była zrozpaczona.

Quinda oddychała szybko i nierówno.

- Nie wychodzi - powiedziała i głos jej się załamał. - Alex, ona się nie wydostanie.

Pilot autobusu wyszeptała jej imię.

- No, dalej, Chase, zabieraj się stamtąd.

Nic. Wrak powoli się zanurzał.

Pędziliśmy nad wzburzoną, pokrytą białymi cętkami oceanem.

- Hej! - Wrzasnęła Hoch. - Co wy tam robicie? Włączyła się kolejna kamera zewnętrzna. Teraz, mieliśmy widok głównych drzwi autobusu. Dookoła nich pojawiła się szczelina żółtego światła i drzwi otworzyły się. Kobieta, która je pchała, o mało nie wypadła.

Hoch wyrzuciła wiązkę przekleństw.

Mężczyzna - nazywał się Alver Cole i będę to pamiętał do końca swoich dni - pojawił się w drzwiach, zawahał się i skoczył do oceanu. Znikł natychmiast w czarnej wodzie.

Quinda włączyła silniki hamujące.

- Jeszcze minuta - powiedziała.

Jedno ze świateł autobusu oświetliło powierzchnię morza i wyłowiło Cole'a, który wynurzył się i płynął z wysiłkiem w kierunku kokpitu.

Hoch powiększyła obraz przedstawiający scenę w wodzie. Fala uniosła pływaka i wrak.

- Nie wiem, czy to widzicie - powiedziała pilot - ale wygląda na to, że do niej dotarł.

- Hoch - zawołałem - nadal masz otwarte drzwi. Chyba nie chcesz, żeby ktoś jeszcze ci wyskoczył?

- Jasne, że nie.

Wydała komuś polecenie, żeby się tym zajął. Chwilę później światło zgasło.

- Patrol nadlatuje - oznajmiła Quinda. - Będzie tu za cztery albo pięć minut.

W autobusie rozległy się radosne okrzyki.

- Macha - powiedziała Hoch. - Ma ją.

Nadal manewrowała wielkim pojazdem, próbując utrzymać reflektory na skrzydłach z dala od wody.

- Jeszcze parę sekund - rzekła Quinda. - Przygotuj się.

Silniki hamujące pracowały z pełnym ciągiem, a śmigacz zaczął się łagodnie obracać. Zatrzymaliśmy się gwałtownie. Otworzyłem osłonę i odepchnąłem ją. Śnieg i rozpryskująca się woda wdarły się do środka, a ja spojrzałem przez śliską powierzchnię skrzydła prosto w jaskrawe światła i burzliwy ocean.

Quinda obróciła tylne fotele i rozłożyła oparcia, tworząc coś w rodzaju dwóch leżanek.

- Z waszej lewej strony! - Zawołała Hoch.

- Tam - powiedziała Quinda.

Spojrzałem w dół, akurat w porę, by zobaczyć dwie znikające pod falą głowy.

Rozwinąłem linę i wpełzłem na skrzydło. Było pokryte lodem i przymarzały mi do niego ręce. Uderzył nagły powiew wiatru i wpadłem w poślizg, zjeżdżając w stronę wody. Chwyciłem się czegoś, reflektora, klapy, czegokolwiek, i w końcu przekręciłem się na bok, ze zwisającymi nogami, osuwając się w stronę wody. Quinda błyskawicznie znalazła się na zewnątrz, rozciągnęła na skrzydle, i złapała mnie za rękę i nogę. Słyszałem pośród burzy wrzask Hoch, ale nie byłem w stanie rozróżnić słów. Ocean wzniósł się, a nogi zaplątały mi się w linę.

Quinda obróciła się, by zapewnić sobie lepszy chwyt. Fala uderzyła w płozy, zakołysała gwałtownie śmigaczem i wyrzuciła w powietrze zimną pianę.

- Trzymam cię - powiedziała.

- Niezła ekipa ratunkowa - mruknąłem, wreszcie odzyskując równowagę i przetaczając się niezgrabnie z powrotem do pozycji siedzącej.

- Wszystko w porządku? - Spytałem.

- Tak. Dzięki.

Uniosła kciuk w górę i zanurkowała z powrotem do środka. W tej samej chwili zostaliśmy uderzeni po raz kolejny. Śmigacz zadygotał i na skrzydło wlała się zima woda. Quinda wyciągnęła jakieś paski tkaniny i podała mi je. Owinąłem nimi dłonie.

Widziałem Chase i mężczyznę z autobusu. Byli daleko w dole. Może jakieś osiem metrów.

- Musimy zmniejszyć wysokość! - Krzyknąłem.

- Chyba już jesteśmy za nisko - odparła Quinda. - Jeszcze parę minut i nas zaleje.

- Jeszcze parę minut i nie będzie to miało znaczenia. Położyłem się płasko na brzuchu i pożałowałem, że nie da się jakoś odrzucić płóz. Płynący byli prawie bezpośrednio pode mną. Chase była nieprzytomna - albo już nie żyła. Ratujący ją mężczyzna robił, co mógł, żeby utrzymać jej głowę nad wodą. Jej noga unosiła się pod dziwnym kątem. Patrzyłem, jak się zgina, aż znikli znowu w wirze.

W tej chwili chciałem zabić Quindę Arin.

Mężczyzna z Chase walczył dalej. A ona zakaszłała i odrzuciła głowę do tyłu.

Przynajmniej żyła.

Wyglądało na to, że opuszczają go siły.

Rzuciłem mu linę. Spadła blisko niego, ale dłonie miał przemarznięte i nie był w stanie jej złapać. Próbowałem przysunąć ją bliżej. W końcu ją złapał i owinął

dookoła Chase. Quinda znów pojawiła się przy mnie.

- Zostań przy sterach - powiedziałem.

- Przełączyłam na automatycznego pilota.

- To nam nie pomoże, jak uderzy w nas fala.

- Oni sporo ważą. Nie wyciągniesz ich sam. Mężczyzna w wodzie pomachał. OK.

Pociągnęliśmy mocno linę. Fala uniosła ją w naszą stronę i opadła. Próbowałem wyciągnąć Chase z wody, słysząc słowa otuchy od Hoch. Teraz oboje z Quindą klęczeliśmy, próbując się oprzeć, na czym się dało, i ciągnęliśmy, centymetr po centymetrze.

Ramiona Chase zwisały luźno wzdłuż ciała, a głowa opadła jej na ramiona.

Gdy znalazła się wystarczająco blisko, sięgnąłem i chwyciłem ją za marynarkę. Twarz miała śmiertelnie bladą, a na jej włosach i brwiach osiadły kryształki lodu.

- Uważaj na jej nogę - odezwała się Quinda. Wciągnęliśmy ją na skrzydło. Odwiązałem linę i spuściłem ją jeszcze raz. Quinda weszła do kabiny i wciągnęliśmy tam Chase.

- Szybko - powiedziała Hoch - bo go stracimy. Zostawiłem Quinę, która ciągnęła Chase w stronę leżanki, i wróciłem do jej wybawcy.

Próbował uchwycić linę, ale niespecjalnie mu się to udawało. Było za zimno. Wyciągnął niepewnie rękę w moją stronę i znikł pod wodą.

Quinda wróciła.

Podąłem jej koniec liny i już miałem się ześliznąć, ale potrząsnęła gwałtownie głową.

- Mam go sama wyciągnąć? I jeszcze ciebie potem?

- A może go zostawimy, żeby się utopił?

- Dzięki - mruknęła gorzko.

A potem, zanim domyśliłem się, co chce zrobić, znikła.

Zanurkowała w falach, zanurzyła się, wypłynęła, krztusząc się i łapiąc powietrze, rozejrzała się, znów znikła.

Mężczyzna z autobusu wynurzył się chwilę później. Quinda złapała go i uderzyła w nich fala. Zobaczyłem jednak, że go trzyma.

Złapałem linę i spuściłem ją. Quinda szybko owinęła sznur wokół jego ramion i dała mi znak. Ciągnąłem.

Co za ciężar. Mężczyzna był o wiele cięższy od Chase.

Nie miałem na czym oprzeć stóp. Kiedy próbowałem ciągnąć, ślizgałem się po

powierzchni skrzydła.

Wszedłem z powrotem do kabiny i próbowałem stamtąd, ale było tam za ciasno. A on był za ciężki.

- Hoch! - Krzyknąłem.

- Widzę, w czym jest problem.

- Możesz jeszcze raz otworzyć te drzwi?

- Już to robię.

- Quinda! - Wrzasnąłem. - Trzymaj się! Trzymaj się go! Wciągniemy was oboje.

Przywiązałem linę do konstrukcji fotela.

Potrząsnęła głową. Nie słyszałem jej, ale wskazywała na linę. Nie była wystarczająco mocna, żeby wytrzymać ciężar ich obojga. Aby podkreślić, co ma na myśli, Quinda odsunęła się od niego i krzyknęła coś jeszcze. Poprzez wycie wiatru i morza zrozumiałem tylko:

- Wrócisz po mnie.

Wpełzłem do kokpitu i poderwałem śmigacz w górę.

Hoch obróciła autobus, żebym nie musiał manewrować. Duży, ciepły krąg żółtego światła pojawił się na kadłubie. Chase za mną wydała jakiś odgłos, który bardziej był piskiem niż jękiem.

Uniosłem śmigacz ponad autobus, a następnie zacząłem go obniżać.

- Mów mi, co mam robić - powiedziałem - bo muszę to zrobić na wycucie.

- Dobrze - odparła Hoch. - Doskonale sobie radzisz. Sprawdź ekran, powinieneś mieć już obraz, ale leć dalej w tym kierunku, jeszcze niżej, jeszcze parę metrów do przodu... Dobrze, jeszcze trochę...

Na ekranie widziałem znów bok kadłuba autobusu. Kilka par rąk trzymało się boków otwartych drzwi.

- Trochę niżej - powiedziała Hoch.

Lina naprężyła się mocno na progu drzwi i na brzegu skrzydła.

Kilka rąk wyciągnęło się z autobusu, chwyciło mężczyznę za nogi, gdy tylko znalazł się wystarczająco blisko, i wciągnęło go do środka.

- OK. - powiedziała Hoch. - Mamy go.

- Puśćcie linę.

- Masz.

Szarpnąłem się.

- Nie zamykaj drzwi. W wodzie jest jeszcze jedna osoba. Zróbmy to tak samo.

- Dobrze - potaknęła Hoch, po czym dodała ponuro: - Pospiesz się.

Pospiesz się.

Kiedy wróciłem na skrzydło, już jej nie było. Stałem tam ze spuszczoną liną, wołając ją, nie wiedząc nawet, w którym miejscu znikła, aż pojazdy patrolu pojawiły się i zaczęły okrążyć miejsce wypadku.

Szukali do świtu. Ale nie było już nadziei.

XVIII

Brak grobu niewiele znaczy.

Wergiliusz, *Eneida*, II

CEREMONIĘ upamiętniającą Quindę zorganizowano na wzgórzu niedaleko Andiquaru. Nie była to stypa, raczej przyjęcie upamiętniające jej życie. Organizatorzy ustawili stół i wynajęli kapelę. Goście śpiewali głośno, choć fałszywie, a wszyscy nieźle się upili.

Było tam może dwieście osób; niektóre z nich znałem ze Stowarzyszenia imienia Talino. Wznosili częste i energiczne toasty na cześć Quindy i wymieniali się wspomnieniami. Wiatr gwizdał, uderzając o migoczące pole Gantnera, które chroniło ich przed temperaturami, jakie panowały w to zimowe popołudnie.

Chase i ja staliśmy z boku. Chase opierała się na kuli i milczała, najwyraźniej w melancholijnym nastroju. Kiedy większość jedzenia znikła, goście zebrali się wokół okrągłego stołu. Jeden po drugim występowali z szeregu i opowiadali o życiu Quindy w kilku krótkich zdaniach: nigdy nie słyszano, by kogokolwiek skrzywdziła. Była przyjaciółką, była niepoprawną optymistką, była dobrą córką. Ale już jej nie zobaczymy.

Same banały. A ja sobie przypomniałem, że to była kobieta, która dwukrotnie włamała się do mojego domu, wykazywała całkowitą beztroskę w sprawie mojego życia i o mało nie zabiła Chase, niewinnej ofiary jej własnej bezwzględności.

Pod koniec imprezy zauważyłem Cole'a, mężczyznę, który uratował Chase, a sam został uratowany przez Quinde. Stał samotnie pod drzewem. Podeszliśmy i zaczęliśmy rozmawiać.

Młody człowiek, bardzo podobny do Quindy, podszedł do nas, przedstawił się (rzeczywiście okazał się jej bratem) i podziękował nam, że przyszliśmy. Rozpoznał nas jako osoby, które towarzyszyły ostatnim chwilom Quindy, pytał więc, czy ktoś z nas chciałby przemówić. Zawahałem się. Zasady wymagały jednak wykazania pewnej dozy

hipokryzji.

Zgodziłem się więc i podszedłem do tłumu otaczającego stół.

- Pewnie już usłyszeliście wszystkie ważne rzeczy związane z Quinda - powiedziałem. - Znałem ją tylko na początku i na końcu jej krótkiego życia. I pewnie do wszystkiego, co tego popołudnia zostało tu powiedziane, jestem w stanie dodać tylko jedno: nie zawahała się poświęcić życia dla kogoś, kogo nawet nie znała.

Godzinę później, wyposażony w nakaz, sądowy, w towarzystwie wykonawcy testamentu Quindy odwiedziłem jej dom i z niechęcią zacząłem szukać archiwum Tanner. Nie było go tam.

Nie przypuszczałem, żeby dało się je tam znaleźć. Pewnie nigdy się nie dowiemy, co z nim zrobiła.

Prosiłem wykonawcę testamentu i członków rodziny o pozwolenie na przejrzanie jej prywatnych dokumentów. Wiedziałem, że uzyskanie zgody nie będzie łatwe, zwłaszcza w sytuacji, gdy musiałem korzystać z nakazu sądowego. Odmówili, co zrozumiałe, a kilka dni po jej śmierci niektóre dokumenty prywatne, zgodnie z życzeniem zmarłej, zostały zniszczone.

Przypuszczam, że zawierały bezpośrednie dowody na podmienienie przez nią symulacji. Tak czy inaczej, pocieszałem się, że informacja o lokalizacji artefaktu prawdopodobnie nie została zniszczona: Quinda nie wiedziała na ten temat więcej ode mnie.

Tego wieczora nadeszły dwie wiadomości. Wzmocniono patrole na spornych obszarach po ostatnich zamieszkach w pobliżu granicy. Niektórzy obserwatorzy uważają, że rząd podsyca niepokoje, chcąc odebrać separatystom w całej Konfederacji argumenty polityczne.

Druga nadeszła od Ivany: dom Hugh Scotta na Akwarium został sprzedany.

A należność przekazano na rachunek na Dellakondzie! Co za szczęśliwy zbieg okoliczności: Scott wylądował w końcu na ojczyściej planecie Christophera Sima.

Znów musiałem wyruszyć.

XIX

Legenda głosząca, że Maurina była prawie dzieckiem, gdy poślubiła Christophera Sima, jest oczywiście nieprawdziwa. W rzeczywistości była jego nauczycielką starożytnej filozofii greckiej i platońskiej. A jej doskonałą znajomość tych nielatwych dyscyplin na planecie pogranicza nie sugeruje, żeby była bardzo młoda.

Ich ślub odbył się jeszcze w czasach, gdy potyczki z Aszijurami były sporadyczne. A gdy przekształciły się w regularną wojnę, Christopher odszedł, by dołączyć do swego brata Tariena, przyrzekając żonie, że tylko Bóg może sprawić, iż nie wróci.

Wydarzenia potoczyły się tak, że żaden z braci nie zobaczył już pokrytych śniegiem szczytów ani szerokich rzek Dellakondy. Kiedy po ponad trzech lalach nadeszły druzgocące wieści o katastrofie w układzie Rigel i zaginięciu jej męża, Maurina udała się na samotną wędrówkę górkimi szlakami. Najwyraźniej nigdy nie straciła nadziei i była przekonana, że jej mąż żyje i wróci. Nawet kiedy skończyła się wojna i wrócili ci, którzy na niej walczyli, ta garstka Dellakondyjczyków, którzy ocaleli, upierała się przy swoim. Jej rodzina i przyjaciele stracili cierpliwość i w końcu zaczęli jej unikać.

Widywali ją często nocni wędrowcy: smukła postać, brnąca po śniegu w świetle księżycy, owinięta długim, szarym płaszczem.

I wreszcie stało się to, czego wszyscy się obawiali: pewnej nocy nie wróciła. Znalaziono ją wiosną, u stóp skarpy, która teraz nosi jej imię.

Dziś ludzie z miast mawiają, że jej duch nadal wędruje po wyżynach. I niejeden wieśniak, wracając późno do domu, spotkał tę piękną kobietę. Patrzy ona w niebo i zawsze zadaje to samo pytanie: „O przyjacielu, czy nadeszły już jakieś wieści o „Corsariusie”?”

Ferris Grammery, *Słynne duchy Dellakondy*

DELLAKONDA to mała, ciężka, bogata w metale planeta krążąca wokół starej, czerwonej jak cegła gwiazdy Dalia Minor. Uważa się, że stosunkowo niedawno - jakieś dwadzieścia tysięcy lat temu - o mało nie doszło tu do kolizji z obiektem, który obecnie jest księżycem planety. Dellakonda porusza się wokół swojego słońca po dość chaotycznej orbicie, zaś jej własny satelita krąży po zupełnie szalonej elipsie. (Księżyc kiedyś się uwolni, ale może to nastąpić za jakiś milion lat.) Orbita stopniowo się stabilizuje

I obecnie przewiduje się, że za jakieś siedemset tysięcy lat planeta będzie mieć przyjemny, łagodny klimat.

Tymczasem jednak zamieszkane regiony Dellakondy nawiedzają mroźne zimy i upalne lata, a elementem kapryśnej maszyny pogodowej są też przerażające burze. Ludzie mieszkają raczej w głębi lądu, by chronić się przed cyklonami, które często pustoszą wybrzeża. To świat pustyń i gór, olbrzymich równin, przez większość roku skutych lodem, niezglębionych lasów i nieprzebytych rzek.

Miasta chronione są polem Gantnera, choć niektórzy ludzie wolą dawne klimaty („kiedy naprawdę czuło się zmianę pór roku”). Teraz wszystko jest bardzo przewidywalne: codziennie jest dwadzieścia stopni i piękna pogoda. To psuje młodych ludzi. Ale wszelkie przedkładane Radzie pomysły dotyczące wyłączenia pola szybko idą w niepamięć.

W różnych miastach Dellakondy mieszkało sto siedemnaście osób o nazwisku „Hugh Scott”. Zadzwoiłem do wszystkich. Jeśli któryś z nich był tym Scottem, którego szukałem, nie przyznał się.

Próbowałem się kontaktować z Wielkim Bankiem Wewnętrznym, prowadzącym rachunek, na który przelano pieniądze ze sprzedaży domu. Wysłuchali mnie uprzejmie i z przykrością wyjaśnili, że nie mogą mi podać adresu. Przekazanie wiadomości także było wbrew ich przepisom.

Musiałem więc znaleźć pośród jakichś trzydziestu milionów mieszkańców planety jednego człowieka, który nie chciał, żeby go znaleziono.

Najbardziej prawdopodobnym miejscem, od którego należało zacząć, był dom Christophera Sima. Teraz jest tam oczywiście muzeum: trzydziestopięcioletni dom z trwałozemiu w Cassanwyle, dalekim górskim miasteczku, którego populacja w czasach Ruchu Oporu liczyła jakieś tysiąc osób. Dziś jest ich niewiele więcej, chyba że uwzględniając turystów.

To malutkie, często odwiedzane miasteczko pełne starych, lecz dobrze utrzymanych budowli stanowi do dziś symbol Konfederacji. Są tu wszystkie wielkie symbole: wieżmy nawiedzają pokryte lasem szczyty, Sygnał płonie w górnym oknie domu państwa Sim, a w skromnej chacie Tariena po drugiej stronie zalesionej doliny znajduje się komputer, w którego pamięci zapisano pierwsze wersje zdań mających ostatecznie przekształcić się w Akt.

Dotarłem tam późnym popołudniem. Aby zachować czar dawnych dni, Dellakondyjczycy długo nie mogli zdobyć się na wybudowanie tarczy nad miastem. Jak zapewne wiecie, to już przeszłość, ale kiedy ja tam byłem, późną wiosną dellakondyjckiego roku 3231, miasteczko nadal było narażone na działanie żywiołów. Dzień był jasny, o ile pamiętam, a temperatura późnym popołudniem była nie wyższa niż dwadzieścia stopni poniżej zera. Od górskich zboczy, przez całe centrum Cassanwyle, ciągnął silny prąd chłodnego powietrza.

Zwiedzających jednak nie brakowało: zabezpieczeni przed niskimi temperaturami, doznawali wzruszeń w najświętszych kapliczkach Konfederacji. Dellakondyjczycy zbudowali centrum informacji turystycznej kilkaset metrów od domu Sima. Stamtąd zwiedzający mogli wyruszyć autobusami powietrznymi do najważniejszych miejsc w okolicy.

Czasem jednak trzeba dłużej poczekać. Minęła ponad godzina, zanim naszą dwudziestoosobową grupę poprowadzono przez poletko ubitego śniegu do autobusu.

Sim mieszkał w trzykondygnacyjnym wiejskim domu z werandą po obu stronach. Nasz autobus krążył po okolicy, a oglądaliśmy różne rzeczy: mały cmentarz, na którym pochowano Maurinę, własny śmigacz Sima, teraz chroniony polem Gantnera tuż na północ od posesji, Tawernę Bickforda, tuż u stóp wschodniego zbocza, gdzie odbywały się pierwsze narady na temat strategii po rozpoczęciu walk.

Pozostaliśmy w powietrzu, dopóki wszyscy nie weszli do poprzedniego autobusu; wtedy opadliśmy na przydzielone nam miejsce na lądowisku. Przewodnik poinformował nas, że możemy spędzić w środku dziesięć minut, po czym otworzył drzwi.

Wysypaliśmy się na zewnątrz i mimo mrozu wszyscy zatrzymali się w przejściu przed domem, żeby przeżyć tę chwilę: spojrzeć w okno sypialni. Był środek dnia, więc Sygnału nie było zbyt dobrze widać, ale przez zasłony przebijało się delikatne żółte światło.

Weszliśmy do środka. Weranda była ogrzewana i wyposażona w bujane fotele

oraz grubo wyściełane krzesła o solidnych podłokietnikach. Stała tam szachownica; na plakietce z brązu znalazła się informacja, że ustawienie pionków pochodzi z gry rozegranej przez Christophera Sima z kimś z miasteczka. Z uwag zwiedzających wyłapałem, że Sim, który grał czarnymi, miał lepszą pozycję.

Widok z werandy był oszałamiający: długa dolina z wijącą się zamarznąłą rzeką, szerokie białe zbocza gór z nielicznymi domami i zagajnikami, chłodne szczyty, zagubione w gęstwinie mgieł, i kontrast ciepłego Cassanwyle z jakąś setką budowli, na przekór dziczy.

Wnętrze domu Sima jest sztywne i formalne, co jest typowe dla wnętrz z tej epoki: bogato haftowane dywany, sklepione stropy, kanciaste, niewygodne meble. Centralny hall oddziela salon z biblioteką z jednej strony od wykorzystywanych na co dzień pomieszczeń i jadalni z drugiej. Jak to często bywa w budynkach historycznych, starano się zachować atmosferę tamtych czasów; niestety, ona zawsze ginie, zostaje tylko stęchlizna zatrzymanego czasu. Mimo fotografii, przedmiotów osobistych i starannie porozmieszczanych książek, które miały sugerować, że właściciele wyszli na chwilę (być może po to, by omówić zasadność interwencji), nie ma tu życia.

W bibliotece umieszczono księgę pamiątkową. Zacząłem ją szybko przeglądać, wrzucając stronicę na monitor, aż zwróciło to uwagę ochroniarza. Podszedł i spytał, czy może w czymś pomóc.

Odpowiedziałem uprzejmie, że dla mnie przeglądanie księgi gości jest bardzo ważnym elementem wizyty.

- Dużo można się dowiedzieć z tego, co ludzie mają do powiedzenia o takich miejscach - skomentowałem, przeglądając kolumny z uwagami w poszukiwaniu celnych komentarzy. Były tam uwagi na temat jakości posiłków w różnych restauracjach i sugestie, że łazienki w centrum turystycznym mają niewystarczający standard. Przy nazwisku jednej z par był dopisek „Nowożeńcy”, a przy innej - „Wyróżnić niemoty”.

- Wiem - mruknął ochroniarz, tracąc zainteresowanie.

I wreszcie w starych wpisach znalazłem to, czego szukałem: imię i nazwisko Hugh Scotta! Jak dawno temu tu był? Daty były zapisane według dellakondyjskiego kalendarza, więc musiałem uruchomić komunikator: spóźniłem się o jakieś cztery miesiące.

W polu przeznaczonym na adres zaznaczył tylko „Dellakonda”. Zaś pole komentarzy było puste.

Chciałem się jeszcze rozejrzeć po domu, ale wycieczka skończyła zwiedzanie i ruszyła w stronę drzwi. Przewodnik wezwał mnie gestem do wyjścia, więc niechętnie podążyłem za resztą turystów.

Moim następnym przystankiem była Akademia Wendikys, gdzie Sim był wykładowcą.

Budynek jest repliką. Burza śnieżna zniszczyła oryginał tuż po wojnie i przez ponad sto lat niczego tam nie wybudowano.

Teraz wszystkie sale wykładowe z wyjątkiem jednej służą innym celom: jest tam sklepik z pamiątkami, toalety, sala projekcyjna i restauracja. Ta jedyna należy do Sima: rzutniki wyświetlają materiały przygotowane do lekcji historii o wojnach perskich i plan lekcji z jego archiwów. Przy drzwiach stoi hologram ciężkozbrojnego hoplity w polerowanej zbroi.

Na jednym z projektorów widnieje tytuł lekcji: LEONIDAS NA PRZEŁĘCZY.

Na ścianie przy wejściu do sali zawieszono srebrną tablicę. Widniały na niej nazwiska byłych studentów Sima, którzy walczyli u jego boku. Było ich dwudziestu czterech i tylko dwóch wróciło.

Podobnie jak w domu Sima, także i tu była księga gości i znów pojawił się w niej Scott. Ta sama data, tylko tu dodał uwagę, która była ostentacyjnie niepokojąca: „A w końcu i tak nie miało to żadnego znaczenia”.

Zakładając, że nie widział potrzeby, by w którymkolwiek z tych miejsc wpisywać się więcej niż raz, doszedłem do wniosku, że może i bywał w tych miejscach częściej. Rozejrzałem się dookoła, przyglądając się tłumom: staliśmy stłoczeni w oddzielonej sznurem części budynku. Niektórzy oglądali bitwę pod Termopilami, niektórzy chcieli obejrzeć pulpit sterujący Sima, inni siedzieli przy terminalach przeglądając dane, które według Ministerstwa Parków zostały zebrane i wprowadzone przez samego Sima.

Pomniki i tablice pamiątkowe były wszędzie. Można obejrzeć bungalow Mory Poole z czarną wiedźmą, którą butnie namalowała na dachu w czasach okupacji; była też tablica ze słowami Walta Hastingsa, którymi zareagował na wieść, że cała piątka jego synów i córek zginęła pod Salinas: „Uważam siebie za najszcześniejszego z ludzi, bo miałem takie dzieci!” i pomnik anonimowego asyjskiego oficera, który został zamordowany przez partyzantów w środku zimy, biorąc udział w poszukiwaniach zaginionego dziecka. Ale najważniejszy jest Sygnał.

Każdego wieczora, gdy zapada zmierzch, świeci z frontowego okna drugiego

piętra domu Sima: stożek żółtego, ciepłego światła przebijający się przez śnieg. Było to światło, które zapalała Maurina dla swego zaginionego męża, odwieczna lampa, która według legendy płonie co noc od dwustu lat, od chwili, gdy z układu Rigel nadeszły złe wieści.

I Maurina Sim: to imię, które dotyka sedna dawnej tragedii. Zawsze staje mi przed oczami płaskorzeźba Constable'a, przedstawiająca ją, jak patrzy na księżyc w kwadrze, młoda, z rozpuszczonymi czarnymi włosami i oczami przepelnionymi bólem.

Pobrali się w cieniu nadciągającej wojny. Nawet nie próbowała wyperswadować mężowi dołączenia do Tariena i jego ochotników, który ogłosili, że podążą na pomoc Cormoralowi. Taka wyprawa musiała się wydawać w tych czasach samobójstwem, choć wielu uważało, że Aszijurowie raczej cofną się niż urządzą jatkę na widok wojska składającego się ze zwykłych ludzi, a nie zawodowych żołnierzy.

Cormoral został jednak zniszczony, zanim Dellakondyjczycy tam dotarli. A ten spontaniczny zryw zmienił wszystko. Coś, co było czymś niewiele większym od demonstracji, zmieniło się w bezlitosną wojnę.

Nadeszła chwila, gdy Maurina sama poszła na wojnę. Była obecna podczas obrony Miasta na Grani i pod Sansuarem. Podobno obsługiwała uzbrojenie pod Grand Salinas. Działała także jako ambasador, podróżowała po neutralnych planetach wraz z Tarieniem, występując w sprawie Konfederacji. I była na Dellakondzie, gdy ta planeta została podbita przez Aszijurów.

Pozostawiono ją własnemu losowi, aż najeźdźcy wycofali się po długiej walce. Dziwne, ale mimo swych telepatycznych zdolności nigdy się nie zorientowali, jaką osobistość mają w garści. A jeśli tak, zdecydowali się nie podejmować żadnych działań.

Według tradycji właśnie się kąpała, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci jej męża. Posłańcem był młody człowiek z miasteczka, niejaki Frank Paxton: rozpaczliwie dobijał się do drzwi, aż zrozumiała, co się stało.

Sygnal nadal płonął w oknie na górze tej nocy, gdy po raz ostatni wyszła z domu. Ludzie z miasteczka nigdy nie pozwolili mu zgasnąć.

Natrafiłem znów na ślad Hugh Scotta w Muzeum Wojennym Hrinwharu, w Rancorvie, stolicy Dellakondy. Zawsze zastanawiała mnie uwaga, że leci obejrzeć Hrinwhar. A tymczasem on po prostu chciał obejrzeć muzeum, gdy ja przeleciałem

kilkaset lat świetlnych, by obejrzeć asteroidę i pole bitwy, od którego muzeum wzięło nazwę.

Wymieniono go wśród członków wspierających Towarzystwa Marynarki Wojennej. Nie podano adresu, ale kod tam był. Był lokalny i udało mi się połączyć za pierwszym razem.

- Pan Scott?

- Tak? - Brzmiał dość sympatycznie. - Z kim rozmawiam?

Poczułem ogromną radość.

- Nazywam się Benedict. Alex Benedict. Jestem bratankiem Gabriela.

- Rozumiem. - Jego ton ochłodził. - Przykro mi z powodu pańskiego wuja.

- Dziękuję. - Stałem w sali dla członków, przyglądając się przez szklaną tafłę mundurom wojskowym. - Tak sobie pomyślałem, że moglibyśmy zjeść razem kolację. Bardzo chciałbym z panem porozmawiać.

- Doceniam pańskie zaproszenie, panie Benedict, ale jestem naprawdę zajęty.

- Przeczytałem pańskie uwagi w Stowarzyszeniu imienia Talino. Czy oni wszyscy byli niewinni?

- Jacy wszyscy?

- Członkowie załogi „Corsarius”.

Zaśmiał się, ale zabrzmiało to jakoś nieszczerze.

- Chyba pan nie wziął tej organizacji na serio.

- To jak będzie z tą kolacją?

- Naprawdę nie mam czasu, panie Benedict. Może kiedyś, w przyszłości. Ale nie teraz.

Wyłączył się i słyszałem tylko falę nośną.

Dałem mu jakieś dziesięć minut i zadzwoniłem jeszcze raz.

- Naprzykrza mi się pan, panie Benedict.

- Proszę posłuchać, panie Scott. Podróżowałem po całej Konfederacji. Obrabowano mój dom. Moje życie było zagrożone. Pewna kobieta utonęła. Aszijurowie mogą być w to zamieszani. A wszędzie natrafiam na ścianę. Jestem zmęczony. Naprawdę zmęczony, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć. Chętnie zaproszę pana na kolację. Jeśli pan się nie zgodzi, dotrę do pana jakoś inaczej. Trochę to potrwa, ale Rancorva nie jest aż tak duża.

Westchnął głęboko.

- Dobrze - odparł. - Ale jeśli zgodzę się z panem spotkać, czy da mi pan potem

spokój?

- Tak.

- Zdaje sobie pan sprawę z tego, że nie powiem panu więcej niż pańskiemu wujowi?

- Jakoś to przeżyję.

- W takim razie zgoda. Wie pan, gdzie jest „Kupiec”?

Miał siwe włosy i sylwetkę, która opadła pod ciężarem zbyt wielu pieczeni wołowych w ciągu zbyt wielu lat.

Nawet nie próbował udawać, że taktyka, jaką zastosowałem, by zmusić go do tego spotkania, mu pochlebia. Gdy wszedłem, siedział już przy stoliku w kącie.

- Nie ma sensu tego opóźniać - rzekł, gdy podziękowałem mu za to, że spotkał się ze mną tak szybko. Moją wyciągniętą dłoń zignorował. - Wybacz pan, jeśli nie będę zamawiał jedzenia? - Stał przed nim jakiś drink. - Czego pan konkretnie ode mnie chce?

- Panie Scott - powiedziałem tonem tak swobodnym, na jaki tylko było mnie stać - co się stało na „Tenandrome”? Co tam było?

Nie zareagował; wiedział, że o to zapytam, ale dostrzegłem w jego oczach coś na kształt niepewności, jakby chciał najpierw zorientować się w sytuacji, zanim zdecyduje, co może mi powiedzieć.

- A jest pan pewien, że wiąże się z tym jakaś tajemnica?

- Tak.

Wzruszył ramionami jak ktoś, kto doszedł do wniosku, że rozmowa przybrała niekorzystny obrót.

- I przejął pan to przekonanie od swojego wuja?

- I z innych źródeł.

- Dobrze. Jak przypuszczam, przeleciał pan taki kawał drogi, żeby ze mną porozmawiać. I nie uwierzy mi pan, jeśli powiem, że podczas tej misji nie wydarzyło się nic niezwykłego poza awarią napędu?

- Nie.

- Oczywiście. Doskonale: czy uwierzy mi pan, jeśli powiem, że mamy dobre powody, by utrzymać to, co znaleźliśmy, w tajemnicy? Pański upór w zadawaniu pytań do niczego nie doprowadzi, a może wyrządzić wiele szkody. A decyzja o tym, że nikomu niczego nie powiemy, została podjęta jednogłośnie przez wszystkich

biorących udział w misji.

- Tak. Uwierzę panu - odparłem ostrożnie.

- W takim razie powinien pan dać sobie z tym spokój, wrócić do domu i tam pozostać. O ile znałem Gabriela Benedicta, to zostawił panu sporo pieniędzy. Tak? Niech pan wraca na Rimway i tym się cieszy, i zostawi „Tenandrome” w spokoju.

Zesztywniał podczas tej przemowy i atmosfera stała się ciężka.

- Czy to samo powiedział pan mojemu wujowi?

- Tak.

- Nie powiedział mu pan, że znaleźliście dellakondyjski okręt wojenny?

Trafiłem w dziesiątkę. Zabrakło mu tchu i rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy nikt nie znajduje się na tyle blisko, żeby to usłyszeć.

- Aleksie - zaprotestował - bzdury opowiadasz. Daj sobie z tym spokój. Proszę.

- To spróbuję inaczej, panie Scott. Co pan tu robi? Czego pan tu szuka?

Spojrzał w swojego drinka. Tęczówki miał okrągłe, wyraźne i bardzo czarne.

- Chyba już sam nie wiem - odparł. - Może ducha.

Przypomniałem sobie moją dawną rozmowę na Akwarium z Ivaną. On jest dziwny.

- Nazywała się Tanner, prawda?

Powoli uniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Był w nich ból i coś jeszcze. Jego wielkie dłonie zwinęły się w pięści i odepchnął się od stołu.

- Na miłość boską, Aleksie - wyszczał. - Trzymaj się od tego z daleka!

XX

Poezja to malarstwo słowem.

przypisywane Symonidesowi z Kos

WSZYSTKO ZAWSZE sprowadzało się do Leishy Tanner.

- To ona jest kluczem do wszystkiego - oznajmiła Chase.

- Co robiła przez te wszystkie brakujące lata? Dlaczego to ona jest głównym czynnikiem skłaniającym Scotta do działania?

- Leżała na sofie z elektronicznym opatrunkiem na nodze. Szumiał cicho, wspomagając proces zrastania się nogi. - Brakujące lata - rzekła. - Dlaczego ona zniknęła na całe lata? Co wtedy robiła?

- Szukała tego - odparłem wolno - co znalazł „Tenandrome”.

Tak, to mogło pasować: jeśli słoneczna bomba została ukryta, zagubiona, to Tanner mogła podjąć nerwowe poszukiwania. Obaj Simowie już nie żyli i nikt nie wiedział, gdzie ona jest. Więc Tanner działała w pojedynkę.

- To możliwe - odparła Chase. - I co teraz?

- Mamy Tanner szukającą fregaty, a dwieście lat później Gabriel szuka tej samej fregaty. I bardzo interesuje się Tanner. O czym to może świadczyć?

- Że ją znalazła i gdzieś zapisała, gdzie to było?

- Nie mogła jej znaleźć, bo wtedy nie byłoby jej w tym samym miejscu i „Tenandrome” by jej nie znalazł. No bo jaki sens miałyby poszukiwania, gdyby miała ją tam zostawić i wrócić?

- Prawda jest taka - rzekła rozdrażniona Chase - że po tym wszystkim, co przeszliśmy, nadal nie widać w tym większego sensu.

Wstałem i zacząłem przemierzać pokój.

- Spróbujmy się temu przyjrzeć pod innym kątem. Gdzieś musiała być jakaś informacja, która ją naprowadziła. W przeciwnym razie to jest misja skazana na klęskę. Prawda?

- Prawda.

- Jaką formę miałyby mieć ta informacja? Może poleciała z nimi do Mgławicy Damy z Woalką. Wtedy wiedziałyby, jak długo trwa podróż. A może nie poleciała, tylko miała jakieś niejasne wskazówki od kogoś z załogi.

- Dobrze - odparła Chase. - Ale skąd Gabriel miałby zdobyć taką informację? Przeczytaliśmy wszystko, co o niej znaleźliśmy, i nic. A tak poza tym, jeśli słusznie zakładamy, że podróżowała przez wiele lat i niczego nie znalazła, to jaki byłby pożytek z takiej informacji? Jeśli ona tego nie znalazła, co może nam powiedzieć?

Co może nam powiedzieć? Coś mnie zastanowiło w tej uwadze i powtórzyłem ją parę razy. Komu powiedziała?

- Candles - rzekłem.

- Słucham?

- Candles. Powiedziała Candlesowi! - A ten skurwiel wiedział dokładnie, gdzie to jest. Wziąłem do ręki egzemplarz *Plotek o Ziemi*, który kupiłem zamiast skradzionego, i otworzyłem go na wierszu *Leisha*. - Jest nawet zatytułowany jej imieniem - zauważyłem. - Posłuchaj:

Zaginiony pilot

Pędzi po samotnej orbicie

Daleko od układu Rigel

Szukając nocą

Gwiazdzistego kręgu.

Dryfując w odwiecznych morzach

Przez cały rok

Dziewięć na obręczy

Dwa na piąście

A ona

Wędrując

Nie zna ani portu

Ani spoczynku

Ani mnie.

- Nigdy nie znalazłam się na poezji - rzekła Chase - ale brzmi to dość kiepsko.

Poprosiłem Jacoba o wyświetlenie na ekranie prac krytycznych dotyczących tego wiersza: omówienie odwiecznego mistycznego znaczenia liczby dziewięć (dziewięć miesięcy ciąży, dziewięć węzłów arabskiego bicia miłosnego i tak dalej) wraz z porównywaniem podwójnych układów gwiazd do symbolu jin-jang. Leisha jawi się tu jako symboliczna wszechmatka, najwyraźniej szukająca ukojenia po śmierci jakiegoś równie symbolicznego syna w układzie Rigel. Bohater staje się mężczyzną, otoczonym kręgiem nieśmiertelności.

Czy tam czymś.

- Do diabła - odezwała się Chase. - Przecież to gwiazdozbiór.

- Tak. I chyba znaleźliśmy rozwiązanie jeszcze jednej zagadki: Rashimowi Machesneyowi się udało. Gabriel miał na myśli banki danych Instytutu Machesneya! Prawdopodobnie prowadzili dla niego poszukiwania!

Na twarzy Chase pojawił się uśmiezek.

- Co cię tak śmieszy?

- Quinda.

- To znaczy?

- Kiedy ukradła ci *Płatki o Ziemi*, miała odpowiedź w ręce.

Jacob umówił się na spotkanie z jednym z administratorów i połączyliśmy się w ciągu godziny.

Administrator był przyszczatym młodzieńcem o długim nosie i drżącym głose. Ramiona opadały mu w obronnym geście i sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie udzielić żadnej odpowiedzi bez wpatrywania się w monitor. Nie wstał zza biurka, żeby się z nami przywitać, i chyba traktował je jak coś w rodzaju bariery.

- Nie - odparł, gdy wyjaśniliśmy cel naszej wizyty. - Nic mi nie wiadomo o jakichś specjalnych projektach realizowanych na zamówienie kogoś nazwiskiem... Hm, Benedict. A za czym pośrednictwem mógł być zlecony ten projekt?

- Słucham?

- Zamówienia składają różne instytucje: organizacje rządowe, uniwersytety, firmy, fundacje. Kto złożył to zamówienie?

- Nie wiem. Być może żadna z nich.

- Nie przyjmujemy zleceń od osób prywatnych. Odniosłem wrażenie, że przeczytał to prosto z monitora.

- Proszę posłuchać - rzekłem. - Nie mam sposobu, żeby się dowiedzieć, jakimi kanałami to było załatwiane. Ale to ważna sprawa, a wiem na pewno, że się z wami

kontaktował. Ktoś musiał z nim współpracować.

Administrator bębnił palcami po wypolerowanym blacie biurka.

- To byłoby całkowicie wbrew regułom, panie Benedict - rzekł. - Żałuję, ale nie mogę pomóc.

To miał być sygnał, że uważa rozmowę za zakończoną.

- Mój wuj niedawno zmarł - rzekłem. - Kontaktuję się z państwem, bo był zadowolony z tego, co wasi ludzie dla niego zrobili, i chciał wyrazić swoją wdzięczność w jakiś bardziej konkretny sposób. - Uśmiechnąłem się do niego znacząco.

Administrator nieco złagodniał.

- Rozumiem - odparł. Było w nim coś ptasiego: szybkie, bezcelowe ruchy, wrażenie, że jego uwaga skupia się na różnych rzeczach w tym biurze, niemożność usiedzenia w miejscu choćby przez parę sekund.

- Niestety, mój wuj nie opisał osoby, która mu pomagała, i nie mam bezpośredniego sposobu, by się dowiedzieć, kto to był. - Wyciągnąłem zdjęcie. - To jest mój wuj.

Administrator rzucił na nie okiem i potrząsnął głową.

- Nie znałem go.

- Ilu profesjonalistów zatrudniacie?

- To zależy od definicji tego słowa.

- Proszę je sobie dowolnie zdefiniować. Co najmniej jedna osoba rozpozna go ze zdjęcia. Oczywiście, muszę się upewnić, że dotarłem do właściwej osoby, więc będę od niej oczekiwał opisanego, na czym polegał ten projekt.

- Doskonale - odparł, rzucając zdjęcie na stertę papierów.

- Zobaczą, co da się zrobić.

- Tylko o to proszę. - Uniosłem ostentacyjnie nadgarstek i odezwałem się do komunikatora. - Jacobie, chciałem zrobić przelew. - Po czym znów zwróciłem się do administratora:

- Będę potrzebował pańskiego numeru konta.

Był tak szczęśliwy, że grzecznie podał. Przekazałem Jacobowi sumę, Jacob potwierdził i oznajmił, że wysłał przelew. Przypuszczam, że było to jakieś tygodniowe wynagrodzenie administratora.

- Przelew został wykonany. A jeśli pan znajdzie tę osobę, będą następne.

- Tak - odparł, nagle bardzo zainteresowany. - Jestem pewien, że ją znajdę.

- Zatem do wieczora. Skinął głową.

- Oczywiście. Jak mogę pana znaleźć?

Eric Hammersmith miał włosy barwy piasku, brodę, nadwagę i za dużo pił. Natychmiast go polubiłem.

- Nigdy naprawdę nie poznałem pańskiego wuja - rzekł. Siedzieliśmy w pubie w centrum, pochyleni nad butelką taniego rumu, i czasem rzucaliśmy okiem na grawitacyjne tancerki.

- Udawał, że poszukiwania, jakie miałem dla niego wykonać, są częścią jakiejś analizy statystycznej.

- Dobrze - odparłem.

- Proszę mi wybaczyć, że to mówię - ujął mój rękaw w dwa palce - ale był kiepskim aktorem.

W sąsiednim pomieszczeniu odbywała się jakaś hałaśliwa biesiada, a w samym barze też było dość głośno, więc musieliśmy siedzieć blisko siebie, żeby w ogóle coś słyszeć.

Hammersmith podparł się na łokciu. Przyszedł lekko zawiany, podejrzewałem więc, że wcześniej już coś świętował.

- Co on zamierzał zrobić? - Spytał z przymilnym uśmiechem.

- Próbował znaleźć pewne stanowisko archeologiczne, Ericu - odparłem. - To długa historia.

Miałem nadzieję, że nie będzie nalegał na jej opowiadanie.

- Za pomocą gwiazdozbioru? - Jego brwi powędrowały w górę.

Dopiłem rum i przyjąłem postawę nieświadomego przechodnia.

- Wiem, że to dziwne. Ale on nie poświęcał zbyt wiele uwagi szczegółom. - Tancerki najwyraźniej go rozpraszały. - Tak czy inaczej, chciał, żebym ci powiedział, że był ci wdzięczny za pomoc.

- Cieszę się - odparł. - Wiesz, to nie było zrobione za bardzo regulaminowo.

- To znaczy?

- Musiałem obejść parę przepisów. Nie wolno nam korzystać ze sprzętu do celów prywatnych.

- Rozumiem.

Powtórzyłem procedurę przygotowania przelewu, tym razem o równowartości - jak przypuszczałem - jego półrocznych poborów.

- Dzięki - rzekł Hammersmith i twarz mu pojaśniała.

- Teraz ja stawiam.

Wzruszyłem ramionami.

- W porządku.

Czekał, aż przeleję mu pieniądze. Kiedy tego nie zrobiłem, machnął na kelnera, a ten napełnił nam szklaneczki.

- Przypuszczam, że nie wiesz o wiele więcej ode mnie - rzekł.

Zaskoczył mnie. Czy to było aż tak widoczne?

- O kręgu?

- A jednak coś wiesz!

Bingo! Wreszcie jakieś wyniki.

- Oczywiście. - Gdzieś w Mgławicy Damy z Woalką znajdowała się planeta, na której widać było kolisty gwiazdozbiór. Dziewięć gwiazd na obręczy, dwie na piascie. - A poza tym - powiedziałem, siląc się na nonszalancki ton - dość dużo o tym mówił. Gdzie to dokładnie jest? Jakiej planety on szukał?

- Och, tak. - Tancerki goniły za sobą erotycznie w kręgu delikatnego błękitnego światła. - Wyszukiwanie zajęło mi parę tygodni - powiedział - bo nie mamy oprogramowania do takich zadań. A komputery nie zawsze były dostępne. Tak naprawdę - wyszeptał - wtedy po raz pierwszy zaryzykowałem i złamałem przepisy. Jeśli ktoś się dowie, wylecę z roboty.

Jasne, pomyślałem. To wyjaśnia, czemu administrator był w stanie tak łatwo cię namierzyć.

- To wielka robota, Aleksie. W Mgławicy Damy z Woalką jest 2,6 miliona gwiazd, a bez bardzo dokładnej konfiguracji naszkicowanej przez komputer, bez dokładnych kątów między gwiazdami, bez ich dokładnych wielkości bardzo trudno zawęzić to do sensownej liczby możliwości. Bo właściwie jak wygląda koło? Czy ma regularny kształt? Jakie jest odchylenie od bazowej linii łuku? I czy rzeczywiście jest tam tylko dziewięć gwiazd? Czy wszystkie dziewięć jest jasnych? Musiałem ustalić niektóre parametry, a i tak to było głównie zgadywanie.

- Ile możliwości uzyskałeś?

- Ponad dwieście. Albo dwanaście tysięcy, jeśli ustawić parametry nieco bardziej liberalnie. - Patrzył na mnie ze współczuciem i cieszył się frustracją, jakiej doznałem. Ja jednak rozmyślałem głównie o tym, że wraz z Jacobem parę tygodni wcześniej przyjrzelśmy się trasom statków i zawęziliśmy obszar poszukiwań do około tysiąca gwiazd. Mając do dyspozycji te dane powinniśmy być w stanie łatwo

wyeliminować większość propozycji Hammersmitha. Przez chwilę miałem ochotę postawić drinka wszystkim w knajpie.

- Mogę prosić o wydruk?

Sięgnął do kieszeni marynarki.

- Przyniosłem go na wypadek, gdybyś chciał jakiegoś dowodu. - Uśmiechnął się radośnie.

- Dzięki - rzekłem i wydałem polecenie wykonania przelewu, po czym wstałem.

- Bardzo mi pomogłeś, Ericu.

Obaj rzuciliśmy jakąś gotówkę na stół.

- Dziękuję - odparł. - I jeszcze jedno...

- Tak?

- Gabriel prosił, żebym z nikim o tym nie rozmawiał. Z nikim. I nie rozmawiałbym, gdyby nadal żył.

- Rozumiem.

- Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? Jeśli kiedykolwiek dowiesz się, o co w tym chodziło, powiesz mi?

Spojrzałem mu w oczy.

- Jeśli będę mógł - odparłem i odszedłem prosto w przyjemny, późny zimowy wieczór.

Nasz główny cel znajdował się jakieś tysiąc trzysta lat świetlnych od stacji Saraglia, w regionie Mgławicy Damy z Woalką, gdzie nie ma nawet nazw, tylko współrzędne.

- Co najmniej dwa miesiące - oznajmiła Chase. - W jedną stronę. To daleka droga.

XXI

Statek międzygwiazdny to nie jest miejsce dla ludzi, którym się spieszy

Nolan Creel, *Przeгляд Arnheim, LXXIII, 31*

DO STACJI SARAGLIA poleciliśmy na pokładzie „Graingera”. Był siostrzanym statkiem „Capelli” i dryfując długim, szarym tunelem dużo rozmyślaliśmy o Gabrielu.

Iluminatory oczywiście były zamknięte. Widok za oknem jest nie do zniesienia dla większości ludzi, ale na statku było kilka miejsc, gdzie ciekawski pasażer, który chciał zobaczyć inny świat, mógł się nim ponapawać. Jednym z nich był salon zwany Kapitańskim Barem na przodzie najwyższego pokładu.

Chase i ja schroniliśmy się tam, gdy tylko doszedłem do siebie po skoku w hiperprzestrzeń. Wydawało mi się, że z każdą kolejną podróżą znoszę to gorzej. Pierwszego wieczora siedziałem tam, nie mając ochoty na rozmowę z kimkolwiek i ponuro wspominając obietnicę złożoną kiedyś samemu sobie: że wracam na Rimway i już się stamtąd nie ruszam.

Piliśmy za dużo. Bary na statkach międzygwiazdnych zawsze świetnie prosperują. Mając za dużo czasu na rozmyślania, zacząłem się zastanawiać, dlaczego naukowcy z „Tenandrome” ustalili, że nikomu nie powiedzą o swoim znalezisku. I zaczęło mnie to martwić.

Nie jadłem za wiele, a po jakimś czasie nawet Chase popadła w dziwny nastrój. Przygnębieni lecieliśmy więc przez bezkształtny strumień wymiaru, którego istnienie, zdaniem niektórych, miało charakter wyłącznie matematyczny.

Osiem dni czasu pokładowego później dokonaliśmy skoku z powrotem do przestrzeni liniowej. Pasażerowie, odzyskawszy formę, tłoczyli się przy iluminatorach, które były teraz otwarte, i patrzeli na zjawisko zwane Mgławicą Damy z Woalką.

Z tak bliskiej odległości nie przypominała niczego istniejącego w ludzkiej skali. Nie było nawet widać kształtu mgławicy. Widzieliśmy tylko duże skupisko poszczególnych gwiazd, oślepiający, przeszywający duszę kłęb rozświetlonych

punktów koloru, rzekę światła płynącą do nieskończoności. Jakże kiepskie zdjęcie pokazał mi Jacob w domu w gabinecie.

Po chwili, gdy już nie mogłem tego wytrzymać, poszedłem do baru. Panował tam niezły tłok.

Najdłuższa część podróży była nadal przed nami: lot od momentu powrotu do przestrzeni liniowej na stację Saraglia miał trwać dwa i pół tygodnia. Dużo czytałem i zacząłem grać w karty w Salonie Kapitańskim z paroma bywalcami. Chase zabawiała się w siłowni i basenie z jakimś facetem, którego imienia zapomniałem.

Na początku trzeciego tygodnia pojawiły się dwa wahadłowce. Przywiozły pasażerów i ładunek na dalszą część lotu „Graingera” i zabrały wszystkich, którzy udawali się na Saraglię. Chase pożegnała się ze swoim przyjacielem, a ja ze zdziwieniem odkryłem, że cieszę się z końca podróży.

Saraglia to sztuczna konstrukcja o rozmiarach małego księżyca, krążąca na orbicie supernowej, która uległa kolapsowi. Początkowo miała służyć za stację obserwacyjną, ale bliskość gęstej gwiazdy sprawiła, że rozwinęła się w centrum komercyjne, specjalizujące się w różnych usługach związanych z przetwórstwem materiałów dla producentów, których wyroby wymagały bardzo dużych ciśnień przez dłuższy czas.

Stacja wygląda na nieco prowizoryczną: pierwotnie była tam jedynie platforma. Od tego czasu jednak obrosła w zasobniki atmosferyczne, komory produkcyjne, sieci energetyczne, różne urządzenia do cumowania i rozładunku oraz automatyczne fabryki.

Potężna chmura pyłu - którą utrzymuje w miejscu sztuczna grawitacja - otacza kompleks, chroniąc go przed potężnym promieniowaniem mgławicy. Gdy już obserwator znajdzie się w środku chmury, zwykle jest zdumiony stosunkowo niewielką ilością światła, jaka wylewa się z tysięcy okien, iluminatorów i bulajów, przezroczystych tafli i doków. Jeśli nawet Saraglia znajduje się na skraju opanowanego przez człowieka kosmosu, jest też najcieplejszym z habitatów.

Poleciliśmy wahadłowcem do jednego z doków, zeszliśmy z pokładu i zameldowaliśmy się w hotelu. Chase natychmiast rozpoczęła przygotowania do drugiej fazy podróży.

Musiałem jednak trochę odpocząć. Zwiedzałem więc lasy i lodowce, a nawet spędziłem kilka popołudni w chatce na brzegu morza.

Kilka dni po przybyciu byliśmy już na pokładzie wynajętego „Centaura”. Nie był tak duży jak statek, który kiedyś wynajął Gabriel, a warunki były dość spartańskie jak na taką długą podróż (co Chase wytknęła mi z pewną szorstkością), ale nie przyzwyczailem się jeszcze do wydawania dużych kwot pieniędzy, a cena za „Centaura” była wystarczająco absurdalna.

Gdy tylko silniki zgromadziły wystarczający ładunek, skoczyliśmy z powrotem do przestrzeni Armstronga.

- Wrócimy do przestrzeni liniowej za pięćdziesiąt siedem dni - wyjaśniła Chase.
- Czasu pokładowego. Poza tym musimy podjąć pewną decyzję.

- Mów.

- To długi lot. Przepisy konfederacyjne właściwie nie obowiązują tam, dokąd lecimy, ale i tak powinniśmy ich przestrzegać. Jeśli będziemy postępować zgodnie z wytycznymi, musimy mieć margines skoku powrotnego do przestrzeni liniowej rzędu trzystu jednostek astronomicznych. Biorąc pod uwagę naszą niezdolność do wstrzelenia się we właściwe miejsce, możemy wylądować pięćset albo sześćset jednostek astronomicznych od celu. „Centaur” w przestrzeni konwencjonalnej porusza się znacznie wolniej od wielkiego komercyjnego liniowca. Jeśli będziemy mieli pecha, czeka nas bardzo długa droga. Może więc lepiej będzie spróbować skoczyć z powrotem bliżej celu.

- Do licha, nie! - Wrzasnąłem. - To i tak długo trwa. Trochę cierpliwości nie zawadzi.

- A dużo cierpliwości?

- Och - mruknąłem. - Jak dużo?

- Większa część roku.

- Chyba niczego takiego mi nie mówiłaś.

- Próbowałam wykoncypować, jak chciałbyś to załatwić. Aleksie - uśmiechnęła się i zaczęła mówić uspokajającym tonem - szanse, że zmaterializujemy się w środku czegoś, są praktycznie żadne. W okolicy, gdzie dokonamy skoku powrotnego, jest wielka pusta przestrzeń. To będzie bezpieczniejsze niż lądowanie śmigaczem koło domu.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Nie mogę powiedzieć, żebyś mnie uspokoiła.

- Zaufaj mi. - Posłała mi promienny uśmiech.

Zawsze ostrożnie sobie dawkowałem kontakt z elektronicznymi fantazjami, ale długi lot do Mgławicy Damy z Woalką był doskonałą wymówką na wyzbycie się dawnych oporów. Już na samym początku podróży znikłem w mojej kajucie.

Podróżowałem dużo, korzystając z biblioteki statku, spędzając wakacje w kilkunastu luksusowych miejscach. Niektóre z nich naprawdę istniały, inne nie, niektóre nawet nie mogłyby istnieć. W ramionach zawsze miałem co najmniej jedną kobietę. A ich charaktery można było oczywiście programować.

Chase o tym wiedziała. Większość czasu spędzała w kokpicie, czytając i patrząc w szary tunel, który rozciągał się wokół nas. Niewiele mówiła, kiedy czasem wędrowałem tam, by przysiąc się do niej. Było to trochę denerwujące, a ja nie znałem przyczyny, więc byłem coraz bardziej rozdrażniony.

Standardowe scenariusze podróżnicze w końcu mnie znużyły. Uruchomiłem jakąś archeologiczną zgadywanę z kolekcji Gabriela. Były to skomplikowane przygody pośród tajemniczych ruin i egzotycznych tubylców: znajdź i zidentyfikuj dziwny artefakt w zatopionej świątyni, wypełnionej groteskowymi, ożywionymi rzeźbami; przetłumacz zbiór trójwymiarowych symboli unoszących się wraz z przezroczystymi piramidami w zamarznętej tundrze; rozszyfruj znaczenie starożytnego rytuału ofiarnego, prawdopodobnie stanowiącego przyczynę, dla której pierwotni mieszkańcy w ciągu kilku pokoleń zamienili się w rasę dzikusów.

Aż coś mnie wreszcie naprawdę zaskoczyło.

Kiedy miałem problemy z przedostaniem się przez częściowo wypełnione wodą przejście w świątyni, uratowała mnie i zawlokła do kamiennego basenu przepiękna, półnaga kobieta, którą chyba znalazłem, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kim jest.

Ria.

Kobieta, której zdjęcie stało w sypialni Gabriela.

Pokazała się ponownie, jako cudna dzikuska w zrujnowanym mieście i pośród piramid, jako piękne latające stworzenie ze skrzydłami. Była zawsze w pobliżu, by uratować podróżnika i poinformować go, że właśnie przegrał, a raz, kiedy udało mi się skończyć grę, czekała na samym końcu.

Zawsze miała na imię Ria.

Absorbowało mnie to coraz bardziej, aż raz, gdy coś niewidzialnego polowało na mnie w górskiej fortecy, która najwyraźniej nie miała wyjścia, scena znikła, a ja znów leżałem na koi w ciemnościach.

Przez dłuższą chwilę serce waliło mi jak młotem, aż zdałem sobie sprawę, że wróciłem do mojej kajuty. Potem wyczułem ruch i zobaczyłem zarys sylwetki.

- Chase?

- Cześć, Alex - powiedziała. Mówiła jakoś inaczej i słyszałem jej oddech. - Nie masz ochoty na odrobinę rzeczywistości?

Siedemnastego dnia podróży zobaczyliśmy na skanerach Armstronga jakiś cień. Tylko na chwilę; zaraz znikł. - To nic takiego - powiedziała Chase. Ale potem siedziała z zatroskaną miną.

XXII

Człowiek karmi się przez całe życie bajkami i opuszcza je w przekonaniu, że wie coś o tym, co się zdarzyło, gdy tymczasem nie wie nic poza tym, co zobaczył na własne oczy.

Thomas Jefferson, *List do Thomasa Coopera*

NASZA GWIAZDA DOCELOWA była ciemnym czerwonym karłem typu M. Unosiła się spokojnie w jednym z najbardziej zapyłonych regionów mgławicy, jakieś tysiąc trzysta lat świetlnych od stacji Saraglia. Nie mieliśmy pojęcia, ile planet ją okrąża, i nigdy się tego nie dowiedziałem.

Chase wyprowadziła nas z hiperprzestrzeni pod kątem ostrym w stosunku do płaszczyzny układu planetarnego, w odległości jakichś dziesięciu dni podróży. Mieliśmy dużo szczęścia, że znaleźliśmy się tak blisko, albo Chase była doskonałym pilotem.

Tego wieczora zorganizowaliśmy imprezę w kokpicie; wznosiliśmy toasty na cześć czerwonej gwiazdy i gratulowaliśmy sobie nawzajem. Po raz pierwszy, odkąd ją znałem, Chase wypila naprawdę dużo i przez kilka godzin „Centaur” nie miał pilota. Była na zmianę radosna albo śpiąca, a parę razy oderwałem od niej wzrok i spojrzałem na miriady gwiazd, zastanawiając się, skąd przylecieliśmy. Dziwne, że olbrzymie ciało polityczne, obejmujące kilkaset światów i tysiąc miliardów ludzi może tak po prostu zniknąć.

W obrębie biostrefy znajdowały się dwie planety. Jedna była w dość wczesnym stadium planetarnego rozwoju: jej azotową atmosferę wypełniał pył wyrzucany przez obejmujące całą planetę pierścienie wulkanów. Jej powierzchnia była targana nieustannymi trzęsieniami ziemi i wybuchami. Druga była zupełnie inna: niebiesko-białą glob cudnej urody, jak Rimway, Toksykon czy Ziemia, jak wszystkie podobne do Ziemi światy, na których może istnieć życie. Były tam wielkie oceany i niezliczone archipelagi wysp, zalane światłem słońca. Biegun północny zajmował jedyny

kontynent.

- Tam chyba jest zimno - powiedziała Chase, przyglądając się powierzchni przez teleskop. - Większość lądu pokrywają lodowce. Na stronie nocnej nie widać światła, więc chyba nikt tu nie mieszka.

- Byłbym mocno zaskoczony, gdyby ktoś tu był.

- Wygląda na to, że w strefach umiarkowanych jest przyjemniej. Czy wręcz dość ciepło. A może weźmiemy lądowik i polecimy popływać? Fajnie byłoby wydostać się na chwilę spośród ścian. - Przeciągnęła się nęcąco i już miałem jej odpowiedzieć, kiedy wyraz jej twarzy się zmienił.

- O co chodzi?

Przesunęła ręką po klawiaturze skanera i rozległ się pisk.

- A to jest właśnie to, po co przylecieliśmy - oznajmiła.

Wynurzył się z ciemności nad linią terminatora; wyglądał jak błyszcząca gwiazda.

- Jest na orbicie - wyszeptała Chase.

- Może to naturalny satelita.

- Może. - Wrzuciła na ekran kilka odczytów. - Ale współczynnik odbicia światła jest o wiele za duży jak na skałę.

- Jakie to jest duże?

- Jeszcze nie wiem.

- A może to jest coś, co zostawił „Tenandrome”?

- Na przykład co?

- Nie wiem. Jakaś aparatura. Osłoniła oczy i spojrzała w teleskop.

- Teraz mamy lepszą rozdzielczość - powiedziała. - Poczekaj.

Wrzuciła na ekran pole gwiazd, odfiltrowała większość blasku i zmniejszyła kontrast. Pozostał jeden punkt światła.

Przez następną godzinę patrzyliśmy, jak przybiera kształt, stopniowo stając się cylindrem, grubszym w środku, zaokrąglonym z jednego końca, rozszerzonym z drugiego. Wysuniętego mostka bojowego, sterzących luf uzbrojenia czy klasycznych kształtów z epoki Ruchu Oporu nie dało się z niczym pomylić.

- Mieliśmy rację - sapnąłem. - Niech to szlag, mieliśmy rację!

Poklepałem ją po ramieniu. Co za przyjemne uczucie. Szkoda, że Gabriela nie było tu z nami.

Jeśli porównywać go z nowoczesnymi okrętami bojowymi, był malutki. (Wyobrażałem sobie, na jakiego karzełka wyglądał przy olbrzymim „Tenandrome”).

Co za historia. To był jeden z tych okrętów, które podróżowały między gwiazdami w pierwszych latach korzystania z napędu Armstronga i przewoziły takich ludzi jak Desiret, Taniyama i Biblijny Bill na planety, które ostatecznie znalazły się w Konfederacji. Walczył w rozlicznych bratobójczych wojnach. I walczył z Aszijurami.

- Mam jego orbitę - oznajmiła Chase z zadowoleniem. - Ustawimy się przy nim. Tuż przy dziobie na bakburcie.

- Dobrze - odparłem. - Ile to potrwa?

Postukała w klawiaturę.

- Dwadzieścia dwie godziny, jedenaście minut. - Będziemy przelatywać blisko niego za jakieś półtorej godziny, w odległości około stu kilometrów. Ale będziemy musieli jeszcze kilka razy zmienić orbitę, zanim dopasuję kurs i prędkość.

- Doskonale.

Patrzyłem na jego obraz na monitorze. Jakie to były piękne statki. Ani przedtem, ani potem nie mieliśmy już niczego podobnego. Oświetlało nas słońce, a on był barwy ciemnego srebra i błękitu. Miał łagodnie zakrzywione kształty: robił wrażenie czegoś ozdobnego, a tego się nie odczuwało, patrząc na nowoczesne szare statki. Paraboliczny dziób, spłaszczone dysze, cofnięty mostek, zaokrąglone gondole - to wszystko miało znaczenie wyłącznie w przypadku statków latających w atmosferze. Otaczała go jakaś aura, która przyprawiała mnie o wzruszenie: czy było to po prostu związane z tym, że znałem ten rodzaj okrętu, który symbolizował wspaniałą epokę heroicznych czynów, czy z jakimś wrażeniem niewinności i wyzwania, jakie wywoływały jego kształty, czy złowieszczą kanciastością jego luf, nie mam pojęcia. W każdym razie przypominał mi czasy, kiedy byłem bardzo młody.

- Tam jest wiedźma - powiedziała Chase, celując naszym teleskopem dalekiego zasięgu w dziób. Prawie ją dostrzegłem, ciemny lecący kształt, w szaleńczym locie na wypolerowanym metalu, jakby mogła pociągnąć statek mknący swoim kursem. Chase próbowała powiększyć obraz jeszcze bardziej, ale się rozmywał, więc czekaliśmy, aż odległość między dwoma statkami się zmniejszy.

Uwagę Chase przyciągnęło migotanie na jednym z paneli. Wsłuchała się w coś, co rozległo się w słuchawce, zrobiła zdumioną minę i pstryknęła przełącznikiem.

- Odbieramy sygnał! - Oznajmiła.

Oczy jej się rozszerzyły.

W kabinie zapadła cisza.

- Z wraku? - Wyszeptałem.

Przycisnęła słuchawkę do ucha, ale potrząsnęła głową.

- Nie. Nie przypuszczam.

Pstryknęła przełącznikiem i w głośnikach rozległo się elektroniczne zawodzenie.

- Co to jest?

- Dochodzi z powierzchni. Jest kilka sygnałów. Ale nie ma obrazu.

- To radiolatarnie - powiedziałem. - Zostawione przez „Tenandrome”.

- Dlaczego ciągle działają? Czy to znaczy, że oni odlatywali stąd w pośpiechu?

- Niekoniecznie. To mogą być różne rzeczy. Na przykład pozostałość po badaniach geologicznych. Agencja korzysta z nadajników, które wysyłają różne rodzaje sygnałów przez dłuższy okres. Urządzenie rejestruje wyniki, które stanowią dość dobry obraz dynamiki wewnętrznej. Za każdym razem, kiedy jakiś statek będzie przelatywał przez dany obszar, wyniki zostaną automatycznie przesłane. Pewnie są też inne sygnały, skoro potrafisz je namierzyć.

Uśmiechnęła się, zawstydzona przez swoją skłonność do wyciągania pochopnych wniosków.

- Skąd tyle wiesz o takich misjach?

- Sporo czytałem przez ostatnich kilka miesięcy.

Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale zobaczyłem, że Chase zbladła jak papier.

Historyczny statek był coraz bliżej; rósł na górnym monitorze. Przyjrzałem mu się, tak jak ona, ale niczego nie dostrzegłem.

- Co się stało?

- Popatrz na godło - szepnęła. - Wiedźma.

Spojrzałem i nie zobaczyłem niczego niezwykłego, tylko dziób z pierzastym symbolem...

- ...Otoczonym zakrzywionym sierpem światła...

- ...Srebrnym półksiężycem...

- ...By wróg mógł mnie znaleźć.

- Mój Boże - wyszeptałem. - To „Corsarius”.

- To niemożliwe.

Chase przeglądała stare opisy ostatecznej bitwy, cytując niektóre zdania: - ...Zniszczony, podczas gdy Tarien bezsilnie się temu przyglądał... Załoga Sima i jego

brat obserwowali z „Kudasai”, jak „Corsarius” ucieka, a potem znika w nuklearnym płomieniu... I tak dalej.

- Może Aszijurowie mieli rację - podsunąłem - i było ich kilka.

Przyjrzała się instrumentom.

- Nachylenie osi wynosi jakieś jednaście stopni i rośnie. Orbita traci stabilność. - Potrząsnęła głową. - Powinni byli przynajmniej ustabilizować orbitę. Mam na myśli „Tenandrome”.

- Może nie mogli - odparłem. - Może po tak długim czasie nie było już zasilania?

- Może.

Na ekranie dowodzenia pojawiały się różne obrazy: elementy ogona, moduły komunikacyjne, współczynniki naprężeń. Sam statek zaczął się znów oddalać.

- Skoro nie może lecieć o własnych siłach, nie mieli jak go stąd zabrać. Gdyby nawet zmieścił się w ładowni, to nie mieliby jak go zabezpieczyć. No i mógłby w każdej chwili wybuchnąć. Pamiętasz „Regala”?

- Chase - powiedziałem - to dlatego Gabrielowi potrzebny był drugi pilot i zabrał ze sobą Khybera. Żeby go przywieźć z powrotem!

Nie wyglądała na przekonaną.

- Jeśli nawet napęd jest sprawny, to byłoby olbrzymie ryzyko. Gdyby coś się popsuło, na przykład podczas skoku...

- Potrząsnęła głową.

Światło szybko się zmieniało: przemieszczaliśmy się w stronę wczesnego wieczora, zaś „Corsarius” zniknął, pogrążając się w zmierzchu, pędząc w kierunku terminatora. Świecił na tle nadciągającej ciemności. Obserwowałem go przez tych ostatnich kilka sekund, kiedy jeszcze padały na niego promienie słońca, czekając, zastanawiając się, czy może nie jest to jakaś nocna zjawka, po której rano nie będzie już śladu.

Obiekt zanurzył się w cieniu planety. Był coraz ciemniejszy, ale...

- Ja go ciągle widzę - powiedziała Chase w napięciu.

- Świeci się. - Zaczęła szeptać. - Skąd, u licha, pochodzi to światło? Tu nie ma żadnych księżyców.

Świecił jednostajnym, bladym światłem. Poczulem zimny pot spływający po kręgosłupie.

- Światła pozycyjne. Jego światła pozycyjne są włączone. Chase skinęła głową.

- Musieli to zrobić ludzie z „Tenandrome”. Ale po co?

Nie mogłem w to uwierzyć. Wiedziałem dość dużo o metodach, jakie stosują profesjonaliści w przypadku artefaktów technicznych: dopóki nie zostaną zbadane, pozostawia się je w stanie nietkniętym. Przez chwilę zastanawiałem się, czy ludzie z „Tenandrome” w ogóle weszli na pokład.

Jakąś godzinę później lecieliśmy za „Corsariusem” po nocnej stronie planety. Wtedy wyglądał jak ciemna gwiazda.

- Mam dość - powiedziała Chase, wstając. - Może powinniśmy posłuchać rady Scotta i wracać do domu. A gdyby nawet nie, to chyba dobrym pomysłem byłoby, żeby jedno z nas zawsze było w kokpicie. Wiem, że wyjdę na paranoiczkę, ale będę spokojniejsza. Dobrze?

- Dobrze.

Próbowałem przybrać rozbawioną minę, ale jej propozycja mi się podobała.

- Aleksie, ponieważ to jest twoja ekspedycja, ty trzymasz wachtę pierwszy. Ja wracam do siebie i spróbuję się trochę przespać. Gdybyś zdecydował dać sobie z tym spokój, to nie usłyszysz ode mnie słowa sprzeciwu. Ale jak będziesz o tym rozmyślał, pilnuj go dobrze.

Wyszła z kokpitu. Słyszałem, jak hałasuje, uruchamia dystrybutor, zamyka drzwi, a wreszcie odkręca prysznic. Poczulem radość, że jest tu ze mną. Gdyby nie ona, pewnie bym się na to nie odważył.

Rozłożyłem fotel, ułożyłem poduszki i zamknąłem oczy. Cały czas jednak myślałem o wraku, a czasem unosiłem się na łokciu i patrzyłem w nocne niebo, by się upewnić, że coś się do nas nie podkrada.

Po jakiejś godzinie uznałem, że i tak nie zasnę, i włączyłem jakiś monolog komiczny z biblioteki. Humor niespecjalnie mnie interesował, żarty były kiepskie i mało zaskakujące. Wykonanie było jednak swobodne, energiczne, pełne jednozdaniowych puent, ze śmiechem publiczności w tle. Było niezłe, uspokajające, kojące, zachęcające. Właśnie o to chodzi w komedii: nawet jeśli jest kiepska, daje jakąś uludę bezpiecznej egzystencji, w której wszystko pozostaje pod kontrolą.

Kokpit w końcu gdzieś odpłynął. Byłem ledwo świadomy ciszy panującej w kajutach mieszkalnych i oznaczającej, że Chase śpi, a ja jestem w pewnym sensie sam - spokojnego rytmu przyciszonej muzyki, nieczęstych mrugnięć światełek na powiekach. Kiedy się obudziłem, było nadal ciemno. Chase siedziała w fotelu pilota, nie ruszała się, ale wiedziałem, że nie śpi.

Okryła mnie kocem.

- Co się dzieje? - Spytałem.

- Nic specjalnego.

- Co o tym sądzisz?

Światelka instrumentów odbijały się w jej oczach. Słysząc było, jak oddycha; jej oddech był częścią pulsu statku, jak stłumione piśnięcia i gwizdnięcia komputerów, czasem skrzypnięcie metalowych ścian protestujących przed jakąś drobną poprawką prędkości czy kursu, i tysiąc innych rzeczy, które słyszy się wśród gwiazd.

- Tak sobie myślę - rzekła - o starej legendzie, która głosi, że Sim wróci i wspomocze Konfederację w godzinie próby. - Spojrzała przez iluminator.

- Gdzie on jest?

- Za krzywizną planety. Skanery nie wyłapią go jeszcze przez kilka godzin. A tak poza tym, za dwadzieścia minut będzie świtać.

- Wczoraj powiedziałaś, że powinniśmy zostawić go w spokoju. Naprawdę tak myślisz?

- Jeśli mam być z tobą szczerą, Aleksie, to tak. Dostaję mdłości na samą myśl. Tego cholerstwa nie powinno tu być. Ludzie na „Tenandrome” musieli zareagować tak samo jak my. Co znaczy, że pewnie polecili tam, weszli na pokład, a potem stamtąd wyszli i poprzysięgli, że nikt, kto o tym wie, nie piśnie ani słowa. Dlaczego? Dlaczego, na litość boską, mieliby coś takiego zrobić?

- Jeśli teraz odlecimy, nie będziemy spokojnie spali do końca życia.

- Może to jest sytuacja, w której nie ma wygranych. Z tego, co mi mówiłeś, wynika, że Scott był człowiekiem z determinacją. Może po wejściu na pokład tego okrętu to samo stanie się z nami? - Zmieniła pozycję i wyciągnęła swoje długie nogi (które tak ślicznie wyglądały w bladej zielonej poświacie instrumentów!).

- Gdyby tylko dało się o wszystkim zapomnieć, usunąć wszystkie zapisy, odlecieć stąd i nigdy nie wrócić, pewnie byłabym za takim rozwiązaniem. To coś, co tam lata, nie wiem nawet, czym jest ani jak mogłoby być tym, czym się wydaje, a nie pasuje do tego nieba, ani do żadnego nieba. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Stuknęła w klawiaturę i na ekranie pojawił się zapisany w pamięci obraz okrętu. Ustawiła go tak, że było widać mostek. Oczywiście był ciemny. Ale okręt wyglądał na śmiercionośny i gotowy do boju, jak w symulacjach walk w układzie Przątek i akcji w układzie gwiazdy Rigel.

- Czytałam dziś w nocy jego książkę - powiedziała.

- *Człowiek i olimpijczyk?*

- Tak. Był skomplikowanym człowiekiem. Nie mogę powiedzieć, że zawsze się z nim zgadzam, ale umiał wyrażać swoje zdanie w stanowczy sposób. Na przykład nie miał litości dla Sokratesa.

- Tak. Sokrates nie zaliczał się do jego ulubionych postaci.

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Nie miał szacunku dla nikogo.

- Tak samo uważali jego krytycy. Ale Sim oczywiście zmiażdżył ich w drugiej książce, której już nie skończył.

Powiedział raz, że krytycy mają przewagę, bo zawsze mogą poczekać, aż krytykowany umrze, i w ten sposób mieć ostatnie słowo.

- To szkoda. - Rozsiadła się wygodnie i zaplotła ręce nad głową.

- W szkołach nigdy nie mówią o tej stronie Sima. Ten Christopher Sim, o którym uczą dzieci, jawi się jako człowiek idealny, lubiący prawić morały i przystępny.

- Uniosła brwi. - Ciekawe, co on by zrobił z tym czymś?

- Wszedłby na pokład. Albo, jeśli nie mógłby tam wejść, poczekałby na więcej informacji, a w międzyczasie znalazłby sobie jakiś temat do rozmyślań.

Na kadłubie było pełno osmaleń, pęcherzy i zarysowań. Wyglądał, jakby składał się z latek, gdyż płyty poszycia okresowo wymieniano. Komory nawigacyjna i komunikacyjna były porysowane, tarcze w tylnej części statku były pogiete i brakowało osłony napędu.

- Nie widać żadnych większych zniszczeń - rzekła Chase.

- Ale jest jedna dziwna rzecz.

Zbliżaliśmy się od góry i od tyłu w kapsule „Centaura”. Było w niej dość ciasno. Sama kapsuła to bąbel z pleksi z napędem magnetycznym.

- Osłona napędu nie została odstrzelona. Zdjęto ją. I nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że samych modułów napędu też brakuje. - Wskazała dwa przedmioty o kształcie strąków, które moim zdaniem były modułami Armstronga. - Nie - powiedziała. - To tylko osłony zewnętrzne. Nie widzę rdzeni. A powinno być je widać.

- Muszą tam być - powiedziałem. - Chyba że ktoś specjalnie je wyjął po przyprowadzeniu okrętu tutaj.

Wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Reszta też za dobrze nie wygląda. Masa prowizorki.

- Niedokończone naprawy?

- Tak. Naprawy dokonywane w pośpiechu. Nie w taki sposób, jakby chciało się używać statku w bitwie. Ale - gdyby nie liczyć modułów Armstronga - wygląda na to, że nadaje się do użytku.

Aguańskie cewki, których „Corsarius” używał do miotania błyskawic, sterowały sztywno i groźnie z płataniny różnych elementów.

- Te też - wskazałem je.

Okręt był jednak nadszarpnięty zębem czasu.

Chase siedziała w fotelu pilota, zamyślona, może lekko zaniepokojona. Odbiornik wielokanałowy był włączony, przeszukując częstotliwości dostępne dla „Corsarius”, jakbyśmy czekali na transmisję. Słyszeliśmy jednak tylko czyste posykiwanie gwiazd.

- Relacje historyczne muszą się mylić - powiedziałem. - To oczywiste, że nie został zniszczony w układzie gwiazdy Rigel.

- To oczywiste. - Wyregulowała obraz na monitorze, choć wcale tego nie potrzebował. Komputery „Centaura” próbowały porównać obraz wraku z dawną dokumentacją dotyczącą „Corsarius”: bez końca, szczególnie po szczególe. - Zastanawiam się, co jeszcze się w nich może nie zgadzać.

- Czy to oznacza, że Sim mógł przeżyć potyczkę w układzie Rigel?

Chase potrząsnęła głową.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem, co to oznacza. Zacząłem się zastanawiać nad tym pomysłem.

- Jeśli tak, jeśli rzeczywiście przeżył, po co miałby tu przylatywać? Do licha, przecież to kawał drogi od strefy działań wojennych. Czy „Corsarius” byłby w stanie tu dolecieć?

- Och, tak - powiedziała Chase. - Zasięg takich okrętów ograniczają tylko zapasy, jakie mają na pokładzie. Tak, mogli to zrobić. Tylko pytanie: po co?

Może to nie był wcale wybór. Może Sim i jego okręt wpadli jakoś w ręce Aszijurów. Czy możliwe jest, by przeżył akcję pod Rigel, ale został ranny i dryfował, nie wiedząc, kim jest? To absurd. Nawet jeśli było coś w tym pomysle ze zdublowanymi statkami, co jeden z nich by tu robił? Kto miałby czas, w najgorszych latach Ruchu Oporu, lecieć tak daleko statkiem, który był bardzo potrzebny w strefie walk?

Przedryfowaliśmy nad dziobem, obok dzikich oczu i haczykowatego nosa

wiedźmy, obok luf broni połyskujących pod spodem. Chase wywinęła wąską pętlę. Kadłub gwałtownie odleciał, a w iluminatorach pojawiła się błękitna, zalana słońcem powierzchnia planety, by znów ustąpić miejsca przestworom czarnego nieba.

Dużo rozmawialiśmy. A właściwie to była taka paplanina. O tym, jak dobrze się zrosła noga Chase, o tym, że wolelibyśmy być już w domu, o tym, ile forsy na tym zrobimy. Żadne z nas nie chciało zakończyć tej rozmowy. A tymczasem unosiliśmy się wzdłuż wraku. Przelecieliśmy się wzdłuż całego okrętu, a następnie zatrzymaliśmy przy głównym włazie.

- Jakbyś miał wątpliwości - powiedziała, podnosząc głos na znak, że chce mi powiedzieć coś ważnego - jest ślepy i martwy. Teleskopy nawet nie próbowały nas namierzać.

Włożyliśmy hełmy skafandrów kosmicznych, które mieliśmy na sobie, i Chase wypompowała powietrze z kokpitu. Kiedy zapaliły się zielone światła, otworzyła osłonę i wypłynęliśmy na zewnątrz. Chase podpłynęła do włazu, ja zaś zatrzymałem się, żeby spojrzeć na wykonany ceruliańskim alfabetem napis na kadłubie. Była to nazwa statku. „Corsarius” w symulacjach miał identyczne.

Odkręciliśmy właz i w środku zamigotało żółte światełko. Wtoczyliśmy się niezgrabnie do śluzy. Na tablicy rozdzielczej wmontowanej w gródź paliły się czerwone lampki.

- Statek pracuje przy ograniczonym zasilaniu - powiedziała Chase; jej głos docierający przez komunikator był stłumiony. - Nie ma grawitacji. Chyba funkcjonuje w jakimś trybie serwisowym. Tylko tyle, żeby wszystko nie zamarzło.

Włączyliśmy magnesy w butach. Cykl pompowania powietrza do śluzy nie działał. Przycisk zaświecił się, kiedy go dotknąłem, ale nic się nie wydarzyło. Co gorsza, lampki zaczęły mrugać na pomarańczowo i rozległ się syk powietrza. Chase szarpnęła zewnętrzną klapę i zamknęła ją, a następnie ją dokręciliśmy.

Powietrze napływało dalej; trzpienie wewnętrznych mechanizmów przesuwają się w tulejach, światełka ostrzegawcze zmieniły kolor na biały, aż w końcu klapa prowadząca do wnętrza statku odsunęła się bezgłośnie na naoliwionych zawiasach.

Spojrzeliliśmy na słabo oświetlone pomieszczenie. Wnętrze najważniejszego statku w historii! Chase wyciągnęła odzianą w rękawicę dłoń, ujęła moją i wymieniliśmy uścisk dłoni. Potem stanęła z boku, żeby mnie przepuścić.

Pochyliłem głowę i wszedłem.

Pomieszczenie wypełniały szafki, pulpity komputerowe i duże szaty pełne

mierników, taśm pomiarowych i elektronicznych kluczy. Blisko śluzę wisiały skafandry, a jedną ze ścian pokrywał komputerowy diagram statku. Na końcu pomieszczenia widać było taką samą klapę jak ta, przez którą weszliśmy.

Chase spojrzała na miernik na nadgarstku.

- Zawartość tlenu do wytrzymania - powiedziała. - Trochę niska, ale da się oddychać. Temperatura niecałe trzy stopnie. Chłodno.

Rozpięła hełm, uniosła go i ostrożnie wciągnęła haust powietrza.

- Przykręcili ogrzewanie - powiedziałem, zdejmując własny hełm.

- Tak - przytaknęła. - Właśnie tak. Ktoś miał tu wrócić. Nie mogłem oderwać oczu od włączów, jakby któryś mógł w każdej chwili się otworzyć. Chase podeszła do rzędu skafandrów, krok za krokiem, jakby wchodziła do zimnej wody prosto z plaży. Kiedy przy nich stanęła, policzyła je i ogłosiła, że jest ich osiem.

- Wszystkie - dodała.

- A czego się spodziewałaś?

- Myślałam, że nastąpiła jakaś katastrofa, niektórzy wyszli na zewnątrz dokonać napraw i odpadli.

- Musimy zbadać mostek - powiedziałem. - Tam powinniśmy znaleźć odpowiedzi.

- Za minutę, Aleksie. - Otworzyła klapę i przeszła przez nią. - Zaraz wrócę - rzekła przez komunikator.

- Nie rozłączaj się - powiedziałem. - Chcę słyszeć, co się dzieje.

Przez kilka minut słyszałem jej kroki, a na końcu ciężkie stuknięcie kolejnych otwierających się bolców grodzi. Zacząłem się zastanawiać, co się ze mną stanie, jeśli coś przytrafi się Chase, i czekałem z niecierpliwością na jej powrót, próbując sobie przypomnieć, czy ja mam jakieś pojęcie o pilotowaniu „Centaura”. Mój Boże, uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, w jakim kierunku znajdują się tereny Konfederacji.

Wędrowałem między różnymi czarnymi skrzynkami, kablami i diabli wiedzą, czym jeszcze, jakimiś rzeczami, których nawet nie umiałem zidentyfikować, tablicami rozdzielczymi, szklanymi prętami i długimi drągami wypełnionymi jaskrawozieloną cieczą.

Niektóre z szafek najwyraźniej należały do poszczególnych członków załogi. Były podpisane: VanHorn, Ekklinde, Matsumoto, Pornok, Talino, Collander, Smyslov. Mój Boże, siedmiu dezerterów!

Żadna nie była zamknięta. Otwierałem szatki jedna po drugiej i znajdowałem oscylatory, mierniki, drut, generatory, kombinezony. Niewiele więcej. Lisa Pornok (której fotografię widziałem gdzieś w archiwach, i która była niską, ciemnoskórą kobietą o błyszczących oczach) zostawiła antyczny komunikator, który trzeba było nosić w kieszeni, i grzebień. Tom Matsumoto zostawił jaskrawą, kolorową stylową czapkę, która wisiała na haczyku. Manda Collander miała kilka książek w ceruliańskim. Z bojaźnią podszedłem do szafki Tallino, ale było tam tylko kilka książek wypełnionych danymi o zużyciu paliwa i wydajności tarcz, koszula robocza (najwyraźniej był o wiele niższy, niż mi się wydawało) i kilka zapisanych modułów z jakimiś koncertami.

Znalazłem tylko jedno zdjęcie. Kobieta z dzieckiem, w szafce Tora Smyslova. Dziecko wyglądało na chłopca, ale nie byłem w stanie tego stwierdzić.

Wszystko było zamocowane taśmami lub uchwytami albo umieszczone w komorach. Nic nie latało swobodnie. Cały sprzęt był czysty i wypolerowany. Jakby go porzucono wczoraj.

Usłyszałem, jak Chase się zbliża, jeszcze zanim przeszła przez klapę.

- Cóż - powiedziała. - No to jedna teoria upadła.

- Jaka?

- Przyszło mi do głowy, że może polecili na powierzchnię i przydarzył im się jakiś wypadek. Albo lądownik nawalił i nie mogli wrócić.

- Do licha, Chase - odparłem, odrzucając ten pomysł. - Nie wszyscy opuściliby statek.

- Jeśli statek miałby pełną obsadę, to pewnie nie. Ale gdyby tylko kilka osób przeżyło? - Wyrzuciła ręce w górę. - Do licha, to też nie ma sensu. Wydaje mi się, że przylecieli tu, żeby się ukryć. Wojna była przegrana, a niemoty raczej nie brały jeńców. I napęd nawalił. Może jakieś uszkodzenie w bitwie. Nie mogli wrócić do domu. Jeśli radio też nie działało, a to się zdarza, nikt by się nigdy nie dowiedział. A tak naprawdę, na takim statku, i tak chyba nie było radia, którym można by się porozumiewać na takie odległości, jeśli więc wpakowali się w kłopoty, nikt by im nie pomógł. Przynajmniej nikt z jakiegoś ludzkiego świata.

- Coś jeszcze: miałam rację co do modułów Armstronga. Nie ma ich. Są tylko obudowy. Ten cholerny okręt nie ma napędu międzygwiazdowego. Ma magnetyczny napęd do podróżowania w przestrzeni liniowej, ale daleko się na tym nie uleci. Dziwi mnie to, bo trzeba czymś podeprzeć górną część, żeby wyjąć moduły. To ciężka praca.

Nie dałoby się tego tu zrobić.

- W takim razie jak ten statek się tu dostał?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Poza tym lądownik jest nadal w ładowni. Liczba skafandrów się zgadza. Jak załoga miałaby się wydostać?

- Może był drugi statek - podsunąłem.

- Albo nadal tu są. Gdzieś.

Większość paneli świetlnych już nie działała. Korytarze wypełniały cienie, które cofały się przed wiązkami światła naszych ręcznych lamp. Żadna z wind nie funkcjonowała, a powietrze miało posmak ozonu, co sugerowało, że gdzieś przegrzewa się któryś z kompresorów. W jednej z komór było pełno unoszących się kulek wody, inna była wypalona w miejscu, gdzie spalił się kabel elektryczny. Gdzieś z głębi statku słychać było jednostajny, powolny łomot.

- To jakaś kłapa otwiera się i zamyka - powiedziała Chase. - Kolejna usterka.

Nie szło nam to za szybko. Poruszanie się w stanie nieważkości jest kłopotliwe i z większością grodzi mieliśmy problem. Wszystkie były zamknięte. W przypadku niektórych sterowanie działało, inne trzeba było otwierać z użyciem narzędzi. Chase próbowała dwukrotnie przywrócić normalne zasilanie za pomocą dodatkowych tablic rozdzielczych, ale nie udało się. Przy obu próbach zielone lampki zapalały się, co sugerowało, że jakieś funkcje zostały uruchomione, ale nic się nie działo. Przedzieraliśmy się więc dalej w półmroku. Jedna z kłap opierała się nam tak mocno, że zaczęliśmy się zastanawiać, czy za nią nie ma próżni, choć wszystkie odczyty wyglądały na normalne. W końcu zesliśmy poziom niżej i poddaliśmy się.

Rozmawialiśmy niewiele i szeptaliśmy.

- Mesa.

- To wygląda jak centrum dowodzenia. Komputery chyba działają.

- Kajuty prywatne.

- Żadnych ubrań ani przedmiotów osobistych.

- W tamtych szafkach też niewiele było. Musieli zabrać wszystko ze sobą.

Minęło już tyle lat od dnia, gdy Chase i ja spacerowaliśmy po trzewiach tego statku, a mimo to chłód, jaki przenikał „Corsarius”, nadal powraca do mnie nocą.

- Pysznice.

- Do licha, Alex, patrz. Zbrojownia.

Lasery, miotacze, wyrzutnie promieni, igłowce. Pociski nuklearne. Było tam

około tuzina pocisków nuklearnych wielkości pięści.

Zatrzymaliśmy się przed kolejną zamkniętą klapą.

- To chyba tu.

A ja zacząłem się zastanawiać, czy - podobnie jak Sim - stanę się człowiekiem z determinacją.

Drzwi zareagowały na próbę uruchomienia i stanęły otworem.

W zaokrąglonym pleksiglasowym iluminatorze było widać gwiazdy, a w ciemnościach płonęły kontrolki.

- Mostek Christophera Sima - wyszeptało jedno z nas.

- Czekaj chwilę - rzekła Chase. Światła zapłonęły. Natychmiast poznałem go z symulacji: trzy stanowiska, na górze podobna bańka jak ta, w której siedziałem podczas ataku na Hrinwhar, sprzęt nawigacyjny, komunikacyjny, sterowanie uzbrojeniem.

- Prymitywne urządzenia - rzekła Chase, stając koło stanowiska sternika. Jej głos odbijał się echem od ścian. Podszedłem i stanąłem za fotelem dowódcy. To stąd Sim dowodził potyczkami, które przeszły do legendy.

Chase z namysłem zbadała konsole i rozpromieniła się, gdy znalazła to, czego szukała.

- Uwaga, zaraz będzie jedno g.

Wystukała jakąś sekwencję i skrzywiła się, gdy nie nastąpiła żadna reakcja. Spróbowała jeszcze raz; tym razem coś w ścianach jęknęło, zatrzeszczało i zaskoczyło. Poczułem, jak krew, organy wewnętrzne, włosy, wszystko inne opada w stronę pokładu. - Włączyłam też ogrzewanie - oznajmiła.

- Chase - powiedziałem - najwyższy czas, żeby kapitan Sim przemówił.

Pokiwała obojętnie głową.

- Tak. Bezwzględnie, dowiedzmy się, co się stało.

Zacząła eksperymentować z jednym z pulpitów sterujących. Światła przygasły, monitory rozbłysły i pojawił się widok na zewnątrz statku. Jedna z kamer namierzyła „Centaura” i zatrzymała się na nim. Druga pokazywała kapsułę, którą przylecieliśmy.

- To chyba sterowanie uzbrojeniem - powiedziała Chase.

- Nie dotykaj niczego. Nie wiem, w jakim stanie jest broń, ale wygląda na sprawną. Wolałabym, żebyś nie rozwaliał w strzępy naszego transportu do domu.

Włożyłem rękę do kieszeni.

Próbowałem sobie wyobrazić ten mostek, taki jak na pokładzie „Stein”: cichy, zorganizowany, oświetlony punktowo tylko tam, gdzie było to konieczne. Wszystko jednak działo się tam za szybko, żebym mógł podejrzeć procedury. Nie miałem pojęcia, kto odpowiada za co.

- Potrafisz uruchomić dziennik pokładowy? - Spytałem.

- Ciągle szukam. Nie znam tych symboli. Poczekaj. System komunikacji statku włączył się i wyłączył.

- Może oni go zabrali - powiedziałem, mając na myśli ludzi z „Tenandrome”.

- Komputer mówi, że wszystko tu jest. Wystarczy poszukać.

Gdy szukała, ja zająłem się oglądaniem centrum dowodzenia, po którym było widać, że zaprojektowali je ludzie kochający łuk, pętlę i parabolę. Geometria przypominała tę z zewnątrz statku: trudno było znaleźć jedną linię prostą. Było też jasne, że Dellakondyjczycy nigdy nie czcili bogów użyteczności, którzy zdominowali nasze czasy. Wnętrze statku było bogate i luksusowe, jakby woleli iść na wojnę otoczeni pięknem. Wydało mi się to dziwną skłonnością w przypadku ludu wywodzącego się z, górzystych krain o ostrym klimacie.

- Dobrze, Aleksie. Mam. To są ostatnie zapisy. - Zamilkła na chwilę, jakby chciała podkreślić powagę chwili, albo może, żeby pozwolić mi się nad czymś zastanowić. - Następny głos, jaki usłyszymy...

... Na pewno nie był głosem Christophera Sima.

Zero sześć czternaście dwadzieścia dwa, oznajmił. Abonai Cztery. Dziś zakończono naprawy kategorii jeden i dwa. Naprawy kategorii trzy zgodnie z wykazem. Systemy uzbrojenia w pełni odbudowane. „Corsarius” wraca do służby. Deveraux, obsługa techniczna.

- To pewnie szef ekip naprawczych - powiedziałem.

- Jeśli oddają statek pod komendę kapitana, powinno być coś jeszcze.

I było. Christopher Sim wygłosił niewiele przemówień, nigdy nie przemawiał w parlamentach i nie żył na tyle długo, by wygłosić mowę pożegnalną. W przeciwieństwie do głosu Tariena jego głos nie stał się znany wśród młodzieży szkolnej Konfederacji. A mimo to od razu go poznałem. I zachwyciło mnie, jak świetnie dali sobie radę aktorzy z odtworzeniem go.

Zero sześć czternaście trzydzieści siedem, oznajmił ciepły baryton. „Corsarius” odebrany zgodnie z zamówieniem dwa dwa trzy kappa. Odnotowano, że przednie transformatory dają wynik dziewięć sześć przecinek trzy siedem, co nie

jest poziomem akceptowalnym w walce. Dowództwo przyjmuje do wiadomości, że służby portu pracują w pośpiechu. Tak czy inaczej, jeśli służby techniczne nie będą w stanie przeprowadzić napraw, powinny przynajmniej wiedzieć o występowaniu awarii. „Corsarius” wraca do portu. Christopher Sim, kapitan.

Kolejna seria zapisów dotyczyła przywrócenia mocy transformatora i rzeczowy głos Sima zaakceptował ją bez uwag. Ale jeszcze po upływie dwóch stuleci w jego głosie dało się wyczuć satysfakcję. Uwielbiał mieć ostatnie słowo, pomyślałem rozbawiony.

- To oznacza zakończenie napraw na Abonai - powiedziałem. - Tuż przed tym, jak zbuntowała się załoga.

- Tak. Daty się zgadzają.

- Mój Boże - rzekłem. - Bunt, Siódemka, mamy wszystko. Dawaj resztę!

Odwróciła się powoli w moim kierunku, z bladym uśmiechem.

- To jest ostatni zapis - oznajmiła głuchym tonem. - Potem już nic nie ma.

Na jej górnej wardze zebrały się krople potu, choć powietrze nadal było chłodne.

- W takim razie ludzie z „Tenandrome” je usunęli! - Powiedziałem, może trochę za głośno.

- Aleksie, to jest dziennik pokładowy statku. Nie można go skasować, nie można go sfalszować, nie można go usunąć, nie można go w żaden sposób zmienić tak, by nie pozostawić śladów. Komputer twierdzi, że jest nietknięty. - Pochyliła się, postukała w klawiaturę, rzuciła okiem na wyniki i wzruszyła ramionami. - Wszystko jest tutaj.

- Ale zaraz potem „Corsarius” brał udział w bitwie! Musiały być jakieś zapisy, prawda?

- Tak - odparła. - Nie wyobrażam sobie działań wojennych bez obowiązkowego prowadzenia dziennika statku. Bez względu na to, jaki był powód, Christopher Sim zabrał w najważniejszy bój swego życia załogę złożoną z ochotników i nie wpisał niczego do dziennika pokładowego.

- Może był zbyt zajęty - podsunąłem.

- Aleksie, to nie jest możliwe.

Z jakąś niepewnością w ruchach zasiadła w fotelu kapitana i wprowadziła nowe instrukcje.

- Zobaczmy, co się stanie, jak zaczniemy się cofać. Głos Sima znów przemówił:

Nie mam wątpliwości, że zniszczenie dwóch krążowników bojowych skieruje uwagę wroga na dwie małe bazy wojskowe na Dimonidesie II i Chippewie. Wręcz trudno sobie wyobrazić, żeby stało się inaczej. Te pozycje są dla wroga kością w gardle i zostaną zaatakowane, gdy tylko wróg będzie dysponował wystarczającą siłą bojową. Aszijurowie prawdopodobnie skierują swoje siły na...

- To chyba było na początku wojny - mruknąłem.

- Tak. Dobrze wiedzieć, że przynajmniej używał dziennika.

Słuchaliśmy, jak Sim opisuje skład i moc przewidywanych sił i wdaje się w skomplikowany opis psychologii wroga oraz jego prawdopodobnej strategii ataku. Duże wrażenie zrobił na mnie fakt, że przeważnie miał rację. Chase słuchała przez chwilę. Potem wstała i oznajmiła, że chce zbadać resztę statku.

- Idziesz ze mną?

- Wolę zostać i jeszcze trochę posłuchać.

Może był to błąd.

Gdy wyszła, siedziałem w półmroku, słuchając prognoz zapotrzebowania energetycznego i uwag na temat technologii wroga, jak również związanych komentarzy na temat partyzanckiej taktyki atakowania przez Sima dużych flot wroga.

Nic dziwnego, że Gabriel był tak podekscytowany! Ciekawe, czy też wiedział dokładnie, co tropi.

Stopniowo wciągnął mnie dramatyzm tych walk, które miały miejsce tak dawno temu, i zobaczyłem potworne formacje Aszijurów oczami dowódcy, któremu cały czas się udawało rozpraszać je, a przynajmniej ich unikać, mają zaledwie garstkę lekkich okrętów. Zacząłem rozumieć znaczenie jego talentów wywiadowczych, podsłuchiwania transmisji między liniami wroga, analizy ruchów floty, nawet jego znajomości psychologii poszczególnych dowódców wśród wrogów. Wyglądało na to, że nie mogą pójść do toalety tak, żeby Sim o tym nie wiedział.

Poszczególne relacje były fascynujące.

Po odlocie z Sanurasu Dellakondyjczycy, wspomagani przez kilka okrętów sprzymierzeńców, wpędzili w zasadzkę i zniszczyli dwa ciężkie krążowniki, tracąc tylko jedną fregatę. Słuchałem Sima opowiadającego o starciu w układzie Prządek. Były też inne akcje, o których nigdy nie słyszałem. Zawsze jednak, mimo długiego szeregu zwycięstw, wyniki były takie same: wycofać się, ocenić straty, przegrupować. Dellakondyjczycy nigdy nie stawali do otwartej walki: od czasu do czasu Sim był zmuszony się wycofać tylko dlatego, że brakło mu sił, by wykorzystać zwycięstwo.

A potem była Ilianda.

Sądzę, że tam możemy ich pokonać, ogłasza tajemniczo. Jeśli nie tam, to obawiam się, że nigdzie. W tej chwili zrozumiałem, że opowieść Kindrel Lee była prawdą.

Wymienia instrument egzekucji, ale go nie opisuje.

Helios.

Słoneczna broń.

Milczy przez chwilę, jakby nie wiedział, co powiedzieć. *I jestem pewien, tak pewien jak tego, że siedzę w tym fotelu, iż historia mnie surowo osądzi za to, co zamierzam zrobić. Ale, Boże dopomóż, nie widzę innego wyjścia.*

Ewakuacja na Iliandzie przebiega wolniej, niż planowaliśmy. Niektórzy ludzie protestują, twierdząc, że mają prawo zostać. Nie mogę do tego dopuścić i tam, gdzie jest to konieczne, uciekamy się do przemocy. A później: Jest mało prawdopodobne, żebyśmy zdołali zabrać wszystkich. Zrobimy, co w naszej mocy. Bez względu jednak na to, jak to będzie wyglądało z chwilą przybycia niemot, naciśniemy spust zgodnie z planem!

Napięcie rośnie, gdy aszijurska armada pojawia się wśród planet zewnętrznych. *Musimy zabrać wszystko i zaprzestać wszelkich nienaturalnych ruchów, zanim dostaną się w zasięg skanera.* Mówi się o poświęceniu kilku fregat z powodu opóźnienia, ale Sim oświadcza, że nie może dopuścić do tego, żeby Aszijurowie zorientowali się, że ich obecność została wykryta. Tymczasem kilka środków transportu, na które liczono, nie zjawia się. Dellakondyjczycy przystosowują więc ładownie wahadłowców (które oczywiście mogą podróżować tylko w przestrzeni międzyplanetarnej), wykładając je kocami i ubraniami. Zabierają ostatnich uciekinierów i odlatują.

Jeśli będą mieli szczęście, nie zostaną zauważeni. Trochę zgłodnieją, może ktoś zostanie poparzony. Ale mają szansę.

Mając jeszcze pięć godzin do ostatecznego terminu ucieczki, Sim wycofuje grupy operacyjne, które koordynowały ewakuację ludzi i ratowały literaturę i sztukę Iliandy. *Tarien mówi, że żadna cena nie jest zbyt wysoka, jeśli stawką jest powstrzymanie niemot. Chyba ma rację.*

W ostatniej chwili w Point Edward jeszcze znajdują jakichś ludzi i wsadzają ich do dwóch pozostałych wahadłowców. Spośród sił Sima zostają tylko pojedyncze jednostki: chodzi o to, żeby cel namierzany przez skanery był jak najmniejszy. I

wreszcie zostaje tylko „Corsarius”. Większość spóźnialskich trafia na pokład i okręt wyrusza w drogę.

Przejrzałem pośpiesznie kilka ostatnich zapisów. „Corsarius” oddalił się na odległość pół parseka, gdzie miał się zatrzymać i obserwować. Aszijurska flota zbliża się, wysyła ostrzeżenia do Dellakondyjczyków, proponuje Simowi, żeby się poddał.

Sim tak to opisuje w dzienniku: *„Opór jest bezcelowy”, mówi głos wroga, jest mechaniczny, obojętny, nadzwyczaj rzeczowy. Nie ma w nim ani cienia radości. „Uratujecie życie swoich załóg”.*

Rozejrzałem się po mostku. Z trudem do mnie docierało, że to wszystko wydarzyło się tutaj. Na zewnątrz pojawiła się tarcza planety, mglista w świetle słońca. Gdzie był Talino, kiedy oni czekali?

Stacja ostrzelała statki wroga ze swoich skromnych baterii. Działa zostały jednak szybko zniszczone, a kilka niszczycieli wykonało wymuszone lądowanie.

Teraz, dodaje. I w jego głosie pobrzmiwa niewypowiedziane pytanie.

Ja zaś pomyślałem: Matt Olander siedzi w barze na lotnisku. Wyłączył automatyczne odpalanie broni, a ktoś odwrócił jego uwagę.

Cztery dni później „Corsarius” wysadził pasażerów na Milenium. Sprawdziłem w tabelach: nowoczesny liniowiec, podróżujący między Iliandą a Milenium, potrzebowałby ośmiu i pół dnia wyłącznie w przestrzeni Armstronga. Jak on to zrobił?

Było coś jeszcze, zapis w dzienniku po serii raportów serwisowych: *Musimy dowiedzieć się, co się stało. To może jeszcze eksplodować. Trzeba je rozbroić i zabezpieczyć.*

Po tym zapis jest uszkodzony. Próbowałem go odczytać, gdy Chase wróciła.

- Nigdzie nie ma żadnych szczątków - oznajmiła.

Opowiedziałem jej, co znalazłem. Przesłuchała zapis, próbując go jakoś naprawić, ale potrząsnęła głową.

- To jakiś kod zabezpieczający. Nie chciał, żeby ktokolwiek to odczytał.

- To określenie mnie martwi - powiedziałem. - „Rozbroić i zabezpieczyć”.

Przecież to to samo. Sim zwykle wyrażał się bardzo precyzyjnie. Co należy zrobić ze słoneczną bronią po jej rozbrojeniu, żeby ją zabezpieczyć?

„Spojrzelśmy po sobie i w tej samej chwili przyszła nam do głowy identyczna myśl.

- On mówi o innego rodzaju zabezpieczeniach - powiedziała Chase. - Nikt nie może wiedzieć, że taka broń istniała.

- Co oznacza, że będą jakoś musieli wyjaśnić ewakuację. - Usiadłem w fotelu Sima. Był dla mnie trochę za mały.

- Czyż nie mieli szczęścia - rzekła cicho - że niemoty zachowały się tak nietypowo w przypadku Point Edward? Zaoszczędziło to Simowi konieczności odpowiadania na wiele pytań.

Patrzyła na mnie przez długą chwilę. I wreszcie zrozumiałem, dlaczego nastąpił atak na Point Edward. I kto go przeprowadził.

Dalej znalazłem jeszcze inne zapisy. Sim i „Corsarius” brali udział w potyczkach w kilkunastu różnych miejscach na pograniczu. Sim się zmienił; najpierw w jego tonie, a potem w komentarzach zacząłem rozpoznawać rozpacz, która rosła z każdym sukcesem i następującym po nim wycofaniem się. Usłyszałem jego reakcję na klęskę pod Salinas i utratę kolejnych sprzymierzonych światów. Wyglądało to, jakby czarne statki były nieprzebrane. I wreszcie nadeszły wieści o zajęciu Dellakondy, które skomentował tylko wyszeptaniem imienia Mauriny.

Ale nie wspomniał już ani razu o słonecznej broni.

Narzekał na krótkowzroczność Rimway, Toksykonu i Ziemi, które uważały, że znajdują się w bezpiecznej odległości, bały się wystąpić otwarcie przeciwko najeźdźcom, podsycaly między sobą animozje i podejrzenia jeszcze gorsze niż te, które żywiły wobec wroga. A gdy za zwycięstwo pod Chapparal zapłacił utratą pięciu fregat i lekkiego krążownika obsadzonego przez ochotników z Toksykonu, skomentował to tak: *Tracimy najlepszych i najodważniejszych ludzi. I w jakim celu?* Tu nastąpiła długa cisza, po czym dodał coś zupełnie niezrozumiałego: *Jeśli nie przybędę, czas wprowadzić nasz własny pokój.*

Podczas tego długiego odwrotu popadał w coraz gorszy nastrój. A gdy dwa statki z jego uszczuplonego dywizjonu zostały strącone pod Como Des, jego gniew sięgnął zenitu: *Pewnego dnia powstanie Konfederacja, ale nie zostanie zbudowana na trupach moich ludzi!* To ten sam głos, który oskarżał Spartan.

XXIII

Samotność podstawia lustro szaleństwu. W jego chłodnym odbiciu nie można łatwo uciec od prawdy.

Wielebna Agathe Lawless, *Rozmyślania o zachodzie słońca*

WRÓCILIŚMY na „Centaura”, żeby coś zjeść i trochę się przespać. Sen jednak nie przychodził: rozmawialiśmy przez kilka godzin, spekulując na temat tego, co mogło stać się z kapitanem i załogą „Corsariususa”. Czy ludzie z „Tenandrome” znaleźli szczątki na pokładzie? I wyprawili im pogrzeb? Rytualna salwa, powrót do domu i zapomnieć o wszystkim? Udawać, że to się nigdy nie zdarzyło?

- Nie przypuszczam - rzekła Chase.

- Dlaczego?

- Tradycja. Gdyby kapitan „Tenandrome” podjęła takie działania, musiałaby dokonać ostatniego wpisu do dziennika pokładowego. - Spojrzała na stary okręt wojenny, na jego światła pozycyjne świecące na biało i czerwono na tle wyrazistego nieba. - Nie. Założę się, że znaleźli go dokładnie w takim stanie jak my. To Latający Holender. - Założyła ręce na piersi, jakby w kabinie nagle zrobiło się zimno. - Może niemożyli zajęli statek, uprowadziły załogę i zostawiły go, żebyśmy mieli zagwozdkę? Lekcja pogładowa.

- Tutaj? I sądzili, że ktoś go tu znajdzie?

Chase potrząsnęła głową i zamknęła oczy.

- Przeanalizujemy to wszystko jeszcze raz?

- Nie mamy dotąd żadnych odpowiedzi.

Poruszyła się w ciemności i w kabinie rozległa się cicha muzyka.

- Może ich tu wcale nie ma.

- Jak myślisz, czego Scott szukał przez te wszystkie lata?

- Nie wiem.

- Coś znalazł. Przeszukał ten statek, tak samo jak my, i coś znalazł.

Kiedy rozmawialiśmy, oddaliliśmy się o kilka kilometrów. Chase uśmiechnęła się z żalem, ale przyznała, że widok wraku ją przeraża.

Nie mogłem zapomnieć obrazu Christophera Sima w rozpacz. Nigdy nie przychodziło mi do głowy, że z tych wszystkich ludzi akurat on wątpił w ostateczny wynik wojny. Oczywiście głupio byłoby przypuszczać, że miał taką możliwość oceniania wszystkiego z perspektywy czasu jak ja. Okazał się zupełnie ludzki. I w tej rozpacz, w jego trosce o życie towarzyszy i ludzi, których bronił, wyczułem coś, co mogłoby rozwiązać tajemnicę opuszczonego statku.

Pewnego dnia powstanie Konfederacja, ale nie zostanie zbudowana na trupach moich ludzi.

Długo po tym, jak Chase poszła spać, próbowałem uporządkować wszystko, co wiedziałem lub mogłem odgadnąć o Aszijurach, Siódemce, prawdopodobnym stanie umysłu Sima i akcji w układzie gwiazdy Rigel.

Trudno było zapomnieć wycelowane we mnie działa „Corsarius” podczas symulacji. Tylko że - oczywiście - w rzeczywistości nie miało to miejsca. Wybieg Sima się sprawdził. „Corsariusowi” i „Kudasai” udało się zaskoczyć atakujące statki. Wróg poniósł poważne straty, zanim „Corsarius” spłonął w pojedynku z krążownikiem. Przynajmniej tak brzmiała wersja oficjalna.

Rzecz jasna, w rzeczywistości tak nie było. I zastanawiałem się także, dlaczego Sim zmienił strategię w układzie gwiazdy Rigel. Podczas szeregu potyczek, które okazały się sukcesem, zawsze osobiście prowadził Dellakondyjczyków do boju. Tym razem jednak wolał towarzyszyć „Kudasai” podczas głównego ataku, zaś jego fregaty wbiły nóż w plecy skrzydła floty Aszijurów.

Ten z braci, który przeżył, kilka tygodni później zginął na pokładzie „Kudasai” pod Nimrod. Tarien dożył jednak chwili, w której stało się jasne, że jego działania dyplomatyczne odniosły sukces. Ziemia i Rimway uścisnęły sobie dłonie, a Toksykon już przystąpił do wojny.

Siódemka: to wszystko jakoś łączyło się z opowieścią o Siódemce. Jak to się stało, że nazwiska tych ludzi się nie zachowały? Czyżby nieprzypadkowo najważniejsze prawdopodobne źródło tej informacji, dziennik pokładowy „Corsarius”, milczał na ten temat, nie wspominając też o samej bitwie? To przecież niemożliwe!

Niemożliwe.

I gdzieś, na śliskim skraju rzeczywistości i intuicji, która poprzedza sen,

rozumiałem. Z jasnością i chłodną pewnością rozumiałem. I gdybym zdołał, przestałbym o tym myśleć i wrócił do domu.

Chase spała mocno przez następnych kilka godzin. Kiedy się obudziła, było znów ciemno; spytała, co zamierzam zrobić.

Zacząłem rozumieć, na czym polegał dylemat załogi „Tenandrome”. Christopher Sim, bez względu na to, jak zginął, był czymś więcej niż zwykłą postacią historyczną. Byliśmy uwikłani w aferę związaną z najważniejszym symbolem naszej politycznej egzystencji.

- Nie wiem - odparłem. - To miejsce, ta planeta, to cmentarz. Cmentarz z tajemnicą przepełnioną poczuciem winy.

Chase spojrzała na mroźną, omiataną chmurami powierzchnię planety.

- Może masz rację - powiedziała. - Nie ma zwłok. Nie ma zwłok, nie ma nazwisk, nie ma zapisów w dzienniku. A „Corsarius”, którego nie powinno być, krąży jak wskazówki zegara, co sześć godzin i jedenaście minut.

- Oni chcieli wrócić - powiedziałem. - Przełączyli statek w tryb oczekiwania. To oznacza, że ktoś miał wrócić.

- Ale nie wrócił - rzekła. - Czemu?

W całej historii cywilizacji helleńskiej nie było bardziej mrocznej i bezsensownej zbrodni niż całkowicie zbędne poświęcenie Leonidasa i jego bohaterów pod Termopilami. Lepiej byłoby, żeby doszło do upadku Sparty niż do utraty takich ludzi.

Pod zasłoną chmur, daleko w dole, przebłyskiwało morze.

Kapsuła „Centaura” była przeznaczona do przemieszczania się ze statku do statku lub z orbity na powierzchnię planety. Nie wykorzystywano jej do tego, do czego ja miałem zamiar ją wykorzystać: do długiego lotu w atmosferze. Mogła okazać się niestabilna w razie silnego wiatru, była ciasna i stosunkowo wolna. Ale mogła lądować na lądzie lub wodzie. I niczego lepszego nie mieliśmy.

Wyładowałem ją zapasami na kilka dni.

- Po co? - Spytała Chase. - Co tam jest?

- Nie wiem - odparłem. - Nie będę wyłączał kamer.

- Mam lepszy pomysł: lećmy oboje.

Propozycja była kusząca, ale instynkt podpowiadał mi, że ktoś powinien zostać na statku.

- Aleksie, oni od dawna nie żyją. Jaki to ma sens?

- Talino - odparłem. - I pozostali. Jesteśmy im coś winni. Prawda powinna być wartością samą w sobie.

Wyglądała na zaniepokojoną.

- A co ja zrobię - zaprotestowała - jeśli wpakujesz się w jakieś kłopoty? Nie będę w stanie się tam dostać, żeby cię wyciągnąć.

- Nic mi się nie stanie. A jeśli nawet, ściągniesz pomoc. Uśmiechnęła się krzywo, pewnie myśląc o tym, ile trwa podróż tam i z powrotem.

Uruchomiliśmy różne testy systemów kapsuły.

- Nie przełączaj na ręczny, dopóki nie wylądujesz, a najlepiej wcale. Komputery zrobią to za ciebie. Ty tylko lecisz, na przejażdżkę. - Spojrzała na mnie.

Chciałem ją objąć, ale zeszywniała i odsunęła się, potrząsając głową.

- Jak wrócisz - powiedziała tak cicho, że ledwo usłyszałem.

Wspiąłem się do kapsuły, zamknąłem osłonę i zabezpieczyłem ją. Chase zastukała dwa razy, uniosła kciuki, odwróciła się szybko i wyszła z ładowni. Patrzyłem, jak światelka nad klapą zmieniają kolor, informując, że ładownia została zamknięta.

Na ekranie pojawił się jej obraz.

- Gotów?

Uśmiechnąłem się dzielnie i skinąłem głową.

Czerwone lampki w ładowni pociemniały, a następnie zmieniły się w zielone. Pokład pod kapsułą otworzył się i znów patrzyłem na smugi chmur na tle lśniącego jak klejnot oceanu.

- Trzydzieści sekund do startu.

- W porządku. - Spojrzałem na deskę rozdzielczą.

- Kiedy tam dotrzesz, będzie późne popołudnie - powiedziała. - Masz jakieś trzy godziny do zmierzchu.

- Dobrze.

- Zostań w kapsule na noc. Nic nie wiemy o tej planecie. A najlepiej, jakbyś nie lądował i po zmroku trzymał się z dala od lądu.

- Dobrze, mamusiu.

- Alex...?

- Tak?

- I zrób, jak mówiłeś, nie wyłączaj kamer. Będę ci towarzyszyć.

Kapsuła zadrżała, gdy uruchomił się magnes. Spadałem w chmurach.

Nad oceanem padało. Kapsuła opadła przez szare chmury i wyrównała lot gdzieś na wysokości tysiąca kilometrów. Skręciła na południowy zachód zgodnie ze zdefiniowanym uprzednio kursem, równoległym do trasy przelotu „Corsarius”.

Z pokrywającego całą planetę oceanu wyrastały tysiące wysp; nie było mowy, żebym przeszukał je wszystkie. Ale „Corsarius” pozostał na orbicie.

Teraz bytem już pewien, że to był spisek. Jego kształt i forma były dla mnie niejasne, ale nie miałem wątpliwości co do tego, kto był jego główną ofiarą. Po co jednak mieliby opuszczać statek? Żeby go torturować? Albo jako znak, że po niego wróca? Bez względu na to, jak było, spiskowcy, choć mieli do dyspozycji całą planetę, na pewno umieściliby go gdzieś tuż pod trasą przelotu okrętu.

Zamknięty w łonie bąbla-kokpitu, czułem się bezpiecznie. Było mi ciepło, choć deszcz bębnił po szybie wielkimi, wolno spływającymi kroplami.

- Chase?

- Jestem.

- Wyspy na horyzoncie.

- Widzę. Jak tam?

- Trochę trzęsie. Nie wiem, co będzie, jak zaczniesz solidnie wiać.

- Kapsuła powinna być stosunkowo stabilna. Ale jest mała. Nie jest przeznaczona do takich przejażdżek. - W jej głosie pobrzmiwała troska. - Może wolałbyś zawęzić obszar poszukiwań?

Planowałem zbadać wszystko w pasie o szerokości ośmiuset kilometrów, rozciągającym się w obie strony od linii położonej bezpośrednio pod orbitą „Corsarius”.

- Pewnie już jest za wąski.

- Nieźle się narobisz.

- Wiem.

- Zanim zaliczysz wszystkie wyspy, skończą ci się kanapki. Masz szczęście, że nie musisz, szukać po kontynencie.

- To bez znaczenia - powiedziałem. - Za zimno tu.

Ta uwaga pewnie wydała się jej niejasna, ale nie dopytywała się.

Zbliżałem się do pierwszej grupy wysp. Wyglądały na puste: piasek, skała, trochę skąpych krzewów i usychających drzew. Leciałem dalej.

Zbliżał się zachód słońca i burza ucichła. Niebo spurpurowiało, a morze stało

się gładkie, spokojne i przejrzyste. Stada wielkich stworzeń o czarnych cielskach prześlizgiwały się pod powierzchnią, a na horyzoncie na zachodzie piętrzyły się wieże z oświetlonych słońcem cumulusów.

Ocean był upstrzony białymi, piaszczystymi rafami, zielonymi, porośniętymi paprociami atolami, grzbietami, pasmami i wysepkami. Były tam zarówno grupy wysp, które ciągnęły się na tysiące kilometrów, jak i pojedyncze skały zagubione w bezmiarze oceanu.

Chase była poirytowana.

- Gdybym wiedziała, czego szukasz, może mogłabym ci pomóc.

- Sima i Siódemki - odparłem. - Szukamy Sima i Siódemki.

Nie widziałem nigdzie żadnych ptaków, ale widziałem stada lataczy. Były o wiele większe niż ich kuzyni z Rimway czy Akwarium - chyba nigdzie nie widziałem tak ogromnych. To żywe balony gazowe, których odmiany żyją na wielu planetach, miotane pędami powietrza. Unoszą się i nurkują w zgodnym ruchu, wirując w dzikim chaosie jak balony w nagłym podmuchu.

Wszystkie latacze, o których słyszałem, były zwierzętami. Te wyglądały jakoś inaczej i potem dowiedziałem się, że moje pierwsze domysły były słuszne. Ich worki gazowe były zielone i było w nich coś roślinnego. Większe były mniej ruchliwe. Z pnia wyrastały długie wąsy, a bardziej osiadłe z nich dryfowały na powierzchni. Nie dostrzegłem żadnych cech zwierzęcych, takich jak oczy. Przypuszczałem, że to ekosystem, w którym - w przeciwieństwie do większości zamieszkałych planet - żyją stworzenia z pogranicza świata roślinnego i zwierzęcego.

Kilka zbliżyło się do kapsuły, ale nie były w stanie jej dogonić, a choć byłem ciekaw, nie chciałem zwalniać. Leciałem dalej. Może jutro się nimi zajmę.

Minałem grupę pustynnych wysp, gdy gasły ostatnie promienie słońca. Występowały parami, w równych odstępach. Odciski stóp Stwórcy, powiedział Wally Candles o podobnym archipelagu na Khaja Luan. (Wtedy bytem już niezłym ekspertem od Candlesa).

Candles i Sim: ile wiedział poeta?

Nasze dzieci stawia czoła milczącej furii

I dokonają tego bez Wojownika

Który spaceruje pośród gwiazd

Na dalekim Belmincour.

Tak, pomyślałem: Belmincour.

Tak.

Późnym popołudniem następnego dnia znalazłem się na półkuli południowej i zbliżyłem się do wyspy o kształcie klina, zdominowanej przez pojedynczy wulkan. Była cała pokryta roślinnością: fioletowo-zielone paprocie, szerokie białe kwiaty i gęste zielone pnącza czepiały się każdego kawałka skały. W spokojnych jeziorach przeglądało się niebo, była tam też naturalna przystań z wodospadem. Co za idealne miejsce, pomyślałem, lądując na wąskim pasku plaży między dżunglą a morzem.

Opuściłem kapsułę, ugotowałem sobie obiad na ognisku i patrzyłem, jak „Corsarius” przelatuje nade mną: ciemna biała gwiazda na tle ciemniejącego nieba. Zjadłem stek i wypilem piwo. I próbowałem sobie wyobrazić, jak bym się czuł, gdyby kapsuła (której światła lśniły kojąco o kilka metrów ode mnie) nagle znikła. Albo gdyby znikła Chase.

Zrzuciłem buty i pomaszerowałem pod gwiazdami w stronę brzegu. Przyplływ wypłukiwał mi piasek spod stóp. Ocean był bardzo spokojny, a izolacja tej planety nieomal namacalna. Uruchomiłem komunikator.

- Chase?

- Jestem.

- Widzę „Corsarius”.

- Aleksie, pomyślałeś, co chcemy z nim zrobić?

- Ze statkiem? Nie wiem. Pewnie dobrze byłoby zabrać go do domu.

- Ale jak? Nie ma modułów Armstronga.

- Musi być jakiś sposób. Przecież jakoś tu doleciał. Słuchaj, powinnaś zobaczyć tę plażę.

- Wyszedłeś z kapsuły - rzekła oskarżycielskim tonem.

- Szkoda, że cię tu nie ma.

- Aleksie, ciebie nie można na minutę z oczu spuścić. Masz coś, czego mógłbyś użyć do obrony? Nie przyszło mi do głowy, żeby spakować jakąś broń.

- Nic mi się nie stanie. Tu nie ma dużych zwierząt. Niczego, co mogłoby być groźne. A poza tym, jak popatrzyasz na niebo, trochę na północ, zobaczysz coś ciekawego.

Usłyszałem w komunikatorze, że się poruszyła, po czym wciągnęła gwałtownie powietrze. Koło Wally'ego Candlesa. Skupisko gwiazd, które wyglądało, jakby

obracało się na tle nieba: lśniąca aureola dominująca na niebie, zjawisko o niebiańskiej urodzie.

Wróciłem do kapsuły i ze skrzynki wyciągnąłem dwa koce.

- Aleksie, co ty tam robisz?

- Szykuję sobie spanie na plaży.

- Aleksie, proszę cię, nie rób tego.

- Chase, w kokpicie jest ciasno. A tu tak pięknie.

Istotnie tak było: hipnotyczny szum fal i bryza smakująca solą.

- Aleksie, nie znasz tego miejsca. Coś cię może pożreć w nocy.

Zaśmiałem się - jak śmieją się ludzie, którzy chcą dać komuś do zrozumienia, że za bardzo się przejmują - stanąłem w zasięgu kamer kapsuły i pomachałem jej. Jej troska była jednak tak zaraźliwa, że pewnie wróciłbym do kapsuły, gdybym tylko mógł się z wdziękiem wycofać.

Rzuciłem podejrzliwe spojrzenie na czarną linię dżungli, która znajdowała się zaledwie kilkanaście metrów ode mnie, i rozłożyłem koc na piasku. Wybrałem miejsce zaledwie o kilka metrów od kapsuły.

- Dobranoc, Chase.

- Powodzenia, Aleksie.

Rankiem przeciąłem wyspę wzdłuż i wszerz, co zajęło mi godzinę, ale niczego nie znalazłem. Rozczarowany znów wyruszyłem nad szerokim przestworem oceanu. Późnym rankiem wpadłem w gwałtowną nawałnicę. Nabrałem wysokości, żeby wydostać się ponad burzę. Przez większość dnia przelatywałem przez obszary, gdzie pogoda była nieciekawa. Przyjrzałem się kilku innym miejscom, czasem w jaskrawym słońcu, czasem w chłodnym deszczu. Było mnóstwo lataczy, które chroniły się przed burzą pod drzewami albo w miejscach osłoniętych przed wiatrem przy skarpach i skałach.

Moje instrumenty działały skuteczniej na krótszych dystansach, więc trzymałem się jakieś pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Chase upierała się, żebym nabrał wysokości, tłumacząc mi, że nagły powiew wiatru może zdmuchnąć kapsułę do morza. Nie było jednak oznak silniejszego wiatru, choć często trafiały się burze.

Tego popołudnia przyjrzałem się może dwudziestu wyspom. Żadna nie wyglądała obiecująco. Zbliżałem się do kolejnej (dużej, bardzo podobnej do tej z wulkanem), kiedy coś niezwykłego przykuło moją uwagę. Nie wiedziałem, co to jest, choć miało związek z chmurą lataczy kłębiących się beładnie tuż nad powierzchnią,

jakieś pół kilometra od wyspy.

Przełączyłem kapsułę na sterowanie ręczne i zmniejszyłem prędkość.

- Co się dzieje?

- Nic, Chase.

- Tracisz wysokość.

- Wiem. Przyglądałem się lataczom.

Kilka z nich zareagowało, jakby zauważyły moją obecność, tak samo jak wczoraj. Ale musiały uznać, że nie stanowią zagrożenia.

Nie czuło się żadnego wiatru. Ocean był spokojny. Nie mogłem jednak pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak z tym obrazkiem: morze, niebo, stworzenia. Fala.

Była daleko od lataczy, ale zbliżała się: zielono-biała, jej grzbiet tworzył się i rozpadał; toczyła się po cichym morzu.

Wyspa była długa i wąska, z wysokim skalistym wybrzeżem na wschodzie i jaskrawozielonym lasem z białą plażą po drugiej stronie. Na polanach lśniły spokojne jeziora.

- Miejsce w moim typie - rzekła Chase z nutą rozdrażnienia.

Podfrunąłem w ciężkim popołudniowym powietrzu i opadłem na piasek tuż za linią wody. Słońce zbliżało się do horyzontu i było prawie fioletowe. Odsunąłem osłonę, wyszedłem z kapsuły i zeskoczyłem. Morze głośno szumiało.

Spojrzałem na ocean, po którym nigdy nie pływał żaden statek. Był piękny, ciepły, letni wieczór, w powietrzu czuło się odrobinę soli. Tutaj. Jeśli gdzieś istniało odpowiednie miejsce na świecie, by afera ze spiskiem osiągnęła moment kulminacyjny, powinno było się to stać tutaj.

Wiedziałem jednak, że tak się nie stało. Skanery nie wykazywały oznak bytności człowieka. Nikt dotąd nie stał na tej plaży.

Za grzywaczami małe latacze baraszkowały w prądach powietrznych.

Fala nadciągała. Jakoś nie pasowała do powierzchni: zbyt symetryczna, zbyt celowa i chyba za szybka. Chyba nawet przyspieszała.

Dziwne.

Podszedłem do linii wody. Kilka ogromnych muszli, nieomal rozmiarów kapsuły, kołysało się lekko na płyciźnie. Małe stworzenie z mnóstwem nóg wyczuło moją obecność i zagrzebało się szybko w piasku, zostawiając jednak na wierzchu ogon. Coś innego, szybki błysk światła, poruszyło się w wodzie i znikło.

Niektóre z lataczy obróciły się w stronę fali, a ta rozproszyła się. Wyglądały,

jakby poczuły się niepewnie. Większość uniosła się tak wysoko, jak tylko mogła, nie wyciągając macek z wody. Kilka mniejszych, o bardziej żywych kolorach, pewnie młodszych, poobijało się trochę o siebie i uniosło się w popołudniowe niebo.

Patrzyłem z fascynacją.

Nic się nie stało.

Latacze opadały na powierzchnię, jeden po drugim, aż w końcu całe stado znalazło się z powrotem na wodzie. Przypuszczałem, że właśnie pożywiają się miejscowym odpowiednikiem planktonu.

Ocean był cichy i spokojny.

Wyczuwałem jednak ich niepokój.

Już miałem wrócić do kapsuły, kiedy fala uformowała się na nowo. Tym razem o wiele bliżej.

Żałowałem, że nie mam ze sobą lornetki. Została w pojemniku za siedzeniami, a nie chciałem wracać do kapsuły, która teraz znajdowała się na plaży jakieś dwieście metrów ode mnie.

Fala pędziła bezpośrednio na latacze, zbliżając się kursem mniej więcej równoległym do linii brzegu. I znów najwyraźniej przyspieszała. I rosła. Na jej grzebieniu utworzyła się cienka linia piany.

Zastanawiałem się, jakimi narządami zmysłów dysponują latacze. Każde stworzenie mające oczy już by uciekało, a one tylko podskakiwały nerwowo na cienkich wąsach, jakby to była uwięź, za pomocą której były przywiązane do oceanu.

Fala pędziła prosto na nie.

Nagle rozległ się pisk, przeraźliwe zawrodożenie na granicy słyszalności. Latacze podskoczyły w górę jak spłoszone ptaki. Najwyraźniej były w stanie pompować powietrze do centralnego worka gazowego i teraz robiły to energicznie, próbując nabrać wysokości, ale tym największym szło to za wolno.

Mimo to cała kolonia znajdzie się dość daleko od wody, kiedy minie ją fala, więc czemu wydawały dźwięki sugerujące panikę?

Fala przybrała ostry, trójkątny kształt, jakby woda zmieniła się z płynnej w twardą. I przepłynęła pod unoszącymi się lataczami, najwyraźniej nie wyrządzając im żadnej szkody - a przynajmniej tak mi się wydawało.

Kilka stworzeń nagle zostało szarpnięciem ściągniętych w stronę powierzchni. To coś wlokło je, wijące się i młójące powietrze. Zaraz zrobi się zamieszanie. Dwa splotły się mackami. A fala znów zmieniła kierunek. Tym razem pędziła w stronę

brzegu.

W moją stronę.

- Aleksie, co tam się dzieje, u licha? - Odezwała się Chase.

- Pora karmienia - odparłem. - Coś jest w wodzie.

- Co? Nie widzę stąd za dobrze. Co to jest?

Zadawała kolejne pytania, jedno za drugim. Pędząca ściana wody rosła. Była długa, prawie tak długa jak sama plaża, na pokonanie której potrzebowiałem jakichś piętnastu minut.

Zacząłem biec w stronę kapsuły, która teraz wydała mi się straszliwie oddalona. Piasek pod stopami był gruby i ciężki. Brnąłem, nie spuszczać kapsuły z oczu, wsłuchując się w szum fali z nadzieją, że osłabnie. Straciłem równowagę i runąłem, ale wstałem i biegłem dalej, zmuszając do pracy nogi, które sprawiały wrażenie, jakby zamieniły się w drewno.

Chase umilkła. Oglądała wszystko za pośrednictwem kamer i ta myśl skłoniła mnie do refleksji (jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie), że mój bieg po plaży na pewno wygląda, jakbym był śmiertelnie przerażony, i jak będę to kiedyś oglądał, to będzie mi wstyd. O ile w ogóle będzie jakieś „kiedyś”. Nieomal wyczuwałem, jak wstrzymuje oddech, więc zacząłem biec jeszcze szybciej.

Odtwarzałem w myślach kolejność czynności przy starcie. Otworzyć osłonę. (Mój Boże, czy ja to cholerstwo zatrzasnąłem? Tak! I oto była kawał drogi przede mną, szara, połyskująca i zamknięta). Uruchomić napęd magnetyczny. Włączyć systemy wewnętrzne. Pociągnąć wolant.

Mogłem ją uruchomić stąd, wysyłając polecenia za pośrednictwem komunikatora, ale musiałbym zwolnić i opanować oddech. Straciłbym czas, poza tym moje ciało już biegło swoim rytmem i nie dałoby się go zatrzymać.

Fala przetaczała się po grzywaczach. Była jednak znacznie większa i cięższa niż fale, po których przeszła. Przekłety przypływ. Był w niej jednak jakiś dziwny brak płynności: jakby to nie coś ukrytego pod falą, ale sama fala była czymś żywym. Woda, z której się składała, była ciemniejsza niż ocean, a w słońcu dostrzegłem jakieś ciemne, włókniste naprężenie. Płatanina. Sieć.

Schwytane latacze nadal zawodziły; ich pisk był coraz wyższy, ale cichł. Pewnie były wciągane do kotłującej się wody.

Blisko kapsuły znajdowały się niewielkie zagłębienia pozostawione przez przypływ. Gęsta brązowa woda dostała się do nich i zaczęła się przelewać. Długa,

niemrawa fala barwy błota wdarła się na brzeg i zaczęła zalewać plażę.

Przecięła mi drogę, więc próbowałem przez nią przebiec. Przyczepiła mi się do butów, pociągnęła mnie i próbowała wciągnąć mnie w piasek. Uwolniłem się i biegłem dalej.

Pędziłem na oślep. Cos zasyczało za mną, cienkie, włókniste pasmo. Plaża zmuszała do niezbyt szybkiego, męczącego biegu. Straciłem oddech i padłem. Woda zwilżyła mi dłoń; poczułem ukłucie bólu, które doprowadziło mnie do łez. Wytarłem rękę suchym piaskiem i biegłem dalej. Przy kapsule fala obejmowała już płozy i drabinkę. Brnąłem, krok za krokiem, otrzepując po drodze buty.

Fala roztrzaskała się o płyciznę i popędziła po plaży.

Jeden ze schwytych lataczy był nadal w powietrzu. Miotał się na ciasnej uwięzi, piszcząc nieustannie i podsycając moją własną panikę.

Słońca nie było widać.

Do tego żywego obrazu wdarł się głos Chase:

- Dalej, Alex, biegnij!

Na ostatnich paru metrach wykonałem desperacki skok. Woda przybierała, moje spodnie były wilgotne, przyklejały mi się do ciała i poczułem pieczenie. Kolejne pasmo, włókniste, zielone, żywe, owinęło mi się wokół nogi i szarpnęło. Rzuciłem się na drabinkę, chwyciłem i zrzuciłem but kopnięciem. Wpełzłem wyżej, uderzyłem w zamek, czekałem w panice, aż osłona się otworzy, wskoczyłem do kokpitu, uruchomiłem napęd i wałnąłem w panel sterowania, by włączyć pozostałe systemy. Potem szarpnąłem wolant i kapsuła uniosła się w powietrze. Fala uderzyła w podpory i płozy, pojazd pochylił się ostro i o mało nie wypadłem. Wisiałem nad kotłującą się wodą i przez jedną straszną chwilę pomyślałem, że kapsuła się całkiem przewróci. Kolejne włókna pełzy ku mnie. Koniuszek jednego otarł się o moją stopę. Inne owinęły się wokół podwozia.

Wpełzłem do kokpitu i zatrzasnąłem osłonę. W tej samej chwili pojazd zatrząsł się i opadł. Przyszło mi do głowy, żeby wyjść na zewnątrz, i zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu noża. Na szczęście żadnego nie było i to zmusiło mnie, żebym się przez sekundę zastanowił.

Szybko pchnąłem wolant do przodu. Kapsuła opadła o kilka metrów. Wtedy wrzuciłem pełny ciąg i ruszyłem w górę. Kapsuła podskoczyła do góry i w przód, poczułem szybkie, rozdzierające szarpnięcie i byłem wolny.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale straciłem podwozie.

Wyrzuciłem z kapsuły większość moich ubrań.

Poniżej przez większą część wyspy przetaczała się gęsta, gumowata woda.

Na samą myśl o Christopherze Simie i jego ludziach dostałem gęsiej skórki.

Po tym incydencie uznałem, że tropikalne wyspy nie są już dobrym kandydatem dla moich poszukiwań. Pomyślałem, że konspiratorzy na pewno zdawali sobie sprawę z zagrożeń. Szukaliby czegoś innego.

Późnym porankiem następnego dnia, gdy w ponurym nastroju leciałem pod szarym, deszczowym niebem, monitory wykryły na horyzoncie coś o kształcie postrzępionej linii. Ocean szumiał głośno i z mgły po mojej prawej stronie wynurzył się granitowy szczyt. Prawie iglica, wygładzona przez wiatr i wodę.

Były też inne: tysiące wież wystających z wody, rozciągających się od północnego wschodu na południowy zachód, prawie idealnie równoległe do orbity „Corsarius”. Burza atakowała je, trzęsąc małym stateczkiem, którym leciałem, Chase nalegała, żebym wzniósł się wyżej, ponad nie.

- Nie - odparłem. - To musi być tu.

Wiatr gnał mnie pośród szczytów. Sterowałem kapsułą z największą ostrożnością, na jaką było mnie stać. Szybko jednak pogubiłem się i przestałem się orientować, gdzie byłem, a dokąd chciałem polecieć. Chase odmówiła udzielenia mi pomocy z pokładu „Centaura”. W końcu byłem zmuszony wznieść się na wysokość kilku tysięcy metrów i przeczekać burzę. Tymczasem zrobiło się już ciemno.

Kiedy się obudziłem, słońce z czerwoną otoczką wznosiło się już wysoko na niebie. Powietrze było chłodne i przejrzyste.

- Dzień dobry - powitała mnie Chase.

Byłem zesztywniały, było mi niewygodnie i marzyłem o prysznicu. Zadowolilem się kawą i zacząłem latać wśród wież.

- To jest gdzieś tu - powiedziałem.

Przez cały dzień powtórzyłem to jeszcze wiele razy.

Iglice mieniły się na niebiesko, białą i szarą. Fale oceanu roztrzaskiwały się o nie. Czasem krzew lub drzewo uczepliły się prawie pionowej ścianie. Na wysokościach pokrzykiwały ptaki, krążąc nad kłębiącą się wodą. Nie było tu nigdzie lataczy, które może bały się nagłych podmuchów powietrza i ostrych skał. Może były sprytniejsze ode mnie.

Wydawało się, że w takim dzikim miejscu nie mogłaby stanąć stopa ludzka.

- Dokładnie na wprost - rzekła z ożywieniem Chase. - Co to jest?

Odłożyłem lornetkę, by spojrzeć na obraz na ekranie, który ona widziała. Wyłączyła wszystkie ekrany z wyjątkiem jednego: szczyt średniej wielkości, na pierwszy rzut oka nie mający w sobie niczego niezwykłego. Muszę wspomnieć o tym, że rozglądałem się za skałą, której szczyt wyrównano, jakimś całkowicie płaskim terenem, na którym dałoby się mieszkać.

Z niczym takim nie mieliśmy tu to czynienia. Zobaczyłem jedynie szeroką półkę skalną gdzieś w jednej trzeciej wysokości skały.

Deja vu.

Skala Sima.

Była zbyt płaska, zbyt symetryczna, by mogła być naturalna.

- Widzę.

Powiększyłem obraz. W najszerszym miejscu półki stała okrągła budowla. Kopuła!

Przyjrzałem się przez teleskop: nie było żadnej ścieżki w dół ani w górę. Ale to nie miało znaczenia.

Co za ironia losu, że człowiek, który przemierzał całe lata świetlne, dokonał żywota w miejscu ograniczonym do kilkuset metrów kwadratowych.

Poza półką i kopułą nie było żadnych oznak działalności ludzkiej. Obrazek był nieomal sielski. Wyobraziłem sobie, jak to wyglądało w nocy: światło w oknach i ośmiu mieszkańców siedzących przy kopule, dyskutujących na temat roli, jaką odegrali w wojnie. Czekających na ratunek.

- Nic nie rozumiem. - Głos Chase drżał.

- Chase, pod koniec wojny Sim stracił wiarę w zwycięstwo. Uznał, że należy ratować, co się da, i układać się z wrogiem.

Po drugiej stronie zapadła na długo cisza, po czym Chase powiedziała:

- A do tego nie mogli dopuścić.

- Był najważniejszą postacią w tej wojnie. W pewnym sensie to on był Konfederacją. Nie mogli dopuścić do kapitulacji, nie wtedy, gdy była jeszcze szansa. Więc go powstrzymali. W jedyny dostępny sposób, jeśli nie brać pod uwagę zabicia go.

- Tarien - mruknęła.

- Tak. Musiał brać w tym udział. I ważniejsi oficerowie. Może nawet Tanner.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu nie wyobrażam sobie, żeby mogli coś takiego zrobić. Nie mogli.

- Cóż. Wszystko jedno. Upozorowali zniszczenie „Corsarius”. Sprowadzili go tutaj. I zostawili Sima i jego załogę. Pewnie mieli zamiar wrócić. Ale większość spiskowców zginęła w ciągu następnych kilku tygodni. Niewykluczone, że wszyscy znajdowali się na pokładzie „Kudasai”, kiedy został zniszczony. Jeśli ktokolwiek przeżył, nie miał odwagi spojrzeć w oczy swoim ofiarom. Może z wyjątkiem Tanner. Bez względu na to, jak to się stało, ona wiedziała, co zrobili, wiedziała o Kręgu. Widziała go albo ktoś inny go widział i jej opisał.

Zbliżałem się do skalnej półki.

- Ciekawa jestem - rzekła Chase - czy Maurina wiedziała?

- Wiemy, że Tanner spotkała się z nią. Och, zapis tej rozmowy byłby naprawdę ciekawy.

Chase mruknęła coś, czego nie zrozumiałem, po czym dodała:

- Coś mi tu nie pasuje. Zobacz, jakich rozmiarów jest ta kopuła. - Była mała, o wiele mniejsza, niż początkowo mi się wydawało. - Tam nie mogłoby mieszkać osiem osób.

Nie. I kiedy to zrozumiałem, ogarnął mnie chłód: z absolutną pewnością pojąłem, jak bardzo się myliłem i dlaczego nazwiska Siódemki nie były znane.

Mój Boże! Oni go tu zostawili samego!

Dwa wieki później opadałem w kierunku półki w słonym powietrzu.

Czysty i chłodny wiatr omiatał skarpe. Nie rosło tam nic zielonego, żadne stworzenie nie uczyniło też tej ponurej iglicy swoim domem. Było tylko kilka głazów i nieco kamieni. Blisko krawędzi ustawiono parę kamiennych płyt, sterczących jak połamane zęby. Nad półką górował szczyt z płaskimi bokami, ściany nie były bardzo strome. W dole rozciągał się ocean. Jak na Iliandzie.

Wylądowałem tuż przed kopułą.

Z powodu szkód odniesionych w walce z morskim stworzeniem - pogiętego podwozia i oderwanej płozy - kapsuła przechylała się wyraźnie od strony pilota. Ustawiłem kamery, jedną na kopułę, drugą tak, by śledziła moje ruchy, i wyszedłem na zewnątrz.

- Bardzo przypomina dwuosobowy zestaw ratunkowy, jaki mamy na pokładzie

„Centaura” - powiedziała Chase. - Jeśli tylko odpowiednio go wyposażono, mógł przeżyć bardzo długo. O ile chciał.

Na dachu zamontowano prowizoryczną antenę. Zasłony na oknach były zaciągnięte. Fale roztrzaskiwały się o podstawę skały. Wydało mi się, że nawet na tej wysokości czuję morską wilgoć.

- Aleksie. - Ton głosu Chase uległ zmianie. - Lepiej wracaj. Mamy gości.

Rozejrzałem się, jakbym stąd mógł coś zobaczyć.

- Kogo?

- Wygląda na okręt wojenny Aszijurów. Ale niech mnie diabli, jeśli wiem, co tu jest grane.

- Czemu?

- Leci kursem na zderzenie. Ale z prędkością relatywistyczną. Nie ma szans, żeby się zatrzymał.

XXIV

Seks to dla mnie druga z największych przyjemności - zaraz po złapaniu wroga na celownik.

Alois z Toksykonu (*mowa podczas uroczystości poświęcenia
Centrum Badań Strategicznych*)

- CHCIAŁBYM TU JESZCZE spędzić parę minut. Ile mamy czasu?

- Jakies pół godziny. Do tej pory i tak nie dotrzesz. Tylko że to nie ma znaczenia. On może najwyżej pomachać nam w przelocie. Żeby zahamować, zawrócić i dotrzeć tutaj, potrzeba mu kilku dni.

- Dobrze. - I tak teraz bardziej interesowało mnie to miejsce. - Obserwuj go przez teleskop.

Nie miałem drugich butów, a słońce grzało skałę. Włożyłem skarpetki i ruszyłem w stronę kopuły.

Warunki atmosferyczne ją odbarwiły, w niektórych miejscach była pokryta smugami, w innych wyblakła. Spadające głązy ją powyginały, a ruchy podłoża zniekształciły.

Grobowiec Christophera Sima.

Półka tak bardzo przypominała tę na Iliandzie, gdzie dopadła go inna śmierć. Nie był to elegancki koniec, na tej granitowej skale, pod białą gwiazdą statku, którym bezpiecznie pokonał tak wielkie odległości.

Drzwi zaprojektowano tak, by w razie potrzeby mogły funkcjonować jako śluza powietrzna. Były zamknięte, ale nie uszczelnione, więc przekręciłem klamkę i otworzyłem je. W środku słońce przeciekało przez cztery okna i świetlik, oświetlając kwaterę, która wyglądała zaskakująco wygodnie, w przeciwieństwie do zewnętrznej strony kopuły. Były tam dwa wyściełane krzesła, jakby wzięte prosto ze statku, przymocowane do podłoża, kilka stolików, biurko, komputer, stojąca lampa. Jeden ze stolików był ozdobiony szachownicą. Nigdzie jednak nie widziałem pionków.

Zastanawiałem się, czy Tarien przyleciał aż tu z Abonai, czy tu miało miejsce ostatecznie, rozpaczliwe starcie między braćmi, tu, w tym pokoju! Czy Tarien błagał Christophera, by nie rezygnował z walki? To musiał być ogromny dylemat; ludzkości brakowało wzorców, a czasy były tak trudne.

Nie mogli mu pozwolić na to, żeby przesiedział bitwę (jak Achilles). W końcu, tuż przed bitwą w układzie gwiazdy Rigel, Tarien musiał dojść do wniosku, że nie ma wyjścia: musi pojmać brata i odprawić załogę pod jakimś pretekstem. (Albo może rozżłoszczony Christopher Sim zrobił to sam, przed starciem z Tarieniem). Potem spiskowcy wymyślili legendę o Siódemce, sfabrykowali zniszczenie „Corsarius”, a kiedy było już po bitwie, przywieźli tu Sima i jego statek.

Stałem w drzwiach i zastanawiałem się, przez ile lat to niewielkie pomieszczenie było jego domem.

On by to zrozumiał, pomyślałem. I w pewien sposób, gdy się dowiedział, że się mylił, kiedy do wojny przystąpiły Rimway, Toksykon, a nawet Ziemia, mógł poczuć ulgę.

W komputerze nie było nic. Pomyślałem, że to dziwne: sądziłem, że znajdę tam jakąś ostateczną wiadomość, może do żony, może do ludzi, których bronił. Banki pamięci były jednak puste. A po chwili doznałem wrażenia, jakby ściany mnie osaczały, i wybiegłem na zewnątrz, na tę skalną półkę, która wytyczała granice jego egzystencji.

Ochłonąłem i podszedłem do krawędzi, omijając płyty skalne na północnym krańcu, maszerując w cieniu ściany i wracając skrajem przepaści. Próbowałem sobie wyobrazić (tak jak na wyspie, na której spędziłem noc parę dni temu), jak by to było, gdybym to ja został rozbitkiem w takim miejscu, sam na całej planecie, tysiące lat świetlnych od kogokolwiek, z kim mógłbym porozmawiać. Ocean musiał bardzo kusić.

W górze przelatywał „Corsarius”. Pewnie Sim widział, jak co kilka godzin przelatuje na tle gwiazd, pędząc po niebie niczym błędzący księżyc.

I wtedy zobaczyłem inskrypcję. Wyciął w skalnej ścianie jeden wiersz, tuż powyżej poziomu wzroku, przy krańcu półki. Litery wcinały się głęboko w wapien, miały ostre krawędzie, po których widać było furie, z jaką je wykuto, a przynajmniej tak mi się wydawało; niestety, nie znałem języka:

ὦ ΠΟΠΟΛΪ! ὦ ΔΗΜΟΣ ΘΕΥΗΣ!

- Chase?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Widzę.

- Jesteś w stanie mi to przetłumaczyć?

- Próbuję. Nie wiem, jak wprowadzić ten obraz do komputera. Daj mi minutkę.

Greka. Sim pozostał aż do końca człowiekiem o wykształceniu klasycznym.

Czułem, jak serce wali mi o żebra, i zastanawiałem się, jakie były jego ostatnie dni czy lata. Jak długo trwał na tej półce, pod okrążającą go nieustannie jedyną rzeczą, jaka łączyła go z domem?

Kiedy „Tenandrome” przekazał wieści na Akwarium i Rimway, świadomie wybrano milczenie. Mogłem sobie wyobrazić zwoływane naprędce posiedzenia ważnych figur, które już miały na głowie problem rozpadającego się ustroju.

Czemu nie? Co dobrego mogłoby wyniknąć z takiej sensacji? I ludzie z „Tenandrome”, sami wstrząśnięci tym, co zobaczyli, chętnie na to przystali.

- Aleksie, komputer uważa, że to starożytna greka.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Nic. Ma kilka języków w bibliotece, ale wszystkie są nowoczesne.

- Ostatnie słowo - powiedziałem - wygląda jak „Demostenes”.

- Ten mówca?

- Nie wiem. Może. Nie mam pojęcia, po co Sim zadałby sobie trud wyrycia na skale imienia martwego Greka. W tych okolicznościach.

- To nie ma sensu - zgodziła się Chase. - Miał w kopule komputer. Czemu go nie użył? Mógł napisać wszystko, co chciał. Po co miałby się męczyć z ryciem w skale?

- Medium to przekaz, jak ktoś kiedyś powiedział. Może elektroniczne medium nie pozwoliło mu na odpowiednie wyrażanie uczuć.

- Mam połączenie z komputerem na „Corsariusie”. Są tylko dwa odniesienia do Demostenesa. Jedno do tego Greka, drugie do współczesnego zapaśnika.

- Co o nim mówi? To znaczy, o Greku.

- 384-322 p.n.e. wg dawnego kalendarza. Największy z greckich mówców. Podobno urodził się z wadą wymowy i zwalczył ją, wkładając sobie kamyki do ust i

przekrzykując morze. Jego mowy zachęcały Ateńczyków do wojny z Macedonią. Najśłynniejsze to trzy filipiki i trzy mowy olintyjskie. Wszystkie mniej więcej z roku 350 p.n.e., plus minus kilka lat. Mimo wysiłków Demostenesa Macedończycy zwyciężyli, a on udał się na wygnanie. Potem popełnił samobójstwo.

- Widzę tu pewien związek - rzekłem.

- Tak. Tarien też był mówcą. Może to jest odniesienie do niego.

- Nie byłbym zaskoczony - rzekłem.

Zauważyłem jeszcze jedną inskrypcję u podstawy skały, zupełnie innym alfabetem: „Hugh Scott, 3131”, Wycięto ją małym laserem.

- To według czasu uniwersalnego - powiedziała Chase.

- Na Rimway to będzie 1410 albo 1411. - Westchnęła. - W końcu Sim pewnie wybaczył bratu. Może nawet zrozumiał, że to Tarien miał rację.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, sporo było do wybaczenia. - Bolały mnie stopy. Skarpetki nie były najlepszą ochroną, a musiałem się przemieszczać, żeby nie oparzyć stóp. - Gdzie nasz gość?

- Nadlatuje. I nadal przyspiesza. Nieźle dorzuca do pieca.

- Powietrze było nieruchome. - Aleksie?

- Tak?

- Jak myślisz, czy ona go znalazła? To znaczy, zdążyła?

- Leisha? - Rozmyślałem o tym od chwili, gdy wylądowałem. Tanner polowała na niego latami. Zaginiony pilot Candlesa. I Sim.

Który spaceruje pośród gwiazd Na dalekim Belmincour.

- Nie miała do dyspozycji środków Instytutu Machesneya. Mój Boże, musiała po prostu latać, robić zdjęcia i wrzucać je do komputera, próbując odtworzyć tę konstelację.

- Jak sądzisz?

- Nie wiem. Ale sądzę, że to jest pytanie, które prześladowa Hugh Scotta.

Oparłem się pokusie wyrzeźbienia własnego imienia na skale przy nazwisku Scotta i poszedłem z powrotem do kapsuły. Wspinałem się do kokpitu, kiedy rozległ się zaniepokojony głos Chase:

- Aleksie, przykro mi, że mam złe wieści, ale nadlatuje następny! I jest wielki.

- Następny?

- Statek niemoć. Chyba krążownik bojowy. Powinna była wcześniej go zauważyć, ale byłam zajęta tym małym i nie zwracałam uwagi na odczyt skanera.

- Gdzie?

- Jakieś dziesięć godzin stąd. I leci prosto na nas. Leci szybko, ale mocno hamuje. Załoga musi mieć niecierpliwość. Tak czy inaczej, oni są w stanie wytracić prędkość na tyle, żeby wejść na orbitę. Lepiej wracaj i zmywamy się stąd.

- Nie - powiedziałem. - Pociłem się. - Chase, uciekaj z „Centaura”.

- Odbiło ci?

- Proszę - odparłem. - Nie ma czasu na kłótnie. Jak daleko jest niszczyciel?

- Jakieś pięć minut.

- Tyle ci wystarczy, żeby uciec na „Corsarius”. Jeśli do tego czasu się nie uda, to już się nie uda.

- Przecież to ty masz kapsułę.

- Dlatego nie ma czasu na gadanie. Ruszaj się. Uciekaj na „Corsarius”, wszystko jedno jak, ale uciekaj!

Dostrzegłem błysk światła na zachodnim niebie. Krótka kreska światła.

- Chase?

- Wszystko gra. Ale miałeś rację. Drganie właśnie rozwalily „Centaura” w strzępy.

Próbowałem znaleźć niszczyciel, korzystając z teleskopów kapsuły, ale był już poza zasięgiem. Chase, która miała obraz na monitorze „Corsarius”, jeszcze nie wymyśliła, jak przesłać go mnie. I tak zresztą nie miało to znaczenia. - Wracam - powiedziałem. - Do zobaczenia za parę godzin. Możesz przez ten czas opanować posługiwanie się oprzyrządowaniem na mostku Sima. Możesz wysłać wiadomość na stację Saraglia?

- Już to zrobiłam. Ale będę zaskoczona, jeśli kiedykolwiek ją dostaną. Te urządzenia nie są przeznaczone do tak dalekich transmisji. Aleksie, chyba tu utknęliśmy.

- Poradzimy sobie - odparłem. - Napęd międzygwiazdny musi gdzieś tu być.

Wystartowałem z półki skalnej i wprowadziłem dane kursu, które przesała mi Chase.

W miękkim, chłodnym łonie kapsuły, późnym popołudniem czasu planetarnego, rozmyślałem o Simie i Scotcie. I dopadła mnie melancholia losu Scotta.

Może dlatego, że Christopher Sim był kimś tak odległym.

Może dlatego, że uświadomiłem sobie, iż obsesja Scotta stała się moją własną.

Przycumowałem do „Corsarius” kilka godzin później. Wtedy wiedziałem już, że Chase udało się uruchomić napęd magnetyczny. Przynajmniej będziemy w stanie się przemieszczać. Kapsuła nie mieściła się w ładowni, więc przycumowałem ją solidnie do jednego z włazów. Nie chciałem, żeby się oddaliła, zanim wpadniemy na jakiś pomysł.

Chase otworzyła właz.

- Dobrze - powiedziałem, gdy tylko zdjąłem hełm. - Wynosimy się stąd.

Szliśmy na mostek. Chase wyglądała na zrozpaczoną.

- Nie przegonimy ich, Aleksie.

- To jest „Corsarius” - odparłem.

- I ma dwieście lat. Ale nie na tym polega problem. Posłuchaj: przeszukaliśmy już wszystko. Nie mamy napędu międzygwiazdowego. Komputery zachowują się, jakby tu był, ale go nie...

- Musimy zakładać, że tu jest. Jeśli nie, nic już nie ma i tak znaczenia.

- Dobrze. Tylko że jeśli nawet moduły Armstronga są tu gdzieś ukryte, potrzeba nam czasu, żeby je naładować do wystarczającego poziomu, zanim będziemy mogli dokonać skoku.

- Jak długo to potrwa?

- I to jest dziwne. Odczyt powinien być precyzyjny. Tymczasem komputer podaje, że między dwadzieścia pięć a trzydzieści dwie godziny.

- Chyba nie jest to dobry moment, żeby przejmować się szczegółami.

- Pewnie tak. Tak czy inaczej, zaczęłam ładowanie, jak tylko się tu dostałam.

- Kiedy niemoły tu dotrą?

- Za jakieś sześć godzin.

- W takim razie do roboty.

- Dopadną nas, zanim zdołamy dokonać skoku. Nawet jeśli założymy najbardziej optymistyczny wariant. - Włączyła systemy wewnętrzne. Grodzie otwierały się i zamykały, gdy szliśmy. - Pomyślałam, że lepiej zamykać poszczególne sekcje, dopóki się nie upewnimy, że statek jest stabilny.

- Tak - odparłem. - To dobry pomysł. Ale jak to jest, że nie możemy ich przegonić? Myślałem, że ten statek jest dość szybki.

- Bo pewnie jest. Ale oni już lecą z dużą prędkością, a my startujemy od zera.

Próbowałem sobie zwizualizować sytuację. Przypominało to trochę problem Sima pod Hrinwharem. Nadciągają statki wroga i nie da się tak przyspieszyć, żeby

uciec. I co on zrobił?

- Kiedy będziemy mogli ruszyć kursem czołowym?

- Chcesz wyruszyć im na spotkanie?

- Tak bym to ujął. Zmarszczyła czoło.

- Dlaczego chcesz im to ułatwić?

- Chase, a co się stanie, jeśli przelecimy obok nich? Ile czasu im zajmie wykonanie zwrotu?

- Do diabła - rozpromieniła się. - Nigdy nas nie złapią. Tylko że pewnie wystrzelą nam w statek wielką dziurę, kiedy będziemy przelatywać.

- Nie przypuszczam - odparłem. - Robią sobie strasznie dużo zachodu, jeśli chodzi o ten statek. Atak na „Centaura” miał nam uniemożliwić wejście na pokład. Nie chce mi się wierzyć, że podjęliby ryzyko zniszczenia go.

- Jeśli dojdą do wniosku, że może nam się udać z tym umknąć, to mogą zaryzykować.

- Musimy spróbować. Masz lepszy pomysł?

- Nie - odparła, zasiadając w fotelu pilota. - Ale z przyjemnością cię informuję, że testy napędu magnetycznego wypadły pozytywnie. Mamy w pełni sprawny napęd do poruszania się w przestrzeni liniowej. Jeśli będzie trzeba, możemy nim polecieć do domu. Zajmie nam to jakieś pięćdziesiąt wieków.

- Zobaczmy statek niemot - zaproponowałem.

Nad iluminatorami był wielki, łukowaty ekran. Ściemniał, przybierając kolor nieba, i pojawił się obcy statek. Nigdy czegoś takiego nie widziałem i z początku nie byłem pewien, czy to w ogóle statek: a przynajmniej, czy jest to coś zdolnego pomieścić jakąś załogę. Wyglądał jak skupisko około dwudziestu hiperboloid o różnych kształtach i rozmiarach, powoli okrążających się nawzajem w sposób sugerujący, że nie są ze sobą połączone fizycznie. Podobieństwo do obcych statków z epoki Ruchu Oporu polegało wyłącznie na stylu. Dla porównania, w prawym dolnym rogu ekranu pojawiła się sylwetka „Corsariusa”. Byliśmy niewiele więksi od najmniejszego elementu obcego statku.

- Jesteś pewna, że to niemoty?

Chase potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia. Jestem pewna tylko tego, że nie jest nasz. - Odsunęła się od konsoli pilota i obróciła twarzą do mnie. - Naprawdę chcesz przelecieć obok nich?

- Tak - odparłem. - Chyba nie mamy innej opcji.

- Dobrze - oznajmiła Chase, wprowadzając polecenia do komputerów. - Za pięćdziesiąt minut opuszczamy orbitę. W jakiej odległości chcesz ich minąć?

Zastanowiłem się.

- Najchętniej poza zasięgiem ognia. Masz jakiś pomysł, ile to może być?

- Żadnego.

- W takim razie spróbujmy co najmniej dziesięć tysięcy kilometrów. W przypadku niepewnych strzałów powinno starczyć. A zwrot i tak musiałby trwać długo.

- W porządku - zameldowała. - Dane wprowadzone. Poza tym statek tworzy niezłą rezerwę mocy operacyjnej. Mamy dość mocy dla potężnego napędu międzygwiazdowego. I nadal rośnie. Przypuszczam, że gdyby doszło do potyczki, to mielibyśmy niezłego kopa.

- On nie wybuchnie, prawda? - Przyszedł mi do głowy „Regal”.

- Mogę zgadywać równie dobrze jak ty.

Kilka minut później uruchomiły się silniki „Corsarius”. Chase podniosła wzrok znad konsoli nawigatora.

- To historyczny moment, Aleksie. Chcesz go odpalić?

- Nie - odparłem. - Ty to zrób.

Uśmiechnęła się i przycisnęła kilka klawiszy. Poczułem, jak statek zaczyna się przemieszczać.

- Kiedy już opuścimy orbitę - odezwałem się - daj całą moc. Cała naprzód.

- Aleksie, „Corsarius” może przyspieszać o wiele szybciej niż ty czy ja. Będziemy lecieć bardzo szybko, ale i tak znacznie poniżej możliwości tego statku.

Obcy rósł w oczach. Zaczął pulsować delikatną, niebieskozieloną poświatą, przypominającą lampki świąteczne.

- Moc operacyjna nadal narasta - poinformowała Chase.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Drań ma tyle mocy, że moglibyśmy go staranować. Gdybyśmy musieli.

- Wolałbym raczej go przegonić.

W ciągu godziny opuściliśmy orbitę i z dziobem wycelowanym we wroga - bo tak oboje myśleliśmy o obcym statku - zaczęliśmy przyspieszać. Chase doniosła, że prawie natychmiast tamten statek zmienił kurs.

- Zbliża się - powiedziała.

- Zejdź z kursu. Spróbuj utrzymać odległość dziesięciu tysięcy kilometrów.
- Robię, co mogę. - Minę miała ponurą. - Ale fajnie byłoby, gdyby jedno albo drugie z nas wiedziało, co tak naprawdę robimy.

Chase miała rację: przyspieszenie nas męczyło. Już po godzinie wyglądała na wyczerpaną, a ja stałem się nieprzyjemnie świadom bicia swego serca. Zwiększyliśmy zawartość tlenu w powietrzu i to na chwilę pomogło.

Odległość między dwoma statkami zmniejszyła się.

- Szybko leci - powiedziała Chase.

- Nie będą strzelać. Są tu tylko po to, żeby odzyskać „Corsariusą”.

Nie byłem tego wcale tak pewien i Chase o tym wiedziała. Czekaliśmy więc, a komputery odliczały.

Elementy obcego statku sprawiały wrażenie, jakby poruszały się same w sobie: wirujące światła i krążące kształty topologiczne. Wyglądał jak zjawą, niemal niematerialny.

- Punkt największego zbliżenia - oznajmiła Chase. - Na mój znak!

- Działo laserowe nas namierza - ogłosił komputer miękkim kobiecym głosem.

- Trzymaj się, Chase.

- Do licha, Aleksie, zapomnieliśmy o czymś...

Przerwał jej huk. Statek zatrzęsł się gwałtownie: huk rozdieranego metalu, jakaś eksplozja. Zawyla syrena i zaczęły migać światła alarmowe. Chase wyrzuciła serię przekleństw.

- Napęd magnetyczny - oznajmiła. - Załatwili nas jednym strzałem. - Spojrzała na mnie ponuro, po czym przeniosła wzrok na obraz obcego statku, który osiągnął maksymalne rozmiary, a potem zaczął maleć. Czerwone światelka na tablicy stanu zaczęły zmieniać kolor na purpurowy. - Statek hermetyzuje się, ale mamy kłopot. - Wyłączyła alarmy.

- Co się stało? - Przeciężenie zmałało. Znacząco.

- To nie ja - wyjaśniła. - Wywalili dziurę w układzie napędowym. Teraz czeka nas powolny spacer. Chyba że jesteś specjalistą od naprawy magnetycznych układów napędowych.

- Czyli teraz będziemy się poruszać z naszą obecną prędkością?

- W rzeczywistości będzie trochę lepiej. Ale niewiele nam z tego przyjdzie, bo on przyspiesza. Teraz będzie to wyglądało tak: lecą dalej, wykonują pętlę dookoła planety

i gonią nas. W ich tempie spacerowym. A najbardziej mnie irytuje, że to wcale nie musiało się stać!

- Dlaczego? O czym ty mówisz?

- Problem w tym, że żadne z nas nie ma pojęcia o walce. Mamy tarczę. Ale jej nie włączyliśmy!

- Jasna cholera.

- Teraz już wiesz, po co Gabriel zabrał Johna Khybera. To był stary ekspert od systemów bojowych. Niech mnie skręci, jeśli on przeoczyłby coś tak oczywistego!

Oczy miała pełne łez i po raz pierwszy zobaczyłem ją tak zniechęconą.

- A napęd międzygwiazdny? Jakież szkody?

Wzięła głęboki oddech i przestawiła kilka wyłączników.

- Do uruchomienia napędu międzygwiazdnego zostało nie mniej niż dwadzieścia trzy godziny. Ale niech mnie diabli, jeśli wiem, co takiego miałyby się uruchomić. Szlag by to trafił, mieliśmy mnóstwo czasu. Wiesz, co włączyliśmy? Standardowe nawigacyjne ekrany przeciwmeteorowe. Mieliśmy szczęście, że nie oberwaliśmy pociskiem nuklearnym. Durnie!

- Martwienie się o to nie ma w tej chwili sensu. Ile czasu nam zostało, zanim nas złapią?

Postukała w klawiaturę.

- Jakież czternaście godzin. - Opadła na fotel. - Chyba trzeba wywiesić białą flagę.

Miała rację. Gigantyczny statek okrążył planetę, która stała się więzieniem Sima, po czym pognał za nami.

Przeszliśmy do sekcji rufowej i przyjrzeliliśmy się napędowi magnetycznemu. Trzy serie były przepalone.

- Aż się dziwię, że w ogóle mamy jakieś przyspieszenie - powiedziała Chase. - Ale to i tak bez różnicy.

Próbowaliśmy jak najbardziej rozważnie wykorzystać czas, który nam pozostał. Najpierw uzyskaliśmy od komputera objaśnienie dotyczące systemu osłon statku. Chciałem przeprowadzić test, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli niemoży tego nie zobaczą. Może zakładali, że są już niesprawne. W końcu jaki mógł być inny powód niewłączenia ich w sytuacji, która jednoznacznie wymagała użycia systemów obrony? Następnie, upewniwszy się, może za późno, że nie jesteśmy całkiem bezbronni,

zaczęliśmy przyglądać się naszej sile ognia.

Obserwowaliśmy, jak nadlatują, studiowaliśmy schematy i rozmawialiśmy z komputerami. Poznaliśmy szczegóły skomplikowanego systemu uzbrojenia, którym sterowało się z czterech różnych konsoli. A ja zacząłem rozumieć, dlaczego załoga fregat liczyła osiem osób.

- Nie zdołamy strzelać z więcej niż jednej albo dwóch broni naraz - narzekła Chase. - Gdybyśmy mieli więcej ludzi, i to ludzi, którzy wiedzą, co robią, i wszystko by działało, moglibyśmy być niełatwym przeciwnikiem.

- Komputerze - odezwałem się - czy niemoty mogą wykryć nasz wzrost mocy?

- Brak danych.

- Czy my możemy określić moc ich statku?

- Odpowiedź przecząca. Możemy wykryć wyłącznie promieniowanie zewnętrzne, a ja mogę wyciągać wnioski tylko w oparciu o masę i charakterystykę manewrów. To byłyby wszakże jedynie dane szacunkowe i ich celem byłoby najwyżej określenie wartości minimalnych.

- A oni mogą odczytywać nasze?

- Brak danych. Nie mamy informacji na temat ich technologii.

- Aleksie, do czego ty zmierzasz?

- Sam nie wiem. Ale chyba wolałbym, żeby uważali, że jesteśmy bezsilni.

- A co za różnica? - Spytała Chase. - Włączyli tarczę. Zakładają, że jesteśmy niebezpieczni.

- Komputerze, co możesz nam powiedzieć o potencjale wroga?

- „Corsarius” został trafiony ulepszonym laserem o wyjątkowo dużym skupieniu wiązki. Energia niezbędna do uzyskania efektu, który zaobserwowaliśmy, w maksymalnym zakresie, sugeruje moc będącą wielokrotnością naszej, pomnożoną przez co najmniej sześć przecinek pięć. Analiza HCM i struktury fizycznej sugeruje wytwarzanie quasi-magnetycznego pola energii do celów defensywnych i być może ofensywnych. Prawdopodobnie ulepszona wersja naszych własnych tarcz. Należy założyć znaczącą trudność w penetracji systemów obronnych.

- Układ napędowy wygląda na standardowy. We wzorcu promieniowania dają się wykryć symetrie Armstronga, podobnie jak ślad magnetyczny typu, jakiego można oczekiwać w przypadku napędu liniowego...

I tak dalej.

Przez kilka godzin usiłowaliśmy zwiększyć naszą przewagę nad niemotami.

Przyspieszały jednak o wiele szybciej niż my. A w końcu Chase poinformowała mnie cicho, że przekroczyły naszą prędkość i zaczynają się zbliżać.

Niebiesko-zielone światła rosły na ekranach. A gdy zaczynały się zbliżać, okręt zwolnił, pewnie po to, żeby zrównać prędkość z naszą i dostosować kurs.

Przerażała nas precyzja, z jaką oddano na tak dużą odległość strzał laserowy, który zniszczył silniki, i żadne z nas nie miało złudzeń co do wyniku ewentualnej potyczki, gdyby rzeczywiście przyszło nam walczyć.

Tymczasem jednak skoncentrowaliśmy się na naszej własnej broni. Mieliśmy pociski nuklearne i działa strzelające przyspieszonymi cząstkami, i tarany protonowe, i kilka urządzeń, o których w życiu nie słyszałem. Najbardziej obiecująca (w sensie: wystarczy wycelować i wystrzelić) była broń, którą Chase określała jako „rozsiewacz”: promień energii o szerokim widmie, złożony z fotonów Gantnera, gorących elektronów i czegoś w rodzaju zupy cząsteczkowej. Jej działanie, zdaniem komputera, polegało na destabilizacji materii na krótkie odległości.

- Trzeba jednak podejść dość blisko - ostrzegł komputer. - I najpierw zniszczyć systemy obronne. Nie zapewnia penetracji wszystkich rodzajów tarcz.

- Jak to mamy zrobić? - Spytała Chase.

Komputer zaproponował skomplikowaną strategię wymagającą szybkich manewrów i operatorów przy trzech konsolach sterowania bronią.

- Jedna konsola - odparłem. - Możemy obsadzić tylko jedną konsolę. Albo dwie. Jeśli zrezygnujemy z pilota.

- Dlaczego po prostu się nie poddamy? - Spytała Chase. Dostrzegłem w jej oczach strach i zacząłem wątpić, czy udaje mi się ukrywać własne emocje. - Przecież właśnie tego chcą, więc chyba jest to najlepsza szansa na ocalenie głowy.

- Nie przypuszczam - odparłem - że powinniśmy poddać „Corsarius”. W żadnym razie. Widziałaś, co zrobili z „Centaurem”. Nie sądzę, żebyśmy mieli wybór: musimy walczyć. Albo uciekać, jeśli damy radę.

- To samobójstwo.

Trudno było się z tym spierać. A przecież mieliśmy wspaniały statek. Którego oni bardzo pożąдали. To mogło dawać nam pewną przewagę.

- Komputerze, w razie zniszczenia tarczy wroga, jaki byłby logiczny cel dla rozsiewacza?

- Zalecam mostek albo siłownię - odparł. - Poinformuję, jeśli zdołam je zlokalizować.

Chase spojrzała przez iluminator na statek niemot, którego cień teraz wypełniał niebo.

- Równie dobrze moglibyśmy rzucać kamieniami.

Wyłączyliśmy to, co zostało z napędu magnetycznego, i pędziliśmy teraz ze stałą prędkością. Obcy statek wszedł na równoległą orbitę jakiś kilometr od nas na sterburcie. Chase patrzyła na niego przez chwilę, po czym potrząsnęła bezsilnie głową.

- Nie widzą kapsuły - powiedziała. - A może ustawić zapalnik czasowy pocisków nuklearnych, wysadzić statek i uciec? Przecież możemy się dostać na planetę.

- Jeśli tak zrobimy, to spędzimy tam resztę życia.

- Najpierw trzeba pomyśleć o rzeczach najważniejszych. - Zgarbiła się i odwróciła z powrotem do ekranu. - Zastanawiam się, na co oni czekają.

- Przypuszczam, że usiłują wykombinować, jak nas dorwać, nie uszkadzając statku. Może czekają, aż niszczyciel wróci. Właśnie, gdzie on jest?

- Nadal się oddala. Powiedziałabym, że będą mogli zawrócić za jakieś półtora standardowego dnia. A tak poza tym, po co im niszczyciel?

Spojrzała przez iluminator na gigantyczny statek poza zasięgiem rozsiewacza.

- Nadal mają włączone tarcze?

- Tak. Tym razem naprawdę przydałby się jakiś pomysł.

- Zachmurzyła się. - Właśnie przyszło mi do głowy coś nieprzyjemnego. Czy oni mogą czytać nam w myślach?

- Nie sądzę. Musieliby być bardzo blisko. Na podstawie moich doświadczeń mogę ocenić, że w odległości paru metrów. A poza tym, gdyby podłączyli się do twojej głowy, wiedziałabyś o tym.

- Co za niemiłe skurwiele, prawda? - Postukała w klawiaturę. - Poziom energii wreszcie przestał rosnać. Sądzę, że bardziej gotowi do akcji bojowej już nie będziemy. Jeśli ten cały złom w ogóle jeszcze działa.

- Zakładałbym, że wszystko jest sprawne. Potrzebujemy tego, żeby przeżyć, więc lepiej tak założmy. Jeśli gdzieś jest problem, nic nam nie pomoże dowiedzenie się o tym z wyprzedzeniem.

- Więc co robimy?

- Czekamy - odparłem. - Utrzymujemy rozsiewacz w gotowości. Jeśli pojawi się okazja, strzelamy i uciekamy.

- Strzelamy i kuśtykamy - poprawiła mnie.

- Benedict.

Słowo to wydostało się z systemu łączności statku.

- To z okrętu niemot - powiedziała Chase.

- Nie odpowiadaj - rzekłem.

- Aleksie. - Głos był ciepły, pełen zrozumienia i zdrowego rozsądku. I znajomy. - Aleksie, wszystko u was w porządku? Martwię się o wasz system podtrzymywania życia. Możemy wam jakoś pomóc? - S'Kalian. obrońca pokoju. Idealista. Przyjaciel.

- Bardzo mi przykro z powodu utraty „Centaura”. Niszczyciel miał tylko uniemożliwić wam wejście na pokład artefaktu.

- Trzymaj palec na spuście - zwróciłem się do Chase.

- W co mam mierzyć?

- A wybierz sobie jakiś cel.

- W środek - podsunął komputer. - Nie mając bliższych danych, możemy z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że siłownia znajduje się gdzieś w środku całej konstrukcji.

- Aleksie? - To znowu S'Kalian.

Chase skinęła głową.

- Namierzone. Teraz ty masz szansę przekonać go, żeby wyłączył osłonę.

- Aleksie, wiem, że mnie słyszysz. Masz szansę zakończyć to wszystko pokojowo. Nie musimy dopuszczać do rozlewu krwi.

Otworzyłem kanał. Na jednym z bocznych monitorów pojawił się jego obraz. Wyglądał na zatroskanego i pełnego współczucia.

- S'Kalian, nie możecie dostać „Corsariusą”.

- Już go mamy. Na szczęście dla was obojga.

- Dlaczego? - Spytałem. - Dlaczego jest dla was aż tak cenny?

- Aleksie, przecież już na pewno się domyślasz. - Ton jego głosu spadł o oktawę.

- Tajemnice Sima będą w naszych rękach bezpieczne. Nie jesteśmy agresywnym gatunkiem. Wasi ludzie nie mają się czego obawiać.

- Łatwo ci mówić.

- Nie mamy tak krwawej historii jak wy, Aleksie. Wojna nie jest u nas stanem normalnym. Nie zabijamy przedstawicieli naszego własnego gatunku, was też byśmy nie zabijali, gdyby dało się tego uniknąć. Do dziś żyjemy pamięcią o tej strasznej wojnie.

- To było dwieście lat temu!

- I tym się różnimy - rzekł smutno. - Dla Aszijurów ta tragedia jest czymś boleśnie świeżym. To nie tylko historia.

- Tak - rzekłem. - Właśnie widziałem, jaką trudność sprawia wam stosowanie przemocy.

- Przykro mi z powodu ataku na „Centaura”. Bardzo chcieliśmy uniknąć powstałej sytuacji. Nie możemy jednak dopuścić do tego, żeby „Corsarius” dostał się w ręce swoich twórców. Smutna prawda jest taka, że jeśli nas do tego zmusicie, będziemy musieli poświęcić wasze życie.

- Czego chcecie?

- Tylko tego statku. Oddajcie go nam. Zapewnimy wam bezpieczny przelot do domu i godziwie wam wynagrodzimy utratę artefaktu.

Spojrzałem na niego, próbując odnaleźć w tych zbyt opanowanych rysach twarzy szczerłość.

- A jak ma wyglądać kapitulacja? Jak to sobie wyobrażacie?

- To nie jest kapitulacja, Aleksie - rzekł łagodnie. - To akt odwagi w niełatwych okolicznościach. Wyślemy grupę, która wejdzie na pokład. A wy potwierdzicie swoją zgodę na oddanie statku, opuszczając go. Oboje. - Skinął głową na znak, że sprawy przybrały wreszcie rozsądny bieg. - Tak, po prostu opuście statek. Przejdziecie na nasz. Macie moje słowo, że będziecie dobrze traktowani.

- I uwolnieni?

Zawahał się - to był krótki moment niepewności.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się zachęcająco. Podczas rozmowy w Domu Kostyeva fakt, że jego usta się nie poruszały, był mniej niepokojący, może dlatego, że widziałem urządzenie, które służyło mu do komunikacji, a może dlatego, że warunki tak drastycznie się zmieniły. Bez względu na przyczynę drażnił mnie ten dialog i prowadziłem go, mając wrażenie, że jednak istnieje bezpośredni kontakt mentalny. Może go nie doceniałem, może jednak potrafił sięgnąć przez próżnię i czytać w moich myślach. - Jesteście gotowi do opuszczenia statku?

- Rozważamy to. - Chase spojrzała na górny ekran.

- Bardzo dobrze. Będziemy was obserwować. Szanujemy wasze uczucia, więc nie będziemy podejmowali prób wejścia na pokład, dopóki nie znajdziecie się bezpiecznie na naszym statku. Aleksie, wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale kiedyś nadejdzie dzień, kiedy nasze rasy będą żyć w przyjaźni, a ty będziesz z przyjemnością wspominał, że się do tego przyczyniłeś.

- Dlaczego to jest dla was aż tak ważne? - Spytałem. - Po co wam ten okręt?

- To symbol złych czasów. Z całą szczerością powiem ci, że nie mogliście znaleźć gorszego momentu na jego odnalezienie. Znów jesteśmy na skaju wojny, wasz lud i nasz. Ten okręt, ze wszystkimi wspomnieniami, jakie może poruszyć, może stać się katalizatorem kolejnej fali wrogości. Mając tę świadomość, nie możemy do tego dopuścić!

Chase wyglądała, jakby chciała zapytać: czy on sobie żarty stroi?

- To nie jest dla nas łatwa decyzja - powiedziałem.

- Rozumiem.

- Dajcie nam chwilę do namysłu.

- Oczywiście.

- Zróbmy to - powiedziała Chase, gdy jego obraz, znikł. - To jakieś wyjście. Nic nie zyskają, zabijając nas.

- Ależ te skurwiele z pewnością nas zabiją, Chase. Nie mają żadnego interesu w tym, żeby puścić nas wolno.

- Jesteś stuknięty - odparła. - Musimy im zaufać. Jakim mamy wybór? Nie chcę umierać za jakiś wrak. Wiesz równie dobrze jak ja, że oni wcale nie chcą go odzyskać, tylko wysadzą go w powietrze razem z nami. A wszystkie pomysły na walkę z tym potworem to czysta fantazja. Ten antyk nie miałby szans w walce z tym skurwielem, nawet gdyby miał pełną obsadę i Sima siedzącego w fotelu dowódcy.

- Kilka minut temu mówiłaś zupełnie co innego.

- Kilka minut temu nie mieliśmy wyboru.

W ustach mi wyszło, ale próbowałem mówić spokojnie.

- Nie zgadzam się z tym, Chase. Oni chcą okrętu, i dopóki zostaniemy na pokładzie, jesteśmy bezpieczni. Nie wejdą na pokład i nie zniszczą go.

- Czemu nie? Jeśli chcieli tylko uniemożliwić nam powrót nim do domu, to rozwalą nas, kiedy tylko będą chcieli.

- W takim razie czemu dotąd tego nie zrobili?

- Może dlatego, że nie chcą nikogo zabijać, jeśli nie muszą.

- Wierzysz w to?

- Do licha, Aleksie, nie wiem.

- Dobrze. - Wstałem z fotela dowódcy i zacząłem spacerować po mostku, próbując się zastanowić. - Gdybyś miała rację, to sądzisz, że zaatakowałyby „Centaury”? Wtedy jakoś nie mieli skrupułów co do naszego życia. Chcieli

uniemożliwić nam wejście na pokład, bo wiedzieli, że wtedy będą musieli z nami porozmawiać.

- Może masz rację - odparła ze złością. - Nie wiem. Ale nie chcę dać się zabić z tego powodu.

- W takim razie zostajemy tutaj. Ile czasu zajmie uruchomienie napędu Armstronga?

- Nie ma napędu Armstronga - odparła z rozpaczą.

- Przestań, Chase - syknąłem. - Ile musi upłynąć czasu, zanim uruchomi się to, co mamy? Zanim będziemy mogli skoczyć w nadprzestrzeń?

W oczach miała łzy.

- Jakies pół dnia. I sądzisz, że będziemy mogli ich zwodzić aż tak długo?

- Sądzę, że to nasza jedyna szansa. - Objąłem ją i przytuliłem. - Zgadzasz, się ze mną?

Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę.

- Zabijesz nas oboje - odparła.

- Przykro mi, że zdecydowaliście się podjąć działania, które mogą się skończyć tylko rozlewem krwi. - S'Kalian rzeczywiście mówił, jakby był zasmucony. - Czy jest coś, co może was skłonić do zmiany zdania?

- Idź do diabła - odparłem. - I tak macie zamiar zniszczyć artefakt. No to niszczenie! - Przerwałem połączenie.

- Masz siłę perswazji - mruknęła ponuro Chase. - Mam nadzieję, że on nie weźmie tego serio.

Statek niemożliwie zbliżył się. Wolna dotąd oscylacja niektórych jego komponentów przyspieszyła.

- Według najlepszej analizy - poinformował komputer - wszystko to, co widzimy, to jakaś część systemu rozprowadzania energii.

Chase zakłęta cicho.

- Gdzie jest centrum dowodzenia? Gdzie jest jakiś wrażliwy punkt?

- W tej chwili nie mamy wystarczających informacji, żeby wyciągać takie wnioski.

- Twoja propozycja jest równie dobra jak jego.

- Chyba najwyższy czas uruchomić tarcze.

- Nie - zaprotestowałem.

- Dlaczego?

- Nic w ten sposób nie zyskamy. Nie możemy uciec, nie możemy walczyć. Tarcze tylko opóźnią nieuniknione. Spróbujmy im zrobić niespodziankę. - Coś nie dawało mi spokoju, kiedy wspominałem moją rozmowę ze S'Kalianem i nagle uświadomiłem sobie, co to takiego. - Dlaczego oni są dla nas tacy mili?

- Co masz na myśli?

- Dlaczego chcą czekać na opuszczenie przez nas statku, zanim wyślą grupę?

Chase potrząsnęła głową.

- Nadal przypuszczam, że mogą mówić prawdę.

- Nie - odparłem. - Powiem ci, o co chodzi: oni nam nie ufają. W ich oczach jesteśmy bandą opryszków i jeśli tylko mogą, będą nas pilnować. To oznacza, że możemy im jakoś zaszkodzić. Jak?

Chase zamknęła na chwilę oczy, po czym skinęła głową.

- Chyba wiem. Ich grupa musiałaby wyłączyć tarcze, żeby wyjść na zewnątrz. Przez kilka sekund byłiby bezbronni.

Poczułem równocześnie falę radości i strachu.

- Nie ufają nam - powtórzyłem. I przyszła mi do głowy szachownica Sima. - Może będziemy w stanie przekuć to na jakąś przewagę.

- Słucham cię - rzekła Chase. - Jestem otwarta na propozycje.

- Idź i przynieś dwa skafandry. Włóż je do kapsuły i nadmuchaj. Niech wyglądają jak my. I ustaw wszystko w kapsule tak, żeby dało się nią sterować zdalnie.

- Po co? Co nam z tego przyjdzie?

- Nie wiem, ile mamy czasu, Chase. Po prostu tak zrób, dobrze? Powiedz mi, jak będzie gotowe, i wracaj.

- Dobrze - odparła, wstając i wyciągając rękę. - A przy okazji, gdybyśmy się już nie zobaczyli, to była niezła jazda.

Pod tą nonszalancją coś się kryło, ale szybko wyszła. W ciszy, jaka panowała na statku, mogłem na podstawie odgłosu grodzi określić, gdzie jest.

- Ruch - odezwał się komputer. - Coś się dzieje. Jajowaty taniec obcego statku zmienił układ, a kolory stały się bardziej głębokie. Błyszczał ostro na tle wiecznej ciemności, malutkie światełka wirowały. Świejące owady u wylotu lufy. Działo się tak przez kilka minut.

- Psychologia - zwróciłem się do komputera. - Podsyłają nam psychotesty.

- Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale wykrywam w konfiguracji znajomy

metalowy kształt. Najprawdopodobniej plazmowy miotacz pocisków. Osiem luf. Ten rodzaj broni stosuje się w przypadku raczej nieruchomego celu. Pocisk o dużej prędkości ma przebić cienki pancerz i wypalić wewnątrz. Analiza wykazuje, że tylko jedna z ośmiu luf jest aktywna.

Do licha.

- A jaki - spytałem, z trudem wyduszając z siebie słowa, bo zdałem sobie sprawę z tego, że gdybym nawet chciał włączyć tarcze, nie wiem, jak to zrobić - byłby skutek uderzenia w „Corsariusa”?

- Przy jakiej mocy osłon?

- Przy żadnej.

- Całkowite zniszczenie.

Przyszło mi do głowy, żeby zawołać Chase, ostrzec ją, kazać jej wracać. Ale dałem spokój. Co za różnica.

Słyszałem, jak tłucze się gdzieś na rufie. Na tablicy rozdzielczej paliła się czerwona lampka. Zewnętrzny właz jest otwarty.

- Namierzyli nas - rzekł komputer. Zamknąłem oczy i czekałem.

- Wystrzelono pocisk.

W tej ostatecznej chwili pomyślałem tylko, że nie oddaliśmy ani jednego strzału we własnej obronie.

Coś rozdarło nam metalowy pancerz i wywołało burzę na pokładach. Znowu uruchomiła się syrena i cała reszta systemów statku, które ostrzegały przed bezpośrednim i poważnym niebezpieczeństwem.

- Co tam się dzieje, u licha? - Dopytywała się Chase. Lekkie echo sugerowało, że jest w skafandrze.

- Trafili nas. Wszystko w porządku?

- Tak. Może wreszcie należy włączyć tarcze? Głos jej się trząsał.

- Skończyłaś?

- Prawie. Ale może powinniśmy wyeksmitować kukły i sami wpakować się do kapsuły?

- Wracaj tu szybko - odparłem. - Komputer, raport o stratach. Jak to możliwe, że ciągle żyjemy?

- Pocisk nie eksplodował. Nie wiem dlaczego, może był po prostu pusty. Nie jestem w stanie tego ustalić, przeszedł przez statek na wylot.

- Gdzie uderzył?

- W przedział tuż pod mostkiem. Musimy naprawić obie grodzie, gdy tylko uda się tam wysiąć ekipę naprawczą. Tymczasem ten obszar został odcięty.

Znów rozległ się głos S'Kaliana.

- Aleksie, nadal jest czas. - Wyciągnął ręce w proszącym geście.

- Ty skurwielu - wyszeptałem cicho.

- Doceniam twoje opanowanie, przynajmniej w tych warunkach. Zrozum: możemy wywalić mnóstwo dziur w waszym statku, nie uszkadzając najważniejszych systemów. Potrzebna ci jeszcze jedna demonstracja naszego kunsztu wojennego? Uciekaj stamtąd, póki możesz. Twoja śmierć i śmierć twojej, hm, kobiety, do niczego nie doprowadzi.

Chase otworzyła tylny właz i weszła.

- Gotowe - wyszeptała.

Komputer przerwał połączenie z obcym statkiem.

- Kapitanie - powiedział - załadowano kolejny pocisk.

- Jeśli masz jakiś pomysł, to najwyższy czas - rzekła Chase.

- Komputerze, przywróć połączenie.

S'Kalian znów pojawił się na ekranie.

- Mam nadzieję, że podjąłeś mądrą decyzję - powiedział.

- Nie przypuszczam, żeby ci się spodobała. - Zamilkłem dla większego efektu i zrobiłem minę lekko szalonego. - Zamierzam uzbroić jeden z pocisków nuklearnych i odpalić go, nie opuszczając statku. Rozwalę „Corsarius” na strzępy.

- Nie wierzę ci.

- A wierz sobie, w co chcesz.

- Przejrzałem twoją psychikę, Aleksie. W pewnym sensie byłem tobą. Nie wierzysz w to wszystko na tyle mocno, żeby popełnić taki czyn. Twoja wola przetrwania jest bardzo silna...

Wyłączyłem go.

- Starczy - zwróciłem się do komputera. - Nie chcę więcej żadnych transmisji z tego statku. Niczego. Odrzucaj wszystkie.

- To bez sensu - odezwała się Chase. - Co ty próbujesz zrobić? Oni ci nie wierzą. Podejrzewają, że chcesz im wyciąć jakiś numer. - Oczy jej się rozszerzyły. - Hej, ty przypadkiem nie mówiłeś serio? Nie mam ochoty skończyć w kuli ognia.

- Nie. Pewnie, że nie. Ale oni też w to nie wierzą. I na to liczę. Siedź przy

rozsiewaczu. Za sześć minut wysyłam w podróż kapsułę. Zaraz potem wyłączą osłonę. Zobacysz zielone światelka na tablicy stanu. Wtedy pociągniesz za spust. Celuj w środek i strzelaj wszystkim, co mamy.

Zacząłem odliczać czas.

- A jeśli nie wyłączą tarczy?

- To będziemy musieli wymyślić coś innego.

- Cieszę się, że mamy jakiś plan.

- Jesteś gotowa do wystrzelenia kapsuły?

- Tak - odparła. Czekaliśmy. Minuty mijały.

- Chcę, żeby oddalała się od obcego statku. Jakbyśmy wzięli kurs na planetę.

Skrzywiła się, zrozumiała i uśmiechnęła się.

- Nie kupią tego - powiedziała. - Jesteśmy teraz za daleko od planety. Wiedzą, że nie udałoby się.

- Zrób to - powiedziałem. - I to już.

Nacisnęła coś na konsoli.

- Kapsuła w drodze.

- Oni nie wiedzą - powiedziałem. - Pewnie nie mają pojęcia o możliwościach kapsuły. A jeśli mają, to będą myśleć, że my nie mamy. Prawdopodobnie pomyślą tylko, że próbujemy się wyrwać i uciec. A bomba tutaj tyka. Ach, ci szczerwani ludzie.

Przełączyła obraz kapsuły na jeden z monitorów i czekaliśmy. Wyglądało to nieźle: dwoje ludzi w skafandrach, jedno pochylone nad sterami.

- Wyglądasz, jakbyś był pijany.

- Nie szkodzi. To wystarczy, żeby wprowadzić ich w błąd.

Przytaknęła.

- Mimo wszystko wolałabym tam być.

- Nie, nie wolałabyś. Mówię ci, że wyjdziemy z tego bez szwanku. Spróbuj manewrować w cieniu statku. To ma wyglądać, jakbyśmy nie chcieli zostać zauważeni. Ale upewnij się, żeby to widzieli.

- Dobrze - odparła niepewnie.

- Pocisk wroga wycelowany w mostek - rzekł komputer.

- Mam nadzieję, że to ma wystarczającą moc, żeby zrobić im krzywdę. - Nie wyglądała na przekonaną.

- Przygotuj się - powiedziałem. - Zyskamy kilka sekund. Jak tylko zgaśnie zielona lampka...

- Kapitanie, statek wroga znów nadaje - odezwał się komputer.

- Nie odpowiadaj. Powiedz mi, jak przestanie.

- Aleksie, powinni byli już zauważyć kapsule.

- Dobrze. Teraz może się to stać w każdej chwili. Wszystko wydarzy się bardzo szybko.

- Kapitanie, sygnał ze statku niemot zanikł.

- Aleksie, czy ty jesteś pewien, że to się uda?

- Oczywiście, że nie jestem.

Obserwowaliśmy konsole, zielone lampki, czekając.

- Aktywność w jednym z jajowatych kształtów - oznajmił komputer. - Mamy ujęcia z różnych kamer. Otworzyły się wrota i widać srebrny dziób pojazdu. Wygląda na uzbrojony.

- No to jazda - odezwałem się. - To jednostka do przenoszenia bomb.

Chase odetchnęła z ulgą.

- Mają jaja.

Lampki zamigotały i zgasły.

- Osłony wyłączone.

Chase pociągnęła za spust.

Statek podskoczył i zakołysał się, potężny huk zatrzęsł grodziami.

Pstryknąłem kilkoma przełącznikami i włączyłem nasze tarcze.

Przez iluminatory wlewało się oślepiające światło, ekrany zgasły. Chase o mało nie została wyrzucona z fotela, ale nie wypuściła z ręki spustu. Włączyły się silniki korekcyjne.

Coś w nas rąbnęło. Statek zatrzęsł się, światła zamrugały.

- Eksplozja protonowa - ogłosił komputer. - Osłony nadal działają.

Jeden z monitorów włączył się i zobaczyliśmy statek niemot: jego światła mrugały i szaleńczo wirowały. Pomiedzy nimi pojawiły się plamy ciemności, które szybko się rozszerzały. Oscylujące ruchy wkrótce straciły rytm i wygasły. Kilka ognistych kul wybuchło i zgasło w strumieniach iskier. Kiedy wszystko się skończyło, została tylko czarna płatanina kul i rur.

Chase wyłączyła rozsiewacz.

- Chyba się wyczerpał.

Srebrny statek z grupą uderzeniową przepłynął koło nas i nadal leciał, pewnie w nadziei na to, że w ogólnym zamieszaniu go nie zauważymy.

Poczułem wstrząs.

- Drugi wybuch protonowy - poinformował komputer. - Nie trafił w cel. Brak szkód.

- Komputer, uzbroić pocisk nuklearny.

- Aleksie, teraz możemy uciec.

Coś tam jeszcze huknęło. Okręt się rozpadał albo nadal do nas strzelał, nie byłem w stanie tego określić.

- Za minutkę.

- Uzbrojony i gotowy, kapitanie.

- Aleksie, co ty robisz? Już po wszystkim. Zabierajmy się stąd.

- Te skurwiele próbowały nas zabić, Chase. Wykończę ich, póki można.

Wśluchiwałem się w odgłosy mostka: uspokajające dudnienie grodzi, szum danych w systemach przetwarzania, ciche mruczenie systemów łączności. Oddech Chase.

- Nie ma potrzeby - powiedziała.

Namierzyłem cel.

Patrzyła na mnie.

- Wołałam tę wcześniejszą Tanner - powiedziała. - Tę, która zaoferowała ramię niemocie.

Po uszkodzonym statku błądziły błyskawice.

- Kapitanie, on się oddała.

- Niech lecą - upierała się Chase. - Spróbujmy tym razem zrobić coś dobrego.

Siedziałem z palcem na spuście.

- Będą wiedzieli, że mogłeś ich zabić i nie zabiłeś. Zawsze wiedzą.

- Tak - odparłem. - Jeśli komukolwiek coś dobrego z tego przyjdzie.

Patrzyliśmy, jak niezgrabnie odpływają w ciemność.

XXV

*Granice nie istnieją, chyba że na mapach albo w ograniczonych umysłach.
Natura nie rysuje kresek.*

Tulisofala, Wypisy, CCLXII vi, (przekład: Leisha Tanner)

CZASEM ZASTANAWIAM SIĘ nad uwagą Christophera Sima, że bitwa pod Termopilami nie powinna mieć miejsca.

Moja wojna z Aszijurami najwyraźniej mieściła się w tej samej kategorii. Nie miałyby miejsca, gdybym nie spędził popołudnia, ujawniając wszystko, co wiedziałem, S'Kalianowi z Grupy Maracaibo. Ta wizyta może i nie była najgłupszym postępkiem wszech czasów, ale na pewno plasuje się w pierwszej dziesiątce. Byliśmy niebezpiecznie blisko utraty „Corsarius” i wszystkiego, co ten okręt miał na pokładzie.

Chase miała rację, co do modułów Armstronga: nie było ich. Zostały zastąpione o wiele bardziej zaawansowanym systemem napędowym. Jakies dziesięć minut po incydencie z okrętem wojennym niemożenie komputery poinformowały nas, że za kilka minut statek będzie gotowy, i „Corsarius” zabrał nas do domu.

Nie był to przyprawiający o mdłości skok do wielowymiarowej przestrzeni ani nudny, dwumiesięczny lot szarym tunelem, który przeżyliśmy podczas lotu w tę stronę.

Przypominało to mgnienie oka.

Gwiazdy zamglily się i pojawiły się z powrotem. (Gdybyśmy obserwowali uważnie, zauważylibyśmy, że Wielki Krąg znika, a po chwili z chaosu wyłaniają się znajome konfiguracje nocnego nieba na Rimway.) Słońce Belmincour znikło, a my patrzyliśmy na śliczną, obramowaną bielą i błękitem Rimway. System łączności wypełnił się odgłosami, a na sterburcie przepłynął sierp księżyca.

Doznanie fizyczne trwało bardzo krótko: był moment, kiedy miałem wrażenie, że pod stopami nie mam pokładu i nie mam czym oddychać, ale minął tak szybko, że

nie byłem pewien, że się w ogóle wydarzył.

Pod naciskami, jakie wiązały się z wojną, ktoś, najprawdopodobniej Rashim Machesney i jego zespół, rozwiązał szereg problemów teoretycznych związanych z falami grawitacyjnymi i znalazł zastosowanie praktyczne. Wykazano, że grawitacja, podobnie jak światło, ma naturę podwójną, to znaczy jest zarówno falą, jak i cząstką, a to doprowadziło do oczywistego wniosku: grawitacja ma charakter kwantowy.

Z tego prostego faktu wynikło wiele implikacji. Jedna z najważniejszych dla Chase i dla mnie, kiedy siedzieliśmy na pokładzie zabytkowej fregaty, nie wiedząc, czy kiedykolwiek uda nam się wrócić do domu, była taka: duże obiekty mogą dokonać skoku kwantowego jak elektron. Czyli mogą przemieścić się z miejsca na miejsce, nie pokonując przestrzeni między nimi.

„Corsarius” był wyposażony w regulowany kolektor fal grawitacyjnych z magnesami nadprzewodzącymi, które miały zmniejszać opór elektryczny do zera. Wskutek tego statek mógł przemieszczać się w czasie i przestrzeni przy zerowym odstępie czasowym.

Cóż, teraz już wszyscy o tym wiemy. Ale właśnie dzięki temu Chase i ja nie utkwiliśmy daleko, daleko, w Mgławicy Damy z Woalką.

Napęd kwantowy.

Zasięg nie jest oczywiście nieograniczony. Zależy od rodzaju napędu i dostępnej mocy. Energię gromadzi się w pierścieniu nadprzewodzącym i musi ona zostać uwolniona w momencie transferu z bardzo dużą precyzją. A statek nie może się swobodnie poruszać w takim zasięgu. Minimalna odległość to nieco więcej niż dzień świetlny. Odstępy zmniejsza się nieskończenie małymi, ale nadal rosnącymi zmiennymi. Przypomina to trochę stacje. Wszystko to jest najwyraźniej powiązane ze statystyką, logiką kwantową i zasadą pewności Haysa. Skutek jest jednak taki, że metoda nie sprawdza się ani w przypadku podróży dalekich, ani bardzo bliskich.

Teraz lepiej już rozumiemy, jakie naprawdę były relacje między różnymi ludzkimi planetami podczas wojny z Aszijurami. (A przynajmniej Chase i mnie to się udało.) Choć zawsze wiedzieliśmy, że nie ufali sobie wzajemnie, przeżyłem szok, kiedy zrozumiałem, że Dellakondyjczycy ukryli swoje odkrycie przed sojusznikami. I zaginęło na dwa stulecia od czasów bitwy w układzie gwiazdy Rigel.

Dużo się zmieniło od dnia, gdy wróciliśmy z Belmincour na pokładzie „Corsarius”.

Jedność polityczna na dużą skalę stała się praktycznym rozwiązaniem, a

Konfederacja najwyraźniej się stabilizuje. Chyba jednak nam się uda.

Jestem także szczęśliwy, że napęd nie został użyty w działaniach ofensywnych przeciwko Aszijurom. Nie darzę ich uczuciem, a mimo to, jeśli mamy z tego wynieść jakąś lekcję, wszystko sugerowało takie rozwiązanie. Mamy teraz ogromną przewagę techniczną. Napięcie zelżało, a niektórzy eksperci mówią, że nie może istnieć prawdziwa rywalizacja bez równowagi militarnej. Może stoimy na progu nowej ery. Taką mam nadzieję.

Grupa Maracaibo nadal ma biura w Domu Kostyeva. Nigdy tam już nie poszedłem, ale życzę im wszystkiego najlepszego.

W pobliżu Point Edward nadal znajduje się grób Matta Olandera. Iliandyjczycy odrzucili historię Kindrel Lee jako niewiarygodną.

Teraz dużo się mówi o misji intergalaktycznej. Energia nadal pozostaje problemem: taka podróż musiałaby się odbyć w postaci serii (stosunkowo) krótkich skoków. Ponowne ładowanie przebiega wolno i eksperci oceniają, że podróż do Mgławicy Andromedy trwałaby półtora wieku. Ale na pewno polecimy. W podstawowej konstrukcji Machesneya wprowadzono już sporo ulepszeń; mam nadzieję, że będę żył na tyle długo, by roztrzaskać butelkę o dziób pierwszego statku intergalaktycznego. (Tak mi obiecano.)

Reputacja braci Sim niespecjalnie ucierpiała. W rzeczywistości większość ludzi nie przyjmuje do wiadomości historii z Belmincour i nadal wierzy w bohatera, który zginął w układzie Rigel.

Pośród uczonych zyskała popularność teoria, według której na skalnej półce miała miejsce ostateczna konfrontacja; zakończyła się tak, że bracia padli sobie w ramiona i rozstali się we łzach.

Co skłania nas do rozważań na temat inskrypcji na skale:

ὦ ΠΟΠΟῦ! ὦ ΔΗΜΟΣΘΕΝΣΙ!

Pierwsza część to okrzyk bólu, często wydawany przez bohaterów klasycznych greckich tragedii. A następnie: „O, Demostenesie”. Większość historyków odczytuje ten okrzyk jako hołd oddany przez Christophera Sima krasomówczym talentom brata i deklarację przebaczenia: wygląda, jakby znaczył: „Jestem w agonii, o, Demostenesie!”. Wydaje się potwierdzać teorię o ostatecznym pożegnaniu na półce, o

goryczy i uczuciach, jakie towarzyszyły takiemu wydarzeniu.

Ja jednak mam wątpliwości. W końcu Demostenes namówił swoich rodaków do bezsensownej i samobójczej walki z Aleksandrem Wielkim!

Jeśli my nie jesteśmy w stanie zrozumieć tej uwagi, na pewno zrozumiałby ją Tarien.

Zawsze zastanawialiśmy się nad Tanner i Simem: dlaczego tak uparcie szukała go przez wiele lat. Wygląda na to, że za tymi poszukiwaniami kryje się coś więcej niż współczucie i lojalność. Chase uderzyła w romantyczną nutę: „Ona go kochała”, powiedziała pewnego dnia, gdy wiatr za oknem wiał mocno, a ognie w kominku strzelały wysoko. „I znalazła go. Jestem tego pewna. Nie poddałaby się”.

Może.

Zawsze podejrzewałem, że Tanner należała do pierwotnego spisku. Że to ona, a nie bezimienny oficer czy członek załogi, widziała Krąg. I gnały nią wyrzuty sumienia, nie miłość.

Tak czy inaczej, wiemy, że już nie wrócił. Po bitwie w układzie gwiazdy Rigel nie słyszano już o Christopherze Simie. Czasem myślę o tej skale i najbardziej ze wszystkiego w życiu chcę wierzyć w to, że pewnego dnia, prosto z jasnego, błękitnego nieba, spadła ona. I zabrała go gdzieś.

Lubię o tym myśleć. Ale nie wierzę w to.

I wreszcie: Gabriel.

Dziś dziennik pokładowy „Corsarius” i osobiste notatki Christophera Sima można oglądać w Centrum Badań Akadyjskich. W skrzydle imienia Gabriela Benedicta.

EPILOG

ŚMIGACZ ZATOCZYŁ ŁUK nad skrajem Doliny Św. Antoniego, okrążył opactwo i opadł na lądowisku dla gości przy figurze Najświętszej Marii Panny przed budynkiem administracji. Wysoki mężczyzna o ciemnej skórze wyskoczył z kokpitu, zamrugał w świetle promieni słonecznych i rozejrzał się dookoła, po grupie budynków z dormitoriami, bibliotece, kaplicy, które wyglądały jak rozsiane w krajobrazie bez jakiegoś szczególnego zamysłu.

Młody mężczyzna w czerwonych szatach stał z boku, blisko figury, obserwując. Po chwili ruszył szybko w stronę gościa.

- Pan Scott? - Spytał.

- Tak.

- Witamy w klasztorze świętego Antoniego. Jestem Mikel Dubay, oddelegowany przez opata.

Mikel zwykle próbował skruszyć lody oficjalnego powitania informacją, że jest nowicjuszem, ale zachowanie Scotta jakoś nie zachęcało do spontaniczności.

- Ach, tak. - Patrzył gdzieś nad ramieniem Mikela.

- Przygotowaliśmy dla pana pokój.

- Dziękuję, ale nie zamierzam zostać na noc.

- Och. - To było zastanawiające. - Myślałem, że przyleciał pan na rekolekcje.

- To prawda - odparł Scott, jakby dopiero teraz zauważył nowicjusza. - W pewnym sensie. Ale zajmie mi to najwyżej jakieś pół godziny.

Mikel zacisnął usta, ale nie odpowiedział, dopóki nie doszedł do wniosku, że od odpowiedzi nie będzie wiało chłodem.

- Opat polecił mi, bym służył panu wszelką niezbędną pomocą.

Czując, jak serce wali mu jak młotem, Hugh Scott maszerował za swoim przewodnikiem obok budynków mieszkalnych i przez tereny rekreacyjne. W powietrzu późnego popołudnia unosiły się pokrzykiwania grających w piłkę. Kilku

odzianych na białą księżyc nadeszło z innej strony, pozdrowiło radośnie Mikela i jego gościa, po czym maszerowało dalej. Scott usłyszał fragment rozmowy, z którego wynikało, że dyskutują o fizyce energii.

Rozległo się bicie dzwonu w kaplicy. Duże latające stworzenie waliło gwałtownie skrzydłami na jednym z drzew, po czym spadło. Uderzyło o ziemię z wrzaskiem, wstało i pogalopowało na wielkich stopach o kształcie klinów.

- Przyszło tu za jednym z ojców, który parę tygodni temu wrócił z odosobnienia w górach - wyjaśnił nowicjusz. - Próbujemy je złapać, żeby je zawieźć z powrotem w góry.

- W życiu niczego podobnego nie widziałem - rzekł z roztargnieniem Scott, patrząc w górę, może wcale o stworzeniu nie myśląc. Wyglądał, jakby nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia.

- To ptak zwany mowrą - wyjaśnił Mikel i zamilkł.

Ścieżka wiała się wśród gajów kwitnących krzewów i karłowatych drzew. Ruszyli pod górę. Na grzbiecie, za żelaznym ogrodzeniem, Scott dostrzegł rzędy białych kamieni.

Zwolnił. Co za piękny dzień, co za urocze popołudnie, którym można się napawać! I czuć krew krążącą w żyłach!

Marmurowe ławki, które ustawiono przy wejściu, miały służyć jako miejsce medytacji nad ulotnością życia. Obejrzawszy je, spojrział na łuk, za którym ojcowie wyruszali w ostatnią podróż. Na jego wierzchołku stał krzyż z inskrypcją: *Ten, który uczy ludzi, jak umierać, musi wiedzieć, jak żyć*. Tak, pomyślał Scott, Sim wiedział!

- Tam. - Mikel wskazał część cmentarza ocienioną starymi drzewami. Scott minął rzędy białych kamieni nagrobnych i uderzyło go, że oto pewnie po raz pierwszy w dorosłym życiu odwiedza cmentarz i nie pogrąża się w ponurych rozważaniach o swojej własnej śmiertelności. Dziś wydarzyło się coś ważnego.

- Tutaj, proszę pana.

Nowicjusz zatrzymał się przy kamieniu, który różnił się wyraźnie od pozostałych. Scott zbliżył się i odczytał inskrypcję.

Jerome Courtney

Zmarł 11108 A.D.

Scott sięgnął po komunikator i sprawdził datę. W kalendarzu Rimway był to rok 1249. Czterdzieści lat po wojnie! Łzy napłynęły mu do oczu i przykląkł na jedno kolano.

Trawa szumiała na ciepłym popołudniowym wietrze. Gdzieś w pobliżu płynęła woda, a w świetle słońca unosiły się głosy. Ogarnęło go poczucie niezmienności tego miejsca.

Kiedy przyszedł do siebie i wstał, Mikela już nie było. Zamiast niego stał obok potężnie zbudowany brodaty mężczyzna w białej sutannie Ucznia.

- Jestem ojciec Thasangales - przedstawił się, wyciągając wielką, kościstą, spracowaną dłoń.

- Czy ojciec wie, kto to był?

- Tak. Opaci zawsze wiedzieli. Obawiam się, że biskup też wie. Ale nie dało się tego uniknąć.

- Był tu przez czterdzieści lat - rzekł ze zdumieniem Scott.

- Przez czterdzieści lat regularnie tu bywał - poprawił go Thasangales. - Nie był członkiem zakonu. A tak naprawdę to nie wyznawał naszej religii, choć sympatyzował z Kościołem.

- Opat spojrział nostalgicznie na dalekie wzgórza. - Według naszych zapisów, przylatywał i odlatywał dość często. Ale jesteśmy dumni z tego, że to klasztor świętego Antoniego był jego domem.

- Czy macie jakieś dokumenty? Jakież relacje? Czy on wyjaśnił, co się stało?

- Tak. - Opat założył ręce na piersi i spojrział z zadowoleniem na wyższego mężczyznę, - Tak, mamy kilka dokumentów jego autorstwa, przeważnie manuskryptów. W szczególności jeden stanowi próbę systematyzacji powstawania i upadku cywilizacji. Jak sądzę, zaszedł w tych badaniach o wiele dalej niż ktokolwiek inny. Jest jeszcze kilka opowieści, parę esejów filozoficznych i pamiętnik.

Scott poczuł, jak oddech więźnie mu w gardle.

- Macie to wszystko? I nigdy tego nie ujawniliście?

- Takie było jego życzenie. „Nie dawajcie ich nikomu, dopóki nie przyjdzie i nie poprosi”. - Spojrzął z namysłem w oczy Scotta. - I chyba ta godzina nadeszła.

Scott przesunął palcami po kamieniu nagrobnym. Choć robiło się już chłodno, kamień był nadal ciepły.

- Chyba skorzystam z tego pokoju, który ojciec mi zaproponował. I chętnie poczytam, co miał do powiedzenia.

